

Martin Charles

Kiedy płaczą świerszcze

Co się stanie, gdy skrzyżują się ścieżki ciężko doświadczonego przez los mężczyzny pragnącego zapomnieć o przeszłości i dziecka rozpaczliwie walczącego o życie mimo braku nadziei na przyszłość?

Na rynku małego, sennego miasteczka siedmioletnia Annie zbiera pieniądze na transplantację serca, sprzedając lemoniadę. Reese przed sklepem rozmyśla o własnym życiu. Silny podmuch wiatru porywa zebrane przez dziewczynkę banknoty. Mężczyzna widzi wyjeżdżający z za rogu poobijany samochód dostawczy i trzepoczącą na wietrze żółtą sukienkę wbiegającej na ulicę Annie. Od tego momentu nic już nie będzie takie jak dawniej.

PROLOG

Sprężynowe zawiasy ustąpiły, gdy uchyliłem drzwi, przerywając pojedynkę dwóch kolibrów na podejściu przed werandą. Dźwięk ich skrzydeł pochłonęły gałęzie dereni nade mną i tam właśnie napotkałem wzrokiem poranek w postaci słonecznych smug przedzierających się przez nieboskłon. Chwilę wcześniej Bóg pomalował niebo połączeniem czerni oraz głębokiego błękitu, które rozmazał następnie wijącymi się kosmykami bawełny i rozpylił na to drobiny blasku, niektóre większe, inne mniejsze. Przechyliłem głowę, odkorkowując jak gdyby wzrok, i uznałem, że niebo wyglądało niczym gigantyczny granitowy kontuar, który odwrócony do góry nogami, zarysował krawędzie horyzontu. Może był tu również i Bóg, pijąc kawę? Z tą tylko różnicą, że On nie musiał czytać listu, który trzymałem w ręku. Wiedział już, co było w nim napisane.

Pode mną rozciągała się rzeka Tallulah, łącząc się łagodnie z jeziorem Burton głębią przezroczystej, nieporuszonej zieleni, nietkniętej dziobami dawnych łodzi oraz motorówek Jet Ski, które miały przeciąć jej skórę i zrolować ku brzegom punktualnie o siódmej zero jeden. Niedługo Bóg pośle w górę, a jednocześnie i na zachód, słońce, gdzie zaświeci ono żarem i gdzie, zanim nastanie południe, blask od wody stanie się bolesny i malowniczy.

Zszedłem z werandy na tyłach domu, z listem zaciśniętym w dłoni, stąpając bosą po kamiennych stopniach prowadzą-

cych na nabrzeże. Poszedłem wzdłuż przepierzenia, czując chłód mgły wędrujący po moich nogach oraz twarzy, i wspiałem się po schodkach na taras hangaru dla łodzi. Wślizgnąłem się do hamaka zwrócony twarzą w kierunku południa, spoglądając przez lewe kolano na jezioro. Wsunąłem palec w niewielkie mosiężne kółko przymocowane do końca krótkiej linki i pociągnąłem delikatnie, kołysząc.

Jeżeli Bóg był tutaj, popijając kawę, musiała to być Jego druga filiżanka, ponieważ zdążył już przetrzeć niebo. Pozostały tylko smugi.

Emma powiedziała mi kiedyś, że są ludzie, którzy spędzają całe swoje życie, próbując Go wyprzedzić, dotrzeć być może gdzieś, gdzie Go jeszcze nie było. Problem polega na tym, mówiła, że przez całe życie poszukują i spieszą się, ale gdziekolwiek zdołają dotrzeć, okazuje się, że On już tam był.

Wsluchiwałem się w ciszę i wiedziałem, że ona długo nie potrwa. Za godzinę jezioro zanieśie się śmiechem dzieciaków w dmuchanych kołach, nastolatków w Ski Nautique'ach i emerytów w pontonach. Oni wszyscy zastępują gęś kanadyjką i leszcza podążających za - wykonanym o poranku przez jakiegoś miłośnika ptaków - łańcuszkiem z okruchów chleba, który rozciągał się w poprzek jeziora niczym żółta brukowana droga z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Zanim nadejdzie późne popołudnie, na setkach nabrzeży wybiegających w jezioro rozetli się węgiel drzewny i rozniesie zapach hot dogów, hamburgerów, wędzonych ostryg i pikantnych kiełbasek. A na podwórkach i podjazdach, które wszystkie pochylone są ku tafli wody niczym wewnątrz gigantycznej misy do sałatki, ludziska w każdym wieku zsuwać się będą na przydomowych zjeżdżalniach, rzucać podkowy pod konarami drzew, sączyć tuż nad brzegiem miętowe drinki i koktajl margarita oraz majtać nogami zwisającymi z tarasów drugiego piętra swoich hangarów dla łodzi. Do dziewiątej prawie każdy gospodarz

w okolicach jeziora zdąży roztoczyć nad nim przez godzinę parasol eksplozji, rozświetlając wodę deszczem czerwonych, błękitnych i zielonych rozbłysków. Rodzice będą zadzierać głowy; dzieci chichotać i gaworzyć, psy szczekać i napierać na swoje łańcuchy, żłobiąc bruzdy w korze drzew, do których zostaną przywiązane; koty czmychną w poszukiwaniu kryjówki, weterani będą rozpamiętywać, a kochankowie chwycą się za ręce i wślizgną bezgłośnie do zatoczek, kryjąc swoją nagość pod bezpieczną powierzchnią wody. I zabrzmie symfonia wolności.

Dzisiaj był Dzień Niepodległości.

Inaczej niż reszta miasta Clayton, w stanie Georgia, nie przygotowałem sztucznych ogni, żadnych hot dogów i planów rozświetlenia nieba. Moje nabrzeże miało pozostać pogrążone w ciszy i ciemnościach, grill zimny, pokryty sadzą, starym popiołem i pajęczynami. Dla mnie wolność była czymś odległym. Niczym znana mi kiedyś woń, której nie byłem już w stanie zlokalizować. Gdybym mógł, przespałbym cały dzień jak współczesny Rip van Winkle, obudził się jutro i skreślił kolejną datę na kalendarzu. Ale sen, tak jak i uczucie wolności, pojawiał się rzadko i pozbawiony był głębi. Raczej krótkie epizody. Dwie do trzech godzin w najlepszym razie.

Leżałem na hamaku, sam na sam z kawą i pożółkłymi wspomnieniami. Oparłem sobie kubek na piersi i trzymałem pomarszczoną, nieotwartą kopertę. Za mną mgła unosiła się znad wody, skracając w miniaturowe leje, które obracały się wolno jak tańczące duchy, przenikając ku górze poprzez zwisające gałęzie dereni oraz skrzydła kolibrów i rozplywając się jakieś trzydzieści stóp wyżej.

Jej odręczne pismo na kopercie informowało mnie, kiedy mam przeczytać znajdujący się w środku list. Gdybym tak zrobił, wypadłoby to dwa lata temu. Nie zrobiłem tego wówczas i nie zamierzałem zrobić dzisiaj. Może nie mogłem. Trudno

jest słuchać słów, które są ostatnie, gdy wiemy na pewno, że już ich więcej nie usłyszymy. A ja miałem tę pewność. Stąd, że rocznice przychodziły i przemijały, podczas gdy ja nadal tkwiłem w tym miejscu poza czasem i przestrzenią. Nawet świerszcze ucichły.

Położyłem dłoń na liście, przyciskając go do piersi, prostując rogi koperty jak małe papierowe skrzydełka. Gorzki ich substytut.

Naokoło ludzie siedzieli w bujanych fotelach, sączyli miętowe drinki i prowadzili gorące dyskusje na temat tego, jaka dokładnie jest najlepsza pora dnia nad jeziorem. O brzasku cienie padają przed nami, wyciągając się, aby dosięgnąć nadchodzącego dnia. W południe stajemy na naszych cieniach, pochwyceni gdzieś pomiędzy tym, co było, i tym, co będzie. O zmierzchu cienie padają za nami i zakrywają nasze ślady. Moje doświadczenie mówi mi, że ci, którzy wybierają zmierzch, zazwyczaj mają coś do ukrycia.

ROZDZIAŁ 1

Jak na swój wiek była dość drobna. Mogła mieć sześć, może nawet siedem lat, lecz nie wyglądała na więcej niż cztery lub pięć. Zawadiackie serce zamknięte w ciele porcelanowej figurki. Ubrana w krótką, żółtą sukienkę, żółte podkolanówki, białe pantofle i słomkowy kapelusz przewiązany żółtą wstążką, która opadała z tyłu aż do bioder. Błada i szczupła, podrygiwała niczym skrzyżowanie Eloise z hotelu Plaža i Tygryska z Kubusia Puchatka. Stała pośrodku miasta, przy północno-zachodnim rogu ulic Main i Savannah, wydzierając się wniebogłosy: „Lemoniaaaaaada! Lemoniaaaaaada po pięćdziesiąt centów!”. Wpatrywała się w przechodniów, którzy nadchodzili chodnikiem, lecz nikt nie chciał się zatrzymać. Wyciągając szyję, wspinała się na palce z dłońmi złożonymi w trąbkę. „Lemoniaaaada, Lemoniaaaaaada, po pięćdziesiąt centów!”.

Stragan z lemoniadą był solidny, choć sprawiał wrażenie skleconego kiedyś w pośpiechu i nieco już nadgryzionego zębem czasu. Cztery drewniane nogi i połowa płyty pilśniowej stanowiły rodzaj lady. Z tyłu, wsparty na dwumetrowych drzewcach, znajdował się baner, przybity do drugiej połowy sklejki. Na pomalowanej żółtą farbą powierzchni duże drukowane litery tworzyły napis: LEMONIADA - 50 CENTÓW - DOLEWKA GRATIS. Centralnym punktem całego kramu nie była jednak lada, baner, żółta chłodziarka z lemoniadą ani nawet sama mała sprzedawczyni, lecz usta-

wiony pod blatem ławy, w połowie jej długości, plastikowy pojemnik. Wysunięta nieco do przodu dwudziestolitrowa pusta butla na wodę - jej własna studnia życzeń, do której całe miasto wrzucało dodatkowe banknoty niczym bezgłośnie czułe słówka.

Przystanąłem, przyglądając się pewnej starszej pani z koronkową przeciwsłoneczną parasolką, która przeszła na drugą stronę ulicy i wrzuciła dwie ćwierćdolarówki do styropianowego naczynia na ladzie.

- Dziękuję ci, Annie - szepnęła i odebrała napełniony po brzegi kubek z wyciągniętych rąk dziewczynki.

- Bardzo proszę, panno Blakely. Ładna parasolka.

Delikatny podmuch wiatru zatrzepotał żółtymi wstążkami spoczywającymi na plecach dziewczynki i poniósł jej czysty, niewinny głos wzdłuż chodnika.

Panna Blakely upiła ostrożnie łyk i zapytała:

- No i jak się czujesz, dziecko?

Dziewczynka spojrzała na nią spod swojego kapelusza.

- Całkiem nieźle, psze pani.

Panna Blakely odstawiła kubek, a dziewczynka znowu odwróciła się w kierunku nadchodzących przechodniów. „Le-moniaaaaaada! Lemoniaaaaaada, po pięćdziesiąt centów!“. Jej południowy akcent stanowił mieszaninę miękkości i lekkiej chrypki. Z domieszką dziewczęczości przykuwał uwagę niczym sztuczne ognie w święto 4 Lipca.

Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że gdy panna Blakely odstawiła już swój kubek, skinęła głową i wrzuciła do stojącej obok dziewczynki plastikowej butli coś, co wyglądało na dwudziestodolarowy banknot.

To dopiero musiała być lemoniada.

To dziecko było niczym jednoosobowa maszyna do robienia pieniędzy. Liczba banknotów w naczyniu rosła, ale najwyraźniej nikt się nie martwił, że się ulotnią, a już najmniej

sama dziewczynka. Poza reklamującym lemoniadę banerem nie można było się dopatrzeć żadnej informacji, która wyjaśniałaby, o co chodzi. Widocznie nie było takiej potrzeby. To typowe dla małych miasteczek. Wszyscy wszystko wiedzą. Wszyscy, ma się rozumieć, poza mną.

Wcześniej tego samego ranka Charlie - mój sąsiad z drugiego brzegu niewielkiej zatoki oraz niegdysiejszy szwagier - i ja polerowaliśmy mahoniowy pokład i żeliwne kratownice pewnej Greavette rocznik 1947, gdy skończył się papier ścierny grubości 220 oraz lakier. Rzuciliśmy monetą i przegrałem. Pojechałem zatem do miasta, podczas gdy Charlie zarzucił wędkę w tylnej części doku, pogwizdując na rozneśliżowane panienki mijające go z wrzaskiem na swoich kolorowych skuterach wodnych. Charlie nie kwapił się, jak zwykle, aby pojechać, ale z upodobania do rywalizacji nalegał na losowanie. I przegrałem.

Dzisiejsza przejażdżka różniła się od innych z powodu pory dnia. Rzadko wpadam do miasta rano, zwłaszcza gdy tak wielu ludzi tłoczy się na chodnikach w drodze do pracy i z powrotem. Szczerze mówiąc, w ogóle unikam miasta. Krążę dookoła, odwiedzając co parę miesięcy sklepy spożywcze i składy narzędziowe w okolicznych miasteczkach. Jestem kimś, kto regularnie bywa wszędzie i nigdzie zarazem.

Gdy już tu przyjeżdżam, to zwykle po południu, na kwadrans przed zamknięciem sklepu, ubrany po miejscowemu w znoszony kombinezon i baseballówkę z logo jakiejś firmy produkującej narzędzia elektryczne lub sprzęt rolniczy. Parkuję od zaplecza, naciągam daszek, stawiam kołnierz i wbijam wzrok w podłogę. Wślizguję się do środka, biorę co trzeba i wynoszę się, wtapiając się w tło i rozplywając w powietrzu. Charlie nazywa to zakupami ukradkiem. Ja nazywam to przetrwaniem.

Mike Hammermill, emerytowany fabrykant z Macon, wynajął mnie i Charliego, abyśmy przygotowali mu jego Greavette rocznik 1947 na dziesiątą doroczną Paradę Zabytkowych i Klasycznych Łodzi na jeziorze Burton, która odbywać się miała za miesiąc. To był już nasz trzeci start w ciągu ostatnich lat i jeżeli chcieliśmy pokonać chłopaków z zakładów Blue Ridge Boat, nie mogliśmy żałować papieru ściernego. Pracowaliśmy na Greavette od prawie dziesięciu miesięcy i praca miała się już ku końcowi, musieliśmy jednak jeszcze zamontować pas rozrządu do napędu turbinowego i pokryć pokład oraz kratownice ośmioma warstwami lakieru, zanim łódź mogła brać udział w paradzie.

Z zaschniętym gardłem, wiedziony ciekawością, przeszedłem na drugą stronę ulicy. Wrzuciłem pięćdziesiąt centów do kubka. Dziewczyna wcisnęła małym palcem spust chłodziarki, aż pobiełały jej kostki. Drżącą od wysiłku dłonią naląła mi kubek świeżo wyciśniętej lemoniady pełnej fragmentów cytryny i cukru.

- Dziękuję - powiedziałem.

- Mam na imię Annie - odezwała się dziewczynka, dygając z gracją polnego kwiecia i wypatrując pod daszkiem czapki mojego spojrzenia. - Annie Stephens.

Przełożyłem kubek do drugiej ręki i prężąc się, zadeklamowałem.

- Dzięki ci wielkie za takową ulgę. Okropnie to zimne, aż mi cierpko w sercu.

Zaśmiała się:

- Sam to wymyśliłeś?

- Nie - pokręciłem głową. - Pewien facet o nazwisku Szekspir. To fragment historii, którą kiedyś napisał, pod tytułem *Hamlet*.

Gdy większość moich kolegów ekscytowała się serialem *Waltonowie* albo *Policjantami z Hawajów,*^{J*} spędziłem dużą część swojego dzieciństwa na czytaniu. Nadal nie mam telewizora. Mnóstwo umarłych pisarzy nieustannie sący mi do głowy swoje szepty.

Uniosłem nieco daszek czapki i wyciągnąłem rękę.

- Reese. Nazywam się Reese.

Słońce znajdowało się za moimi plecami, wspinając się coraz wyżej po nieboskłonie i ogrzewając powietrze. Mój rozciągnięty na chodniku cień chronił przed słonecznym blaskiem wzrok Annie, która po chwili zadumy odezwała się:

- Reese to dobre imię.

Jakiś człowiek przemknął obok, niosąc dwie papierowe torby z zakupami. Odwróciła się w jego kierunku i wrzasnęła tak głośno, że można ją było pewnie usłyszeć trzy przecznice

dalej:

- Lemoniaaaaada! Skinął głową.

- Dzień dobry, Annie. Zaraz wracam. Odwróciła się do mnie.

- To jest pan Potter. Pracuje w tamtym miejscu - wskazała. - Lubi swoją lemoniadę z dodatkowym cukrem, ale nie jest taki jak niektórzy moi klienci. Przydałoby im się więcej cukru, bo słodcy to oni nie są.

Zaśmiała się z własnego żartu.

- A ty tutaj tak codziennie? - spytałem w przerwie pomiędzy drobnymi łykami. Jedną z rzeczy, których nauczyłem się w szkole, kiedyś podczas tych długich nocy, to wiedza, że jeśli zadać wystarczająco dużo właściwych pytań, tego typu pytań, które krążą wokół tematu, nie zmierzając od razu do celu, ludzie dają nam zazwyczaj to, czego oczekiwaliśmy. Pod warunkiem że się wie, o co pytać, kiedy o to zapytać i co najważniejsze, jak rozpocząć taką rozmowę od serca.

- Poza niedzielami, gdy Cici wybiera z pojemnika żywą przynętę dla klientów sklepu wędkarskiego Butcha. Bo w pozostałe sześć dni pracuję w tamtym sklepie.

Wskazała w kierunku magazynu z narzędziami, gdzie za kasą - odwrócona do nas plecami - stała jakaś kobieta o tlenionych blond włosach. Jej palce ślizgały się po guzikach kasy, wystukując czyjś rachunek. Nie musiała się odwracać, aby na nas patrzeć, spoglądając w półtorametrowe lustro zawieszane nad ladą, dzięki któremu była w stanie obserwować wszystko, co działo się wokół straganu Annie.

- Cici? - zapytałem.

Uśmiechnęła się i ponownie wskazała na sklep.

- Cici to moja ciocia. Ona i moja mama były siostrami, ale mama nigdy nie włożyłaby ręki pomiędzy dżdżownicę albo do pijawek - zauważyła mój pusty kubek, nalała mi drugi i kontynuowała: - Jestem tu zatem przez większość czasu przedpołudniami aż do lunchu. Potem idę na górę, pooglądam sobie telewizję i zdrzemnę się trochę. A ty? Czym się zajmujesz?

Zareagowałem tak jak zwykle, mówiąc prawdę i nieprawdę zarazem. Gdy usta mówiły „pracuję przy łodziach”, umysł odpływał w inne rejony: ***Bo gdybym swoją zewnętrzną postacią zdradził coś z tego, co kłębi się w sercu/To równie dobrze mógłbym samemu rzucić się na żer gołębicom. Nie jestem, kim jestem.***

Przymrużyła oczy, a jej wzrok wędrował gdzieś ponad moją głowę. Oddech Annie był ciężki, chrapliwy od wydzieliny, przytłoczony uporczywym kaszlem, który starała się ukryć i powstrzymać. Gdy skończyła mówić, cofnęła się i wyczuwając stopą brzeg chodnika, usiadła na rozkładanym krześle turystycznym ustawionym za straganem. Splotła dłonie i oddychała, a wiatr rozwiewał jej żółte wstążki, które tańczyły wokół kapelusza.

Obserwowałem jej klatkę piersiową, unoszącą się i opadającą. Zza dekoltu sukienki wystawała długa na dwa centymetry nitka blizny ze śladami szwów. Nie starsza niż roczna, kończyła się tuż pod niewielką fiolką na tabletki, zwisającą na łańcuszku zawieszonym na szyi. Wiedziałem, co to były za pigułki.

Trąciłem lewą stopą dwudziestolitrowy pojemnik na wodę.

- Na co ta butla?

Musnęła palcami swój dekolt, ukazując dalsze dwa centymetry blizny. Ludzie mijali nas, przechodząc chodnikiem, ale Annie wyglądała już na zmęczoną i nie tak chętną do rozmowy. Jakiś siwowłosey gentleman pojawił się w drzwiach agencji pośrednictwa nieruchomości znajdującej się nieopodal, zbliżył do straganu i nacisnął guzik chłodziarki.

- Dzień dobry, Annie.

Wrzucił dolara do kubka stojącego na ladzie i drugiego do plastikowej butli przy moich nogach.

- Witam, panie Oskar - powiedziała na wpół ściszoneg głosem. -
Dziękuję. Do zobaczenia jutro.

Końcami palców dotknął jej kolana.

- Do zobaczenia jutro, serduszko.

Spojrzała na mnie i na niego, gdy oddalał się chodnikiem.

- Każdego nazywa serduszko.

Włożyłem do kubka pięćdziesiąt centów, a gdy nie patrzyła, dodatkowo banknot dwudziestodolarowy.

Przez ostatnie osiemnaście lat, a może dłużej, noszę po kieszeniach, i za paskiem, mnóstwo różnych rzeczy. Mosiężną zapalniczkę Zippo, chociaż nigdy nie paliłem, dwa scyzoryki z zapasowymi ostrzami, zestaw igieł i nici krawieckich oraz latarkę. Parę lat temu znalazła się tam jeszcze jedna rzecz.

Skinęła na moją latarkę.

- George, nasz szeryf, nosi latarkę, która jest bardzo podobna do twojej. Widziałam też kiedyś taką w ambulansie. Jesteś pewien, że nie pracujesz w policji albo w pogotowiu?

-Jestem pewien - kiwnąłem głową.

Kilka przecznic dalej doktor Sal Cohen wyszedł ze swojego gabinetu i kroczył właśnie chodnikiem. Sal jest w miejscowym szpitalu lekarzem naczelnym, znanym i kochanym przez wszystkich mieszkańców Clayton. Ma już około siedemdziesięciu pięciu lat i pracuje jako pediatra, odkąd ukończył specjalizację pięćdziesiąt lat temu. Z perspektywy swojego gabinetu widział, jak większość z nich z noworodków stawała się ludźmi dorosłymi. Ubrany w tweedową marynarkę, dopasowaną kamizelkę, krawat, który kupił trzydzieści lat temu, z krzaczastymi wąsami, a także brwiami, za dużym nosem oraz włosami wystającymi z uszu, długimi bokobrodami, dużymi uszami i fajką. W kieszeni zawsze trzymał słodycze.

Doktor Cohen przyczłapał do Annie, przekrzywiając do tyłu swój tweedowy kapelusz i przekładając fajkę do lewej ręki, gdy odbierał od niej kubek lemoniady. Mrugnął do dziewczynki, skinął w moim kierunku, popijając wolno. Gdy skończył, odwrócił się do niej bokiem. Annie wsunęła dłoń do kieszeni płaszcza doktora Cohena, wyciągnęła z niej miętusa i uśmiechnęła się. Ujęła go w obie ręce i zachichotała, jak gdyby znalazła coś, czego nikt inny nie miał.

Uchylił kapelusza, zawiesił fajkę na dolnej wardze i zaczął okrążyć swojego starego cadillaca zaparkowanego przy chodniku. Zanim otworzył drzwi, spojrzał na mnie:

- Do zobaczenia w piątek. Przytaknąłem i uśmiechnąłem się.

-Już czuję ten smak - rzucił, oblizując wargi i potrząsając głową.

-Ja też - i rzeczywiście czułem. Wycelował we mnie swoją fajkę.

- Zajmij mi miejsce, jeżeli będziesz pierwszy. Skinąłem i Sal odjechał, jak przystało na starszego pana,

środkiem jezdni, niepospieszany przez nikogo.

- Znasz doktora Cohena? - zapytała Annie.

- No - zawahałem się przez chwilę, zastanawiając się, jak by dokładnie to ująć. - Łączą nas... cheeseburgery.

- A - powiedziała, kiwając głową. - Masz na myśli Studnię.

Skinąłem na potwierdzenie.

- Zawsze, gdy idę do niego z wizytą, mówi albo o zeszłym piątku, albo o tym, że nie może się doczekać na następny. Doktor Cohen kocha cheeseburgery.

- Nie on jeden - dodałem.

- Mój doktor nie pozwala mi ich jeść.

Trudno byłoby mi się zgodzić z taką opinią, ale nie powiedziałem tego na głos. Przynajmniej nie wprost.

- Zabranianie dziecku jedzenia cheeseburgerów powinno zostać uznane za przestępstwo.

Uśmiechnęła się.

- Tak mu właśnie powiedziałam.

Gdy kończyłem swoją lemoniadę, Annie przyglądała mi się bez zniecierpliwienia lub niepokoju. Wiedziałem, że pomimo tej sterty pieniędzy w plastikowej butli, nawet gdybym nie dał jej złamanego grosza, ona i tak dolewałaby mi lemoniady, aż stałbym się żółty albo dopóki lemoniada nie zaczęłaby wyciekać mi uszami. Problem polegał na tym, że miałem przed sobą więcej życia niż ona. Nadzieja dla Annie mogła spoczywać w tej właśnie butli i miałem wrażenie, że jej wiara w Boga mogłaby przenieść górę Mount Everest lub zatrzymać słońce, ale bez nowego serca umrze, zanim doczeka okresu dojrzewania.

Jej spojrzenie skupiło się na mnie, raz jeszcze wędrując w górę, a później w dół.

-Jaki duży jesteś? - zapytała.

- Wzrost czy waga?

Zrobiła sobie z dłoni daszek tuż nad wysokością oczu.

- Wzrost.

- Metr osiemdziesiąt pięć.

- A ile masz lat?

- Wiek ludzki czy psi? Zaśmiała się.

-Psi.

- Dwieście pięćdziesiąt dziewięć - odparłem po chwili zastanowienia.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

- Ile ważysz?

- W systemie angielskim czy metrycznym? Wywróciła oczami i odparła:

- Angielskim.

- Przed śniadaniem czy po obiedzie?

Nie mogła się zdecydować. Podrapała się po głowie, rozejrzała po chodniku i przytaknęła:

- Przed śniadaniem.

- Sto siedemdziesiąt cztery funty. Wpatrywała się we mnie jeszcze przez chwilę:

- Jaki numer buta nosisz?

- Numeracja europejska czy amerykańska? Zacisnęła wargi, starając się powstrzymać śmiech; a następnie zakryła usta dłonią.

-Amerykańska.

- Jedenastkę.

Spojrzała na moje stopy, zastanawiając się prawdopodobnie, czy mówiłem prawdę. Następnie wygładziła sukienkę, wstała i wyprężając do przodu pierś, wydeklamowała:

- A ja mam siedem lat. Ważę czterdzieści pięć funtów. Noszę szóstkę i mam metr dwadzieścia pięć wzrostu.

W moim umyśle znowu pojawił się szept: *O tygrysie serce w kobiecej skrywane postaci.*

- No, i co? - spytałem.

- Jesteś większy ode mnie. Zaśmiałem się:

- Trochę tak.

- Ale - uniosła palec, jak gdyby sprawdzała kierunek wiatru - jeżeli dostanę nowe serce, mój pan doktor mówi, że mogę jeszcze trochę podrosnąć.

Skinałem wolno.

- Szanse są całkiem spore.

- A wiesz, co bym później zrobiła?

- Z nowym sercem czy większym wzrostem? Zastanowiła się przez chwilę:

-1 tym, i tym. -Co?

- Zostałabym misjonarką jak moja mama i tata.

Myśl o biorcy serca włączającym się po gorących bezdrożach Afryki, setki mil od dostępu do regularnej pomocy farmakologicznej, profilaktycznej opieki zdrowotnej lub kogokolwiek posiadającego wiedzę konieczną do ich stosowania, była niemożliwością tak oczywistą, że wszelka nadzieja lub wiara, że kiedyś może się ziścić, wydawały się bezsensowne.

- Pewnie byliby z ciebie dumni. Spojrzała na mnie z ukosa.

- Są już w niebie.

Przez moment milczeliśmy, po czym odezwałem się:

- Cóż, jestem pewien, że tęsknią za tobą.

Nacisnęła kciukiem spust i zaczęła nalewać kolejny kubek.

- Oj, ja też za nimi tęsknię, ale zobaczymy się znowu - podała mi lemoniadę i uniosła dłonie, jakby wyrównywała szale wagi. - Za jakieś osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt lat.

Pijąc, rozważałem nieprawdopodobieństwo. Spojrzała na mnie znowu, a wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki zaciekawienia.

- Kim chcesz zostać, jak dorośniesz? Dopilem ostatni łyk i spojrzałem na nią z góry.

- Robisz to wszystkim swoim klientom?

Z założonymi do tyłu rękami, nieświadomie kliknęła obcasami. Wyglądała jak Dorotka z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*.

- A co robię?

- Zadajesz tyle pytań.

- No... taak, chyba tak.

Pochyliłem się, zbliżając swoje oczy do jej oczu. -Jesteśmy, moja droga, twórcami muzyki, tymi, którzy śnią swoje sny.

- Znowu pan Szekspir?

- Pudło. WillyWonka. Zaśmiała się radośnie.

- Cóż - rzekłem - dziękuję ci, Annie Stephens. Ponownie dygnęła z gracją.

- Do widzenia, panie Reese. Proszę mnie jeszcze kiedyś odwiedzić.

-Jasne.

Przeszedłem przez ulicę i sięgnąłem po kluczyki, żeby otworzyć swojego suburba. Z kluczykami w ręku wpatrywałem się w przednią szybę samochodu, przypominając sobie wszystkich tych, którzy byli w tej samej sytuacji co ona, i tę emanującą z nich magnetyczną nadzieję, której żadna siła, piekielna ani ziemską, nie zdoła zdławić.

I przypomniałem sobie również, że kiedyś byłem w czymś dobrym i że poznałem kiedyś miłość. Gdzieś w środku mnie zakołatała myśl: „Rozlany jestem jak woda i rozłączają się wszystkie moje kości; jak wosk się staje moje serce, we wnętrzu moim topnieje”.

Przez wzgórze przedarła się silna bryza, przetaczając się w kierunku wschodnim, wzdłuż ulicy Savannah. Tłukła się o stare ceglane budynki, o chodnik, kręciła skrzypiącymi wiatromierzami, zawirowała pośród wiszących, melodyjnych dzwonek. Dotarła do straganu Annie, gdzie porwała jej styropianowy kubek, rozrzucając po ulicy prawie dziesięć dolarów w monetach i banknotach. Annie poderwała się ze swojego składanego krzeselka i rozpoczęła pościg za papierowymi pieniędzmi, wbiegając na skrzyżowanie.

Nie zorientowałem się na czas, a ona nawet nie zdążyła się obejrzeć.

Dowożąc pieczywo ciężarówka właśnie mnie minęła, jadąc ulicą South Main. Trafiała na zielone światło i przyspieszyła, syjąc iskrami z rury wydechowej i wypuszczając biały kłęb dymu. Usłyszałem włączone w szoferce radio grające folk i zobaczyłem kierowcę wpychającego sobie do ust batona Twinkie, w chwili gdy wjeżdżał na skrzyżowanie z ręką uniesioną, aby osłonić się od blasku słońca. I wtedy właśnie musiał zauważyć żółć jej sukienki. Nadepnął na hamulce, blokując tylne koła. Ciężarówka zaczęła się obracać i podskakiwać. Im bardziej obracała się na bok, tym gwałtowniej jej koła podskakiwały na asfalcie.

Annie obróciła się raptownie w kierunku źródła hałasu i zamarła. Wypuszczone z ręki pieniądze pofrunęły ponad ulicą niczym motyle królewskie. Z przerażenia nie utrzymała moczu. Przez jej zaciśnięte gardło nie zdołał wydostać się nawet pisk.

Kierowca krzyknął: „O słodki Jezu, Annie!” i skreślił kierownicą najmocniej, jak tylko było to możliwe, uderzając tylnym zderzakiem w bok przedniej części karoserii zaparkowanej na poboczu hondy accord. Ciężarówka odbiła się od hondy i uderzyła w Annie wypląszoną częścią maski

dokładnie na wysokości jej piersi. Dźwięk ciała wbijającego się w obudowę zabrzmiał jak wystrzał z działa.

Zdołała jeszcze unieść jedną rękę, która przejęła większą część uderzenia, zanim potoczyła się do tyłu niczym żółta kula do kregli. Jej kapelusz poszybował w jednym kierunku, a nogi i reszta ciała w drugim. Z głuchym uderzeniem upadła na przeciwległą stronę ulicy i znalazła się pod ffordem pick-upem. Lewe przedramię trzasnęło niczym przełamana wykałaczką. Ostatni podmuch wiatru pochwycił dolny brzeg jej sukienki, zawiewając ją na twarz. Leżała nieruchomo, z głową w kierunku opadającej w dół ulicy i żółtą sukienką, pokrytą teraz czerwonymi plamami.

Byłem przy niej pierwszy, tuż za mną znalazła się kobieta zza kasy, krzycząca wniebogłosy z szaleństwem w oczach. W ciągu paru sekund zebrało się zbiegowisko.

Oczy Annie były zamknięte, ciało bezwładne, a skóra blada i przezroczysta. Język zapadł się i zablokował drogi oddechowe, uniemożliwiając oddychanie. Jej twarz zaczęła sinieć, a reszta ciała stała się kredowobiała. Niepewny, czy nie uszkodziła kręgosłupa, ostrożnie ująłem ją za szyję i za pomocą chusteczki wydobyłem język, aby płuca mogły zassać powietrze. Wiedziałem, że nawet najmniejszy ruch karku może spowodować dalsze pogorszenie stanu kręgosłupa, jeżeli faktycznie był uszkodzony, ale musiałem odblokować jej drogi oddechowe. Bez powietrza nie ma życia. Wybrałem tylko jedną z opcji.

Klatka piersiowa Annie unosiła się i opadała, gdy sprawdzałem jej puls na tętnicy szyjnej, drugą ręką szukałem latarki, badając źrenice. Wpatrując się w gałki oczne, z latarką w zębach, zdjąłem ze swojej piersi aparat do badania tętna marki Polar i ulokowałem go na wysokości jej mostka. Wskazanie pulsu na moim zegarku natychmiast wzrosło z sześćdziesięciu dwóch do stu pięćdziesięciu sześciu. Wyczułem

miejsce najsilniejszego sygnału, a następnie obiema dłońmi wystukałem zarys jej serca, odkrywając to, co już wiedziałem - było o pięćdziesiąt procent większe niż powinno.

Kobieta zza kasy spojrzała na moje dłonie spoczywające w miejscu niedojrzałych piersi Annie i uderzyła mnie mocno w twarz: „Zabieraj od niej te łapska, obrzydliwy zbrojeńcu!”.

Nie było czasu na wyjaśnienia, przytrzymałem aparat we właściwej pozycji i obserwowałem źrenice dziewczyny. Kasjerka spojrzała Annie w oczy, zobaczyła zapadający się język i przykucnęła przy jej boku. Szarpnęła zawieszony na jej szyi łańcuszek, wysypując na brzuch dziewczynki niewielką zawartość fiolki z tabletkami i gubiąc przy tym także coś błyszczącego, może ze złota, w rynsztokowym szlamie pod ciężarówką. Chwyciła dwie tabletki i sięgnęła, aby umieścić je pod językiem Annie. Z jedną ręką na jej szyi, nie tracąc Annie z pola widzenia, chwyciłem kobietę za rękę. Zaciskając wokół niej palce, powiedziałem spokojnie.

-Jeżeli włoży jej to pani do ust, zabije ją pani.

W przyпіływie paniki oczy kobiety rozjarzyły się blaskiem, a żyły na szyi stały się nabrzmięte. Była silna i prawie udało się jej wyrwać swoją rękę, ale trzymałem ją mocno, nie spuszczając z oczu Annie.

- Łapy przy sobie. Zabijesz ją.

Spojrzała w kierunku tłumu, który zebrał się naokoło.

- Zabije ją! On chce zabić Annie!

Dwóch wielkich facetów w wypłowiałych kombinezonach i baseballówkach z napisem „John Deere”, jedzących coś w barze, skierowało się w moją stronę.

- Panie, weź no pan, zabierz te **rence**. Dziewczynkę znamy, ale ciebie to pierwszy raz tu **widzę**.

Był prawie dwa razy większy ode mnie i nie było czasu na tłumaczenia, a tylko ja wiedziałem, co robić. Trzymając

kobietę mocno za rękę, obróciłem się i kopnąłem tego większego centralnie w krocze, powalając na kolana. Drugi chwycił mnie swoją wielką łapą za ramię:

- Koleś, to mój brat jest i błąd zrobiłeś.

Wolną ręką grzmotnąłem go najmocniej, jak potrafiłem w brzuch, który nie był wcale małym celem, i on także się osunął, łapiąc powietrze i zwracając na chodnik resztki śniadania.

Odwróciłem się do kobiety, która cały czas krzyczała, błagając tłum o pomoc.

- Zabije ją! Annie umiera! Na miłość boską!

Było coraz gorzej. Odgiałem jej palce swoją drugą ręką, spojrzałem w oczy i powiedziałem spokojnie:

- Proszę podać jej połowę tabletki.

Spojrzała zmieszana, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Większy z braci zaczął się podnosić, klęknął i już zmierzał w moim kierunku, gdy kopnąłem go zamasyście w brzuch, nie na tyle jednak mocno, aby połamać mu zębra.

Kobieta spojrzała w dół na Annie, a następnie na leżących u moich stóp bliźniaków spod znaku Traktora. Wyraz jej twarzy sugerował, że wszystko, co mogłem jej powiedzieć, nie odpowiadało temu, co czytała lub co mówiono jej wcześniej.

- Ale... - zaczęła. Pokiwałem głową uspokajająco.

- Zacznijmy od połówki i zobaczymy, co się stanie. Jeżeli włożymy dziecku pod język tak dużą ilość nitrogliceryny, spadnie jej ciśnienie i już nic nie będziemy mogli zrobić. Uwolniłem jej rękę.

- Proszę podać jej połówkę.

Kobieta przegryzła tabletkę na pół, wypluwając drugą połowę niczym czop ładunku do muszkietu, i włożyła ją Annie pod język. Dziewczynka była przytomna; jej oczy z trudem koncentrowały się na otoczeniu, a ramię zwisało jak u marionetki. Naokoło mnie działo się bardzo wiele: ludzie, klaksony,

dobiegające z oddali syreny, ale ja skupiłem się - zgodnie z tym, czego mnie uczono - na trzech rzeczach: tętnie, żrenicach i oddychaniu.

Nitrogliceryna rozpuściła się i na policzki Annie powróciły kolory: rezultat rozszerzających się naczyń krwionośnych, ułatwiających dopływ krwi i tlenu do kończyn.

Głos kobiety brzmiał miękko.

- Annie? Annie? - delikatnie poklepała ją po dłoni. - Trzymaj się, dziecko. Pomoc już nadchodzi. Wytrzymaj. Już jadą. Słyszę ich.

Annie spróbowała się uśmiechnąć. Jej tętno nieco wzrosło, ale wciąż pozostawało niestabilne.

Słyszając zbliżające się syreny, starałem się wyliczyć, ile czasu zajmie im przybycie na miejsce, postawienie diagnozy, ustabilizowanie jej stanu i transport. Według tych wyliczeń Annie mogła znaleźć się w szpitalu za dwanaście minut.

Patrząc na Annie mrugającą i spoglądającą na ludzi wokół, zwróciłem się ponownie do kasjerki:

- A teraz drugą połówkę.

Dziewczynka otworzyła usta i kobieta umieściła połówkę tabletki pod jej językiem. Gdy się rozpuściła, wyjąłem z kieszeni własną fiolkę, opróżniłem jej zawartość i podałem jej małą dziecięcą aspirynę.

- Teraz to.

Zrobiła, o co prosiłem. Odpiąłem zaczep zegarka połączonego z aparatem do mierzenia tętna i zapiąłem go wokół nadgarstka Annie. Zwisiał luźno, choć zapięty był na ostatnią dziurkę.

Gdy syreny zbliżyły się, spojrzałem na kobietę naprzeciwko mnie i skinąłem na zegarek oraz aparat na piersi Annie.

-Jedno współdziała z drugim. Pokazują, co się dzieje z jej sercem. Lekarz pogotowia, jeżeli zna się na rzeczy, będzie wiedział, co z tym zrobić.

Pokiwała i odgarnęła z oczu posklejane i pokryte błotem włosy, układając je za uszami.

Dziesięć sekund później nadjechała karetka. Wskoczyli z niej ratownicy i widząc, że wszystko jest pod moją kontrolą, skoncentrowali na mnie swoją uwagę.

Nie traciłem czasu.

- Rozległy uraz. Uszkodzenie lewego segmentu ściany klatki piersiowej, drogi oddechowe drożne, oddech samodzielny na poziomie trzydzieści siedem. Wyczuwalny chrzęst sugerujący odmę podskórną, podejrzenie lewostronnej odmy płucnej.

Jeden z ratowników spojrział na mnie, a jego twarz wyrażała oszołomienie.

- Myślę, że ma uszkodzone płuco - wyjaśniłem. Pokiwał głową, a ja kontynuowałem:

- Puls sto pięćdziesiąt pięć, nieregularny. Chwilowa utrata przytomności, w tym momencie dwanaście według skali Glasgow.

Przerwał mi:

- Czyli uderzenie w głowę.

- Otrzymała - kontynuowałem - dwa razy po zero dwie dziesiąte nitrogliceryny podjęzykowo, z przerwą pięciominutową. - Wskazałem na jej bliźnię na śródpiersiu. - Postoperacyjna, na otwartym sercu. Prawdopodobnie sprzed dwunastu miesięcy. I - spojrziałem na zegarek - aparat do pomiaru tętna typu Polar, ustawiony i włączony siedem minut temu.

Skinął głową, zbliżył się i zaczął nakładać jej na usta aparat tlenowy.

Bliźniacy spod znaku Traktora siedzieli za mną z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami. Z wolna zaczęło coś do nich docierać, a więc dali mi spokój. Bardzo dobrze, ponieważ pomyślałem, że gdyby rzeczywiście chcieli się do

mnie dobrać, pewnie by im się to udało. Nie mogłem już liczyć na sprzyjające mi zaskoczenie.

Ratownik zbadał źrenice Annie, powiedział jej, by oddychała normalnie, i zaczął owijać wokół jej prawego ramienia rękaw aparatu do mierzenia ciśnienia. W tym czasie drugi z medyków zbliżał się z usztywniaczem na szyję i noszami. Dwie minuty później podano jej - ostrożnie, aby nie urazić ramienia - kroplówkę na podniesienie ciśnienia i przeniesiono do ambulansu. Obok usiadła ciocia Cici i odjechali w kierunku Rabun County Hospital. Gdy zamykali drzwi, kobieta gładziła ją po włosach i szeptała coś do ucha.

Gdy jezdnia opustoszała, a policja przesłuchiwała kierowcę ciężarówki, mieszkańcy zaczęli rozchodzić się po ulicy, z rękami w kieszeniach, kiwając głowami i wskazując na skrzyżowanie oraz oddalający się wiatr.

Odwróciłem się do dwóch facetów za mną i wyciągnąłem rękę, aby pomóc pierwszemu wstać.

- Bez urazy?

Ten większy podał mi rękę, a ja zaparłem się, gdy wstawał.

Skinął na ambulans.

- Myśmy myśleli, że chcesz jej *zrobić jaką* krzywdę. Odprowadziłem wzrokiem karetkę. I odezwałem się, zwracając się w połowie do siebie samego:

- Nie, mój panie. Tylko trochę.

Pomogłem podnieść się drugiemu i obaj odmaszerowali, kręcąc głowami, poprawiając czapki i pasy przy swoich kombinezonach.

Za mną jakiś starszy gentleman w kapeluszu z rondem, długim płaszczu i z butami pachnącymi paliwem do diesla mamrotał pod nosem: „Kiedy ta dziewczyna będzie w końcu miała spokój? - splunął precyzyjnie strumieniem ciemnego

pływu do kratki ściekowej. - Na tylu ludzi w mieście, dlaczego właśnie ona? Życie nie jest w porządku. Nie jest". Splunął znowu, tym razem na chodnik, i odszedł ulicą.

Gdy tłum się przerzedził, kucnąłem przy krawężniku, znalazłem to, czego szukałem, i wsunąłem do kieszeni. Było już znoszone i miało wygrawerowane coś na drugiej stronie. Dźwięk syren cichł w oddali, a w powietrzu czuć było zapach cynamonu, brzoskwiniowego ciasta, grilla i spalin z silników Diesla. I może jeszcze nutę krzewu zwanego jaśminem konfederatów. Gdy odjeżdżałem, spojrzałem na kolejkę uformowaną przed plastikową butlą. Ludzie wrzucali do niej banknoty i wracali do pracy.

ROZDZIAŁ 2

Minęło dziewięć miesięcy, zanim odnalazłem klucz. Schowała go na dnie drewnianego pudełka, które było u mnie od dzieciństwa, leżąc pod sfatygowanym i zakurzonym egzemplarzem Tennysona. Nazwa banku widniała wygrawerowana na łańcuszku do klucza, tak jak i numer skrzynki.

Do banku pojechałem razem z Charliem. Kasjer zawiadomił kierownika, który poprosił mnie o jakiś dokument tożsamości, a następnie zaprowadził do małego pomieszczenia ze stołem i czterema krzesłami, po czym zniknął. Szybko pojawił się ponownie, prosząc o podpisanie jakichś papierów. Podpisałem, a on znowu zniknął, pojawiając się po chwili z niewielką, zamkniętą kasetką. Opuścił nas, zasuwając za sobą kotarę. Charlie siedział spokojnie, z dłońmi na kolanach, przybrawszy nieskazitelną pozę i czekając cierpliwie. Wsunąłem i przekręciłem klucz. Rozległo się kliknięcie, a Charlie obrócił głowę. Zdecydowanym ruchem uchylłem wieczko. W środku znajdowały się trzy listy, wszystkie zaadresowane do mnie. Charakter pisma nie pozostawiał wątpliwości.

Na kopercie pierwszego napisano: „Otworzyć teraz”. Na drugim: „Za rok”. A na trzecim: „Za dwa lata”. Ująłem w dłonie pierwszy list, wyczułem palcami skrzydło koperty i wyciągnąłem z niej dwie kartki. Pierwsza była kopią aktu darowizny całkowitego ubezpieczenia na życie, opiewającego na kwotę 100 000 dolarów, którą ojciec Emmy zapisał jej,

gdy była jeszcze dzieckiem. Najwyraźniej uczynił to, zanim ktokolwiek dowiedział się o jej stanie i żadne z nich nigdy mi

o tym nie powiedziało. Druga kartka była listem. Usiadłem na krześle obok Charliego i zacząłem czytać. „Reese, jeżeli czytasz te słowa, to znaczy, że się nie udało. Odeszłam, a ty zostałeś sam...”.

Moje oczy zaszklily się, twarz stężała i straciłem równowagę, padając niczym domek z kart. Charlie oraz starszy ze strażników wyprowadzili mnie z banku, sadzając na ławce w parku, na której, skulony w pozycji embrionalnej, dygotałem przez bez mała godzinę.

Później, tego samego dnia, dokończyłem czytanie listu. A następnie przeczytałem go ponownie i po raz kolejny. Świadomość, że napisała go z wyprzedzeniem, przytłaczała mnie. Na końcu widniały słowa: „Reese, nie zachowuj tego listu. Wiem, że to nie w twoim stylu. Wypuść go na wolność. Pozwól mu złapać łagodną bryzę i odpłynąć, jak tyle razy czynił to Ulisses, gdy byliśmy jeszcze dziećmi”.

Zamknąłem oczy, mogąc poczuć na twarzy jej kruchą, prawie przezroczystą dłoń, która starała się dodać mi sił -sił, pomimo słabości.

Posłusznie wyszukałem i przyciąłem sosnową deszczułkę, wywierciłem w niej otwór, zaopatrując w maszt - kołek z drzewa balsamowego - złożyłem list, przekuwając go i formując w ten sposób żagiel, przykleiłem też kawałek świecy do dębowej płytki poniżej listu, oblewając ją dookoła benzyną do zapalniczek. Zapaliłem świecę i popchnąłem w kierunku delikatnego, lecz szerokiego prądu rzeki Tallulah. Łódka oddaliła się, najpierw na pięćdziesiąt jardów, następnie na sto, w końcu świeca, wypalając się, zajęła rozlany dookoła płyn

i całość stanęła w ogniu. Płomień wystrzelił w górę na pięć lub sześć stóp, cienki strumień popiołu i białego dymu uniósł się wyżej, a później mały statek obrócił się, przechylił na bok

i zniknął pomiędzy bąblami powietrza, zanurzając się na prawie osiemdziesiąt stóp i znajdując spoczynek w zatopionym dawno temu mieście Burton, na dnie jeziora.

Odliczałem dni do pierwszej rocznicy, obudziłem się przed wschodem słońca i pobiegłem nad nabrzeże, gdzie rozerwałem kopertę i nakryłem twarz listem, wdychając jego woń. Pochłaniałem każde słowo, każdy najdrobniejszy ślad jej zapachu. Wyobrażałem sobie delikatne drgania jej ust, nadających kształt i sens wypowiedzanym słowom, nachylenie szyi oraz zaproszenie skryte w spojrzeniu. Słyszałem jej głos, następnie szept, tuż pod powierzchnią bryzy znad jeziora.

Drogi Reese.

Czytałam dziś rano, zanim się obudziłeś. Słowa coś mi przypomniały. Chciałam cię obudzić, ale spałeś tak mocno. Patrzyłam, jak oddychasz, nastuchiwałam głosu serca i czułam swoje własne, po tysiąc razy, próbując uchwycić rytm twojego. Zawsze tak pewnego, tak silnego. Wodziłam palcem po liniach na twojej dłoni i zachwycałam się ich siłą i delikatnością. Przypomniałam sobie chwilę, gdy cię spotkałam. Pamiętam ją lepiej niż kiedykolwiek przedtem, Bóg cię wybrał Obiecaj mi, że nigdy nie zapomnisz. Obiecaj mi, że zawsze będziesz pamiętać „Opatrywanie ran serc złamanych”. To twój zawód. Twoja praca. To, że odchodzę, niczego nie zmienia. Ocaliłeś mnie wiele lat temu. „Bardziej niż kogokolwiek innego...”.

Na zawsze twoja,

Emma

Dzień upłynął mi na wpatrywaniu się gdzieś w dal ponad powierzchnią jeziora, z palcami śledzącymi linijki listu. Pisałem go raz jeszcze ze sto razy, wiedząc, że jej ręka wykonywała te same ruchy. W końcu, już w ciemnościach, wyciąłem kolejną deskę, przymocowałem maszt, podlałem benzyną

na dziobie oraz na rufie i spuściłem na wodę. Pojedyncze światło odpłynęło w ciemność, po czym, na koniec, rozbłysło płomieniem jakieś dwieście jardów dalej. A później blask przygasł nagle i zniknął niczym płonąca strzała spadająca za murami obronnymi.

Minął kolejny rok, a ja odliczałem dni jak dzieciak przed Bożym Narodzeniem albo skazany oczekujący w celi śmierci na ostatnią chwilę. Nie musiałem się budzić, ponieważ nie spałem, ale gdy nadszedł w końcu poranek, szedłem w kierunku nabrzeża wolno, niczym na egzekucję, i wsunąłem palec pod skrzydło trzeciej koperty. W pełni świadomy. Uwięziony gdzieś pomiędzy brakiem nadziei a piekłem w pełnej postaci. Wystarczył jeden ruch palca, aby dowiedzieć się, jakie były ostatnie słowa, które napisała. W tej ostatniej chwili czułości. Chwili, która nigdy nie była nam dana. Od jej ostatnich słów oddzielała mnie teraz odrobina zaschniętego kleju i wieczna rozłąka. To wszystko.

Uniosłem list pod słońce, patrząc na niewyraźne ślady jej pisma ukrytego pod powierzchnią papieru, nie mogąc jednakże odczytać słów. Wysunąłem palec z koperty, wyrównując jej grzbiet kciukiem oraz palcem wskazującym, i schowałem list do kieszeni.

Minął kolejny rok, przynosząc ze sobą kolejne święto 4 Lipca. Powierzchnia koperty pożółkła i pomarszczyła się, pachnąc teraz moim potem, pismo wyblakło, co stało się bardziej wyraźne z powodu plamy po kawie poniżej zamknięcia. Od momentu, gdy otworzyłem pierwszy list, minęły już cztery lata, ale rzadko zdarzały się chwile takich pięciu minut, podczas których nie myślałbym o niej, o tym dniu, tym wieczorze lub o tym, jak gładziła mnie palcami po włosach, prosząc, abym się przespał. Jak bardzo starałem się cofnąć czas, jak bardzo chciałem latać dookoła ziemi jak Superman, modlić się jak Józef albo Ezechiel, zatrzymać słońce.

Ale w życiu nie ma powtórek.

Pod wieczór na gałęzi tuż obok przysiadł samiec kardynała, zaczął stroić swój instrument, przypominając mi o tym, co miałem do zrobienia. Bujałem się pomiędzy ziemią a niebem, podtrzymywany przez wyblakłe na słońcu, wysmagane wiatrem ramiona hamaka. Niechętnie schowałem list do kieszeni koszuli i rozpakowałem gazetę. Umocowałem kołek na miejscu, nabijając nań substytut masztu, oblewając pokład łódki benzyną do zapalniczek i delikatnie przymocowując do niego świeczkę. Na niebie, ponad północnym krańcem jeziora, rozpoczęła się kanonada sztucznych ogni zagłuszająca świerszcze. Gdzieś na południowym brzegu dzieciaki piszczały, machając zimnymi ogniami, tworząc kręgi, które świeciły złotym blaskiem, płonące obręcze, przez które przeskakiwać na niby miały ryczące tygrysy.

Od chwili, gdy znalazłem klucz, minęło pięć lat. Moim jedynym kontaktem ze światem zewnętrznym jest teraz skrzynka pocztowa w Atlancie, z której cała moja poczta przesyłana jest do innej skrzynki w Clayton, nie wcześniej jednak, zanim nie zostanie przekierowana na *post restante* w Los Angeles. Jeżeli ktoś chciałby przesłać mi przesyłkę ekspresową, odbędzie ona drogę w poprzek kraju, i to dwa razy, docierając do mnie po dwóch tygodniach. Z powodu wszystkich praktycznych względów ja nie istnieję i nikt nie wie, czy właśnie przyjechałem, czy może odjeżdżam. Nikt, poza Charliem. Ale wszystko, co Charlie wie na temat mojej tajemnicy, na pewno zatrzyma dla siebie.

W moim domu nie ma luster.

Ustawiłem mały statek na wodzie, popchnąłem, a cicha Tallulah pochwyciła go swym nurtem. Delikatna bryza zakołysała łódką, która wyprostowała się, obrała kurs na sterburkę, a jej płomień liznęły ciemność nocy, pnąc się ku górze.

Świeca dopaliła się, roznosząc płomień po całym pokładzie i rozświetlając niebo niczym błękitna, spadająca gwiazda. Płonęła, wypalając się, a później znikła w cichej głębi, pozostawiając po sobie echo wspomnień rozchodzące się w pustce i zdruzgotanym sercu.

ROZDZIAŁ 3

Dziesięć minut w poczekalni oddziału ratunkowego Rabun County Hospital uzupełniło wiele brakujących informacji. Większość mieszkańców okolic Clayton, w stanie Georgia, znała historię Annie Stephens. Rodzice byli misjonarzami, zginęli dwa lata wcześniej zabici podczas wojny domowej w Sierra Leone; Annie miała siostrę bliźniaczkę, która zmarła rok przed rodzicami - choroba serca na podłożu genetycznym. Annie mieszkała obecnie ze swoją ciotką Cindy, a kilka miesięcy temu orzeczono, iż kwalifikuje się do zabiegu transplantacji, po tym jak ostatnia operacja nie przyniosła wiele pożytku, a frakcja wyrzutu spadła u niej do poziomu piętnastu procent - do najniższej możliwej wartości. Lekarze, którzy zajmowali się nią w Atlancie, dawali Annie jeszcze sześć miesięcy życia, a było to prawie osiemnaście miesięcy temu. A ponieważ nie była ubezpieczona, już siedem razy zdołała wypełnić tę swoją pięciogalonową butlę, gromadząc siedemnaście tysięcy dolarów na pomoc w pokryciu kosztów swojej własnej operacji.

Miałem rację, sądząc, że nie będzie jej dane dotrzeć do okresu dojrzewania.

Zazwyczaj małe szpitale, takie jak ten, nie mają osobnej sekcji pourazowej na tak wysokim poziomie, ale szybki ogląd tego, co było dookoła, podpowiedział mi, że Sal Cohen musiał mieć z tym sporo wspólnego. Mosiężna tabliczka na ścia-

nie głosiła: *Skrzydło Intensywnej Terapii imienia Sala Cohena*. W okolicach Clayton historia ta stała się już legendą. Około czterdziestu lat temu doktor Sal nie zdołał uratować pewnego dziecka, ponieważ szpital nie miał wystarczającej ilości odpowiedniego sprzętu. Dwoje dzieci, bliźnięta wcześniaki, i tylko jeden inkubator. Sytuacja ta doprowadziła doktora do szału i krótko potem dwa inkubatory wyrosły na najlepszym oddziale pourazowym na północ od Atlanty.

Cindy McReedy popchnęła drzwi wahadłowe oznaczone napisem *Tylko dla personelu medycznego* i weszła na salę. Stała na krześle, nieświadomie pociągając za rękawy swojej kraciatej bawełnianej koszuli, skrzyżowała ramiona jak gdyby z powodu zimna - lub nieobycia w przemawianiu do grupy ludzi - i odczekała, aż w pomieszczeniu zapanuje cisza. Wyglądała na kogoś, kto nie spał przez jakieś sześć miesięcy i zmuszony był żonglować kulami do kręgli, ośmioma więcej, niż był w stanie. Widziałem taki obrazek już wcześniej; nie będzie lepiej, a później nastąpi pogorszenie. Zamachała rękami ponad tłumem, a bliźniacy spod znaku Traktora zaczęli się odwracać, mówiąc każdemu: „Ciiii!”.

Cindy otarła oczy i odgarnęła włosy za uszy.

- Będzie dobrze. Ramię jest całkowicie złamane... hm, jak zapalka... ale podali jej środek nasenny, złożyli kość i założyli gips. Obudziła się przed paroma minutami i poprosiła o loda na patyku. - Wszyscy na sali uśmiechnęli się, a Cindy kontynuowała: - Kość się zrośnie, aczkolwiek trochę to potrwa. Jest teraz przy niej nasz doktor Cohen, pozwalając jej pogrzebać w kieszeni swojego płaszcza.

Na twarzy obecnych ponownie pojawił się uśmiech. Prawie każda ręką na sali знаła tę kieszeń.

- A co do serca, nie będziemy wiedzieli jeszcze przez kilka dni. Annie jest silna, ale... - zamilkła. - Musimy... doktorzy... po prostu nie wiedzą. Będziemy musieli poczekać

i wtedy się przekonamy. - Ponownie skrzyżowała ramiona i spojrzała ponad tłumem. Otarła łzę, uśmiechając się słabo.

- Annie miała dużo szczęścia, że ten przybysz znalazł się przy niej przede mną. Gdyby nie on... cóż, nie byłoby jej tutaj.

Kilka spojrzeń skierowało się w moją stronę. Ktoś z tłumu krzyknął:

- Cindy, rozmawiałaś z tymi ludźmi z St. Joe's, wpiszą ją w końcu na tę cholerną listę? Stan jest już krytyczny, nie?

Cindy potrząsnęła głową.

- Problem nie leży po ich stronie, ale po naszej... to znaczy, raczej po stronie Annie. Od czasu jej ostatniej operacji i po całej tej sprawie. - Cindy poruszała rękami, jak gdyby zamiatała okruchy chleba z przydrożnego stołu na pikniku.

- Sytuacja nie pozwala im rozpocząć procedury, zanim nie znajdzie się odpowiedni lekarz.

Jakiś wysoki facet obok mnie odezwał się donośnym głosem:

- Ale Cindy, na miłość do Betsy! Nie ma co się z małą cackać! To dla jej własnego, najlepiej pojętego dobra. Podziękuj ci, gdy będzie już po wszystkim.

Cindy przytaknęła.

- Chciałabym przyznać ci rację, Billy, ale to trochę bardziej skomplikowane.

„Zawsze takie jest”, pomyślałem. Cindy obniżyła głos.

-Annie została jeszcze tylko jedna szansa. Nie jestem pewna, czy byłaby w stanie jeszcze raz dojść do siebie. Następnym razem wszystko musi pójść dokładnie tak jak trzeba, ponieważ. .. - jeszcze raz spojrzała na swoje stopy, a potem znowu na Billyego. - Będzie to już prawdopodobnie ostatni raz.

Niska, przysadzista kobieta, stojąca obok wysokiego mężczyzny, strzeliła go trzymaną książką, a on wsunął ręce do kieszeni.

Cindy kontynuowała.

- Kardiolog Annie jest już w drodze z Atlanty. Powinien tu być za około godzinę. Będziemy wiedzieli więcej, gdy skończy ją badać. Później musimy jeszcze znaleźć wystarczająco dobrego lekarza, który podejmie się ryzyka operacji. Problemy pozostają te same: potrzebujemy serca, nie tylko musimy znaleźć kogoś, kto zaakceptuje Annie, ale kogoś, kogo ona zaakceptuje. Jej szanse, teoretycznie, nawet jeżeli znajdziemy najlepszych lekarzy, nie przekraczają kilku procent, a... - Cindy obejrzała się za siebie przez ramię, ścisząc głos. - Większe już nie będą.

W sali zapanowała zupełna cisza. Jeżeli wcześniej można było wyczuć tam atmosferę nadziei, teraz sytuacja zmieniła się całkowicie.

Cindy wyglądała na swoje lata, około trzydziestu pięciu, a jej rzeczowość stanowiła, jak sądziłem, wypadkową zarówno osobowości, jak i lekcji, które otrzymała od życia. Może w ten właśnie sposób sobie z nim radziła. Odbyła już pewnie kilka bitew. Można to było usłyszeć w jej głosie i wyczytać z twarzy. Piaskowojasne włosy opadały jej do ramion, spięte w prosty kucyk zieloną gumką, ściągniętą prosto z gazety.

Bez makijażu. Silne plecy, smukłe proporcje. Wyprostowana i surowa, ale także pełna gracji. Chłodna, ale piękna, chociaż o nienarzucającej się urodzie. Pogmatwana i zapracowana, a także w potrzebie. Typ raczej cebuli niż banana. Jej oczy wyglądały jak zieleń tuż pod skórka avocado, usta jak czerwień, która otacza pestkę brzoskwini. A koszula w kratę, znoszone džinsy, kucyk i ręce założone jedna na drugą podpowiadały, że była to raczej kobieta czynu niż troski o swój wygląd, ale wydawało mi się, że jak w przypadku wszystkich kobiet w jej sytuacji, znaczną część jej urody skrywała konieczność poświęcania swojego czasu na działanie. Przy-

pominała mi Meryl Streep pracującą na plantacji pomiędzy krzewami kawy w *Pożegnaniu z Afryką*.

Piękno jest tajemnicze, tak jak i straszne. Bóg i diabeł prowadzą tam wojnę, a polem bitwy jest serce mężczyzny.

Zeszła z krzesła, mówiąc:

-Wszystkie wiadomości będę wywieszać na oknie w sklepie - spojrzała na starszego gentlemana, który stał obok, przysłuchując się uważnie. - Nie ma pan nic przeciwko, panie Dillahunt?

Skinął głową:

- Zadzwoń po prostu do Mabel - odparł - i ona wydrukuje wszystko, co zechcesz.

Gdy tłum zaczął rzednąć, Cindy skierowała się do automatu z colą, przeszukując kieszenie w poszukiwaniu drobnych. Robiła to niezdarnie, rozsypując jakieś grosze dookoła stóp bez wyraźnych oznak, że zbliża się do znalezienia odpowiedniej kwoty.

Głosy w mojej głowie toczyły ze sobą wojnę totalną. W tym czasie wydobyłem z kieszeni cztery ćwierćdolarówki i podałem jej na wyciągniętej dłoni.

Odwróciła się do mnie, wyglądając, jak gdyby próbowała opanować w sobie zimny dreszcz. Odgarnęła kilka kosmyków z twarzy (które natychmiast wróciły na swoje miejsce), wzięła monety i wcisnęła guzik z napisem: „Diet Coke”. Jej podkrążone oczy mówiły, że jest zmęczona, odkręciłem zatem nakrętkę i podałem jej plastikową butelkę. Pociągnęła łyk i spojrzała na mnie znad butelki, mówiąc:

-Jeszcze raz dziękuję.

Spuściła wzrok, dłubiąc czubkiem buta w wyżłobieniu lastrykowej posadzki, a potem spojrzała na mnie ponownie.

- Doktor Cohen mówi, że jestem ci winna przeprosiny. Potrząsnąłem głową:

- Lekarze nie zawsze mają rację.

- Ale Sal zazwyczaj ma - odpowiedziała.

Staliśmy tak w milczeniu przez jakąś minutę, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Annie ma naprawdę dobrego lekarza z Atlanty. Przed chwilą z nim rozmawiałam i powiedział, że obawia się informacji z tej rzeczy na pasku, którą umieściłeś na jej sercu. Mówi, że niewielu ludzi ma przy sobie coś takiego.

- Czasami się przydaje.

Splotła ręce, uniosła głowę i spojrzała przez okno. - Sal powiedział mi, że mogłam ją zabić.

- Reese - powiedziałem, podając jej rękę. - Zdaje się, że pominęliśmy tę formalność tam, na ulicy.

- A tak, przepraszam - wytarła dłoń o spodnie i wyciągnęła ją w moim kierunku. - Trudno w to uwierzyć, ale kiedyś pamiętałam o paru manierach, Cindy McReedy. - Wskazała w kierunku podwójnych drzwi. - Jestem ciotką Annie. Ona jest córką mojej siostry.

- Cindy, czyli Cici, jak słyszałem.

Staliśmy tak przez chwilę, podczas gdy w sali naokoło nas plotkowano. Wskazała na moje ubranie.

- W ciągu ostatnich paru lat spotkałam wielu pracowników pogotowia, ale ty nie przypominasz żadnego z nich. Skąd wiedziałeś, co robić?

Pełnowymiarowe lustro ściennie obok automatu z colą pokazywało moje odbicie. Miała rację. Wyglądałem jak specjalista od masy szpachlowej. A co gorsza, nie goliłem się już od ponad pięciu lat. Poza oczami, prawie sam dla siebie byłem nierozpoznawalny.

- Gdy byłem młodym chłopakiem, załapałem się do pracy na stacji ratownictwa zespolonego, sprzątałem, wykonywałem różne prace. W końcu pozwolili mi jeździć z nimi wozem strażackim i zazwyczaj byliśmy pierwsi na miejscu wypadku. Wiesz, syreny, ciężarówki, wielkie piły mechaniczne.

Uśmiechnęła się, co oznaczało, że albo wierzy w to, co mówię, albo że jest zbyt zmęczona, aby nie wierzyć.

- Później pracowałem tam na nocną zmianę, gdy byłem w college'u, aby dorobić sobie na książki i dodatkowe lekcje - wzruszyłem ramionami:

- To jak z jazdą na rowerze.

Do tej pory wszystko było prawdą. Nie kłamałem. Przynajmniej na razie.

- Masz lepszą pamięć niż ja - powiedziała. Musiałem zmienić kierunek rozmowy. Uśmiechnąłem się.

- Mówiąc zupełnie szczerze, w tym wszystkim najbardziej podobały mi się syreny, błyskające światło. Wciąż mnie to kręci.

I znowu oba stwierdzenia były prawdą, ale ledwo dotykały tego, co najważniejsze.

- Cóż... - jeszcze ciaśniej skrzyżowała ramiona, jak gdyby było jej coraz zimniej.

- Dziękuję za dzisiaj... za to, co zrobiłeś.

- O, prawie bym zapomniał - sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem z niej mały złoty sandał, który Annie miała na szyi, zanim Cindy nie wrzuciła go do ścieku. - Upuściłaś to... na ulicy.

Cindy wyciągnęła rękę, a gdy zobaczyła, co to było, wezbrała w niej kolejna fala łez. Podałem jej swoją chusteczkę, którą otarła sobie twarz.

- Należał do mojej siostry. Odesłali go w kopercie z Afryki, kiedy... kiedy odnaleźli ciała.

Zamilkła, pozwalając, aby włosy opadły jej na oczy. Ta kobieta wiele doświadczyła przez ostatnich dziesięć lat i większość z tego było po niej widać.

- Annie nosiła go, odkąd przyszedł pocztą - delikatnie wsunęła wisiołek do kieszeni. - Dziękuję... po raz trzeci. - Spojrzała za siebie w kierunku podwójnych drzwi:

- Lepiej już wróć. Annie zacznij się zastanawiać, gdzie się podziałam.

Skinąłem głową i Cindy oddaliła się. Mój głos podążył za nią.

- A ja zastanawiam się, czy mógłbym tutaj wrócić za parę dni, może przynieść jakiegoś pluszowego misia albo coś innego.

Obróciła się, odgarnęła za ucho kosmyk włosów i zaczęła wiązać końce koszuli w węzeł na wysokości tali.

-Tak, ale... - obejrzała się po sali i wyszeptała: - Żadnych misiów. Wszyscy przynoszą misie. Nie mów tego nikomu, ale zaczęłam je już rozdawać - skinęła głową: - Przyjdź, tylko wykaż się inwencją. Może jakaś żyrafa, ale żadnych misiów.

Wyszedłem na parking, starając się nie zwracać uwagi na szpitalny zapach.

ROZDZIAŁ 40

O drugiej w nocy zadzwonił mój budzik. Zsunąłem się z nabrzeża i wskoczyłem do wody. Zimno, owszem, ale poprawia krążenie. Po kąpieli wrzuciłem do sokowirówki marchew i jabłka, dodałem buraka, trochę pietruszki i kawałek selera dla, jak to mówią, „profilaktyki”, a następnie dziecięcą aspirynę. Jeszcze przed trzecią nałożyłem na swoje jasnobrązowe włosy tyle jednorazowej farby, aby wyglądały na prawie całkowicie czarne, a następnie podkreśliłem baki i brodę wystarczającą ilością siwizny, aby dodać swojemu wizerunkowi jakieś dwadzieścia pięć lat. Nieco przed wpół do czwartej wyjechałem na trasę, wyglądając jak ktoś, kto był mi zupełnie obcy, ale wystarczająco wcześnie, aby uniknąć dużego natężenia ruchu i zdążyć na lot do Atlanty o piątej trzydzieści.

Usiadłem przy wyjściu w sali odlotów B, czekając na zapowiedź mojego lotu. Nie lubię lotnisk. Nigdy nie lubiłem. Gdy zdarza mi się zastanawiać, jak musi wyglądać piekło, przychodzą mi do głowy terminale na lotnisku w Atlancie. Tysiące ludzi, z których większość jest dla siebie obca, stłoczonych na ograniczonej przestrzeni, wszyscy w pośpiechu, desperacko starający się wydostać na zewnątrz. Nikt tak naprawdę nie chce tam przebywać, ponieważ skazany jest na przymusowe zawieszenie w próżni i, podobnie jak wszyscy dookoła - nikt nie jest w domu. Każdy znajduje się tam tylko

przejściowo. Pod pewnymi względami, w znacznej mierze tak jak w szpitalu.

Wylądowałem w Jacksonville na Florydzie, wynająłem auto i pojechałem nim do hotelu Sea Turtle w Jacksonville Beach, w którym punktualnie o ósmej miała zacząć się konferencja. Zameldowałem się, zczesałem włosy gładko do tyłu, dodałem więcej siwizny na bokach, wtarłem w twarz odżywkę do skóry i zawiązałem krawat na podwójny węzeł w stylu Windsor, dzięki czemu kończył się dwa cale nad paskiem. Płaszcz miałem za mały, rękawy za krótkie, obie nogawki spodni założone były na zauważalnie różnej wysokości. Zarówno spodnie, jak i marynarka miały kolor granatowy, ale o różnych odcieniach, pochodzących od dwóch różnych garniturów zakupionych przeze mnie w sprzedaży wysyłkowej, buty na podwójnej podeszwie, które wyszły z mody jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Nałożyłem grube okulary w rogowych oprawkach. Szkła nie dawały żadnej konkretnej korzyści, pozwalając mi polegać na moich własnych oczach. A za wsparcie posłużyła mi znoszona laska.

Zaczekałem w łazience, aż wyjdzie ostania osoba, wszedłem do sali po ogłoszeniu komunikatu. Usiadłem z tyłu. Nie rozmawiałem z nikim, nie dając nikomu okazji do rozmowy ze mną. ***A poza tym, czymże jest kłamstwo? Prawdą, jeno podczas maskarady.***

Osobą prowadzącą był człowiek, o którym sporo czytałem, który także sporo publikował i którego obecnie uważano za lidera w swojej dziedzinie. Słuchałem go na kilku innych konferencjach w całym kraju, ale pomimo mojego zaangażowania oraz faktu, że mylił się nieco w pewnych kwestiach, błędziłem myślami gdzie indziej. Okno po mojej lewej stronie wychodziło na Atlantyk, który był teraz spokojny, pofałdowany niewielkimi falami i okraszony pelikanami, od czasu do czasu nawet jakimś morświnem albo surferem.

Zanim moje spojrzenie skierowało się ponownie w stronę podium, towarzystwo udało się już na lunch. Nie potrafiłbym powiedzieć, czego dotyczyło wystąpienie osoby prowadzącej, ponieważ przez cały rano myślałem o pewnej małej dziewczynce w żółtej sukience, o smaku tamtej lemoniady oraz informacji wygrawerowanej na odwrocie sandała.

Takie konferencje służą dwóm celom: pozwalają - po pierwsze - komuś takiemu jak ja być na bieżąco z najnowszą wiedzą oraz metodami, które nie przedostają się do czasopism naukowych, ale wykorzystywane są na co dzień; po drugie - dają okazję kolegom spotkać się, nadrobić zaległości towarzyskie i poklepać się wzajemnie po plecach. Znam wielu z nich. A raczej **znałem**. Z paroma nawet blisko współpracowałem. Na szczęście nie mogliby mnie teraz rozpoznać, nawet siadając tuż obok.

Co dokładnie stało się tuż po lunchu? Siedziałem sobie w drugim rzędzie od tyłu, miejscu wyludnionym i słabo oświetlonym, gdy pomiędzy krzesłami przyczłapał Sal Cohen, wskazując na miejsce obok. „Co u licha - pomyślałem - on tutaj robi?”

Skinąłem głową ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Pokaz slajdów trwał jeszcze przez prawie dwie godziny, podczas których nastawienie Sala zmieniało się, sięgając od głębokiego zainteresowania po głęboki sen z towarzyszeniem lekkiego pochrapywania.

O trzeciej po południu na mównicę wkroczył kolejny prelegent. Przez cztery lata pracował nad rozwojem nowej procedury, zwanej obecnie „szwem kapciuchowym Mitcha”, które to określenie brzmiało w uszach zgromadzonych na sali mężczyzn i kobiet jak nowy dżingiel. Status modnego powiedzonka zyskało zwłaszcza dzięki temu, że to właśnie ów lekarz z Baltimore był pierwszym, który z powodzeniem zastosował tę metodę w praktyce. Nie interesowała mnie

jego argumentacja i naprawdę nie dbałem o to, czy uda się komuś wykorzystać tę procedurę w praktyce, a więc pozwoliłem sobie wyjść na filiżankę kawy. Tuż po piątej po południu podsumowano jednodniową konferencję, zaliczono w niej mój udział i mogłem już odjechać na lotnisko na samolot do domu. Owszem, niepokoiła mnie nieco możliwość, że Sal zarezerwował sobie miejsce na ten sam lot. Przed odprawą sprawdziłem więc listę pasażerów, ale nie było na niej jego nazwiska. Gdyby było, zrezygnowałbym z biletu i znalazł innego przewoźnika. Wylądowałem w Atlancie, i z powodu paru opóźnień oraz wypadku na wiodącej w kierunku północnym autostradzie Beltway, do domu dotarłem już po dwunastej.

Na drugim brzegu zatoki dom Charliego tonął w mroku, ale to o niczym nie świadczyło. W jego domu światło często było zgaszone. Usłyszałem delikatny dźwięk jego harmonijki wydostający się na zewnątrz. Kilka minut po moim przybyciu dźwięk ustał i pośród nocy zapadła cisza. Nie licząc świerszczy. Zaczęły grać swoją piosenkę, kołyszając mnie do snu - co zajęło im około trzydziestu sekund.

ROZDZIAŁ 5

Zaskrzypiałem drzwiami hangaru dla łodzi punkt piąta rano, czując zapach noxemy. Charlie nie lubił otartych pośladków, wcierał więc krem w skórzaną aplikację swoich szortów, zanim wsiadł do łódki. Było ciemno, ale mogłem dojrzeć przysadzistą sylwetkę na tle pokładu, podczas jego ćwiczeń rozciągających. Dostrzec mokre ślady stóp, które błyszczały w ciemności, wskazując miejsce, gdzie podciągnął się z wody w drodze na łódź. Od lat wykonywał ćwiczenia Pilates i w każdej chwili mógł założyć sobie stopy za głowę. Najbardziej giętkie stworzenie boże, jakie kiedykolwiek miałem okazję spotkać. A także jedno z silniejszych.

Obok niego siedziała Georgia, jego beżowy labrador. Nigdzie się bez niej nie ruszał. Jej ogon uderzał o drewnianą podłogę na znak, że cieszyła się na mój widok.

Drewniany pokład zatrzeszczał pode mną, informując Charliego o moim przybyciu, chociaż wyobrażam sobie, że słyszał mnie nadchodzącego, zanim jeszcze zaskrzypiałem drzwiami. Woda jeziora chlupotała o wręgi, które niosły jej odgłos po pustym kadłubie wystającym nad powierzchnię na trzy stopy. Włączyłem lampę fluorescencyjną nad jednym z moich stołów do pracy, a Charlie uśmiechnął się, choć nie odezwał ani słowem.

Na jednej z burt leżała dwumiejscowa łódka. Puknąłem w jej kadłub, a Charlie skinął głową. Łódź ważyła tylko około

osiemdziesięciu funtów, ale mierząc ponad dwadzieścia stóp długości, wymagała nas obu, aby spuścić ją na wodę. Charlie chwycił za dziób, a ja za rufę. Zszedł tyłem po rampie i spuścił swój koniec na przejrzystą, spokojną powierzchnię wody.

Przyciągnąłem łódkę do nabrzeża i klepnąłem Charliego w ramię.

-Ja także życzę ci dobrego dnia - powiedział.

Chwycił za drabinę, namacał łódź palcami u nóg i zszedł na dół, wsuwając stopy w wiązania znajdujące się z przodu. Zabrałem wiosła i wślizgnąłem się ostrożnie na miejsce za Charliem. Nałożyłem swój „zapasowy” aparat do mierzenia tętna, a on zastukał palcami w wiosło - alfabetem Morse'a - sygnał: ***Jestem już gotowy!*** Odbiliśmy od nabrzeża, zanurzyliśmy wiosła i wskazując małym palcem północny kraniec jeziora Burton, wykonaliśmy nimi zamach, strząsając z łopat wioseł krople wody, które tworzyły na powierzchni półkolisty wzory.

Wokół nas zawisła ciepła cisza. Charlie uśmiechnął się znacząco, szeptaając przez ramię:

- Miałeś wczoraj ciężki dzień.

- Uhm...

Kolejne zanurzenie wioseł, kolejne pociągnięcie, kolejny zamach.

Mięśnie na jego plecach falowały, począwszy od szyi, poprzez ramiona aż do żeber w symfonii naprężonych ludzkich tkanek.

- A jak byłeś ubrany? - zapytał, tym razem uśmiechając się już z wyraźnym przekąsem.

- W to samo - odparłem.

Charlie pokręcił głową, nie odzywając się już więcej, gdy pochylaliśmy się i odchylaliśmy w miarowym rytmie.

Od Jones Bridge do Burton Dam jest dokładnie dziewięć mil. Podczas naszych porannych wypraw pokonujemy

zazwyczaj cały ten dystans. Tam i z powrotem. Stanowimy z Charliem całkiem zgraną parę. Ja jestem wyższy i mam większy zasięg ramion, on jest bardziej przysadzisty i tęższy, ale nie chciałbym spotkać się z kimś takim w ciemnej uliczce. Podczas gdy wartość mojego pułapu tlenowego ($\text{VO}_2 \text{ max}$) jest wyższa - co oznacza, że mam większe serce, większą pojemność płuc i mogę dzięki temu przyswajać więcej tlenu w dłuższym okresie - ciało Charliego zaopatrzone jest w dodatkowy bieg, który nie podlega prawom fizyki lub anatomii i który bierze swój początek gdzieś w głębi, pozwalając zwykłym ludziom dokonywać niezwykłych rzeczy. Jak chociażby zwyciężać w zapaśniczych mistrzostwach stanu, kładąc na łopatki czołowego zapaśnika kraju - i to dwa razy.

Chodziło o zawody szkół średnich rozgrywane systemem do dwóch zwycięstw, Charlie musiał zatem zmierzyć się z nim dwa razy. Za pierwszym razem rozłożył go na łopatki w drugiej rundzie, a w drugim meczu zawiązał gościa na supeł niczym precla, zwyciężając w pierwszej minucie. Dodatkowe wrażenie robił fakt, że przeciwnik należał do seniorów, podczas gdy Charlie chodził dopiero do drugiej klasy. Od tego momentu zwyciężał w mistrzostwach stanu trzykrotnie, nie przegrywając ani jednego meczu.

Płynęliśmy z prądem znad rzeki Tallulah, Charlie zanurzył wiosła, pociągnął mocniej i wystrzelił nas w kierunku południowym. Szarpnięcie mówiło mi, że miał dzisiaj dobry dzień i że nie będzie lekko. A jeżeli nie będzie lekko, płynąc z prądem od strony rzeki, co dopiero w drodze powrotnej.

Wioślarze i kajakarze zwykle zmagają się z problemami, przebywając na wodzie po siódmej rano, z powodu pojawiających się wtedy łodzi motorowych, my wyruszamy zatem wcześniej. Nagłe zmiany pogody występują tu równie często co słońce, ale nikt nie potrafi ich przewidywać. Z powodu otaczających gór nieoczekiwane porywy wiatru i tornada mo-

gą wdzierać się nad jezioro, zatapiając wszystkich i wszystko. W 1994 roku, parę lat przed naszymi przenosinami tutaj, megacyklon - nazwany później „Zabójcą” - w Niedzielę Palmową spustoszył to miejsce i każdy pamięta nie tylko ów hałas, ale i to wszystko, co unosiło się na powierzchni jeziora w ciągu następnych dni. Pomiedzy pływającymi szczątkami brakowało tylko ciał mieszkańców, ponieważ większość z nich była tak bardzo podziurawiona przez latające gałęzie i dachówki, że poszła na dno. Dokładnie tam, gdzie znajdowało się kiedyś stare miasto Burton.

Wioślarstwo to sport inny niż wszystkie. Na pozór jedyny, w którym nie patrzy się stale do przodu. A co więcej, droga, którą się przebyło, mówi ci - z perspektywy czasu - dokąd zmierzasz. Na bieżni sprinterzy lub plotkarze wyglądają jak lokomotywy w pełnym biegu - ich ramiona i nogi młócą tor i powietrze niczym maszyna złożona z prętów i tłoków. Na boisku futbolowym gracze kręcą się w kółko i zderzają niczym trykające się barany lub samochodziki w wesołym miasteczku. A piłka nożna to mrowie zawodników uchwyconych pomiędzy czymś w rodzaju baletu a walką byków. W wioślarstwie natomiast człowiek w łódce ma w sobie coś ze sprężyny.

Aby to zrozumieć, trzeba zajrzeć do środka zegarka, gdy jego sprężyny kurczą się i rozciągają. Podczas wiosłowania ciało popada w pewną rutynę, aczkolwiek bolesną, gdy wioślarz powtarza stale dokładnie ten sam rytm. Zwija się w właśnie jak sprężyna w zegarku, z kolanami podciągniętymi do piersi i wyciągniętymi ramionami, wciągając w siebie tyle powietrza, ile pozwalają mu na to jego płuca. Zanurza wiosła, napierając nogami, i rozpoczyna długie pociągnięcie, podczas którego, przez cały czas jego trwania, wykonuje wydech. Osiąga maksymalny zasięg, zapada się, a następnie znowu pochłania powietrze tak głęboko, na ile pozwalają mu

płuca. Na końcu pociągnięcia unosi łopaty wiosła i raz jeszcze podciąga kolana do piersi, wciągając w siebie powietrze przez całą drogę ku rufie, tylko po to, aby wrócić do poprzedniej pozycji i bezinteresownie pozbyć się powietrza.

To jak z biciem ludzkiego serca. O tym, jak dużym wyzwaniem jest dla ciała człowieka czynność wiosłowania, świadczy fakt, że niektórzy wioślarze przetaczają podczas wyścigu przez swoje płuca o pięćdziesiąt procent więcej powietrza niż większość innych sportowców na świecie. Dlatego są to zazwyczaj giganci o długim zasięgu ramion i płucach jak sterówce Zeppelina.

Co dobrze obrazuje Charliego. Gdyby był ptakiem, byłby to pewnie kondor. Albo jeszcze lepiej - albatros.

Radość wiosłowania bierze się z ruchu. Łódź jest długa i wąska, ślizga się zatem po powierzchni wody z niezwykłą prędkością. Maszynaria złożona z wiosła, pływaków i ruchomego siedziska stanowi całość na podobieństwo zestawu perkusyjnego wydającego powtarzalny dźwięk, który niesie się nad powierzchnią wody rytmicznym tempem. Chociaż siedzisz tyłem, jesteś w jakiś sposób świadom otoczenia, kierując dziobem za pomocą oka z tyłu głowy. Sterowanie jest na równi sprawą poczucia, jak i reakcji. Co kilka pociągnięć wiosłem trzeba spojrzeć za siebie, odwzorowując w umyśle otaczającą rzeczywistość na podobieństwo zdjęcia. A później wioślarz odwraca się z powrotem, obserwuje wyciętą przez kil pomarszczoną linię na powierzchni wody oraz wielkie koliste zmaczenia wywołane łopatami wiosła. Za każdym udanym pociągnięciem okręgi stają się coraz większe, aż w końcu zaczynają na siebie nachodzić i się łączyć.

Osiągnęliśmy swój stały rytm, prześlizgując się teraz obok wylotu Dicks Creek, Timpson Creek i Moccasin Creek. Krople potu skapywały mi kaskadą z nosa. Aparat mierzący tętno wskazywał, że osiągnąłem już prawie wyznaczony sobie

poziom, przesiąknięte potem plecy i pracujące intensywnie płuca Charliego wskazywały na to samo. Doświadczenie wiosłowania w zespole, bycia mokrym od potu, pełnego bólu, ale i satysfakcji wysiłku to uczucie, którego nie sposób porównać z żadnym innym. To jak fenomen nazywany „euforią biegacza”, tyle że do kwadratu. A może i do szczęcianu.

Fakt, że siedzę jako pierwszy i jestem odpowiedzialny za sterowanie, nie oznacza, że Charlie nie wie, gdzie się znajdujemy. Minęliśmy właśnie Murray Cove i Billy Goat Island, gdy przepływając obok Cherokee Creek, usłyszałem jego głos:

- Widzisz już zaporę?

- Jeszcze pięć, może sześć pociągnięć.

- Jesteśmy coraz wolniejsi. Musimy nad tym popracować, jeżeli mamy próbować wygrać tegoroczne Burton Rally. Słyszałem, że ekipa z Atlanty znowu zapowiedziała swój udział.

Burton Rally to regaty wioślarskie. Razem z Charliem wzięliśmy w nich udział już trzy razy w ciągu ostatnich czterech lat, zajmując najpierw pierwsze, a w dwóch kolejnych drugie miejsce. Naszą Nemezis była dwójka byłych olimpijczyków z Atlanty. Byli dobrzy, ale my coraz lepsi. Albo pozwalali nam tak myśleć. Ich przewaga, poza faktem, że byli po prostu lepsi, polegała na łodzi zbudowanej z kevlaru, która ważyła o połowę mniej niż nasza. Ale lubiliśmy naszą łódź. Podczas jednego wyścigu na rok łódź Jej Królewskiej Mości, krótko mówiąc: **Emma**, była w stanie spisać się całkiem nieźle.

Charlie pociągnął mocniej i szarpnął nas do przodu.

- Wydaje mi się, że jesteś dzisiaj w niezłej kondycji - powiedziałem.

Odchylił się bardziej, wznosząc palec.

—***Jestem tylko jeden, ale ciągle jestem. Nie mogę wszystkiego, ale coś jeszcze mogę. Nie cofnę się przed zrobieniem czegoś, na co mnie stać.***

Uśmiechnąłem się. Helen Keller zrobiła mu to, co Szekspir mnie.

Sunąć po wodzie to doświadczać wolności - istnieje wtedy tylko przyszłość, tylko możliwość, gdy ślad przeszłości trwa jedynie kilka sekund, a potem znika na zawsze. Przy zaporze przybiliśmy do brzegu, rozprostowując plecy i upajając się powietrzem. Jedynym dźwiękiem był alarm na moim aparacie do mierzenia tętna, który wskazywał, że przekroczyłem wyznaczoną wartość. Charlie usłyszał to i uśmiechnął się, ale nic nie powiedział, ponieważ w jego aparacie również włączył się alarm. Obróciłem nas w momencie, gdy słońce zaczęło oświetlać wodę i rozrzedzać poranną mgłę. Wszędzie wokół nas wyrosły kłęby miniaturowych tornad, tworząc opary, które łącząc się z ciepłym potem, okryły nas niczym płynnym kocem.

Był to zwyczajny widok, ale taki, który przypominał mi, że pomimo całej brzydoty i okropności piękno wciąż istniało, i Emmie na pewno bardzo by się tutaj podobało. Przypominałem sobie inny taki poranek, gdy obudziłem się wcześniej, zagotowałem wodę, przyniosłem jej filiżankę herbaty i pomogłem zejść nad brzeg. Usiadła z kolanami podciągniętymi pod brodę, obejmując mnie jedną ręką, z filiżanką w drugiej. Okryłem jej stopy kocem, a ona po prostu pokręciła głową na widok, który rozpościerał się przed nią. Upiła łyk herbaty, pocałowała mnie, oparła głowę na moim ramieniu i szepnęła: „O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć”.

W tym czasie nie znałem jeszcze Wittgensteina, ale od tamtej pory czytałem go wielokrotnie.

Charlie wyczuł moje zamyślenie i szepnął przez ramię:

- Ładny poranek.

- Tak. - Zamilkłem, napawając się widokiem. - Bardzo by się jej tu podobało.

Charlie skinął głową i wciągnął haust powietrza niczym wodę, a przeszłość pozostała za nami.

Wróciliśmy, przybijając do nabrzeża, Charlie wspiał się na brzeg, wyczuwając drogę wzdłuż przepierzenia hangaru dla łodzi, aż zorientował się, gdzie się znajduje.

- Udało się? - zapytałem.

- Tak, w porządku. Już widzę, gdzie jestem.

Charlie widzi głównie dzięki swoim dłoniom i uszom, ponieważ jego oczy są bezużyteczne. Poza błyskawicą podczas burzy, sztucznymi ogniami na 4 Lipca lub bezpośrednim spojrzeniem w słońce jest ślepy jak kret. To również stało się pięć lat temu, ale nigdy o tym nie rozmawiamy. Przyczyna jego nagłej ślepoty jest nam obu dobrze znana, ale przyczyna przyczyny już nie.

I to tłumaczy obecność Georgii. Jest psem przewodnikiem, którego zdobyłem dla niego jako prezent na Boże Narodzenie, gdy stało się jasne, że już nie odzyska wzroku. Posadziłem ją pod drzewem, a Charlie zgodził się ją zatrzymać i szybko pokochał. Miała być jego przewodnikiem, ale to rzadko działa. Charlie ma również laskę, białą z czerwoną końcówką, ale rzadko ją rozkłada. Zwykle stoi oparta w rogu domu lub złożona wystaje z tylnej kieszeni jego spodni. Ale będąc niewidomym, nie jest nim tak do końca. Bo jeśli o mnie chodzi: ***Nie, nie zapłacę. Me serce prędzej mi pęknie na sto tysięcy drzazg, niż ja zapłacę.*** Odnalazł krawędź nabrzeża i opuścił się, chwytając zawleczkę. Zaczął się podciągać, przemierzając w wodzie czterdzieści jardów w kierunku domu, z Georgią płynącą obok, odwrócił się i zapytał:

- Wciąż miewasz ten sen? -Tak.

- Odkryłeś, co oznacza?

- Nie bardzo.

- Może potrzebny ci sennik?

- A masz?

Charlie pokręcił głową.

- Nie, ale jak będziesz spał jeszcze krócej, to zamienisz się w sowę.

- Dzięki za ostrzeżenie. Uśmiechnął się:

- Wiesz, zawsze gdy wstaję w nocy na siusiu, słyszę cię, jak tu przy czymś majstrujesz.

- No... cóż, szkoła nauczyła mnie paru rzeczy. Między innymi tego, jak żyć bez snu.

- Taa... ale to niezdrowo. Wychodzisz na dziwaka.

- O, wiesz coś na ten temat?

- Zastanawiam się, jak ona mogła z tobą wytrzymać.

- Dzięki. Uważaj, żeby nie ugryzł cię ten rekin.

Charlie zanucił temat przewodni z filmu *Szczeni* i ponownie zaczął się podciągać. Chciał powiedzieć coś więcej. Wyczułem to, ale nie odezwał się. U Charliego najgłośniejsz brzmiały często te słowa, których *nie* wypowiadał.

ROZDZIAŁ 6

Dorastałem w starym stuletnim domu, tylko kilka przecznic od głównego placu miasteczka Vinings. To był przeciętny, dwupiętrowy budynek, który wyrastał z ziemi wysoko i wąsko, jakby został ściśnięty podczas budowy. Otaczały go dwie dookólne werandy - jedna na każde piętro - oraz osiem magnolii, które rzucały nań cień bez względu na porę dnia. Od strony ulicy dom był ledwie widoczny.

Nie był duży, tylko trzypokojowy, ale miał prawie tyle samo przestrzeni użytkowej na werandach co w środku. Ogromne, rozłożyste gałęzie magnolii obejmowały dom niczym gigantyczne ramiona. Gdy drzewa kwitły, moja matka otwierała wszystkie okna i przełączała tryb wentylatora na strychu, który wirując w kierunku przeciwnym, zasysał powietrze z zewnątrz wraz z zapachem baldachimu, pod którym mieszkaliśmy. Niektóre gałęzie ugięły się i podchodziły pod zadaszenie werandy lub ocierały o nią - dom i drzewa prawie jak stare małżeństwo wiodące zgodny żywot we własnym towarzystwie. Spędzaliśmy mnóstwo czasu na zabawach w chłodzie werandy lub wspinając się po niezmiernych konarach magnolii.

Mój ojciec pozawieszał domki dla ptaków na każdym drzewie, dzięki czemu łatwo nam było je obserwować. Od ziarnojadów do kardynałów, przedrzeźniaczy, sójek, wron, kolibrów, jaskółek, a czasami pojawiała się nawet i sowa lub

czerwonooogniasty jastrząb, nasze życie na werandzie było edukacją w dziedzinie latania, śpiewania, budowania gniazd i zwyczajów godowych każdego gatunku ptaków zamieszkujących północno-wschodnią Georgię. Najbardziej powszechne były kardynały. Pewnego razu naliczyliśmy jedenaście gniazd. Swietlistojaskrawy samiec stawał samotnie, dumny i opiekuńczy, na ciemnozielonym i brązowym tle, nigdy jednak zbyt daleko od ciemniejszej, bardziej krwistoczerwonej samiczki, z którą tworzył parę na całe życie. Podczas wiosennych nocy ściany naszego domu odbijały echo odgłosów wysyłanych w przestrzeń przez pary kardynałów niczym dźwięki sonaru nadawane przez okręty podwodne z ciemnych otchłani dna oceanu.

Poznałem Emmę na placu zabaw w drugiej klasie szkoły podstawowej. Właśnie przelatywałem nad wszystkimi uczepony liny zwisającej z gałęzi, gdy zauważyłem, że na mnie spogląda. Była nowym dzieckiem, dopiero co się sprowadziła, cichym, zwykle rysującym coś w szkicowniku i zawsze obserwującym otoczenie kątem oka. Jak na swój wiek była dość drobna, może nawet trochę słabowita, a podczas przerw, gdy inne dzieciaki kopały piłkę albo huśtały się na linie, Emma siadywała przy drewnianym stole, otwierała szkicownik i „fotografowała” świat swoim ołówkiem. To, co mogła zdołać w ciągu zaledwie tych piętnastu minut, wyłącznie za pomocą ołówka i czystej kartki, pozostawało tajemnicą.

Kiedyś, pod koniec przerwy, nonszalancko wręczyła mi swój szkic i wróciła na swoje miejsce na drugim końcu klasy. To byłem ja, dyndający jak małpa z głupkowatym wyrazem twarzy. Miała rację, próbowałem się wtedy popisywać. Jej szkic zdołał to uchwycić. Następnego dnia, podczas lunchu, poczęstowała mnie swoim ciastkiem czekoladowym, a ja dałem się jej napić mojego mleka. Tydzień później zestawiliśmy

razem nasze ławki na lekcji muzyki u pani Wilson, a ja zrezygnowałem nawet z gry w piłkę, aby przyglądać się, jak rysuje. Na początku trzeciej klasy jej rodzina przeprowadziła się do ceglanego domu przecznicę od nas, a więc musiałem mijać go w drodze do szkoły. Przez większość poranków wpadałem na nią i na jej młodszego brata Charliego.

Charlie był o cztery lata młodszy i miał niezwykle rozwinięte ramiona jak na dziecko w tym wieku, co wyjaśniało, dlaczego Emma tak namiętnie przezywała go Popeye. Kochał budować różne rzeczy, a jeszcze bardziej walić w nie młotkiem. Z powodu wielkości swoich ramion potrafił także niezłe bujać się na gałęziach. Zazdrośnie strzegł swojej starszej siostry i przez pierwsze parę lat spoglądał na mnie spod oka.

Od pierwszych chwil dało się zauważyć, że Charlie kochał przygodę, ale nie zawsze jego poczynania były przemyślane i gdy kiedyś próbował huścić się na gałęzi jednej z naszych magnolii za pomocą Stretcha Armstronga - żelowej, rozciągliwej lalki - w charakterze liny, zakończyło się to fatalną amputacją u Stretcha i prawdziwym bałaganem. Leżąc na stercie liści magnolii obok werandy, trzymając w dłoni rękę Stretcha, z którego wszędzie wyciekał żel, Charlie spojrzał na mnie z wyrazem prośby o pomoc.

Określenia „ciekawski” i „samotnik” opisywały mnie jako dziecko. Od momentu, gdy dowiedziałem się, że zabawki Lego składają się z klocków, zamieniłem swój pokój w labirynt własnych autorskich projektów konstrukcyjnych, zmuszając moją mamę do porzucenia prób nakłonienia mnie, bym posprzątał. Pokój bez reszty wypełniały więc modele samolotów zawieszane na wędkarskiej żyłce przypiętej do sufitu, domy typu Lincoln Log, pięcio- i sześciopiętrowe porozstawiane po kątach, modele fortów typu Alamo zbudowanych z wykałaczek, ustawione na przeładowanych półkach, i domki z kart

trzymające się dzięki użyciu kleju, którym zastawione było moje biurko. Rozkładałem na części popsute resoraki Matchboxa i tworzyłem nowe z piętnastu różnych samochodzików; budowałem proce z rurek chirurgicznych; usprawniałem tarcze, przerzutki i hamulce w moim rowerze; podwyższałem prędkość wentylatora w swoim pokoju. Krótko mówiąc, lubiłem majsterkować, a co więcej, posiadałem nienasyconą potrzebę, aby dowiedzieć się i zrozumieć, jak rzeczy działają.

Zwłaszcza ludzkie ciało. Budowle i pojazdy były interesujące, a nawet fascynujące, ale ciało człowieka stanowiło dla mnie wszechogarniającą obsesję. Ściany mojego pokoju pokryte były plakatami i schematami ukazującymi wszystko: od układu szkieletowego i mięśniowego począwszy, na poszczególnych narządach oraz drogach przewodnictwa neu-ronalnego w mózgu skończywszy. Ponieważ ręce odgrywały istotną rolę w edukacji umysłowej, zanim osiągnąłem wiek lat siedmiu, miałem już na swoim koncie wiwisekcję oraz ponowne zszycie dwóch ogromnych żab, ryby, kota sąsiadów, pancernika i długiego, czarnego węża. Wszystkie te stworzenia były już martwe lub właśnie umierały, zanim się jeszcze za nie zabrałem.

Moje ówczesne wiwisekcje można by precyzyjniej określić jako dreptanie w miejscu, ale zszywanie wydawało się obiecujące. W celu doskonalenia się, ćwiczyłem. Przecinałem skórkę pomarańczy, a następnie zszywałem ją ostrożnie, aby nie uronić soku. Gdy opanowałem pomarańcze, przeszedłem do następnego etapu - ciasta francuskiego, ponieważ jest delikatne, kruche i łatwo się rozpada.

Będąc świadkiem mojej roboty nad co najmniej jedną żabą oraz syjamskim kotem sąsiadów, Charlie zawierzył mi swojego zwiotczalego bohatera. Zabrałem się do pracy, przymocowując jego ramię i ponownie napełniając go żelazem, aby mógł odzyskać swoją formę. Gdy zawiązałem już swój

ostatni supeł, pokryłem szwy klejem, aby zamknąć ranę. Wyglądało brzydko, owszem, ale spełniło swoje zadanie i Stretch przeżył, mogąc znowu wystąpić w roli bohatera następnego dnia. Podałem go Charliemu, który szarpnął, pociągnął i powiedział: „Dzięki, Dratwa”. Moje przydomko utrwaliło się tak, jak i przyjaźń z Charliem.

ROZDZIAŁ 7

Rano, ostatniego dnia szkoły przed przerwą świąteczną na Boże Narodzenie, mijałem właśnie dom O'Connorów, pochłonięty myślami, jak bardzo chciałbym dostać wiatrówkę, gdy Charlie wyskoczył zza krzaków i powiedział mi, że Emma miała „atak” i rodzice zabrali ją do szpitala. Opowiedział mi, co się stało, a ja odrzekłem:

- Charlie, nie idę do szkoły. Idę odwiedzić Emmę. A ty? Spojrzał za siebie w kierunku domu, następnie wzdłuż

ulicy w kierunku szkoły, rzucił swój tornister w krzaki i powiedział:

- Idę z tobą.

Biegliśmy przez całą drogę do szpitala, aż do izby przyjęć, gdzie nie było nikogo, kogo bym znał. Udając zagubione dziecko, powiedziałem pielęgniarce w informacji, że nie mogę znaleźć mojej mamy i siostry, i poprosiłem, czy może mi powiedzieć, gdzie się znajdują. Uwierzyła.

Wysiedliśmy wraz z Charliem z windy na trzecim piętrze i zobaczyliśmy mamę Emmy opartą o automat z coca-colą. Płakała. Zaprowadziła mnie do pokoju, gdzie znajdowała się Emma, odgradzona rodzajem foliowego namiotu. Pomachała na mój widok i uśmiechnęła się, ale nie pozwolono mi podejść bliżej. Tam spędziła święta. Ja także, nie licząc jednego poranku w dzień Bożego Narodzenia.

Tuż przed Nowym Rokiem przywieźli ją do domu i musiałem rzucać kamykami w okno, aby pokazać jej moją nową strzelbę. Emma poczuła się w końcu lepiej i wróciła do szkoły na kilka tygodni semestru, ale od tamtego czasu jej chód stał się wolniejszy, zmienił się jej oddech, a rodzice zaczęli traktować ją jak najdelikatniejszą porcelanę.

Pewnego popołudnia, gdy wszyscy troje wróciliśmy ze szkoły, Emma poszła na górę zdrzemnąć się, a jej mama odciągnęła mnie na bok i podała fiolkę z tabletkami.

- Emma musi je zażywać. Są czymś w rodzaju witamin, i... - zamilkła.
- Są naprawdę drogie, ale... Emma musi je mieć. - Delikatnie wsunęła swoją dłoń pod mój podbródek, a ja spojrzałem na jej twarz. Miała zmęczone i zaczerwienione oczy, a kręgi pod oczami były prawie tej samej wielkości co one same. - Kochanie, codziennie w porze lunchu upewnij się, czy Emma zażyła tabletkę.

Ująłem fiolkę w dłonie i skinałem głową.

- Musisz mi to obiecać.

- Dobrze, psze pani, obiecuję.

Każdego dnia w porze lunchu otwierałem fiolkę i podawałem jej jedną tabletkę. Emma dotykała palcami swoich warg, udając, że zasuwa je na zamek, krzyżowała ramiona i potrząsała głową.

Czekałem cierpliwie.

Z zaciśniętymi zębami i zasuniętymi na zamek ustami mówiła:

-Te pastylki są jak dla konia. Stają mi w gardle za każdym razem, gdy próbuję je połknąć.

Żeby jej pomóc, przecinałem pastylkę na pół swoim szwajcarskim scyzorykiem i prosiłem panią zza lady stołówki o budyń czekoladowy albo delikatny jogurt. W ten sposób łatwiej było ją połknąć.

Spoglądała na mnie, a ja szeptałem:

- Emma, obiecałem.

Wkładała pastylkę do ust i nabierała łyżeczką budyń, mamrocząc pod nosem:

- No tak, ale ja nie - przestraszona, że może jej nie połknąć, mówiła: -
Odwołaj swoją obietnicę.

Kręciłem głową.

- Odwołaj ją, Reese.

- Nie mogę.

- Nie możesz czy nie odwołasz? -Jedno i drugie.

Oczy Emmy płonęły ze złości i połykała. Przestała się do mnie odzywać na prawie miesiąc, nie licząc naszych walk w porze lunchu. Od trzeciej klasy zamieniłem się w kontrolera połykanych pigułek i Emma zaczęła mnie za to nienawidzić.

Przynajmniej tak mi się wydawało.

ROZDZIAŁ 61

To odkąd znalazłem klucz, zacząłem miewać ten sen. Rozjarzył się we mnie, zakorzenił i już pozostał. Jak wszystkie sny, moje są dziwaczne i nie zawsze idealnie sensowne. Ten akurat nie ma wyraźnego początku i końca, ale wykazuje się logiczną ciągłością i pojawia za każdym razem, gdy zamknę oczy.

Znajduję się wewnątrz dziewiętnastowiecznego domu. Kamienne ściany, drewniane podłogi, palenisko, a na stole przede mną spoczywa jakaś postać, być może gospodarz domostwa, który odniósł śmiertelną ranę podczas bitwy i z trudem łapie oddech. Potwornie cierpi, umierając powolną i straszliwą śmiercią. Wydaje mi się, że ja także uczestniczyłem w bitwie, ale nie jako żołnierz. Także nie jako medyk. Może jako chorąży, ale nie potrafię stwierdzić, skąd ta myśl, poza tym, że spowity jestem w sztandar.

W dłoniach trzymam dzban wody. Jest popękany i wyszczerbiony, gdy staram się trzymać go prosto, przecieka niczym sito. Woda wycieka zewsząd. Brakuje mi palców, aby zatkać wszystkie dziury, na podłodze tworzy się więc kałuża z krwi leżącej postaci zmieszanej z wodą z mojego dzbana. Ale gdy odwracam dzban do góry dnem, wylewając zawartość, naczynie przestaje przeciekać. I chociaż wylewam z niego wodę pełnym strumieniem, ona nigdy się nie kończy. Stoję nad umierającym, którego nigdy nie spotkałem, i oblewam

jego ciało wodą. Chociaż to robię, nie potrafię stwierdzić, co dokładnie mu dolega. Rozpaczliwie staram się odnaleźć miejsce, gdzie został zraniony, ale nie widzę żadnych widocznych okaleczeń. Wiem tylko, że gdy leję na niego wodę, leżący zaczyna oddychać i wydaje się wracać do siebie. Ale im więcej wody wylewam z dzbana, tym staje się on cięższy i dość szybko, pomimo pewności, że wykorzystuję wszystkie swoje możliwości i całą swoją siłę, nie jestem w stanie już dłużej go utrzymać. Wyczerpany, osuwam się na stół, po którym ścieka niewykorzystana woda, moczy mnie, a postać na stole zaczyna krzyczeć i znowu umierać.

Powtarza się to każdej nocy, tuż przed ostatnim oddechem umierającego budzę się mokry, zwinięty w kłębek, obolały od skurczów mięśni na całych rękach, nieprawdopodobnie spragniony, z dźwiękiem jego krzyku dzwoniącym w uszach i sparaliżowany strachem, że on umiera na coś, czemu z łatwością można by zapobiec. Co każdy powinien już rozpoznać, ale nikt nie zdołał jeszcze tego uczynić. Czego nie potrafię dojrzeć, bo jestem zbyt ślepy.

ROZDZIAŁ 63

Na końcu ogrodu za domem Emmy biegł strumyk szeroki na około dziesięć stóp, zwykle nie głębszy niż do kostek, chociaż jego głębokość zmieniała się po deszczu, a łagodny nurt opłukiwał piasek oraz różnej wielkości kamienie, niektóre jak piłki do baseballa, inne jak kulki do gry. Strumień brał swój początek w górach, wił się pomiędzy niżej położonymi wzgórzami, a następnie mijał dom Emmy na swojej drodze do jeziora. Czasami widywaliśmy w nim małe pstragi, a nawet kilka z nich udało nam się złapać w siatkę na motyle. Zasadniczo strumyk ów wyznaczał granicę jej domostwa.

Jednym z naszych ulubionych zajęć było budowanie żaglówek z desek i gazet, a następnie spuszczenie ich na wodę i podpalanie. Charlie wycinał sporo takich płaskich deseczek, które tworzyły kadłub łódki, a później wierciliśmy w nich otwory i mocowaliśmy drewniane kołki z przodu i w środku jako maszty. Opróżnialiśmy kosz na śmieci w poszukiwaniu porannych gazet, wykorzystując całą szpalnę i składając ją po kilka razy i uzyskując w ten sposób żagiel o grubości około dwudziestu kartek papieru, dzięki czemu stawał się mocny i sztywny. Wycinaliśmy w nim dwa otwory - u góry i na dole - i przeciągaliśmy go przez maszt, a następnie oblewaliśmy pokład łódki naftą. Zapalaliśmy niewielką świeczkę, umieszczając ją na rufie, i spuszczaaliśmy łódkę wzdłuż strumienia. Statek delikatnie przesuwał się wraz z nurtem, a my podąża-

liśmy za nim na bosaka. Dwieście metrów w dół strumienia świeczka dopalała się, zajmując naftę i wzniecając płomień na całej łódce. W ciągu mijających lat zbudowaliśmy i puściliśmy z dymem pewnie całą flotę.

Czekałem w kuchni, gdy Emma ubierała się na górze. Jej mama, pani Nadine, stała przy kuchni, zajęta przewracaniem naleśników. Upiłem łyk soku pomarańczowego, starając się opanować zdenerwowanie. Ćwiczyłem to pytanie tak często, że uznałem, że mogę je z siebie wreszcie wyrzucić. W końcu odezwałem się:

- Proszę pani?
- Tak, kochanie?
- Czy mogę panią o coś spytać?
- Oczywiście.
- Hm... dlaczego Emma stale zażywa te pastylki?

Pani Nadine odłożyła szpatułkę, stanęła we łzach, sięgnęła po chusteczkę z kuchennego blatu i usiadła obok mnie przy stole. Wytarła nos, szukając odpowiednich słów.

- W sercu Emmy znajduje się dziurka.

To, co powiedziała, wydało mi się jakąś pomyłką, musiałem więc to sobie przez chwilę przemyśleć.

- Czy z tego powodu Emma śpi więcej od innych dzieci? I dlatego nigdy nie gra z nami w żadne gry sportowe?

Pani Nadine skinęła głową.

Nauka zawsze przychodziła mi z łatwością, zwłaszcza jeśli chodzi o książki. Wystarczyło, że przeczytałem coś jeden raz, nawet pobieżnie, abym, gdyby ktoś poprosił mnie o wyrecytowanie tego rok później, mógł odtworzyć to prawie słowo w słowo. Jednak wszystko, co wiedziałem, pozostawało w mojej głowie, kłębiąc się razem z milionami innych rzeczy, które tam przechowywałem.

To, co wiedziała Emma, sączyło się z jej głowy do serca i mówiło, kim jest - dlatego nazwałem ten proces Wieczną Migracją. Gdy moje zainteresowanie życiem przybrało charakter scjentystyczny i zdradzało inklinacje do badań i odkryć fizycznych, ona zawsze skłaniała się ku porządkowi serca. Podczas gdy ja byłem raczej gotów, by pojmować i wyjaśniać tęczę, używając kategorii fizycznych, Emma widziała w niej tylko kolory. Gdy chodziło o życie, ja dostrzegałem poszczególne elementy i to, jak mają się do siebie wzajemnie, ona widziała zaś obraz, który wyłania się z tej układanki. I od czasu do czasu pozwalała mi przejść przez drzwi swojego świata i na niego spojrzeć.

Zastanawiałem się przez chwilę.

- A czy lekarze - spytałem w końcu - nie mogą po prostu zaszyć tej dziury?

Mama Emmy pokręciła głową.

- Nie wiedzą, jak to zrobić. Sprawa jest... jest skomplikowana.

Spojrzałem w górę schodów, słysząc lekki tupot stóp Emmy w jej pokoju, a następnie ponownie spojrzałem na panią Nadine. Gdzieś w tamtym momencie przez moją głowę przemknęła błyskawica i życie stało się naprawdę proste. Skoncentrowane na jednym celu i jednej wizji.

- Proszę pani - odezwałem się, podkreślając swoje słowa skinieniem głowy. - Ja to mogę zrobić. To znaczy, ja mogę naprawić serce Emmy.

Jej mama otarła łzy z twarzy i musnęła mnie palcami w kolano. Milczała dłuższą chwilę, po czym odezwała się.

- Moje dziecko, ze wszystkich dzieciaków, które znam, jesteś jedynym, który mógłby to zrobić. Posiadasz takie talenty, których nigdy nie spotkałam u innych ludzi. A więc...

- zamknęła oczy na dłuższą chwilę, a potem otworzyła je i spojrzała na mnie. - Zrobisz to, moje dziecko. Zrobisz to, słyszysz?

Nikt nie musiał mi mówić, że Emma była wyjątkowa. Już w wieku lat ośmiu posiadała rzadką zdolność wyrażania na zewnątrz, słowami lub zachowaniem, tego, co w środku czuło jej serce. Gdy ja zamykałem się w sobie, nie umiając wyrzucić z siebie tego, co odczuwało moje, ona nie miała z tym żadnych trudności.

Tamtego popołudnia, pod klonem przed jej domem, gdy słońce zawisło, zachodząc za ogrodzenie, Emma pochwyciła mnie za rękę i pociągnęła ku sobie, skrywając nas w cieniu drzewa. Pociągnęła nosem, spojrzała w okna nad nami, a w jej spojrzeniu zauważyłem coś, czego nie było tam jeszcze rano. W późniejszych latach uświadomiłem sobie, że było to ziarno nadziei.

Jeszcze raz upewniła się, czy nikt nie stoi w oknie, i powiedziała:

- Słyszałam, jak rozmawiałeś dzisiaj z mamą.

Skinąłem głową, a moje serce wyczuło coś jeszcze. Emma pogłaskała mój policzek, pochyliła się bliżej i pocałowała mnie w kącik ust. A gdy to zrobiła, wszystko stało się jasne.

Od tamtej pory upewnianie się, czy zażyła pastylkę, zaczęło wynikać z potrzeby chronienia jej, a nie z posłuszeństwa dorosłym.

ROZDZIAŁ 10

Wpadłem do sklepu, aby zrobić jakieś zakupy, a następnie skierowałem się na zachód drogą numer 76, mijając centrum miasta, bibliotekę, szkołę podstawową i szpital. Tam musiałem się zatrzymać, nie tylko aby dostarczyć pluszowego misia i odebrać swój aparat do mierzenia tętna, chociaż to akurat mogło poczekać. Przejechałem obok Studni, baru należącego do Davisa Stipe'a i wciągnąłem w siebie głęboki haust zapachu grilla, ale nie miałem już czasu zatrzymać się na cheeseburgera.

Davis serwuje najzimniejsze piwo i najlepsze cheeseburgery w całym stanie Georgia. Jego menu wypisane jest na ścianie i nie ma w nim zbędnych uduziwnień. Serwuje więc: „Delikatne szmery”, z pojedynczym hamburgerem i niewielką ilością dodatków, to na początek, dalej „Uporczywe palpacje”, z trzema plastrami sera i cebulą smażoną na niewielkiej ilości tłuszczu. Dla zaawansowanych jest „Miażdżycza naczyń” z podwójnym hamburgerem oraz plastrami chili i jalapeño, a także „Zatrzymanie pracy serca” z jego jednofunciakiem owiniętym w wędzony bekon i trzema różnymi rodzajami sera. A już o drżenie serca przygotowują „Poczwórne bypassy” z czterema soczystymi hamburgerami po prostu ociekającymi tłuszczem oraz sekretnym sosem Davisa. Menu kończy się na „Transplantacji”, która jest dużym półmiskiem z górami wszystkich wymienionych powyżej. Krótko mówiąc:

burgery Davisa to naprawdę atak serca podany na tacy. A ja nie odmawiałem sobie jednego w każdy piątkowy wieczór bez względu na to, czy byłem głodny, czy też nie.

Nieopodal Studni znajduje się podwójny zakręt zwany Harley's Curve, który zawdzięcza swoje powstanie pracy więźniów. Jakies siedem lat temu przejeżdżałem tędy w drodze do Atlanty - z zamiarem nabycia harleya - jadąc tuż za facetem na japońskim ścigaczu, który nie zdołał zmieścić się w obu zakrętach. Leżał na ulicy na wznak, a krew płynęła mu z nosa i z uszu. Przyklęknąłem, próbując przeprowadzić resuscytację, ale w połowie pierwszego ucisku klatki piersiowej zorientowałem się, że cała jej zawartość jest tylko miazgą, a kask motocyklowy mógł już jedynie zapobiegać wylaniu się mózgu na asfalt. Nigdy nie kupiłem harleya.

Minąłem Studnię, wykonałem slalom, pokonując Harley's Curve i ruszyłem w kierunku domu, gdzie Charlie uznał pewnie, że nie ma co liczyć na mój wcześniejszy powrót. Gdy przybyłem, miejsce wydawało się puste, ani śladu Charliego, ale usłyszałem go po drugiej stronie jeziora, jak gra na swojej harmonijce. Ewidentnie się rozkręcał, wiedziałem zatem, że jest tylko kwestią czasu, gdy zacznie wystukiwać sobie rytm nogami i na dobre dmuchać w instrument. Od folku do klasyki, znał setki piosenek i mógł zupełnie gładko przechodzić od jednej do drugiej.

Jezioro Burton to moje podwórko. Bogate w historię Burton było kiedyś dobrze prosperującym miastem, ale zatopiono je, by uzyskać energię elektryczną zaopatrującą cały stan. Miejscowi nie protestowali. Zainkasowali pieniądze, przenieśli swoje domostwa i przyglądali się, jak poziom wody podnosi się, pokrywając chodniki i nagrobki na cmentarzu.

Na początku dziewiętnastego wieku, po odejściu Indian Cherokee, Burton zamieniło się w kwitnący ośrodek gorączki

złota, usytuowany na przecięciu rzeki Tallulah i Moccasin Creek. Stosunkowo mało zniszczone przez wojnę domową, stało się ogniwem łańcucha podczas wielkiego bumu w rozwoju sieci kolejowej w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dziewiętnastego stulecia. Na przełomie wieków hrabstwa Rabun i Habersham stały się jednym z głównych centrów turystycznych kraju, drugim po wodospadzie Niagara. Przełom Tallulah, zwany Niagarą Południa, przyciągał bogatych turystów w takim samym stopniu co zalew Georgia.

Skały z urwistych zboczy, które obsuwały się z wysokości setek stóp, stworzyły znakomite warunki do budowy ciągu zapór wykorzystywanych do produkcji energii wodnej. W 1917 roku Georgia Railway oraz Electric Company wykupiły miasto Burton - które zdążyło się już dorobić trzech sklepów wielobranżowych. Wybudowały zaporę i 22 grudnia 1919 roku zaczęły zatapiać obszar dookoła. Osiemdziesięciu niepokornych gospodarzy, których domy właśnie zostały zalane, wskoczyło do swoich łodzi i rozpoczęło ucieczkę, obserwując tworzące się za nimi jezioro. Gdy jego powierzchnia osiągnęła maksymalny poziom, wierzchołki sosen wysokich na sześćdziesiąt stóp znalazły się trzydzieści do czterdziestu stóp poniżej lustra wody, która była przejrzysta niczym zielony lód. W pewnym sensie Burton stało się pływającym cmentarzem - wielu znalazło tam swój grób. W różnych zakamarkach wokół całego jeziora znajduje się ponad tuzin cmentarzy, niektóre z nagrobkami jeszcze z wieku osiemnastego.

W swoim najwyższym miejscu klify przełomu rzeki Tallulah opadają w dół na wysokość tysiąca dwustu stóp. Tylko dwójka śmiazków zdołała sforsować tę kpiel. Profesor Leon uczynił to 24 lipca 1886 roku. Osiemdziesiąt cztery lata póź-

niej, 18 lipca 1970 roku, w jego ślady podążył Karl Wallenda. Gdy zbudowano zaporę, inżynierowie ścisnęli potężną Tallulah do szerokości strumyka. Staruszkowie podczas swoich nocnych wypraw do łazienki na siusiu pozbywają się większej ilości wody niż płynie obecnie w tym miejscu. Ale cała ta masa powstrzymywanej wody musi przecież znaleźć gdzieś swoje ujście, i dzięki temu strumykowi jezioro ma powierzchnię ponad dwóch tysięcy siedmiuset akrów oraz linię brzegową długą na sześćdziesiąt dwie mile. W dniu dzisiejszym na terenie hrabstwa Rabun znajduje się pięć zbiorników wodnych generujących energię wodną. Zbiorniki te stanowią około dwóch procent jego całkowitej powierzchni.

Burton zyskało prawdziwą sławę dopiero po ukazaniu się serii książek *Foxfire* Elliota Wiggingtona oraz gdy Jon Voight wspiał się po zboczu urwiska w filmie *Wybawienie*, a stan Georgia wybudował drogę numer 400, tak romantycznie przedstawioną podczas scen pościgów w klasyku z Burtem Reynoldsem *Mistrz kierownicy ucieka*.

Dzisiaj Burton stanowi miejsce weekendowych wypadów dla milionerów z Atlanty wraz z rodzinami - wszystkich posiadających swoje łodzie motorowe typu Jet Ski. Wylaniając się spomiędzy dębów, sosen, cykut i górskich wawrzynów, prawie każdy cal linii brzegowej zajęty jest czymś wakacyjnym domem marzeń. W okresie, gdy powierzchnia jeziora nie jest rozjeżdżana przez motorówki ciągnące za sobą narciarzy wodnych, stanowi siedzibę wędrownych krzyżówek, gągołków i nurów. Z nadejściem wiosny kardynały, ziarnojady amadynki i przedrzeźniacze paradują w swoich barwach godowych i zakładają gniazda wokół całego jeziora. Całoroczni mieszkańcy okolicy to kolibry, rybołowy, bieliki, zimorodki i trochę błękitnych i zielonych czapli. A dwa razy do roku przybywa tu także motyl królewski.

Przed moim domem - który może być tyłem mojego domu w zależności od punktu widzenia - dokarmiam jelenie, indyki, wiewiórki, jakieś kregowce, szopy, zające oraz niedźwiedzia czarnego, któremu nadałem imię George, ponieważ jest bardzo ciekawski. Mówiono mi także, iż dzięki stacji hodowli jeziora Burton jest tu pełno pstrągów tęczy, brunatnych i potokowych. Opowiadano mi nawet, że w tych wodach pływają czterdzieści dwa gatunki ryb - włączając w to bassy, czerwono brzuche i wielkogębiaste, oraz okonie żółte - chociaż nigdy żadnego nie udało mi się złapać pomimo setek godzin prób i niezmordowanej zachęty ze strony Charliego.

Owszem, widuję je. Widać je dość wyraźnie, ale nakłonić je do pochwylenia mojej przynęty to już zupełnie inna sprawa. Większość wędkarskiej braci, a w tym i Charlie, używa świerszczy. I na tym polega główny problem. Nie łowię na świerszcze. Ale pomimo moich słabości i ekscentryzmów Charlie nadal prosi mnie o zawiązanie mu pętelki, ponieważ jestem w tym dość dobry. Mam doświadczenie w wiązaniu pętelek.

Drogi wokół jeziora Burton pełne są sielskich widoków niczym z obrazów Normana Rockwella - jabłkowe sady, rozpadające się młyny, sklepy z rękodziełem, końskie zgrzebła, wędzony bekon, coca-cola, wizerunek kowboja na reklamach Marlboro i zimne piwo za każdym rogiem. Stare samochody nadgryzione przez rdzę, porzucane po pastwiskach z ich strumieniami, krowami i końmi. Przez całe lato tonowe bale zrolowanego siana, wielkie jak stodoła, leżą przykryte białą folią niczym topniejące bałwany, aż nadejdą zimowe przymrozki, gdy staną się paszą dla żywego inwentarza. A farmerzy, których życie wiąże się z jeziorem, ale którzy nie zwracają na nie uwagi, siedzą na szczycie swoich zielonych lub czerwonych traktorów pod zakurzonymi rondami kapeluszy,

zwijając skręty z tytoniem i kolejny rok żyjąc dzięki temu, co daje ziemia, niczym prosięta ssące cycek.

A Bóg? Mieszka pomiędzy tymi wzgórzami, ponieważ my tu jesteśmy. Nie można się z Niego „otrząsnąć” bez względu na to, jak daleko próbowałbyś uciec. Być może Davis i ja wiemy o tym najlepiej, ale Emma wiedziała to pierwsza, a św. Augustyn wyraził najpełniej: ***Ty sprawiasz sam, że słać Cię jest błogo. Stworzyłeś nas bowiem jako skierowanych ku Tobie. I niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie.***

ROZDZIAŁ 11

To był pogodny, późny, letni wieczór, chociaż zaczęło się robić coraz chłodniej. Wyczuwałem nadchodzący deszcz. Najpierw na niebie pojawiły się ciemne chmury, towarzyszyły im wilgotne podmuchy wiatru, które zakolały magnoliami. Niedługo później dawało się wyczuć oszałamiającą woń nadchodzącego deszczu. Początkowo opadające miękko delikatne krople, następnie większe, rozchlapujące się na powierzchni woskowatych liści magnolii wielkości dłoni, które stały im na drodze ku ziemi. Emma i ja siedzieliśmy na werandzie na piętrze przed drzwiami mojego pokoju, spoglądając na zmianę przez teleskop skierowany na Drogę Mleczną, zanim chmury nie przysłoniły nam widoku.

Pod trójnogiem teleskopu, na podłodze przed nami, leżały rozrzucone puzzle. Gwiazdy były dla mnie rodzajem fascynacji, puzzle - hobby. Gdy ja układałem jednocześnie siedem zestawów, ona spędzała czas na czytaniu lub szkicowaniu. W otaczającym nas stereofonicznym śpiewie ptaków Emma czytała *Wielkie nadzieje* Dickensa i szkicowała ptaki przysiadające nieopodal.

Zebrałem wszystkie siedem tysięcy elementów puzzli, wrzuciłem je do jednego kosza, a następnie wymieszałem jak numery w bingo. Zanurzałem później dłonie i rozpoczynałem tworzenie zarysu wszystkich siedmiu wizerunków. Potrzebowałem dwóch tygodni, aby dokończyć dzieła, ale proces ten sprawiał mi przyjemność. Już jedna układanka była wystar-

czająco trudna, a co dopiero dodatkowych sześć, ale wtedy zaczynała się zabawa.

To było, jak sędzę, moje wprowadzenie w aktywność naukową. Każdy element to proces rozumowania: jeżeli nie tutaj, to tutaj, a jeżeli nie, to wobec tego tutaj, a... i tak dalej. Puzzle zmuszały mnie do patrzenia na problem pod różnym kątem, zanim wykonałem jakiś ruch, do spojrzenia raz jeszcze, i jeszcze, a być może jeszcze raz, ponieważ każda część - bez względu na to, jak mała i pozornie mało znacząca, odgrywała znaczącą rolę w całokształcie. W otoczeniu zarysowujących się obrazków moje ręce i oczy przykute były do podłogi, podczas gdy mój umysł wędrował poza granice werandy ku powierzchni księżycy, który zdążył się pojawić w pełni.

Po burzy, którą poprzedzały i kończyły dość silne porywy wiatru, usłyszałem śpiew kardynała. Ale był to śpiew inny niż zazwyczaj. Jego brzmienie było puste i udręczone. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem samca stojącego na werandzie obok trzepoczącej się postaci swojej partnerki. Prawdopodobnie spadła lub została rzucona przez podmuch podczas burzy i albo złamała, albo poważnie zwichnęła sobie skrzydło. Nasze sąsiedztwo otaczała dość liczna armia kotów, a zatem jej czas na ziemi wydawał się dobiegać końca. A całe to trzepotanie się tylko pogarszało sprawę. Przypominało bowiem łowienie na żywą przynętę.

Samiec stał nad nią i obok niej, i krążył wokół niej, śpiewając i nawołując co sił w płucach. Gdy wyszedłem na zewnątrz, wskoczył na poręcz i utkwił we mnie swój wzrok z wyrazem gniewu i niepewności z piórami nastroszonymi na czubku głowy i grzbiecie szyi. A gdy ująłem ją w dłonie, latał w kółko, zaledwie stopę lub dwie ode mnie, pomiędzy werandą a gałęziami.

- Już dobrze, dziewczynko - powiedziałem. - Pozwól mi zaprosić cię do środka, gdzie będę mógł ci się przyjrzeć.

Kardynał samiec wzleciał na gałąź, zmieniając ton, w którym pojawiło się ostrzeżenie i trwoga. W połowie drogi do drzwi odwróciłem się i powiedziałem:

- Proszę się nie obawiać. Nie zrobię jej krzywdy. Może pan przyglądać się przez okno, jeżeli pan zechce.

Zabrałem ją do środka, umieściłem pod moim szkłem powiększającym i natychmiast dostrzegłem, co się stało. Podczas burzy jakiś żwir uderzył ją w skrzydło, łamiąc kilka piór, kalecząc skórę i pozostawiając głęboką ranę w jednym ze skrzydeł. Na pierwszy rzut oka delikatna kość nie wydawała się uszkodzona, ale mogłem założyć się o swój mikroskop, że była złamana. Oczyszczyłem ranę z drobnych kamyków i unieruchomiłem jej skrzydło blisko tułowia, ale nie za ciasno, aby nie poczuła się schwytna w pułapkę. Zdjąłem z szafki klatkę dla ptaków, napełniłem pojemnik z wodą i umieściłem ją w środku.

Przez cały ten czas, obserwując mnie niczym jastrząb, jej czerwonokrwisty partner siedział przed moim oknem, śpiewając ile sił w piersiach. Wiedziałem, że kardynały łączą się w pary na całe życie, a zatem mogłem mieć pewność, że nigdzie nie odleci.

- Niech pan się nie martwi. Ona dojdzie do siebie. Dobrze się nią zaopiekuję.

Najbardziej samotny dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałem, wydaje samiec kardynała nawołujący samiczkę, która nie odpowiada. I będzie tak stał na gałęzi i śpiewał na całe gardło całymi dniami.

Emma szepnęła:

- On płacze.

- Jesteś pewna? — zapytałem.

- Ja to wiem - odpowiedziała rzeczowo.

- Skąd? Skąd to wiesz? Nie wydaje mi się, żeby to brzmiało jak płacz.

Spojrzała za siebie na ptaka i powiedziała, nie odczuwając potrzeby udowodnienia tego:

- Ponieważ słuchasz uszami, a nie sercem.

- A co one robią, gdy się odnajdą?

- Śpiewają razem.

Emma osunęła się na podłogę, usiadła po indiańsku i trąciła swoimi kolanami o moje. Uniosła brwi i szepnęła:

- ***Żaden człowiek nie jest wyspą samą dla siebie... — musnęła palcem mój nos. - Śmierć każdego umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością... Przeto nigdy nie pytaj komu bije dzwon... — musnęła mnie dwa razy - bije on tobie.***

Od tamtej pory wierzę, że płacz kardynała, słyszany przypadkiem gdzieś na ziemi, przed oknem sypialni lub na podwórku za domem, jest głosem wielu błagających o tego jedyne.

Ustawiłem klatkę na małym stoliku przy oknie na drugim piętrze, aby samiczka mogła spoglądać na swojego partnera, a on na nią. Zmieniałem bandaż co kilka dni, ostrożnie, aby nie potargać jej piór i aby umożliwić jej rozprostowywanie skrzydła. A każdego dnia ów samiec wystawał tam niczym gwardzista przed pałacem Buckingham, śpiewając dla niej. Przez większość popołudni zbierałem ziarno i wysypywałem trochę wewnątrz klatki oraz na parapecie, aby mogły jeść razem. Wydawało się, że to doceniają, ponieważ nie traciły ani chwili. W końcu zaczął wlatywać do środka i siadywać na klatce, gdzie ona mogła stukać go dziobem w stopy. Trzepotał skrzydłami o pojemnik z pokarmem i trącały się dziobami poprzez pręty.

Wyfruwała stopniowo przez drzwi i przysiadła obok niego na niewielkiej gałązce. Tych dwoje zostało w gnieździe w pobliżu mojego okna przez całe gimnazjum i szkołę

średnią. Każdego dnia śpiewając sobie swoją miłosną pieśń. Emma mówiła, gdy przyfruwały pod okno, że śpiewają tak dla mnie.

ROZDZIAŁ 12

Fragment mojego terenu przylega do działki Charliego. Jesteśmy właścicielami przeciwległych końców skrawka ziemi przy wschodnim krańcu jeziora. Widok z moich okien rozpościera się na jego dom i *vice versa*, chociaż to na jego terenie znajduje się punkt, z którego odwiedzający go - gdyby tacy się znaleźli - mieliby lepszy widok na jezioro.

Mój dom jest dwupiętrowy, czteropokojowy, zbudowany z cedru z czerwonym blaszanym dachem, wsparty na konstrukcji z sosnowych belek. Razem z Emmą kupiliśmy ten kawałek ziemi, ze starą wędkarską chatą, siedem lat temu, gdy Charlie dowiedział się, że obie działki wystawiono na sprzedaż. Sądziliśmy, że będzie to nasze ustronie, być może miejsce, gdzie, po wzięciu urlopu, będę mógł opiekować się Emmą, gdy będzie dochodzić do zdrowia po operacji. Ona myślała, że będziemy spędzać tu więcej czasu, ucząc nasze dzieci pływać i jeździć na nartach wodnych po jeziorze. Miała wielkie plany i ze swoim talentem artystycznym szkicowała je w szczegółach.

Jej plan składał się z trzech elementów: domu, nabrzeża i warsztatu. Około pięciu lat temu Charlie i ja rozpoczęliśmy budowę warsztatu. Biorąc pod uwagę jego stan, w rzeczywistości większość pracy spoczęła na moich barkach, ale to nie oznacza, że się nie angażował. Urodzony z narzędziami mechanicznymi w rękę, Charlie musiał pracować w warsztacie

u Heroda w swoim poprzednim wcieleniu. Gdy ja przeklinałem, stękałem i waliłem się w kciuk przy każdym uderzeniu młotkiem, on stał obok, wodząc palcami po fakturze i miejscach cięcia drewna, wyczuwając sposób jego połączenia, dociskając lub obcinając zbędne naddatki. Wykonanie instalacji elektrycznej zleciliśmy komuś innemu, ponieważ zdawałem sobie sprawę z własnych ograniczeń, jednakże wszystko, co wiązało się z bieżącą wodą, odprowadzaniem ścieków lub z cięciem, ścieraniem, kształtowaniem albo modelowaniem drewna, robiliśmy sami. Myślę, że odpowiadało to mojemu rodowodowi związanemu z ciesiołką i hydrauliką.

Niezliczoną ilość razy Charlie wręcz zmuszał mnie, by poprawiać to, co przycinałem już dwa lub trzy razy, ponieważ nie podobał mu się sposób połączenia, dopasowania albo ponieważ znalazł tam jakąś szczelinę. W efekcie poprawiałem się, ale cierpiała na tym moja samoocena.

Posiadłość, na której mieszkam, opada ku powierzchni jeziora pod kątem trzydziestu stopni. Gdy kupiliśmy więc to miejsce, wynająłem najpierw człowieka z koparką i poleciłem, aby wyrównał teren obozowiska dla wędkarzy, a następnie nawiózł dwa piętra gruzu i ziemi. Gdy skończył, uzyskaliśmy płaski teren jakieś dziesięć stóp ponad powierzchnią jeziora, wcinający się na siedemdziesiąt stóp w zbocze wzgórza, gdzie zaczynała się ogromna skalista ściana, taka jak te, które widzi się wzdłuż autostrady. Wysadziliśmy ją dynamitem, wyrównując i rozpoczynając tam budowę.

Po ostatniej eksplozji i usunięciu gruzu odkryliśmy zagłębienie w skale w kształcie litery L. Było wystarczająco duże, aby zmieścił się w nim mój pick-up, i wystarczająco wysokie, aby można było stanąć tam wyprostowanym. Było w miarę płaskie i równe, oczyściliśmy je, powiesiliśmy lampę lub dwie, a wzdłuż obu boków zamontowaliśmy piętrowe łóżka. Podczas najbardziej upalnych miesięcy lata spaliśmy w naszej

„jaskini”, a skały chroniły ją przed zbytnim upałem. Służyła za cichy i bezpieczny azyl.

W połowie pierwszego piętra warsztatu znajdowała się piwnica, z której i nad którą wznosiło się drugie piętro. Fakt, że w połowie otaczała je ziemia, oznaczał, iż po zainstalowaniu pieca zimą mieliśmy tam dość ciepło. A ponieważ wzgórza dawały chłód po zachodzie słońca, było tam też chłodno latem. Do warsztatu prowadziły podwójne ruchome drzwi, które otwarte na oścież, pozwalały wjechać do środka dwoma samochodami naraz.

Charlie mógłby w pięć minut opowiedzieć więcej na temat narzędzi i budowania, niż ja mógłbym dowiedzieć się na ten temat przez całe życie, ale jak wielu innych dobrych nauczycieli, których znałem, uczył mnie w tempie dopasowanym do moich możliwości. Gdy zakończyliśmy budowę podstawowej konstrukcji warsztatu, pozostawił mi wykończenie szczegółów.

Pokryliśmy ściany solidnym drzewem cedrowym i zawiesiliśmy na suficie wystającą stalową belkę, biegnącą od wejścia do tylnej ściany, która miała umożliwić nam unoszenie oraz przesuwanie ciężkich i dużych obiektów, na przykład łodzi, za pomocą systemu ruchomych bloków. Zainstalowaliśmy cztery podwieszane wentylatory oraz stacjonarne oświetlenie, przesunęliśmy piecyk kozę do rogu i przeprowadziliśmy okablowanie pomiędzy dziesięcioma głośnikami dla uzyskania efektu *surround*, wewnątrz i na zewnątrz.

Wykonałem znaczną liczbę wycieczek do Home Depot, Lowe's i Searsa, zaczynając zapelniać półki sprzętem wszelkiego rodzaju i marki. Kupiłem dwie piły taśmowe, szlifierkę do drewna, trzy szlifierki tarczowe, pokaźną liczbę tarników, pilników, gumowych i drewnianych podbijaków, imadła, skrzynkę kleju do drewna Titebond, dwa kątowe wiertła, wiertarkę Dremela, dwie laubzegi, perforator, ręczny elek-

tryczny strug, dwa pełne zestawy narzędzi ręcznych, takich jak śrubokręty, klucze, lewarki, kombinerki, cztery obrotowe trzyczęściowe i prawie sześciostopowe stojaki na narzędzia oraz każdy rodzaj bezprzewodowych narzędzi elektrycznych, jaki dostępny był na rynku. Krótko mówiąc, gdy stanąłem już przy kasie z czterema wynajętymi pracownikami, pchającymi przeładowane wózki, każdy z czekających w kolejce klientów spoglądał na nas ze szczęką opadłą aż do kolan.

Obcowanie z narzędziami sprawiało mi przyjemność, ale dla Charliego były one po prostu obiektem miłości. Podobnie jednak jak i Georgia nie uśmierzyły mojego poczucia winy.

Trzy dni zajęło mi zastanawianie się nad ich rozłożeniem i aranżacją. Wszystko miało swoje miejsce i wszystko było na miejscu. Po rozplanowaniu każde narzędzie znajdowało się w zasięgu ręki lub tylko kilka kroków dalej. Chodziło o to, aby nie tracić zbędnej energii, gdy rozpoczniemy już pracę.

Na zakończenie porozwieszałem z tuzin rolek taśmy wielofunkcyjnej na hakach odpowiednio rozmieszczonych po całym pomieszczeniu. Używana przez aliantów do opatrywania ran podczas pierwszej wojny światowej, rozpoczęła swoją karierę jako rodzaj opatrunku, stając się przydatna dla mnóstwa innych zastosowań - i wydawało się, że nie było dnia, abyśmy nie znaleźli dla niej kolejnego.

Gdy tak zajmowałem się wykańczaniem wnętrza zarówno warsztatu, jak i nadbudówki nad dokiem, Charlie wynajął drużynę utalentowanych robotników do pomocy przy budowie zejścia i schodków z miejsca, gdzie miał stanąć dom, do nabrzeża. Spuszczając pion z narożnika byłego obozowiska dla wędkarzy, wyznaczyłem zarys, na którym miała zostać wybudowana reszta domu, zamówiłem betoniarki i pokierowałem chłopakami podczas wylewania cementu, a Charlie doglądał drużynę kamieniarską. Nocą wymienialiśmy uwagi.

Charlie powiedział mi, że każdy porządny dom budowany jest wokół paleniska i gdy jego drużyna w tydzień uwinęła się z budową zejścia, skierował ich do pracy nad paleniskiem w pomieszczeniu tuż przy kuchni. Zanim ekipa się wyniosła, ich majster spojrział na Charliego, a następnie na niewykorzystany materiał i powiedział:

- Tego kamienia wystarczyłoby panu na komorę. Chce pan?

Charlie wiedział, co tamten miał na myśli:

- Jasne - skinął głową. - Zróbcie ją dokładnie tam.

Ekipa oczyściła teren, dwanaście na dwanaście stóp, pomiędzy domem a warsztatem, pokryła go wylewką i wybudowała komorę wędzarni wystarczająco dużą, aby zmieścił się w niej cały świniak i tyle kurczaków oraz porcji karkówki Boston butts, ile można sobie wyobrazić.

Gdy warsztat był już gotowy i zaczął funkcjonować, skoncentrowałem się na doku. Zimą, gdy jezioro było płytkie, wbiliśmy dwadzieścia cztery żerdzie, łącząc je poziomymi belkami. Chociaż nie mieliśmy jeszcze wtedy moich łódek, planowaliśmy z wyprzedzeniem, a zatem stworzyliśmy dwupoziomowy, trzymiejscowy dok ze zdalnie sterowanymi drzwiami i elektrycznymi dźwigami. Z boku umieściliśmy platformę, trzy stopy nad powierzchnią normalnego stanu jeziora w porze letniej, okraszając ją sześcioma bujanymi fotelami. Drugie piętro doku było otwarte, pokryte zielonym, aluminiowym dachem, otoczone barierką z ogromnym, drewnianym stołem pośrodku. Obok stołu zwisał hamak Emmy. Rozpościerał się z niego jeden z najlepszych widoków na południową część jeziora. Z mojego miejsca na szczycie budynku doku mogłem spoglądać na blisko pięć mil jeziora, zanim zakreślało na południowy wschód w kierunku zapory.

Gdy pozjadaliśmy już zęby na budowie warsztatu i budynku doku, z których oba nie wymagały takiej sprawności

jak budowa regularnego domu wraz z wędzarnią i paleniskiem stojącymi samotnie, zaczęliśmy przeglądać wykonane przez Emmę szkice. Jej plan zakładał wkomponowanie dwuizbowej chaty z obozowiska dla wędkarzy w konstrukcję dwupiętrowego domu nad jeziorem. A więc, będąc w zgodzie z oryginałem, zostawiliśmy pierwotną kuchnię, izbę oraz werandę.

Charlie był zdecydowanym zwolennikiem podejścia, iż nie warto oszczędzać podczas budowy, a zatem, gdy zaczęliśmy stawiać szkielet budynku, wykorzystał do tego belki dwa na osiem cali, rozmieszczone co dwa cale. Przesada, owszem, ale dlaczego nie? I on był zadowolony, i ja. W końcu to tylko ten jeden raz. I tak realne stawało się malowidło Emmy. Zresztą zamierzaliśmy nadać mu możliwie dokładnie taką fakturę i kolor, jak chciała tego Emma.

Po ukończeniu konstrukcji szkieletu przeszliśmy się przez puste wnętrze niewykończonego domu, a Charlie przypomniał mi, co Emma powiedziała, stojąc na pustym jeszcze skrawku ziemi i malując go własną wyobraźnią. ***Za każdym razem, gdy będę tu wchodziła - zwierzyła się kiedyś - chciałabym, aby wydawało się, że świece płoną w każdym kącie. Pokoje powinny świecić blaskiem... o odcieniu złota.*** Wskazała wówczas na starą drewnianą podłogę w kuchni, którą tu zastaliśmy.

- Skąd tutaj wziąć „złoty odcień”? - zapytałem.

- Sosna - odpowiedział Charlie - wskazując w dół na podłogę. - Stara sosna. Najlepiej ze środka pnia, ale takiej nie dostaniesz w składzie budowlanym. A przynajmniej nie taki gatunek, jak trzeba. Taki jak... ten - skinął dłonią jeszcze raz - tworzy się przez setki lat.

Wsiedliśmy więc do suburbana i przeszło sześć miesięcy spędziliśmy w drodze, przeczesując farmy stanu Georgia oraz pukając do drzwi podejrzliwych farmerów, by zapytać ich, czy moglibyśmy rozłożyć na części ich spróchniałe stodoły

i chylące się ku upadkowi chałupy, odzyskując z nich drewniane deski. Większość zgadzała się, uchylając drzwi i ściągając strzelbę ze ściany nad kominkiem, gdy my rozbijaliśmy namiot, gdzie było to tylko możliwe, i spędzaliśmy trzy dni na odrywaniu desek i studiowaniu fachu ludzi, którzy żyli prawie sto lat temu.

Drewna przybywało, kupiłem więc magazyn zbudowany kiedyś ze schodów budynku sądu w Clayton. Opuszczony magazyn znajdował się jedynie kilka mil wyżej pośród wzgórz. Powycinaliśmy zarośla, wysprzątaaliśmy podłogę i zaczęliśmy składować nasze drewno na stojakach ponad podłogą, aby nie dosięgła go wilgoć. Po sześciu lub ośmiu miesiącach mieliśmy już wystarczająco dużo materiału, aby wybudować nie tylko mój dom, ale i kilka innych. Wszystko - podłogi, ściany, elementy wykończenia, sufit, a nawet suszarkę na naczynia w kuchni - wykonaliśmy z drzewa, które wskrzesiliśmy ze stodół i chałup porzrzucanych po hikorowych gajach i dębowych zagajnikach stanu Georgia. Drzewo pokryte ołownikiem, sosnowe igły i żołądzie to prawdziwa żyła złota, którą można wykorzystać, jeżeli ma się wystarczająco dużo chęci, aby oczyścić zarośla i wyheblować materiał. Jest to proces, który wymaga czasu. Wtedy też natraficie z pewnością niechybnie na parę węży, ale być może takie jest życie - nigdy się nie wie, czy coś, co pozostawało w ukryciu, wyłoni się, aby nas ukąsić, czy też zabłyśnie złocistym blaskiem.

Po osiemnastu miesiącach oraz takiej ilości stłuczonych palców, że nie chce mi się już liczyć, podałem Charliemu pneumatyczny pistolet do gwoździ, a on wstrzelił ostatnie z nich w elementy powały. Wyciągnęliśmy z kontaktu wtyczkę kompresora, odpięliśmy pasy z narzędziami, odkurzyliśmy z wiórów warsztat, strzeliliśmy po piwku i cofnęliśmy się kilka kroków, aby móc „spojrzeć” na naszą robotę. Charlie wodził palcami po ścianach i elementach wykończenia jak

człowiek szukający w ciemności wejścia do jaskini, wyciągniętymi rękami przemierzał drewno z nosem zbliżonym do powierzchni, aby czuć jego zapach. Gdy skończył, skinął głową, nie mówiąc ani słowa.

Na kilka dni przed nadejściem Wielkanocy rozłożyłem na podłodze swój śpiwór i leżąc w pustym domu, spojrzałem przez okno, zauważając po raz pierwszy, że byłem otoczony przez derenie, które następnego poranka zaczęły kwitnąć. Otworzyłem okno w naszej sypialni na drugim piętrze, wychyliłem się i zanurzyłem pośród gałęzi, kiwając głową z niedowierzaniem. Emma wiedziała o tym już wcześniej.

ROZDZIAŁ 86

Pływaliśmy w strumieniu za domem O'Connorów. Tego dnia Emma stała się kobietą. Ja miałem wtedy dwanaście lat, ona jedenaście, a Charlie tylko osiem, co może tłumaczyć jego reakcję. Pluskała się niczym foka w wodzie o głębokości około stopy, niczego nie podejrzewając, gdy strumień naokoło niej zaczął zmieniać kolor. Nie muszę chyba wdawać się w szczegóły. Przestraszona i zaskoczona wstała i wówczas stało się jasne, że krwawi - i to obficie.

Charlie wybiegł na brzeg i zaczął wrzeszczeć:

- Mamo, mamó! Emma umiera! Emma umiera!

Nie było to coś, co ich mama chciałaby usłyszeć. Ja nie wiedziałem dokładnie, co się dzieje, ale było dla mnie dość jasne, że nie może umierać, ponieważ nie wyglądała na umierającą. Gdy tak stała, wydawała się równie zaskoczona jak my.

Charlie zniknął wewnątrz domu, a ja pomogłem Emmie wyjść na brzeg, starając się nie spoglądać na jej nogi. Była przerażona, gdybym zaczął się gapić, w niczym by to nie pomogło. Odwróciłem się, a ona zdjęła swój strój kąpielowy i owineła się w mój ręcznik. Później ująłem ją za rękę i po prostu staliśmy tak, nie ruszając się z miejsca. Nie chciała siadać z obawy, aby nie poplamieć ręcznika.

- Dobrze się czujesz?

Skinęła głową, starając się uśmiechnąć.

- Na pewno?

Znowu przytaknęła. Chwyciła mnie jedynie silniej za rękę. Wyglądała na zmarzniętą.

Pani Nadine wybiegła na zewnątrz, na wpół przytomna z przerażenia - przez Charliego. Spojrzała na strój Emmy, na jej nogi i na nas oboje stojących tam spokojnie. Szybko stało się dla niej jasne, ile jest dwa dodać dwa. Przestała biec, wzięła głęboki oddech, objęła Emmę ramieniem i uśmiechnęła się:

- Wszystko będzie dobrze, kochanie.
- Ale mamusiu - powiedziała Emma - ja naprawdę nie czuję się źle.
- Wiem, słoneczko, to tylko część życia.

Pani Nadine objęła ją i odprowadziła do środka. Pojawiła się zaraz z powrotem z małym ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Usiadła na ławce na werandzie i przywołała nas do siebie, obejmując za kolana.

- Chcę wam obojgu coś powiedzieć...

Charlie trząśł się, pociągał nosem i wyglądał na zaniepokojonego.

- Emma czuje się dobrze, ale... - szukała odpowiedniego słowa - ona jest... już kobietą.

Tamtej nocy pograżyłem się w swoich książkach i spędziłem wiele godzin, czytając o kobiecym ciele i o tym, jak to wszystko działa. Oczywiście, na początku rozpałiło to moją wyobraźnię, jak każdego chłopca w tym wieku. Emma wyglądała inaczej niż ilustracje, którym się przyglądałem, ale wiedziałem, że chcąc ją naprawić, aby mogła żyć, musiałem przez to wszystko przebrnąć. No i tak zrobiłem. Kontynuowałem lekturę i dowiedziałem się, że jej lekarstwa wywołały u niej wcześniejsze wystąpienie okresu - powszechny efekt uboczny u dojrzewających dziewczyn.

Później miało się okazać, że nie było to moim ostatnim tego rodzaju odkryciem.

ROZDZIAŁ 14

W ciągu następnych miesięcy Charlie nauczył się posługiwać młotkiem oraz gwoździami i zaczął czynić z nich niezły użytek. Na tyłach domu CConnorów rozpościerał się olbrzymi dąb, który Charlie zaczął pokrywać fragmentami drewna znalezionymi na składowiskach odpadów budowlanych i w śmietnikach u sąsiadów. Przez wiele miesięcy stało się to jego wszechogarniającą obsesją i każde popołudnie spędzał na nadawaniu kształtu i rozbudowywaniu swojego nadrzewnego fortu Szwajcarskiej Rodziny Robinsonów. Siegał wysokości trzeciego piętra, nie licząc gniazda wron; miał wiele drabin i pali służących do wspinania się i zjeżdżania na dół oraz wykonane przy pomocy jego taty, funkcjonujące dwa okna, wiatraki, światło i bieżącą wodę.

Był to naprawdę cały świat sam w sobie, ale dla Chraliego dzieło nigdy nie było ostateczne. Koniec budowy to pojęcie, które nie mieściło się w jego głowie, jeśli chodzi o ten fort.

Emmy nie było w szkole już ponad tydzień i zacząłem się martwić. Zatrzymałem się pewnego dnia, wracając ze szkoły z Charliem, postanawiając ją odwiedzić. Zostałem przy niej doktora Hayesa w towarzystwie pielęgniarki, pani Lou, którzy rozmawiali szeptem z rodzicami Emmy. Gdy skończyli, pani Lou zaprowadziła Charliego do drugiego pokoju. Następnie pani Nadine połączyła się telefonicznie z moją

mamą, poszeptała jeszcze przez chwilę, mówiąc: „Dziękuję” i odłożyła słuchawkę.

Kilka minut później pielęgniarka zawołała mnie do pokoju na tyłach domu, gdzie zobaczyłem Charliego trzymającego chusteczkę przyłożoną do czubka palca z wyrazem zmieszania na twarzy. Pani Lou pochyliła się nade mną i wyjaśniła, że chce ukłuć mnie w palec, aby dowiedzieć się, jaką mam grupę krwi.

- Zero minus - powiedziałem. Wyglądała na zaskoczoną.

- Jesteś pewien?

- Na sto procent, ale - uniosłem w górę swój palec - bardzo proszę.

Przytaknęła, przyglądając mi się podejrzliwie, i delikatnie ukłuła mnie w palec.

Krew to coś fascynującego. Cud w płynie. Podobnie jak my jest żywym organizmem pełnym żywych komórek, a gdy znajdzie się na zewnątrz naczynia, w którym płynie w nas -umiera. Przeciętny dorosły ma w swoim ciele pięć litrów krwi. Istnieją cztery jej grupy, ale tylko jedna - grupa zero - może być podana każdej innej osobie na ziemi. Ludzie z grupą krwi zero z oczywistych względów nazywani są uniwersalnymi dawcami. Patrząc na to z innego punktu widzenia, istnieją osoby mające jedną jedyną grupę AB plus, dzięki której mogą przyjmować krew od wszystkich innych i dlatego nazywani są uniwersalnymi biorcami. Jak się okazało, Emma miała grupę krwi AB plus, co miało swoje dobre i złe strony. Dobre dla Emmy, ale złe dla Charliego i dla mnie.

Nigdy wcześniej nie oddawałem krwi, ale domyślałem się, o co chodzi. Wyciągnąłem się zatem na krześle i ułożyłem rękę na boku, a milutka pani Lou rozpoczęła całą tę procedurę typu, „gumowy ściągacz-i-odkazanie-spirytusem”. Charlie nie był pewien, co mają znaczyć wszystkie te igły i szepty,

zaczął się więc nieźle trząść i wybiegł z powrotem do swojego fortu na drzewie.

Pani Nadine kazała mu stamtąd zejść i wrócić do domu, gdzie poprosiła nas obu, abyśmy usiedli, i zaczęła z nami rozmawiać. Okazało się, że dodatkowy wysiłek, jaki stanowiła dla ciała Emmy comiesięczna utrata krwi, gwałtownie pogorszył jej stan. Osłabił ją, obniżył jej zdolność do zwalczania infekcji i sprawił, że wpadła w spirale, z której tak naprawdę, miesiąc po miesiącu, nie była w stanie się wydobyć. Lekarze uważali, że jeżeli będą mogli uzupełniać zapas krwi, podając ją z zewnątrz co kilka miesięcy, będą w stanie zwiększyć prawdopodobieństwo wyleczenia, nie obciążając przy tym w takim stopniu jej własnego organizmu. W pewnym sensie był to doping polegający na przetaczaniu krwi, ale na odwrót. Zamiast bowiem dobrze funkcjonującego sportowca, który osiąga dzięki temu wyższy poziom wydolności, Emmie taki zabieg przywracałby możliwość w miarę normalnego funkcjonowania. Teoria była dobra i pomogła jej - niczym uderzeniowa dawka kofeiny - ale nawet oni wiedzieli wówczas, że jest to tylko pomoc doraźna.

Charlie jednak tego wszystkiego nie pojmował. On znał się na fortach i młotkach znacznie lepiej niż na ludziach i ich krwi.

Doktor Hayes wszedł w trakcie wyjaśnień pani Nadine i przyklęknął obok Charliego.

- Synu - powiedział - twoja siostra jest poważnie chora. Twoja krew może pomóc jej lepiej żyć. Zwłaszcza teraz, gdy jej potrzebuje. Widzisz...
- delikatnie ujął jego rękę, postukał w nią palcami, a następnie wskazał na jej wnętrze - w twojej krwi znajdują się takie małe wywrotki, które nazywają się czerwonymi krwinkami. Rozwożą po całym twoim ciele paliwo, którego ono potrzebuje jak samochodziki na torze wyścigowym. Masz taki tor?

Charlie uśmiechnął się i skinął głową.

- Kiedy więc tracisz krew - kontynuował lekarz - lub masz jej w ciele za mało, lub kiedy masz słabe serce, które nie może zatankować tych ciężarówek wystarczającą ilością paliwa, aby mogły pokonać swoją trasę, wtedy cierpisz na chorobę, która nazywa się anemią. W tym momencie Emma cierpi na taką bardzo poważną chorobę - zajął Charliemu w oczy. - Czy oddasz jej trochę twoich wywrotek?

Charlie spojrzał w kierunku schodów prowadzących na drugie piętro i wiedziałem, że wyobraża sobie teraz swoją siostrę, bladą i osłabioną, codziennie tak zmęczoną, że nie może nawet wspiąć się do jego fortu, aby docenić jego ostatnie dokonania.

- Emma potrzebuje więcej wywrotek? - zapytał. Lekarz skinął głową.

Charlie spojrzał na swoją mamę, a ona także pokiwała głową, gdy łzy spływały jej głębokimi, ciemnymi bruzdami, które pogłębiały się pod jej oczami, rozmazując cały jej makijaż. Wyglądała jak szop.

Charlie podwinął rękaw.

- A czy mogę po prostu oddać jej wszystkie? - zapytał. Trzy dni później pani Nadine nadal płakała.

ROZDZIAŁ 15

Annie spała, gdy zatrzeszczałem szpitalnymi drzwiami i wszedłem do jej pokoju późnym piątkowym popołudniem. Przez niewielkie okno widziałem pastwisko dla krów upstrzone nawozem oraz mleczem i przedzielone na pół strumieniem wijącym się od strony wzgórz. Krowy skupiły się wszystkie wokół paśnika z sianem z wyjątkiem jednego starego byka, który wystawał niczym wartownik pośrodku strumienia.

Cindy siedziała przy Annie na wyciągnięcie ręki ze stopami opartymi na łóżku. Głowę miała przechyloną na bok. Była wciąż w tym samym ubraniu co wczoraj, śpiąc z książką spoczywającą na piersiach. Książka miała plastikową okładkę oraz stempel biblioteki. Nosiła tytuł ***Jak dorobić się dużych pieniędzy w małym biznesie***. Na podłodze leżało pięć lub sześć innych książek i broszur, wszystkie w tych samych plastikowych okładkach z biblioteki publicznej i wszystkie dotyczące tematyki kredytów i zarządzania finansami. Na stoliku tuż obok biurka leżała czerwona koszulka na dokumenty. W jej górnej części widniały nakreślone kobiecym charakterem słowa: Wniosek kredytowy, Burton Bank and Trust.

W powietrzu poczułem zapach cytrynowej wody po goleniu Sala, który podpowiedział mi, że był tu przed chwilą. Potwierdzały to dwa miętusy leżące obok telefonu. Ułożyłem na łóżku zieloną pluszową żabę i odwróciłem się, aby wyjść

cicho, gdy usłyszałem szept Annie: „Hej, Sz-sz-szekspir”. Jej głos był spowolniony, nierówny, a usta opuchnięte od lekarstw.

Cindy obudziła się i usiadła prosto, ocierając ślinę z brody, zabrała się za układanie książek w stertę na stoliku obok łóżka Annie.

Odwróciłem się i musnąłem jej stopy.

- Dla przyjaciół Billy.

Spojrzenie Annie było ciężkie, a oczy szkliste. Bez wątplenia jej lekarze, zarówno ci z Clayton, jak i z Atlanty, wiedzieli, w jakim stanie napięcia się znajdowała i jak bardzo potrzebowała spokoju, a więc przez ostatnie parę dni utrzymywali ją pod wpływem działania dość mocnych środków sedatywnych. Też bym tak postąpił.

Przysunąłem żabę wielkości piłki do siatkówki bliżej Annie i wyciągnąłem niewielkie pudełko, które zapakowała mi jedna ze sprzedawczyń z Rovers Hardware. Annie odpowiedziała uśmiechem, po którym widać było działanie środków uspokajających. Ja trzymałem pudełko, podczas gdy ona swoją zdrową ręką pociągnęła za wstążkę, rozwiązując ją. Uniosła przykrycie i wyciągnęła sporej wielkości miedziany dzwonek, który wyglądał, jak gdyby zawisł kiedyś na szyi jakiejś krowy.

- Pomyślałem, że mógłby być pomocny w biznesie - powiedziałem. - Możesz przyciągać uwagę ewentualnych klientów.

Uśmiechnęła się, zadzwoniła raz i mrugnęła jakby w zwolnionym tempie.

- Wydaje mi się, że już to zrobiłam - znowu spojrzała na mnie. - Masz dla mnie jakieś nowe ładne słówka?

Podrapałem się po brodzie i wyjrzałem przez okno. Siadając przy łóżku, uniosłem dzwonek i powiedziałem:

- Mów mi, gdzie się skłonność chowa? Serce rodzi ją czy głowa? Kto ją począł, kto wychowa? Mów nam, mów nam. To oczy

skłonność zrodziły, w kolebce swej wykarmiły. I tam zeszła do mogiły: Niech więc na skłonności zgon zabrzmi smętnie, dyn, don, dzwon.

Cindy wyprostowała się i zaczęła badać mnie w nowym przypiływie ciekawości.

- Czy to znowu *Hammmmmleti* — zapytała Annie, walcząc z wargami, aby zmusić je do wymówienia „m”.

- Nie. To fragment takiej historyjki zatytułowanej *Kupiec wenecki*.

Zamknęła oczy i zamilkła na kilka minut, i odpłynęła w cudowny świat wywołanego farmakologicznie spokoju. Cindy wpatrywała się z niepokojem w jej oddech.

-To działanie lekarstw - zapewniłem ją. Rzuciłem okiem na urządzenia nad głową Annie, które monitorowały postępy w leczeniu. - Ciśnienie wygląda dobrze, tętno jest lepsze, niż oczekiwałem, poziom tlenu niezły, biorąc pod uwagę, przez co musiała przejść. - Znowu musnąłem jej palce u stóp. - Jest silna.

Cindy przytaknęła, ale wbiła we mnie swój wzrok z jeszcze większą ciekawością. Mogłem dostrzec, jak pytania zaczynają kłębić się w jej głowie, a moje przebranie za specjalistę od gładzi szpachlowych przestaje działać.

Annie przebudziła się i po dwóch rundach wokoło pokoju jej oczy znowu mnie odnalazły.

- Doktor mówi, że mogę wyjść za parę dni.

- Słyszałem. To dobrze. Tęsknisz pewnie za własnym łóżkiem.

-1 to jeszcze jak- drżącą ręką zakreśliła łuk, wskazując na pokój. - Powinieneś zobaczyć wszystkie te pluszowe misie, które dostałam.

Ogarnąłem spojrzeniem pomieszczenie, pękające od kwiatów, balonów z napisem: *Życzenia powrotu do zdrowia* i dziesięciu, może piętnastu, pluszaków, w większości misiów.

- Właśnie widzę.

Do rozmowy włączyła się Cindy.

- Rozmawialiśmy z Annie i chcemy cię na kolację - zakryła oczy dłonią i potrząsnęła głową: - To znaczy, chcemy cię *zaprosić na* kolację.

- Zrozumiałem - uśmiechnąłem się.

- Tyle przynajmniej możemy zrobić - odwróciła się w kierunku dziewczynki, która skinęła głową. - Annie to całkiem niezła kucharka i mówiła właśnie, że mogłaby ci upiec placek z brzoskwiniami.

Annie ponownie pokiwała głową.

- Nie żartuję - powiedziała z zamkniętymi oczami - naprawdę znam się na gotowaniu, chociaż - uniosła lewą rękę, ciężką od gipsu - ucieranie biszkoptowego spodu nie będzie łatwe.

Głos Annie brzmiał, jak gdyby właśnie wyszła od dentysty po czterokrotnym borowaniu.

Minęło sporo czasu od ostatniego razu, gdy przyjąłem zaproszenie na kolację. Nie mówiąc już o zaproszeniu z ust kobiety. Przytaknąłem:

- Wobec tego przyjdę, ale pod warunkiem, że pozwolisz mi utrzcć biszkopt.

- Potrafisz gotować? - zapytała zaskoczona Annie, a jej głowa opadła na bok, jak gdyby właśnie zsunęła się z jakiegoś oparcia.

- Nie, ale szybko się uczę.

- Ludzie tutaj mówią, że zbudowałeś całkiem niezłą łódź - powiedziała Cindy. - Czy to prawda?

- Raczej je odnawiam, niż buduję. Tylko udoskonalam to, co zaprojektował ktoś inny.

- Jak niesie plotka, to udoskonalanie całkiem dobrze ci wychodzi. Dotyczy to również domów. Przyszło mi do głowy, że wyglądasz na kogoś z branży budowlanej.

- Cóż, praca jak każda inna - wykonałem unik, zadowolony, że uznała mnie za budowlańca. - Gdy już pozna się fach, okazuje się, że to nie takie trudne. Dobry nauczyciel, dobre narzędzia, trochę cierpliwości i ty też mogłabyś to robić.

- Wątpię - powiedziała Cindy. - Ledwo potrafię wymienić żarówkę, nie prosząc o pomoc Annie.

- Praca w zespole może znacznie ułatwić sprawę. Cindy wyprostowała się na krześle i zaczęła spinać ciaśniej

swój koński ogon kilkoma pętelkami różowej gumki. Wyraz ciekawości w jej spojrzeniu stał się bardziej zdecydowany; poprzednia rozmowa w holu szpitala nie dała jej zbyt dużo informacji i zachęciła do dalszych pytań.

- Wydaje się, że znasz się na tym, o czym mówisz - znowu zaczęła drążyć.

Powieki Annie opadały, dając mi okazję do wyjścia. Szepnąłem do niej:

- Prześpij się teraz, a ja wpadnę do ciebie w przyszłym tygodniu na kolację.

Annie odruchowo sięgnęła i ścisnęła w dłoni sandał, który wisiał teraz na łańcuszku i spoczywał tuż nad zakończeniem blizny na klatce piersiowej. Jej kciuk delikatnie otarł się o spód wisiorka, gdy potakując, zaczęła odpływać w sen.

Cindy wyglądała na zakłopotaną z powodu swojej zbyt daleko idącej i pospiesznej ciekawości. Odprowadziła mnie do drzwi, zabawiając się kosmykiem włosów:

- Myślę, że spodobała jej się ta żaba. Dzięki - powiedziała.

Zamachałem ręką, jak gdyby chcąc powiedzieć: „Nie ma o czym mówić”.

Cindy podała mi mój aparat do mierzenia tętna i powiedziała:

- Lekarz Annie uzyskał dzięki temu naprawdę ważne informacje. Powiedział, że miałeś rację, zakładając go jej. Po-

wiedział, że łatwiej będzie mu teraz określić siłę jej serca pod wpływem wysiłku oraz... kiedy musimy znaleźć następne.

Widok Annie podłączonej do wszystkich tych urządzeń na ścianie, pikających, błyskających i obsługiwanych przez dwie lub trzy pielęgniarki w drugiej części holu, przywołał wiele wspomnień. Wszystko było znajome: zapach antybakteryjnego mydła, temperatura w sali tak niska, że można by w niej przechowywać mięso, sposób podwieszenia kroplówki i założenia wenflonu na rękę Annie, stała obserwacja każdej oznaki życia. Otworzyłem usta i pozwoliłem, aby mówiło moje serce, zanim głowa nie kazała mu się zamknąć.

- Czy Annie lubi wodę? - zapytałem. Cindy wyglądała na zmieszaną.

- No, tak. Widzi ją z okna swojego pokoju, ale kąpie się tylko w wannie.

- A gdybym zaprosił was na przejażdżkę łódką w przyszłym tygodniu? Razem z Charliem, moim kolegą, powinniśmy skończyć do tego czasu jej remont i muszę poddać ją testowi na wodzie, zanim właściciel odbierze łódź przed paradą w przyszłym miesiącu.

Cindy uśmiechnęła się i spojrzała za siebie na Annie.

- Myślę, żeby się jej spodobało. Pod warunkiem że nie będzie mocno bujało i jej lekarz uzna, że dobrze to zniesie - przygryzła sobie skórkę, wyprostowując jeden z palców dłoni. - Skontaktuję się jeszcze z tobą w tej sprawie - nerwowo zaczesła włosy za uszami - dojazd jest tutaj... czasami pewnym problemem...

To wyznanie sporo ją kosztowało.

- Ciężka sprawa, jak rozumiem - powiedziałem, starając się złagodzić jej ewidentne zażenowanie.

- Wszystko zaczyna się i kończy na kosztach leczenia. *Serce ma swoje racje, których rozum nie zna...* Przeszedłem przez drzwi, zaczynając czuć się nieswojo, gdy głos rozsąd-

ku w mojej głowie zaczął się sączyć do mego nierozsądnego serca.

- Nie ma problemu. Przyjadę po was - skreśliłem parę cyfr na tylnej stronie kuponu na pizzę, mówiąc: - To jest mój numer. Uzgodnij to z jej lekarzem i zadzwoń do mnie we wtorek rano, czy może popłynąć.

Cindy skinęła głową i zamknęła za mną drzwi. Gdy tylko usłyszałem kliknięcie zamka zamykającego drzwi, zauważyłem kartę informacyjną Annie przypiętą do tablicy na ścianie korytarza. Bez namysłu wysunąłem ją z koszulki i zacząłem kartkować.

Zobaczyła to pielęgniarka i wyrwała mi ją z rąk:

- Mogę w czymś pomóc?

Jej włosy sterczały na stopę ponad głowę, ściśle upięte w kok, a znad oczu wyskubano dokładnie każdą brew. Cała jej postawa wydawała się mówić: „Lepiej ze mną nie zadzieraj”.

Postąpiłem zgodnie z sugestią.

- Hm... nie, dziękuję. Szukałem tylko...

- Czego? - powiedziała, z jedną ręką opartą na biodrze.

- Kuponów na pizzę - powiedziałem, starając się najlepiej, jak tylko potrafiłem, wyjść na przygłupa.

Nie spuszczać ze mnie wzroku, sięgnęła do swojej wielokolorowej koszuli i wyciągnęła z kieszeni kupon na dwie duże pizze:

- Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

Była prawdopodobnie znakomitą pielęgniarką. Potrząsnąłem głową i pomachałem kuponem:

- Dzięki.

Obserwowała mnie, gdy wychodziłem.

Otworzyłem drzwi suburbana i siedziałem tak przez chwilę, gdy auto się rozgrzewało. Był piątek wieczór, czas wycieczek do Studni. Czułem już smak „Transplantacji”.

ROZDZIAŁ 16

Ponieważ doktor Hayes nalegał, by pobrać krew od Charliego i ode mnie, poszedłem do biblioteki i wypożyczyłem wszystkie książki, jakie tylko mogłem znaleźć, które miały cokolwiek wspólnego z sercem człowieka. Jeżeli potrzebowali naszej krwi, to musiała skrywać się za tym jakaś tajemnica, a zatem, gdy znalazłem książkę, w której chociażby wspomniano coś o sercu lub o krwi, zabierałem się za czytanie. A to oznacza, że przeczytałem mnóstwo książek.

Pewnego dnia, gdy siedziałem w bibliotece, obłożony blisko tuzinem książek, z silnym trądzikiem pokrywającym moją twarz, pani Swayback, bibliotekarka, poklepała mnie po ramieniu, pytając:

- Naprawdę zamierzasz przeczytać te wszystkie książki, dziecko?
- Tak, psze pani.
- A czy mógłbyś mi powiedzieć, po co?
- Studiuję serce.

Potrząsnęła głową i oparła rękę na biodrach.

- Dziecko, ja nie urodziłam się wczoraj - znowu potrząsnęła głową i uśmiechnęła się znacząco - To może jednak mi powiesz?

- Zamierzam wyleczyć Emmę. Dowiedzieć się, jak zaszyć dziurę w jej sercu.

- No tak, to oczywiście wszystko wyjaśnia - zafalowała biodrami, wykorzystując je jako podporę dla rąk. - Posłuchaj no, mały smarkaczu, nie próbuj mnie przechytrzyć. I lepiej żebyś rzeczywiście przeczytał wszystkie te książki, a potem odłożył je dokładnie tam, skąd je wzięłeś. Nie zamierzam tracić czasu na porządkowanie ich na półkach tylko dlatego, że szukasz zdjęć z golizną. Znam ja takich jak ty.

Nie byłem pewien, o czym mówi, ale na wszelki wypadek odparłem:

- Dobrze, psze pani.

Tydzień po tym, jak rzeczywiście przeczytałem wszystkie te książki, odłożyłem je dokładnie tam, skąd wzięłem, i udowodniłem, że nie będę przysparzał problemów, jak sądziła pani Swayback. Ba, zaczęła nawet pomagać mi odnajdywać książki, których potrzebowałem, a także wypożyczać na wynos z miejsc tak odległych jak Floryda.

Pani Swayback nie była moim jedynym krytykiem w tamtym początkowym okresie. Rodzice uważali, że postradałem rozum, ale gdy moje oceny szkolne poprawiły się z dwójki minus na piątkę z plusem, przestali nękać mnie pytaniami, a nawet zasugerowali, że mógłbym zostawać w bibliotece do późna, a pani Swayback mogłaby odwozić mnie potem do domu.

Ludzie zachwycają się geniuszem Mozarta, ponieważ *Twink/e, Twink Little Star** napisał przypuszczalnie w wieku lat trzech, a pierwszą symfonię, jak miał lat dwanaście. Owszem, był geniuszem, ale można na to spojrzeć również z innej strony i stwierdzić, że on jedynie odkrył wcześniej to, do czego stworzył go Bóg. I tyle. Z jakichś powodów Bóg

* *Twinkle, Twink Little Star* to w istocie melodia francuskiej piosenki ludowej -*Ah, vom dirai-je Meman*, którą Mozart uczynił tematem swoich 12 wariacji [KV265]. I jak się obecnie uważa, uczynił to dużo później, bo w 22. roku życia.

ofiarował mu nieco więcej albo coś wyjątkowego, a Mozart dowiedział się, co to jest, i zaczął koncentrować swój umysł na korzystaniu z tego. Oczywiście, że był wspaniały, ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że wiedział, a następnie zabrał się do pracy.

Nie byłem Mozartem i musiałem nad sobą pracować, ale nigdy nie miałem wątpliwości, do czego stworzył mnie Bóg. Przynajmniej do pewnego momentu, znacznie później.

Myśl o Emmie oraz jej mizernie pracującym sercu wyganiała mnie z łóżka rano i utrzymywała w aktywności aż do późna wieczór. Wkrótce moja praca stała się efektywniejsza poza szkołą niż na zwykłych lekcjach. Nauczyłem się wszystkiego, co tylko mogłem na temat funkcjonowania serca oraz układu krążenia: ciemna, lepka, sina, uboga w tlen krew wpływała do serca, które natychmiast wystrzeliwało ją do płuc, gdzie usuwany był z niej dwutlenek węgla, a przekazywany świeży tlen. To zamieniało ją w napowietrzoną, gładką i fioletowawo-czerwoną. Następnie naładowana i niesiona mocą ciśnienia wracała do serca, które ponownie wystrzeliwało bogatą w tlen krew z powrotem do ciała, które niecierpliwie oczekiwało swojego pożywienia.

A działo się to nie raz i nie dwa, tylko ponad sto tysięcy razy na dzień. Rozmyślałem nad tym długo. A gdy w końcu zrozumiałem cały proces, nie tylko jego fizyczną anatomię, ale jego ideę, zasadę, fakt, że gdy się odbywa, człowiek żyje, gdy przestaje, umiera, potrząsnąłem głową i zapłakałem nad tym, jakie to proste.

Już trzy tysiące lat przed naszą erą Chińczycy nazwali serce „cesarzem wszystkich narządów”. Przez cały ten czas ludzie poświęcali swoje życie na poszukiwaniach Świętego Graala, wody życia albo centrum wszechświata. Po co szukać tak daleko, gdy znajduje się to tak blisko, wewnątrz każde-

go człowieka na ziemi? Im bardziej zdawałem sobie z tego sprawę, tym bardziej wydawało mi się, że zbliżam się do wyleczenia Emmy.

Oparłem dłoń na piersi, wejrzałem do swojego wnętrza i wyszeptałem: „Życie jest tam, gdzie płynie krew”.

ROZDZIAŁ 17

Pewnego dnia jeden z chłopaków z klasy przyniósł do szkoły „Playboya” swojego taty i pokazywał go wszystkim na przerwie. Spojrzałem i poczułem, że to jest złe. Poczułem się brudny, jakbym musiał wziąć prysznic. Głęboko wewnątrz wiedziałem, że ktokolwiek robił to tym dziewczynom, musiał być bardzo zepsutą osobą. Podpowiadało mi to moje serce.

Oddałem magazyn. „To mogłaby być Emma”, pomyślałem.

Nie chcę, aby to zabrzmiało świętoszkowato. Oczywiście, że pociągały mnie zdjęcia z nagimi kobietami, ale gdzieś pod spodem tej części mnie, którą to intrygowało, znajdowała się inna, która wiedziała lepiej, że jest tutaj, aby wyleczyć Emmę. I tę część mnie, którą zamieszkiwała moja dusza, szokował, przyprawiał o mdłości i napawał obrzydzeniem rażący widok tej drugiej.

Nie odzywałem się tego dnia w drodze ze szkoły. Czułem się wręcz zażenowany. Gdy Emma zapytała, co się dzieje, powiedziałem jej. Gdy podeszliśmy pod jej drzwi, a ja skończyłem mówić, przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała w policzek - jedno serce przemówiło do drugiego językiem, którym tylko te dwa potrafią do siebie przemawiać.

Serce Emmy było najbardziej chore ze wszystkich ludzi, których znałem, ale wypływało z niego więcej miłości niż z każdego dziesięciu innych razem wziętych.

Wkrótce moje pytania zaczęły przerastać możliwości nauczycieli w szkole, zacząłem zatem spędzać coraz więcej czasu w bibliotece, chłonąc wszystko, co wiązało się jakoś z ludzkim organizmem. Zanim ukończyłem jedenastą klasę, przeczytałem już znaczną liczbę co ważniejszych podręczników akademickich, a nawet kilka z listy rekomendowanych przez Uniwersytet Harvarda. Mogłem cytować je z pamięci i odtworzyć w głowie zawarte w nich wykresy. Jednakże podczas swoich studiów zacząłem zdawać sobie sprawę z pewnego problemu: jeżeli miałem na sposób naukowy odkryć tajemnicę życia i zrozumieć, jak przywrócić je umierającemu, choremu ludzkiemu sercu, to czy nie znalazłem się w złym miejscu?

Dla nauki serce było jedynie organem, nazwanym i umieszczonym w słoju odłożonym na półkę, gdzie jakiś dzieciak w okularach i z aparatem na zębach będzie mógł wyrazić swoje ochy i achy. Podejście naukowe było chłodne, pozbawione uczuć, nawet sposób wyrażania się naukowców był sterylny. Jak gdyby serce nie było niczym więcej, jak tylko zbiorem komórek połączonych ze sobą przez inne komórki.

Większość książek ujmowała je prosto: serce to narząd wielkości dwu pięści, podzielony na dwie części za pomocą membrany z tkanki mięśniowej nazywanej przegrodą. Każda połówka ma cienkościenną sprężystą jamę odbiorczą zwaną przedsionkiem oraz drugą, większą, wylotową, zwaną komorą, która pompuje krew do płuc. Krew wpływa do komór i wypływa z nich zastawkami, trójdzielną i płucną w prawej komorze oraz mitralną i zastawką aorty w lewej. W płucach krew zostaje natleniona, wymieniając dwutlenek węgla na tlen, wysłana z powrotem do serca żyłami płucnymi, a następnie rozprowadzona naczyniami krwionośnymi po ciele, w którym cały proces powtarza się ponad sto tysięcy razy na dobę, co daje w sumie ponad siedem i pół tysiąca litrów prze-

pompowanej krwi. Palenie, wysokie ciśnienie, uszkodzenia okołoporodowe oraz podniesiony poziom cholesterolu mogą upośledzić zdolność serca do pompowania krwi.

Wszystkie te opisy były takie suche. Książki przedstawiały serce niczym pompę olejową, ustawioną w jakimś zapyziałym zaułku na tyłach czyjegoś domu. Nigdy podczas swoich naukowych poszukiwań nie napotkałem sformułowania „złamane serce”. Nigdzie nie natrafiłem na opis, co czuje serce, jak i dlaczego tak czuje. Uczucie i rozumienie nie były ważne, liczyło się tylko wyjaśnianie. Po całej tej lekturze zapragnąłem porozmawiać z kimś o sercu jako czymś żywym, a nie martwym. Z kimś, kto pisał o takim sercu, które znalazłem u Emmy.

Ona o tym wiedziała.

W czasie prowadzonych przeze mnie zmagania z biblioteką, wykresami i łacińską terminologią, zauważyła mój zbolący wyraz twarzy. Usiedliśmy przy dużym bibliotecznym stole, oddzieleni swoimi stertami książek. Aktywność fizyczna Emmy była nieco ograniczona, nasze wyprawy do biblioteki były więc dla niej czymś, na co nie mogła się doczekać i co odbywaliśmy prawie codziennie. Po mojej stronie stołu spoczywały dziesiątki naukowych książek oraz podręczników pisanych przez profesorów, doktorów i akademików niższego szczebla, z których wszyscy znani byli jako eksperci w swoich dziedzinach. A po stronie Emmy znalazło się mnóstwo starych woluminów, w większości napisanych przez ludzi, którzy od dawna już nie żyli, takich jak Coleridge, Wordsworth, Milton, Keats, Tennyson i Szekspir.

Widząc moją frustrację, odłożyła **Raj utracony**. Ze swojego plecaka wyciągnęła zapakowany prezent - mniej więcej wielkości grubej książki - i schowała go za plecami. Odciągnęła mnie od stołu i zaprowadziła pomiędzy regały z książ-

kami, gdzie nie mogła zobaczyć nas bibliotekarka. Otoczona przez tysiące lat wiedzy ułożonej wysoko po obu stronach, najlepszej, jaką świat Zachodu i współczesna medycyna mogła zgromadzić, Emma postukała mnie palcami w okolicach mostka i udowodniła, że ona - która nigdy nie przeczytała żadnej z tych książek - wiedziała więcej, niż napisane było w nich wszystkich razem wziętych.

Odgarnęła mi włosy z oczu i kładąc swoją dłoń płasko na mojej klatce piersiowej, powiedziała: „Reese, możesz nie wyczytać tego w swoich książkach, a więc ja ci to powiem. Każde serce składa się z dwóch części - jednej, która pompuje, i drugiej, która kocha. Jeżeli zamierzasz poświęcić życie na składanie złamanych serc, musisz poznać obie części. Nie możesz po prostu uleczyć jednej, nie troszcząc się o drugą”. Uśmiechnęła się i położyła moją dłoń na swoim sercu. Powinienem to wiedzieć”, pomyślałem.

Wyciągnęła książkę z za pleców i przyłożyła mi ją do serca, a później wróciła do stołu, zostawiając mnie z prezentem. Zdjąłem papier, a pod nim znajdowały się dzieła zebrane Williama Szekspira.

W ciągu następnych miesięcy Emma postanowiła dopilnować, abyśmy czytali na głos fragmenty mojej nowej książki. W końcu zaczęliśmy rozmawiać ze sobą cytatami, które zapamiętaliśmy. Ona była w tym znacznie lepsza niż ja. Robiliśmy to tak często, że nawet Charlie - który miał serdecznie dość słuchania nas rozmawiających szesnastowiecznym angielskim z wyższych sfer - również się przyłączył.

Pewnego sobotniego popołudnia cała nasza trójka wybierała się do kina. Gdy Emma zobaczyła, że nadchodzę, wyrzuciła w górę ręce, recytując:

- *Hamlecie, serce mi rozdarłeś.*

Charlie spojrział przez ramię za siebie i dodał:

- O, *druhu mój!*

Nie chcąc być gorszy, wskoczyłem na frontowe schody,
ukląłem, ujmując ją za rękę, i powiedziałem:

- *Wyrzuć gorszą część serca i odtąd w czystości żyj drugą
częścią.*

Wciąż chciałbym, aby tak było.

ROZDZIAŁ 18

Cztery neonowe reklamy piwa świeciły w oknie Studni pełnym blaskiem piątkowego wieczoru. Na wierzchołku dachu światła kolejnego neonu ukazywały zarys szczodrzej obdarzonej przez naturę dziewczyny przyodzianej jedynie w buty na wysokim obcasie i kowbojski kapelusz.

Studnia to w Clayton fenomen. Coś równie nie na miejscu jak piłka do baseballa na meczu piłkarskim lub żetony do pokera w kościele. Jej zasadnicza konstrukcja wzniesiona została z olbrzymich kamieni przyciągniętych z brzegu jeziora Burton. Niektóre z nich są wielkości piłki plażowej. Nadano im formę sześcienną, dopasowano do siebie i ułożono jeden na drugim, wznosząc ściany, które mają co najmniej dwie stopy grubości. Dach zbudowano z wielkich, cedrowych, grubo ciosanych belek pokrytych cedrowym gontem, po którym gdzieś wije się bluszcz. Odnogi bluszczu zwisają z krawędzi dachu, akcentując ogromne drzwi główne, które prowadziły kiedyś do ładowni parowca pływającego po Morzu Północnym. Drzwi o grubości sześciu cali i wielkości prawie osiem na osiem stóp zbudowane zostały z desek o szerokości prawie stopy każda, spiętych razem żelaznymi kłami. Zawieszane są na prowadnicach i aby je przesunąć, otwierając lub zamykając, potrzeba kogoś silnego.

Miejsce zbudowane zostało przez pustelnika, który musiał chyba obawiać się wybuchu wojny nuklearnej podczas kon-

fliktu kubańskiego, ponieważ piwnica wykonana była równie solidnie jak część naziemna. Wykuta w skale, wykorzystana została przez hrabstwo jako schron przeciwoatomowy, po tym jak pustelnik wkroczył pewnego popołudnia na szlak przez Appalachy, oddalił się razem ze swoim psem w kierunku stanu Maine i nikt więcej go nie widział ani o nim nie słyszał. Z powodu swojej kamiennej konstrukcji Studnia pozostaje chłodna przez całe lato, a dzięki szerokiemu na sześć stóp palenisku jest w niej także ciepło przez całą zimę.

Pozostawała pusta przez całe lata, aż do chwili, gdy jej właścicielem został Davis Stipes. A Davis albo Mnich, jak go nazywamy, jest równie tajemniczy co zniknięcie poprzedniego właściciela. Davis jest czterdziestoparolatkiem, lubi nosić hawajskie koszule, džinsowe bermudy oraz sandały japonki. Najbardziej jednak zdumiewa fakt, że bardzo niewiele podejrzewa go o doktorat z teologii. Tak po prawdzie to ma dwa doktoraty. Jest - jak to się mówi - dzieckiem pułku. Urodził się w Anglii, gdzie stacjonował jego ojciec służący w jednostkach specjalnych SAS. Zjeździł świat bardziej niż ktokolwiek, kogo znam, studiując na uniwersytetach i w seminariach całej Europy, zniknął z pola widzenia przez większość czasu pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, spędził pięć lat w hiszpańskim klasztorze, gdzie, jak głosi plotka, złożył śluby - których dotrzymał - i nigdy się nie ożenił. Chociaż, jak mówi, pozostaje otwarty na propozycje.

Szczegóły dotyczące jego dziesięcioletniego zniknięcia nie są jasne, ale ludzie mający jakieś sekrety to tutaj nic nowego. Zarówno nad, jak i pod powierzchnią jeziora Burton znajduje się mnóstwo tajemnic. Matka i ojciec Davisa zmarli, gdy przebywał w hiszpańskim klasztorze. Pochował ich w Londynie, przy Tamizie, a gdy przeczytał testament swojego ojca, dowiedział się, że posiadali niewielką dziesięcioakrową dział-

kę na jeziorze Burton. Najwidoczniej mieli nadzieję zbudować tam dom, gdy już odejdą na emeryturę. Davis przyleciał więc do Stanów, by wystawić ją na sprzedaż, ale gdy jechał autem wokół jeziora i zaparkował na szutrowym podjeździe obok pola namiotowego, po prostu zmienił zdanie.

Gdy Studnia została wystawiona na sprzedaż, Davis znajdował się właśnie w drodze do składu budowlanego, aby kupić kilka dodatkowych śrub do rozbudowy doku, który właśnie prowadził. Przejechał przez Harley's Curve, zobaczył tablicę z ogłoszeniem i uzyskał informację, gdzie ma złożyć ofertę. Miasto chciało pozbyć się bólu głowy, a więc Davis skrzyknął paru kumpli, naszkicował biznesplan na serwetce i opowiedział im, co zamierza zrobić.

-Jedną z moich ulubionych historii jest ta, gdy Jezus spotyka przy studni kobietę. Wyobraźcie sobie tę chwilę. „Kobieta rozwiązała”, znana w całej okolicy, i w ułamku sekundy On wie o niej wszystko: o jej pięciu mężach, aktualnym narzeczonym, całym złu, które uczyniła. Tak... On o tym wiedział. Ale przemawia do niej z miłością, pomimo całego tego bagażu, z którym przyszła. Musiał być jakiś magnetyzm w tym, jak ją potraktował, bo ona chciała tam być. Jak my wszyscy była spragniona, a gdy On wciągnął na górę wiadro ociekające czystą, chłodną wodą, zanurzyła w niej swoją twarz i opróżniła je do sucha. Ludzie - mówił dalej - którzy naprawdę odczuwają pragnienie, nie chodzą do kościoła w niedzielę. Jeżdżą dookoła tego jeziora, uciekając od swoich sekretów, poszukując dobrego, spokojnego miejsca, gdzie mogą najeść się do syta. Próbuje wypełnić to puste miejsce w kształcie Boga większym domem, jeszcze jedną łodzią, kolejną kochanką, czymkolwiek. A więc podajmy im owo wiadro. Przemówmy sercem, a głowa podąży za nim. Najszybsza zaś droga do serca wiedzie przez żołądek. Chcę rozkręcić interes z boskimi cheeseburgerami.

Milcząca czwórka kumpli przytaknęła, zrzuciła się i w pięciu wykupili to miejsce od hrabstwa za sto tysięcy dolarów. Po około sześciu miesiącach prac remontowych Davis otworzył podwoje. Pierwszego dnia na wolne miejsce trzeba było czekać godzinę i od tamtego czasu stale jest tu tłoczno. W ciągu minionych trzech lat Davis tłukł swoje burgery i obsługiwał bar siedem dni w tygodniu. Gdy miał wolne, co zdarzało się rzadko, znikał w górach.

Studnia nie jest po prostu jakimś tam miejscem na postój podczas przejażdżki motorem. Nad drzwiami znajduje się niewielki, ledwo dostrzegalny napis: „Ja i mój dom służymy Panu”. A to dopiero początek. Całe miejsce stanowi dobrze zakamuflowaną reklamę Boga. Serwetki do koktajli zadrukowane są fragmentami Pisma: od Księgi Genesis aż po Apokalipsę, Biblia znajduje się na każdym stole, nazwy drinków pochodzą od imion dwunastu apostołów, przestrzeń wokół baru pokryta jest wszystkim - od Dziesięciu Przykazań począwszy, na Kazaniu na Górze skończywszy.

I podczas gdy szafa grająca pełna jest rockandrollowych tytułów, wszystkie płyty podmienione zostały na muzykę gospel. G5 może oznaczać na przykład *Heli's Bells* AC/DC, ale gdy ćwierćdolarówka wpadnie już do środka i niczego nie podejrzewająca ćma barowa wróci na swoje miejsce z kuflem piwa, myśląc, że rozprawi się teraz z tymi tekstami na ścianach za pomocą dobrego starego hard rocka, wita go Atlanta Gospel Choir pieśnią *I nawet kamień nie zapłaci w moim domu*.

Większość z podających to dzieciaki z kościoła, a we wtorkowe, czwartkowe i sobotnie poranki Davis gromadzi w środku na porannych spotkaniach z Biblią ćpunów na odwyku, cudzołożników oraz piłkarskich chuliganów. Obecnie przedzierają się przez Ewangelie i starają się przepracowywać zagadnienie przekleństw.

Davis pozwala, aby jego bar mówił sam za siebie. Nie służy mu ani za ołtarz, ani za ambonę, ale barman zawsze cię wysłucha i zagada, jeżeli zadasz mu właściwe pytanie lub gdy dostrzeże, że potrzebujesz przyjaciela. Podaje piwo i drinki, ale nigdy nie widziałem go pijącego, chociaż raczy się swoimi daniami. Krótko mówiąc: nie można pozostać obojętnym wobec tutejszego otoczenia ani jedzenia. Dotyczy to także mnie i Charliego.

Porozmawiajmy o stronie biznesowej. Opancerzona furgonetka odwozi utarg dwa razy w tygodniu. Przy takiej ilości pieniędzy, która tędy przepływa, można by sobie pomyśleć: „No tak, niezły zysk. Czy to aby nie przekręt... może wykorzystuje całą tę religię i cytaty z Pisma, aby napychać własną kieszeń?”. Ale my wiemy lepiej. Davis współpracuje z inwestorami, którzy nadzorują finanse, a on może koncentrować się na tym, co robi najlepiej - napełnianiu wiadra. W rezultacie Davis nie tknie nawet grosza. Odbiera odpowiednią pensję z kwartalną premią na podstawie dochodu netto i nie dałby rady niczego przywłaszczyć, nawet gdyby chciał.

Ogromny, ociekający chromem harley Davisa stał przy drzwiach frontowych, gdy wjechaliśmy z Charliem na zajęty do połowy parking. Zatrzymałem się obok dekadentckiego cadillaca Sala Cohena i weszliśmy do środka. Postaci czterech facetów wciśnięte były pomiędzy stoły do bilarda, a ich baseballówki majaczyły na tyłach sali. Rozmawiali z przy-mrużonymi oczami, a z ust dyndały im papierosy. Chmura dymu wisząca tuż nad nimi kłębiła się wolno pod jedynym wentylatorem ściennym, który zasysał powietrze z wnętrza baru. Cwierćdolarówki ułożone w stosy, ustawione w rzędzie na zielonym, aksamitnym suknie, mówiły mi, że byli tu przez cały wieczór.

Na ścianie nad barem wisiał do góry nogami największy na świecie pancernik. Długości prawie trzech stóp i pew-

nie wazący, zanim zginął pod kołami na szosie, dwadzieścia pięć funtów. Cóż, był ze trzy razy większy niż jakikolwiek pancernik, którego widziałem w życiu. Wszyscy miejscowi mówili na niego Trendy, ponieważ wiadomo, że pancerniki przenoszą trąd, ale ja nazywałem go po prostu Spaślak, bo taki był.

Jakaś zamiejscowa para siedziała przy stole pod ścianą, trzymając się za ręce, ubrana w wypicowane, skórzane wdzianka, nieużywane buty Dingo, apaszki typu bandana i czarne T-shirty, które pewnie kupiono na festynie motocyklowym rok wcześniej. Miejscowi nazywają takich „niedzielnymi wojownikami z Atlanty”.

Davis stał, pocąc się, w białym, poplamionym tłuszczem fartuchu, jedną ręką przewracając wypełniające ruszt hamburgery, a drugą tłukąc nowe. Gdy pojawiliśmy się w drzwiach, pomachał do nas łopatką. Charlie stuknął w podłogę swoją laską, badając położenie krzeseł na drodze do baru.

- Głodni? - zapytał przez ramię Davis.

- Zjadłbym konia z kopytami - odpowiedział Charlie.

- No - Davis uśmiechnął się i potrząsnął głową, aby uniknąć dymu. -
Toś mi brat.

Zauważyłem Sala, poklepałem go po ramieniu i usiedliśmy obok niego przy barze. Davis nalał mi sprite'a z saturatora, a Charliemu przygotował „Świętego Piotra” - Johnny Walkera z czarną etykietą z wodą sodową.

Davis nie miał nic przeciwko picciu, jeżeli czuł, że nie jest to dla ciebie problem. Jeżeli był, a on to zauważył, no to wtedy obsłużył cię, ale tak, że nic z tego nie miałeś. Picie nigdy nie było dla mnie wyjściem. Było jednak, można powiedzieć, ryzykiem zawodowym. Ale nic się pod tym względem nie zmieniło również wtedy, gdy zmieniłem zawód.

Po naszej lewej stronie siedział Sal, zmagający się ze swoim cheeseburgerem, co biorąc pod uwagę tempo i roz-

miar kęsów, mogło zabrać mu dużo więcej niż pół godziny. Po mojej prawej stronie ślęczał jakiś kościsty nieznajomy z łojotokiem, wpatrzony w trzy puste kufle po piwie i starający się zrozumieć coś z wersetów Pisma, wydrukowanych na swoich koktajlowych serwetkach. Davis obezwładnił go popcornem, fistaszkami i tymi serwetkami, najwidoczniej nieźle sobie z nim radząc.

A co do pustych kuflów - tak naprawdę nie wypił całych trzech piw. Myślał, że tak, ale zawartość alkoholu została nieco zmodyfikowana. Właściwie to nawet bardzo. Nieznajomym, którzy są „w wymaganym wieku”, Davis podaje to, o co proszą. Prawdziwe piwo. Przynajmniej do momentu, gdy wydaje się, że naprawdę go potrzebują. Później dodaje do niego nieco wody, mieszając zwykłe paliwo z bezołowiowym, jak zwykli to robić na stacjach O'Doul's. Miesza się je pod barem i nalewa przez pipę. Co ważne, wygląda ono jak zwykłe piwo, aby gość, pijąc je, niczego się nie domyślił. Na początku trochę się pieni, ale piana szybko opada. Goście, którzy „nie są jeszcze w wymaganym wieku”, co Davis zauważa już z odległości mili, dostają od razu piwo bezalkoholowe.

Nieznajomy obok był idealnym tego przykładem. Davis przejrzał go już w momencie, gdy przechodził przez drzwi, a jego wyraz twarzy na widok chłopaka mówił mi, że zaczął się o niego niepokoić. Zazwyczaj po trzech piwach powinno już zaszumieć mu w głowie, ale tego wieczoru było inaczej.

- Jak tam łódź? - zapytał Davis, krojąc pomidory.

Sal ożywił się i nachylił ucha w naszą stronę, dziobiąc jedzenie widelcem i przeżuując niczym krowa na pastwisku w tempie równie wolnym co muzyka gospel sącząca się z grającej szafy. Sal robił wszystko w jednym tempie - swoim własnym - ale w jego wieku każdy to rozumiał. Może i było wolne, ale skuteczne. I jeszcze jedno, każdy mógł na nie liczyć. I tak też było.

- Zbliżamy się do końca - powiedział Charlie. - Jeszcze parę dni. To znaczy - wskazał na mnie kciukiem - jeżeli uda mi się przekonać naszego idola, aby skoncentrował się na robocie.

Davis odwrócił hamburgera i spojrzał na mnie.

- Słyszałem, że znalazłeś się ostatnio w mieście w centrum uwagi. I że znowu miałeś na sobie tę swoją czapeczkę.

Wiatromierz w kształcie nagiej dziewczyny na szczycie dachu, neony „Golizna na całego” oraz „Zabawki dla dorosłych” w oknach, a z drugiej strony niereklamowane praktyki Davisa podczas nalewania alkoholu mogą rodzić wątpliwości, czy on aby nie oszukuje ludzi, pokazując jedno, a oferując drugie? Czyli że oszukuje, nazywając sprawy po imieniu? Wszak w rzeczywistości nie uświadczysz w barze Davisa nikogo nago; nawet kawałek nagiej skóry, nie licząc Charliego, któremu czasami widać kawałek brzucha podczas jego wieczornych popisów wokalnych przy mikrofonie. Jedyne zabawki dla dorosłych to stół bilardowy i kilka tarcz do gry w darta. A gdy kupisz budweisera, to istnieją spore szanse na to, że nie dostaniesz stuprocentowego budweisera.

Jeżeli go zapytać, Davis przyzna się do wszystkiego. On jedynie koncentruje się na swojej docelowej klienteli i wie, jak ją pozyskać. Nie twierdę, czy to dobrze, czy to źle, i nie chcę przez to powiedzieć, że cel uświęca środki, ale on z oddaniem wysyła ludzi do nieba. A biorąc pod uwagę frekwencję na jego spotkaniach z Biblią w ciągu tygodnia, rezultaty mówią same za siebie. I nawet jeżeli trzeba przy tym rozpaść wyobraźnię klientów i oszukać ich na chrzczonym piwie, Davis spokojnie staje przed Bogiem, przyznając się, co zrobił. Taki jest Davis.

Gdyby mieszkał w Niemczech podczas drugiej wojny światowej, byłby jednym z tych, którzy otwierają, słysząc walenie do drzwi, i informują esesmana, że w domu nie ma

żadnych Żydów, podczas gdy piwnica pęka w szwach od ośmiu lub dziesięciu rodzin o nazwiskach Hananiah, Azariah i Mishael.

W gruncie rzeczy Davis nie jest zainteresowany ludźmi, których nie przyciąga obietnica wielkich piersi, zimnego piwa i możliwości zakosztowania jednego i drugiego. I z tego powodu jego docelowa klientela to ci, którym wydaje się, że nie mogą bez tego żyć.

Davis napełnił kolejny kufel dzieciakowi siedzącemu obok mnie, podał mu kolejną serwetkę i wycofał się w kierunku rusztu, na którym dochodziło sześć lub osiem średnio wysmażonych hamburgerów. Nieznajomy uśmiechnął się do Davisa, spojrzął w moim kierunku i zaczął czytać swoją serwetkę.

Sięgnąłem po wykałaczkę i włożyłem ją sobie do ust. Trzy szerokokatne telewizory wisiały za barem, transmitując rozgrywki baseballa i pojedynki bokserski wagi średniej.

Gdy Davis odwrócił się tyłem, kościsty nieznajomy pochylił się w moim kierunku i zaklął:

- Hej, koleś, co to za knajpa? Ten gościu za barem jest chyba naćpany. Brzmi jak jakiś klecha. I o co chodzi z tymi serwetkami i całym tym religijnym czary-mary powypisywanym na ścianach?

Nie znałem go, ale nieznajomy przeklinał jak ktoś, kto chciałby ukryć kompleks niższości, którego nabawił się gdzieś indziej.

Skinąłem ręką, wskazując na Davisa, i szepnąłem:

- Mnich zna się na swojej robocie, ale tego nie okazuje. Spróbowałeś już hamburgera?

Nieznajomy pokręcił głową.

- Spróbuj. Warto, bez względu na werbalne zniewagi właściciela, które trzeba znosić.

- Słyszałem to - powiedział Davis przez ramię. Nieznajomy uśmiechnął się i powiedział:

- Barman, wezmę to samo co on.

Davis ponownie zrobił unik przed dymem znad rusztu, mówiąc:

- Trzy „Transplantacje”, się robi.

Obracając się na barowych stołkach, razem z Charliem pogadaliśmy niezobowiązująco z nieznajomym, który, jak się okazało, miał szesnaście lat i nazywał się Termidor Cain.

- Ale - wyszeptał - wszyscy mówią na mnie Termit. Wyglądał na dwudziestopięciolatka, miał kilkudniowy

zarost, blizny na kłykciach i podrobiony dowód tożsamości na potwierdzenie wieku. Problem polegał jednak na tym, że zdradzały go oczy. Powiedział, że właśnie przyjechał do miasta w poszukiwaniu pracy, uciekając przed mężem jakiejś kobiety znad jeziora Lanier. Jego nos był długi, spiczasty, wijący się wzdłuż twarzy niczym górską serpentyną. W pewnym miejscu uległ złamaniu - poważnemu - i wyglądał jak litera S, z podstawą odchyłoną prawie o cal w stosunku do nasady pomiędzy oczami. Wątpię, czy ważył ze sto dwadzieścia pięć funtów, nawet zmoknięty. I miał w zwyczaju - którego pewnie nabył niedawno - oglądać się za siebie.

- Termit - wtrącił się Davis, podsuwając mu pod nos talerz -wcinaj.

Termit rzucił się na jedzenie jak ktoś, kto właśnie zakończył trzydniowy post.

Zwróciłem uwagę na jego dłonie, pokryte odciskami i plamami po smarze. W porównaniu z resztą jego mizernego ciała rozmiar i siła jego rąk wydawały się nieproporcjonalnie duże. Pomachałem na niego widelcem.

- Czym się zajmujesz, gdy nie pijesz piwa, nie jesz cheeseburgerów i nie uciekasz przed wkurzonymi mężami?

Spojrzał szybko za siebie, nikogo nie zobaczył, wpackował do ust kolejny wielki kęs i wymamrotał:

- Silnikami.

- Budujesz je? - zapytałem. Wzruszył ramionami:

- Robię wszystko.

- Znasz się na silnikach do łodzi? - zapytał Charlie. Spojrzał na nas z nonszalancką pewnością siebie.

- Na każdym silniku. Rodzaj nie ma znaczenia. Powiedziałbym, że moją specjalnością są silniki do łodzi typu Jet Ski, motocyklowe i do szybkich łodzi, jak to mówią, cigarette boats, bo lubię wszystko co szybkie - pomachał widelcem w powietrzu i wycisnął jeszcze więcej musztardy na swojego hamburgera: - Ale rodzaj nie ma znaczenia.

Wskazałem na południe w kierunku Charlie Mountain Road:

-Jeżeli jesteś dobry, to ludzie z Anchorage Marina zawsze szukają mechaników. Zdaje się też, że nieźle płacą. A to jezioro pełne jest bogatych dzieciaków, które rozbijają drogimi Jet Skis, nautique'ami i osiemdziesięcioletnimi łodziami swoich tatusiów.

Termit skinął głową, słuchając, ale nie unosząc nawet wzroku. Nie wydawało się, aby potrzebował udowodniać, że zna się na silnikach, co prawdopodobnie oznaczało, że naprawdę się zna. Najpewniej silniki to nie była dziedzina, w której musiał znosić upokorzenia.

W dziesięć minut pochłoniął większość kolacji, która zazwyczaj zabiera mi prawie czterdzieści pięć minut, o ile narzucę sobie odpowiednie tempo. Opróżnił talerz do czysta, a potem zastukał widelcem w kufel do piwa jak doświadczony pijak.

Davis podał mu szóste „piwo”, a Termit wypił je z całą tą pewnością siebie, która charakteryzuje nieletnich pijaków.

cych. Sztubacki dzieciak, którego trzeba było przestawić na właściwy tor, zanim skończy w celi z jakimś kolesiem z piętrowej pryczy imieniem Butch, wyciskającym na ławeczce pięćset funtów i lubiącym zwracać się do innych per „Sue”. Gdy skończył piwo, wyciągnął papierosa z paczki, którą miał w kieszeni, i włożył go sobie do ust w stylu Jamesa Deana, następnie zapalił srebrną zapalniczką Zippo, którą zamknął z trzaskiem o udo w sposób wyćwiczony wcześniej na użytek publiczny, zanim wsunął ją z powrotem do kieszeni.

W ciągu ostatnich czterech lat Davis zasięgał języka i eksplorował temat w wystarczającym stopniu, aby dowiedzieć się, że miałem sekret i że Charlie wiedział, co to było. Po około trzech latach wiercenia mi dziury w brzuchu, gdy przyjął do wiadomości, że nie zamierzam o tym opowiadać, okazał się wystarczająco wyrozumiały, aby już zbytnio nie nalegać. Chociaż nie znaczy to, że zaprzestał wszelkich prób, gdy tylko nadarzała się okazja.

- No... - Davis pochylił się nad barem i przystawił do mnie swój nos na odległość jakichś trzech cali. - Jak się dzisiaj mamy? - Spuścił serwetkę najedzenie na moim talerzu, czekając, aż ją przeczytam.

Podniosłem ją i zbliżyłem do światła. Pierwszy List św. Jana, rozdział pierwszy, wersy: ósmy i dziewiąty. Znałem ten fragment, ponieważ Davis rzucił go tutaj już wcześniej.

Termit poklepał mnie po ramieniu, pochylił się, jakby próbował ściągać na egzaminie, i szepnął:

- Co pisze na twojej?

Ułożyłem serwetkę na kontuarze i pociągnąłem łyk sprite'a. Nie patrząc na niego ani na serwetkę, powiedziałem:

-Jeśli mówimy, że nie mamy grzechu, to sami siebie oszukujemy i nie ma w nas prawdy. Jeżeli wyznajemy nasze grzechy, Bóg, jako wierny i sprawiedliwy, odpuści je nam i oczyści z wszelkiej nieprawości.

Termit wychylił resztkę swojego piwa, wytarł usta rękawem i powiedział:

- Powinniście się, kurde, leczyć.

Charlie uśmiechnął się tylko i pokręcił głową. Sal uśmiechnął się także, podziobał w swoim jedzeniu, kiwnął na znak poparcia i kontynuował jedzenie w tym samym tempie.

Podzieliłem swoją porcję widelcem na mniejsze kawałki wielkości kęsów, a Davis otworzył sobie butelkę wody mineralnej i mrugnął do Termita, który zdawał się nieco zagubiony w całej tej sytuacji.

Otarłem usta rogami serwetki i wpatrywałem się w swój talerz.

- Mnichu - powiedziałem - grzechów mam sporo i wszystkie dobrze udokumentowane, ale zabiorę je ze sobą do grobu.

Davis nachylił się bliżej:

- Zobaczymy, ostatnio, gdy się rozstawaliśmy, wspomniałeś coś o tej szkole, do której poszedłeś.

Nic takiego nie mówiłem i Davis o tym wiedział. Charlie pochylił się w kierunku Termita, mówiąc:

- Stary, niech Mnich lepiej na ciebie nie mruga. Siedział jakiś czas w klasztorze z setką innych facetów w długich kieckach i... no, wiesz, co mówią.

Termit spojrzał na Davisa:

- Bez żartów?

Davis skinął głową, nie odrywając oczu od swoich hamburgerów, które dochodziły do idealnej postaci.

-Jakieś dwie godziny jazdy z Sewilli, w górach.

Uwaga Charliego poczyniona z przymrużeniem oka przyniosła dwie korzyści: sprawiła, że nie musiałem oganiać się od Davisa i skoncentrowała na nim uwagę reszty. W pewnym sensie Charlie mnie ubezpieczał. Zastanawiałem się, czy robiłby to, gdyby znał całą prawdę.

- Klasztor... - powtórzył Termit. - Po co robić coś tak głupiego?

Davis odwrócił się, zastanawiając się nad odpowiedzią, zanim odparł:

- Spierałem się z Bogiem. Odezwał się Charlie:

- Co okazuje się znacznie trudniejsze, gdy milczy się przez pięć lat.

Termit wyglądał na skołowanego.

- Złożył ślub milczenia - wyjaśniłem.

Termit zrobił wielkie oczy, spojrzął na podłogę, na nas wszystkich, a następnie znowu na Davisa:

- Przez pięć lat słowem się nie odezwałeś do drugiego człowieka? Nawet po cichu?

- To nie całkiem tak. Rozmowa ma swój czas i miejsce. Chodzi bardziej o życie w atmosferze ciszy. Ale tak, zgadza się. Tak właśnie było. Przez pięć lat, cztery miesiące, trzy dni, osiemnaście godzin i... - Davis zastanowił się przez chwilę - parę minut.

Termit zaczął zdradzać oznaki zainteresowania, ale spojrzął na nas, dając do zrozumienia, że wie, gdy ktoś próbuje mydlić mu oczy.

- A więc gdy w końcu znowu zacząłeś mówić, co najpierw powiedziałeś?

Davis zapatrzył się w przestrzeń, a następnie odezwał:

- Przepraszam, chciałbym rozmiąć dwudziestkę.

Termit zaśmiał się, zapalił kolejnego papierosa zwisającego z ust i trzasnął zapalniczką o udo. Przez następne dziesięć minut Davis opowiedział mu skróconą wersję swojej historii, jak czynił to już w przypadku stu innych Termitów. Niesamowitą rzeczą w historii Davisa było to, jak bardzo różniła się od wszystkich innych opowieści z haczykiem, które słyszałem. Nie rozwijała się za każdym następnym razem. Pozostawała

tak samo prawdziwa. Była wyrazem świadectwa wiary Davisa w to, że prawda wystarczy.

Termitowi podobały się wszystkie te fragmenty o podróżach po świecie, egzotycznych, dalekich miejscach i sposobach szmuglowania przez Davisa Biblii za żelazną kurtynę, gdy ta jeszcze istniała. Termit pomyślał przez chwilę.

- Byłeś w Hiszpanii, zgadza się? Davis skinął głową.

- Tej niedaleko Włoch?

- Dość blisko.

- Mają tam plaże dla nudystów? Davis przytaknął.

- Tak, chociaż osobiście nie sprawdzałem.

- Chcesz mi powiedzieć, że w czasie tych wszystkich podróży, nie byłeś na żadnej plaży dla nudystów.

Davis pokiwał głową.

- No, a nie pomyślałeś, że tam też mogą potrzebować Biblii?

- Tak, ale istnieje pewnie sposób, aby dotrzeć z nią do nich, gdy są jeszcze ubrani.

Davis postawił przed nim miskę, mówiąc:

- Poczęstuj się krążkami cebulowymi.

Podczas gdy Termit pochłaniał krążki cebulowe, Davis opowiadał mu historię ucieczki przez Alpy przed wschodniemiecką milicją, o bezpiecznym powrocie, pogrzebie rodziców, przylocie tutaj, kupnie baru, swoich milczących współników, porannych spotkaniach z Biblią oraz - Davis postukał łopatką w szklanę Termita - o jego bezalkoholowym piwie.

Termit rozejrzał się dookoła, pojął, o co chodzi, spojrzął przed siebie na siedem pustych kufli po piwie, a następnie na Charliego i na mnie, którzy słyszeliśmy tę historię już dziesiątki razy. Walnął pięścią o kontuar:

- Ściemniacie, kolesie.

Gdzieś w głowie Termita pojawiała się niekonsekwencja pomiędzy tym, co usłyszał - historią człowieka, który ryzykował życie, aby wwieźć Biblię do kraju pogrążonego w komunizmie - a tym, gdzie to usłyszał - w knajpie ze striptizem. Pośród tego wiatromierza w kształcie dziewczyny z wielkimi balonami na dachu, neonami w oknach, stołami do bilarda, popielniczkami, harleyem przed wejściem, obietnicą zimnego piwa i nagich kobiet Termit przeżywał ciężkie chwile. Spojrzał na nas i uniósł ręce do góry:

-To jakiś kawał i niedługo zobaczę tu naprawdę wielkie balony podrygujące na stole do bilarda i zacznij mi szumieć w głowie, zgadza się?

Charlie objął mnie ramieniem, włączając się do rozmowy:

- Koles, jeżeli miałbyś tu zobaczyć jakieś piersi, to tylko Reese'a albo moje, jak zdejmujemy koszule. Ale - zastukał w kontuar swoją złożoną laską - jeżeli miałoby cię to uszczęśliwić, to ja mogę zatańczyć na barze.

-Jasne - powiedziałem - nie zakosztowałeś jeszcze prawdziwego życia, jeżeli nie widziałeś Charliego malującego sobie pępek szminką i wykonującego swoje popisowe solo z brzuchem na wierzchu.

Termit wyprostował się na krześle, a jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki:

- Chcecie mi powiedzieć, że... nie lubicie dziewczyn? Charlie objął mnie za szyję i pocałował centralnie w policzek.

- O w mordę, nie wierzę. Jestem w cholernej knajpie dla ciot. Kolesie na kwaterze nigdy mi nie uwierzą - Termit wstał i postawił krzesło barowe pomiędzy siebie a nas, podczas gdy jego oczy przeczesywały bar w poszukiwaniu bardziej poręcznej broni. — Muszę sobie ulżyć. I to na dłużej - Termit

oddalił się do łazienki, spoglądając za siebie: - I żeby mi żadna z was za mną nie laźła, miłe panie.

Zniknął w łazience, a my wszyscy zaczęliśmy się śmiać. Nawet Sal, który spojrział na Davisa, mówiąc:

- Zdaje się, że przez to twoje niekonwencjonalne podejście masz teraz po prostu kłopot.

Davis uśmiechnął się, wzruszył ramionami i wytarł kontuar. Po chwili lub dwóch odezwał się:

- Ludzie, którzy umierają z pragnienia na pustyni, zrobią prawie wszystko za jeden łyk wody. A ten dzieciak - wskazał w kierunku łazienki - nie pił od bardzo dawna.

Kilka minut później Termit wyszedł z toalety z nerwowym błyskiem w oczach. Koszulę wsunął do spodni i ciasno zapiął sobie pasek. Podszedł do drugiego końca baru, wyciągnął z kieszeni zwitek jednodolarowych banknotów i powiedział:

- Ty, dobry człowieku, ile ci jestem winien? Davis nie przerywał wycierania kontuaru.

- Popatrzmy, za jedną „Transplantację” i siedem piw -spojrział w sufit, sprawiając wrażenie, że liczy. - Wychodzi jedno spotkanie we wtorek rano.

- Co? - Termit spojrział zmieszany, a potem cofnął się i pokazał na nas wszystkich, machając palcem wycelowanym niczym pistolet. - Wiedziałem, że wy, goście, jesteście geje.

- Synu - odezwał się Davis - nic nie jesteś winien. Ale jak cię to interesuje, to prowadzę tu spotkania w każdy wtorek, czwartek i niedzielę rano. Przedzieramy się przez fragmenty Ewangelii, studiujemy słowa zapisane tam na czerwono i czuj się zaproszony. Za każdym razem, gdy wpadniesz, masz jeden posiłek gratis.

Davis uniósł kufel i uśmiechnął się: -1 tyle piwa, ile zdołasz wypić. Termit potrząsnął głową.

- Akurat, słowa na czerwono czy nie, płacę swój cholerny rachunek. Nic wam nie jestem winien, żalosne cioty. Chcecie mnie zwabić na jakąś gejowską imprezę we wtorek. Widziałem takie rzeczy w *Glinach* i nie wchodzę w to. Nabieracie mnie na piwo i jedzenie, a potem dowiem się, że któryś wcisnął mi swojego wacka i skończę w sukience, pozując do zdjęć.

Termit zaczął rzucać na kontuar jednodolarowe banknoty, licząc tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to palce.

- Masz, tutaj masz trzydzieści dolarów - spojrzał na Da-visa: - Jesteśmy kwita?

- Chłopcze, nie musisz mi płacić.

- Nie jestem twoim chłopcem ani twoją dziewczyną. Jesteśmy już kwita?

Davis skinął głową:

- Jesteśmy kwita.

Termit wycofał się rakiem, wychodząc przez drzwi wahadłowe. Przyglądaliśmy się mu przy barze, gdy zarządził swoim camaro i sygnął szutrem na podjeździe, z radiem dudniącym przez otarte okno *Sweet Home Alabama* Lynyrd Skynyrd.

Davis pokręcił głową:

- Zawsze robiłem, jak śpiewają w tej piosence - powiedział.

Charlie spróbował go rozweselić:

- Wróci. Widziałeś, jak się uwinął z „Transplantacją”? Davis skinął głową:

- To pewnie dobry dzieciak, który jak my wszyscy, znalazł się na rozdrożu. Jeszcze kilka decyzji i skieruje się drogą, która jest naprawdę stroma i trudno na niej zawrócić, gdy się okaże, że to ślepa uliczka.

Zostawiliśmy z Charliem na barze dwadzieścia dolarów.

- Hammermill trzyma nas na muszce, żeby jego łódź była gotowa i mógł sprawdzić, czy chłopaki z Blue Ridge zasługują na swoją pensję - powiedziałem.

Davis nalał mi strzemiennego sprite'a, a następnie zaczął nalewać piwo trzem stałym klientom, którzy weszli do środka tuż po tym, jak wybiegł stąd Termit.

- Co mu się stało? - zapytał jeden z nich Davisa, wskazując w kierunku oddalającej się chmury kurzu. - Pokazałeś mu jego odbicie w lustrze?

Davis wzruszył ramionami i spojrzał prosto na mnie:

- Nie musiałem. Myślę, że właśnie przed tym ucieka.

Zaparkowałem tuż obok drutu przewodnika, który wyglądał jak ogrodzenie pod napięciem i prowadził do frontowych drzwi domu Charliego, ale on tak naprawdę go nie potrzebował.

Odwrócił się w moim kierunku:

- Odezwała się już ta kobieta? Ta od tej małej dziewczynki? Annie, jeśli dobrze pamiętam.

- Skąd o niej wiesz?

- Dratwa, ja jestem ślepy, a nie głuchy. Potrząsnąłem głową.

- Nie - odparłem. - Powiedziałem, żeby zadzwoniła w przyszłym tygodniu, to zabiorę je na przejażdżkę łodzią Hammermilla.

- Myślisz, że zadzwoni?

- A skąd mam wiedzieć?

Charlie uśmiechnął się, wysiadł z samochodu i obrócił w miejscu, mówiąc w końcu to, co chciał powiedzieć przez cały dzień:

- 4 lipca już za kilka dni.

- Wiem - powiedziałem cicho.

- Nerwy na wodzy?

- Pracuję nad tym.

- Ile to już lat?

- Dobrze wiesz.

Charlie skinął głową, a jego spojrzenie powędrowało w kierunku jeziora, jak gdyby mógł je zobaczyć. Wyciągnął swoją laskę z tylnej kieszeni spodni, machnął nią niczym jo-jo, rozkładając, a następnie zastukał nią w drzwi samochodu:

- Listy są po to, żeby je czytać, wiesz? Ludzie dlatego je piszą.

- Wiem - powiedziałem, spoglądając w dół na swoje kolana.

Charlie uśmiechnął się.

- Chcesz, żebym go za ciebie przeczytał i powiedział ci, co tam jest napisane?

Wrzuciłem bieg i powiedziałem:

- Hej, Georgia podrzuciła ci całkiem ładny parujący prezencik tuż pod drzwiami. Powodzenia w poszukiwaniach.

Charlie wystawił nos na powietrze, uśmiechnął się znowu i poszedł. Jego pytania powiedziały już wystarczająco dużo.

Zjechałem z jego podjazdu i zacząłem oddalać się od domu. Po jakimś czasie wjechałem na przyszpitalny parking, który oświetlała tylko jedna żółtawa latarnia. Zaparkowałem na uboczu i zauważyłem stróża wyzymającego mop przy tylnym wejściu. Oczekałem, aż skończy, zwietrzyłem swoją szansę i wślizgnąłem się tuż za jego plecami, zanim drzwi się zatrzasnęły. Szpitale to miejsca, w których dużo się dzieje i można się w nich przemykać stosunkowo łatwo, nie będąc zauważonym, jeżeli wygląda się na kogoś, kto wie, czego chce. Jeżeli się zawahacie, zostaniecie przyłapani.

Mijając jakieś puste pomieszczenie, sięgnąłem za drzwi i natrafiłem na biały kitel zawieszony na haczyku. Włożyłem go i znalazłem stetoskop zwinięty w kieszeni. Zawiesiłem go sobie na szyi, odwiedziłem łazienkę, gdzie zaczesalem do tyłu włosy, i skierowałem się pewnym krokiem, acz nie za szybko, w stronę pokoju Annie. Chciałem wyglądać na zajętego, ale nie nazbyt zajętego. Coś w rodzaju „zajętego na luzie”.

Wysunąłem kartę informacyjną z koszulki i poszedłem dalej prawie tak, jakby wysłano mnie odebrać pocztę. Minałem dyżurkę pielęgniarek, nie zapominając o przelotnym powitaniu, następnie skręciłem za róg i zniknąłem w kolejnej łazience. Zamknąłem się w kabinie i zacząłem przeglądać dokumentację Annie. Trzy minuty kartkowania stron wystarczyło, abym dowiedział się wszystkiego, co potrzebowałem. Odłożyłem papiery na miejsce i zniknąłem przez te same tylne drzwi, przez które wszedłem.

Gdy wróciłem do domu, podszedłem do szafki i wyciągnąłem z niej starą walizkę na narzędzia. Będąc dziećmi, znaleźliśmy ją razem z Emmą na strychu, zakurzoną i pustą, ze skórzanym paskiem do noszenia, w którym widniało niewielkie nacięcie. Naszywka na wieku zaopatrzonym w drewniane zawiasy miała napis: *Circa 1907*. Walizka była w przeważającej części wodoodporna i znajdowało się w niej mnóstwo miejsca na rzeczy, które stanowiły dla mnie wartość - na przykład książki.

Wyjąłem jej list i poszedłem na nabrzeże, trzymając kopertę blisko serca. Podsunąłem ją sobie pod nos, wciągnąłem powietrze i skłamałem przed sobą nieskończoną ilość razy. Gdy otworzyłem oczy, zauważyłem, że wciąż mam na sobie biały lekarski kitel.

ROZDZIAŁ 129

Kiedyś podczas przygotowań do Bożego Narodzenia kupiłem kadłub starego dwuosobowego kajaka, który swoje dobre dni miał już za sobą. Ustawiłem go na dwóch kozłach w warsztacie i zacząłem spędzać nad nim noce, kształtując i wymieniając wręgi, deski w dnie, siedzenia, wiosła, zamki, wszystkie ruchome części lub to, co służyło jako punkt oparcia. W rezultacie zbudowałem nową łódź, wzorując się na starej. Był to ten typ projektu, który zmienia się w trakcie jego realizacji. Nigdy wcześniej nie remontowałem łodzi, ale znałem się co nieco na wiosłowaniu i pomyślałem, że mogłoby to w jakiś sposób pomóc Emmie oraz mnie i wzmocnić jej serce. W pierwszy dzień świąt poszliśmy wzdłuż strumyka nad jezioro. Tam odsłoniłem jej oczy i zaprowadziłem ją na nabrzeże, gdzie ulokowałem łódź. Na burcie wymalowałem za pomocą szablonu napis ***HMS Emma***.

Delikatnie odbiliśmy od brzegu. Wiosłowała tak długo, jak była w stanie, czyli niezbyt długo, a ja obserwowałem jej plecy, krótkie, cienkie włosy opadające wzdłuż linii ramion oraz tak oczywiste, zawsze widoczne zmagania pomiędzy jej duszą a naczyniem, w którym się znajdowała.

Wiedziałem, że jej serce słabnie. Podpowiadał mi to jej kolor oraz oddech. Wkrótce nasze wiosłowanie stało się dla Emmy bardziej wycieczkami w plener, podczas których szkicowała, a dla mnie podwójnym wysiłkiem. Dzięki temu

zostałem członkiem klubu wioślarskiego i dowiedziałem się, że w przeciwieństwie do niej, moje serce nie jest słabe. Pracuje całkiem nieźle. Właściwie to lepiej od większości innych. Podwójny ciężar podczas wiosłowania działał cuda z moim sercem i płucami, nie wspominając już o ramionach, plecach i nogach. Tamtego roku zająłem trzecie miejsce podczas stanowych wyścigów jedynek. Ale podczas gdy ja zyskiwałem dzięki wiosłowaniu po jeziorze z nią na pokładzie, spoglądając na jej plecy, przenikając do wnętrza jej klatki piersiowej, wiedziałem, że jej choroba postępuje.

ROZDZIAŁ 131

W miarę jak stan i wygląd zewnętrzny Emmy zmieniał się, pogłębiała się u jej mamy frustracja współczesną medycyną oraz jej reprezentantami, lekarzami, co oznaczało, że stawała się coraz bardziej skłonna do poszukiwań jakiejś alternatywy. Siedzieliśmy z Emmą w jej pokoju, nasłuchując poprzez przewody wentylacyjne szeptów jej rodziców, dyskutujących o szansach córki oraz rosnących wydatkach pomimo dwóch etatów ojca. Ich dotychczasowe wyjazdy do Atlanty dwa razy w miesiącu stały się teraz rzadsze, a dodatkowe kuracje eksperymentalne przerwano. Gdy wyczerpały się możliwości medyczne i finansowe, zaczęli szukać pomocy, zwracając się w stronę ruchów odnowy duchowej.

Wielebny Jim Tubalo, samozwańczy uzdrowiciel, przemierzał Południowy Zachód długim, purpurowym autobusem, ubrany w trójrzędowy garnitur, z błyszczącym zegarkiem na rękę, z długimi, białymi włosami oraz podejściem do finansów typu „co łaska”. Wraz ze swoją świtą i namiotami odbywali właśnie jedną z dwóch dorocznych wizyt w mieście z zastrzeżeniem, że spędzą „tutaj tylko trzy wieczory” i rodzice Emmy zabrali nas z domu przed piątą. Początek wieczoru zastał nas na samym środku pierwszego rzędu z mamą Emmy wiodącą nas na czoło kolejki. Bałem się, ale przesuwałem

do przodu - z zamiarem obrony Emmy zarówno przed jej mamą, jak i facetem o białych włosach.

Pośród jasnych świateł, głośnej muzyki i jeszcze głośniejszych pokrzykiwań Wielebny Jim złożył na Emmie swoje dłonie i od razu przeraził ją prawie na śmierć. Pochwycił za ramiona, a następnie zaczął krzyczeć coś wprost do jej uszu i uderzać w czubek głowy swoją Biblią. Trwało to jakieś pół minuty, podczas gdy pani O'Connor trzymała Emmę za ramię, a pan O'Connor próbował dociec, czy Wielebny pomaga córce, czyjej szkodzi. Kaznodzieja właśnie zamierzał uderzyć Emmę w głowę po raz ostatni, gdy jej tata, człowiek dość słusznej postury, sięgnął i pochwycił go za rękę.

- Proszę nie brać tego do siebie, ale jeszcze raz uderzy pan moją córkę, a każę panu zjeść tę Biblię.

Wielebny Jim zamknął oczy, uniósł ręce i wrzasnął:

- Dzieęęęęęki Ciiiiiiiiiii, Jeeeeeeeeezu! Jest uleczona.

Przechadzał się po scenie w taki sposób, jak gdyby próbował zetrzeć z podeszwy obu butów przyklejoną tam gumę do żucia, przy wtórce oklasków zgromadzenia i dudniącej muzyki. Spojrzał na mamę Emmy oraz na jej tatę i powiedział:

- Pan przemówił do mnie - pokiwał głową i potrząsnął nią kilka razy, mruczając coś do siebie, a następnie odwrócił się ponownie do jej rodziców: - Właśnie powiedział mi, że wasza mała dziewczynka jest uleczona. Niemoc, podła choroba opuściła jej ciało.

Tata Emmy delikatnie ujął ją za rękę, mówiąc: „Chodź kochanie. Przepraszam”, i sprowadził nas ze sceny, podczas gdy Wielebny Jim obwieszczał zgromadzeniu kolejne uzdrowienie.

Przebrnęliśmy przez pole parkingowe, którego zapach przypominał bardzo pastwisko dla krów, i zapakowaliśmy się na tylnym siedzeniu kombi O'Connorów, gdzie Emma i ja znaleźliśmy się w krzyżowym ogniu zażartej dyskusji jej

rodziców. Mama Emmy próbowała zapewniać tatę, którego nie przekonywało całe to przedstawienie, że człowiek ów naprawdę potrafił uzdrawiać ludzi.

Tata Emmy słuchał, a następnie spojrzął w lusterko wsteczne.

- Kochanie, nie zrozum mnie źle. Nie twierdzę, że Bóg nie potrafi uzdrawiać ludzi albo że tego nie robi, ale jeżeli już i gdy to robi, to nie wydaje mi się, aby miał na sobie trzyczęściowy garnitur i błyszczący zegarek lub aby prosił o „co łąska tysiąc dolarów” przy wyjściu.

Mama Emmy spojrzała z niedowierzaniem:

- Nie prosił cię przecież o tysiąc dolarów!

- Dokładnie tam za nami - wskazał kciukiem przez ramię: - Ten miły człowiek, który odprowadził nas do wyjścia, powiedział, że standardowa opłata pobierana przez Wielebnego Jima wynosi tysiąc dolarów, ale możemy dać tyle, ile jesteśmy w stanie. Równie dobrze dwa tysiące.

Mama Emmy zupełnie zamilkła, a ja skinąłem głową, ponieważ słyszałem, że tak właśnie powiedział. Emma także to słyszała.

- Mamo, Bóg nie potrzebuje Wielebnego Tubalo, aby mnie wyleczyć. Może to zrobić kiedykolwiek i gdziekolwiek. Wiem o tym - odezwała się Emma.

Piorunujące spojrzenie jej mamy powędrowało w kierunku tylnego siedzenia. Wskazała palcem na nas oboje, mówiąc:

- Jak śmiecie stawać po jego stronie. Macie wszyscy milczeć.

Poczułem, jak materia jej rodziny rozchodzi się w szwach. Emma chwyciła mnie za rękę i zażyła swoją pastylkę. Zanim dotarliśmy do domu, spała z głową na moich kolanach. Jej tata zaprowadził ją na górę, położył do łóżka, otulił pościelą i przygotował się do wyjścia do pracy w jednym ze śródmiej-

skich banków, w którym weekendami dorabiał jako nocny strażnik. Mama Emmy zajrzała do Charliego i nastawiła dzbanek kawy.

Zza krzaków obserwowałem, jak pan O'Connor odjeżdża do pracy, a pani O'Connor wraca do środka, ocierając łzy. Obszedłem dom dookoła, wspiałem się w ciemnościach na magnolie, siadłem okrakiem na gałęzi przed oknem Emmy i przyglądałem się jej śpiącej w świetle księżyca.

Koło północy podczołgałem się do okna, otwarłem je na oścież, wślizgnąłem się do środka i stanąłem przy jej łóżku. Obserwując jej oddech, ukląknęłem i przyłożyłem dłoń do ciepłego serca Emmy. Waliło z wysiłkiem, pracując prawie dwa razy mocniej od mojego.

- Panie, nie wiem, co myśleć o dzisiejszym wieczorze i nie wydaje mi się, aby Wielebny Jim miał z Tobą jakiś szczególny układ. Ale wiem, że mieszkańcom tego domu kończą się pomysły. I próbuję ci powiedzieć, że... jeżeli nie masz już innych opcji, to dajmy Emmie moje serce. Jest silne i nadaje się.

Światło księżyca spowiło ją w błękitną poświatę, powodując, że wyglądała na jeszcze bardziej pozbawioną życia i chorą.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie, a ja ujrzałem łzę, która zaczęła formować się w kącie jej oka. Spod pościeli wysunęła się jej dłoń z wygiętym w moim kierunku wskazującym palcem prawej ręki.

Ukląknęłem przy jej łóżku. Przyciągnęła mnie bliżej, aż mogłem poczuć na policzkach jej oddech, a następnie oparła swoją dłoń na mojej.

- Nie możesz dać tego, czego nie masz.

- Ale... - zaprotestowałem.

Potrząsnęła głową, przykładając palec do moich ust. -Już mi je podarowałeś.

ROZDZIAŁ 21

Poniedziałek spędziliśmy z Charliem na wykańczaniu Greavette. Hammermillowi ciekła już ślinka, aby spuścić ją na wodę, i trzy razy dzwonił z Atlanty, dowiadując się, jak postępuje praca. Wypolerowaliśmy nadburcie i muskaliśmy palcami gładką powierzchnię, po prostu podziwiając jej piękno. Chcieliśmy ją zatrzymać na jeden dzień tylko dla siebie, ponieważ była najlepszym z naszych dotychczasowych osiągnięć. Drewno kilu i wręg wymieniliśmy na biały dąb, nałożyliśmy na nie mahoniowe pokrycie o barwie głębokiej czerwieni z nitami ze stali nierdzewnej, a następnie położyliśmy prawie piętnaście warstw wodoodpornego lakieru. Wyglądała bosko. Chłopaki z Blue Ridge Boat Werks, którzy w rzeczywistości sami posiadali linię remontową, mogliby nam jej pozazdrościć.

Po zakończeniu budowy domu zaczęliśmy odnawiać łódzie, ponieważ taka od początku była intencja Charliego. Mnie tak naprawdę było to obojętne. Chciałem po prostu tego, co chciał on. Gdyby postanowił budować pianina albo bujane fotele, też bym się przyłączył.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, był wypad na północ w poszukiwaniu łodzi motorowej typu HackerCraft, aby skanalizować nasz instynkt opiekuńczy. Po około dwóch tygodniach przeglądania gazet i poszukiwań u handlarzy łodzi znaleźliśmy. Facet o nazwisku Dyson ogłaszał w dziale

anonsów branżowych „starą drewnianą łódź”. Zadzwoniliśmy więc do niego i pojechaliśmy ją obejrzyć. Zaprowadził nas do garażu pełnego gromadzonych przez dwadzieścia pięć lat rupieci, ściągnął pokrowiec i wytarł grubą warstwę kurzu z mahoniowego kadłuba, który był kiedyś trójmiejsową pięknoscia. Nic tak nie tnie wody jak Hacker. Zapłaciliśmy gotówką na miejscu i przyciągnąwszy łódź do domu, dłubiemy przy niej od tamtego czasu.

Wystarczy jedno spojrzenie na nią, aby zauważyć, że nie spieszymy się zbytnio. Popracujemy parę tygodni, odłożymy ją na bok, poszukamy klienta gotowego zapłacić, a później wrócimy do niej, gdy znowu naładujemy swoje baterie. Obecnie już pływa, a z daleka wygląda nawet jak Hacker, ale z bliska wyraźnie widać, że jesteśmy dopiero w połowie pracy. Dziób, reling i właściwie wszystko, co widać ponad wodą, wymaga piętnastu warstw lakieru i porządnego potraktowania papierem ściernym. Części chromowane wymagają wypolerowania, a szklane powinny zostać wymienione. Również siedzenia są dość twarde. Może i nie jest najpiękniejszą łodzią na jeziorze, ale pomrukuje niczym kociak. Nawet w takim stanie zaniedbania ma to, co trzeba. Gdy przywieźliśmy ją do domu, Charlie pogładził jej linie dłonią i zapytał:

- Miałbyś coś przeciwko, gdybyśmy nazwali ją **Podnah?** Proces odnawiania łodzi jest prosty, naprawdę. To znaczy sam proces jest prosty, ale nie fach. Fach jest konieczny, a Charlie ma go nieco więcej niż ja. Pierwszą rzeczą jest położenie kilu, kręgosłupa łodzi. Gdy się odnawia, postępuje się systematycznie. Od kilu po wręgi, następnie spodnia płaszczyna kadłuba, w górę ku burtom, poszyciu, później kokpit. Większość szkieletu zbudowana jest z białego dębu. Dąb jest ciężki, mocny, stosunkowo niedrogi i łatwo się zgina, gdy potraktować go odpowiednią ilością pary. Części na zewnątrz wykonywane są z jednego z ponad pięciuset gatunków ma-

honiu, najlepiej honduraskiego. Mahoń jest królem drewna, co tłumaczy jego zanik na planecie. Jest gęsty, odporny na szkodniki, a z powodu braku sęków stanowi marzenie każdego cieśli. W miarę postępowania prac albo dopasowuje się, albo wymienia wszystkie mechaniczne części: motor, skrzynię biegów, układ sterowniczy, przewody paliwowe, zbiorniki itd. Nie różni się to znacząco od rozkręcania wielu resoraków z Matchboxu i składania z powrotem kilku z nich przy użyciu najlepszych części. Jedyna różnica polega na tym, że tutaj części są większe, faktycznie pracują i kosztują znacznie więcej.

Greavette Hammermilla to kanadyjska łódź, zbudowana w 1947 roku gdzieś na północy w pobliżu Ontario przez inżyniera okrętowego Douglasa Van Pattona. Ma długość dwudziestu czterech stóp, kształt cygara i trzymiejscowy kokpit, a zbudowano ją dla szybkości oraz wyglądu. Stanowi rodzaj wzmocnionej wersji łodzi typu HackerCraft, która jest, w powszechnej opinii, najbardziej pożądaną łodzią, jaką kiedykolwiek zbudowano - a zwłaszcza jeśli chodzi o te z połowy dwudziestego wieku. Każdy model, od dwudziestki piątki począwszy, na dwudziestce dziewiątce skończywszy, to bardzo atrakcyjny towar. Hammermill tak naprawdę poszukiwał Hackera, ale gdy poszukiwania spełzły na niczym, skończyło się na Greavette. Podczas gdy Hacker znany jest ze swojego stylu, klasycznej, wyraźnej linii, Greavette ma bardziej opływowe krawędzie, które nadają jej kształt cygara, z czego słynie. Ale gdy jedna łódź stanie obok drugiej, Greavette nie wytrzymuje porównania z Hackerem dwudziestką siódmką.

Hammermill do głupich nie należy. Wydał nieco ponad trzydzieści tysięcy dolarów za rozpadającą się, zaniedbaną łódź. Zapłacił następnie Charliemu i mnie dziesięćmie-

siężne wynagrodzenie, około czterdzieści tysięcy, aby ją wyremontować. Może się wydawać, że to sporo jak za kawałek pływającego drewna, ale obecnie warta jest około stu tysięcy, jeżeli znajdzie się odpowiedni kupiec.

Wielu rzemieślników zajmujących się odnawianiem łodzi próbuje ocalić ich oryginalny mechanizm, ale często pociąga to za sobą konieczność ciągłego serwisu i poszukiwania części, których już nie ma. Dla Greavette znaleźliśmy zatem używany silnikdodgea o pojemności 850 centymetrów sześciennych ze starego durango, którego przebieg wynosił jedynie pięć tysięcy mil. Kupiliśmy nowy napęd turbinowy z przekładnią jeden na jeden, co oznacza, że każdy obrót silnika daje jeden obrót turbiny, oraz dwie dopasowane nierdzewne butle gazowe, które zamontowaliśmy wzdłuż kok-pitu. W rezultacie otrzymaliśmy około dwóch razy więcej koni mechanicznych, niż pierwotnie zakładano, oraz możliwość trzykrotnie większej pojemności w zbiornikach na gaz. Do elementów wykończenia należały między innymi: zewnętrzny ster, nowe zegary, nowe siedzenia z zielonej skóry, które dostaliśmy niedaleko Lanier, oraz przednia szyba z ciętego szkła. Hammermill zachwyci się, gdy to zobaczy.

Charlie spotkał się ze mną przy hangarze dla łodzi we wtorkowy poranek o ósmej, nie mogąc się po prostu doczekać, aby napełnić zbiorniki i uruchomić silnik. Spuściliśmy ją na wodę, strzeliliśmy korkiem, oblaliśmy szampanem dziób łodzi i zapuściliśmy motor, a ja pozwoliłem Charliemu sterować. Była to jedna z największych przyjemności w jego życiu.

Pomimo ślepoty Charlie znał to jezioro lepiej niż większość pływających po nim, którzy widzieli. Jako że był to dzień roboczy i pozwalał na to ruch na jeziorze, usiadłem na siedzeniu drugiego pilota i przekazywałem mu wskazów-

ki, przebijając się przez warkot motoru Dodge'a: „Łagodnie na trzecią”, „Zwolnij i ostro na szóstą”, „Prosto i równaj”, „Motorówka na sterburcie”, „Statek wchodzi do portu” lub „Brak bruzdy”.

Charlie po prostu słuchał, a następnie obracał kołem lub dostosowywał gaz zgodnie z moimi uwagami. Mieliliśmy uciechę, gdy mówiłem mu:

- Nautique z amatorami słońca na pokładzie, jedenasta trzydzieści.

Siadał na szczycie oparcia, zdejmował kapelusz i machał, jak gdyby przez cały czas ich widział.

- Machają - mówiłem i uśmiech rozpromieniał jego twarz, jakby widział ich naprawdę.

Z niewielką pomocą przycumował do portowego nabrzeża i zaczął pompować gaz. Klepnałem go w ramię:

- Zaraz wracam.

- Trzy pompy dalej, ubrany w kombinezon typu Anchorage z naszywką ze swoim imieniem wprasowaną w koszulę, siedział Termit, przyssany do kawałka suszonej wołowiny, z twarzą zatopioną w „Newsweeku”. Zaszedłem go od tyłu i klepnałem w ramię.

Gwałtownie zamknął magazyn i spojrzał na mnie znad okularów przeciwsłonecznych.

- O nie, tylko znowu nie ty. Słuchaj, nie jestem taki jak wy.

- Co czytasz?

Termit uniósł „Newsweek” ostrożnie, wyrównując krawędzie obu magazynów.

-Termit, nie urodziłem się wczoraj. Chodziłem do szkoły z chłopakami, którzy robili takie numery w klasie na długo przedtem, zanim ty pojawiłeś się w planach swoich rodziców.

Wyszczерzył się, wyciągnął czasopismo z dziewczynkami i rozłożył je jak kalendarz.

- Widzisz? - Termit pstryknął w błyszczący papier palcem wskazującym. - O tym właśnie mówię.

- A tak dokładnie to co masz na myśli?

- To - wskazał palcem. - Zamierzam z tego skorzystać.

- Mogę spojrzeć?

Przez weekend Termit zgolił brodę, przyciął włosy i nawet koszulę włożył do spodni, ale twarz zakwitła mu trądzikiem. W jego podbródku widniał dołek, taki jak u Kirka Douglasa. Termit mógłby być przystojnym chłopakiem, gdyby przytył ze dwadzieścia funtów, zrezygnował z piwa, zaczął zażywać jakichś preparatów witaminowych i brać prysznic. Spojrzał za siebie na nabrzeżny deptak prowadzący do sklepu wędkarskiego i biura, a następnie podał mi zdjęcie.

Była to rozkładówka jakiejś dziewiętnastoletniej silikonowej piękności ujętej w pozie, której żadna dziewczyna by nie przyjęła, gdyby ktoś jej za to nie zapłacił. Rozłożyłem obie strony, a następnie złożyłem je fragment po fragmencie, pozostawiając jedynie wizerunek szyi i twarzy dziewczyny. Oddając zdjęcie Termitowi, powiedziałem:

- Pozwól, że upewnię się, czy dobrze cię zrozumiałem. Wyglądał na zmieszanego. Usiadłem obok niego, dyndając nogami nad nabrzeżem.

- Spójrz na tę dziewczynę - wskazałem na jej twarz - nosi pewnie jakieś ładne imię: Amanda albo Mary. Pochodzi z jakiegoś małego miasteczka w Wyoming albo w Teksasie, a jej tata opłacał jej lekcje tańca i uczył softballu, gdy była w podstawówce. Przyklejał opatrunek, gdy otarła sobie kolano, i odgarniał włosy z twarzy, gdy widział, że nie może spać z powodu złych snów.

Jego twarz stężała.

- Zaczynasz mi wszystko psuć.

-Termit - kontynuowałem - to jest czyjaś córka. Czyjaś mała siostrzyczka, a pewnego dnia może nawet zostać czyjaś matką.

Termit splunął, puszczając spomiędzy dwóch przednich zębów długi strumień śliny, który łukiem wylądował na powierzchni wody.

- No i co?

- No i to, że tutaj chodzi o coś więcej niż odkryte ciało i parę dzikich min - rozłożyłem zdjęcie. - To jest kanał pochwy. Prowadzi do macicy oraz takich dwóch rzeczy, które nazywa się jajnikami i przez jeden tydzień każdego miesiąca nie wygląda to tak estetycznie.

- Wiem, skąd się biorą dzieci.

- Naprawdę? Hm, rodząca kobieta jest tysiąc razy piękniejsza niż to zdjęcie, a ty nakręcasz się czymś takim - przerwałem.

- Na to - powiedziałem, wskazując jeszcze raz na zdjęcie - powinieneś poczekać, aż dostaniesz od żony, zamiast próbować kupić sobie od jakiegoś dziewczęcia, które pobierało kiedyś lekcje gry na pianinie, zanim mogło jeszcze dostać nogami do pedałów.

Termit zabrał mi magazyn i zamknął go.

- No, ale to nie ja robiłem to zdjęcie. I nic mi się nie stanie od patrzenia.

- Umysł jest dość niesamowitą rzeczą. Prawie tak niesamowitą jak serce.

- Nie bardzo nadażam.

- Twój umysł zapisuje obrazy, zwłaszcza tego rodzaju, w sercu i dziesięć lub piętnaście lat później, gdy jesteś już żonaty i próbujesz nadać swojemu życiu jakiś sens, zaczynają przyplływać z powrotem, kipieć i przypominać ci, o ile ciekawiej jest poza twoim własnym łóżkiem.

Termit zaśmiał się i pokiwał głową, trzymając kawałek suszonej wołowiny w taki sam sposób, w jaki trzyma się papierosa.

- Zdaje się, że wiesz, o czym mówisz.

-Termit, w całym swoim życiu kochałem tylko jedną kobietę. W ciągu siedmiu lat naszego małżeństwa była dla mnie tak dobra i kochała mnie na tyle, aby podarować mi, pośród innych rzeczy, moje własne obrazy. Odeszła pięć lat temu, ale - mój wzrok powędrował w stronę jeziora i ściszyłem głos - mam tyle wspomnień, że wystarczy mi ich na całe życie i nie sprzedałbym ci żadnego z nich za wszystkie zdjęcia we wszystkich magazynach świata. I wiesz co, te, w których ma na sobie ubranie, są równie cenne jak te, w których nie ma.

Termit zupełnie zamilkł, obgryzając paznokcie i spluwając do jeziora. Charlie napęlił zbiorniki i krzyknął:

- Chodź już, Dratwa. Hammermill pewnie wydzwania na całego.

Zbierałem się do odejścia.

-Termit, jesteś młody i nie jestem pewien, czy zrozumiesz to, co powiem, ale oto moja złota myśl: „Bez serca wszystko traci sens”. Może to być bogini miłości, możesz mieć z nią tak kosmiczny seks, na jaki cię tylko fizycznie stać, ale kiedy jest już po wszystkim i zaczynasz myśleć o czymś do zjedzenia albo o papierosie, albo o tym, co z nią teraz począć, leżysz po prostu w łóżku z kobietą, która znaczy dla ciebie niewiele więcej niż pilot do twojego telewizora. Miłość to nie jest narzędzie, tak samo nie jest nim serce kobiety. Tego, o czym mówię, nie przeczytasz w tym magazynie.

Termit skrzywił się szyderczo i wepchnął sobie do ust ostatni kawałek suszonej wołowiny.

- A skąd to wiesz? Powiedziałeś przed chwilą, że kochałeś tylko jedną kobietę. Ja myślę, że trzeba przetestować parę aut, zanim kupi się jakieś.

- Możesz wierzyć w takie bzdury, jeżeli chcesz, ale gdy pracujesz dla banku, nie badasz fałszywek, żeby poznać oryginał. Uczysz się na oryginałach, żeby rozpoznać podróbki.

Odwiązałem cumę i odepchnąłem łódź od nabrzeża. Termit stał tam, starając się zrozumieć, co przed chwilą powiedziałem. Wrzucił do jeziora resztkę suszonej wołowiny niczym niedopałek papierosa. Leciała, wirując nieustannie w powietrzu, jak piłka kopnięta właśnie z przyłożenia i spadła do wody, gdzie jakiś leszcz albo okoń szybko ją wciągnął.

Skinąłem na magazyn, a następnie na sklep wędkarski.

- A jeżeli ten facet w biurze to zobaczy, z pewnością cię wyleje. Nie akceptuje takich rzeczy na swoim terenie.

Termit wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że i tak zamierza poszukać sobie innej pracy.

- Powiesz mu? Potrząsnąłem głową.

- Na pewno? - zapytał jeszcze raz.

- Nie będę musiał.

- Co? A to dlaczego? - zapytał.

- Z powodu czegoś, co przeczytała mi kiedyś moja żona i co od tamtego czasu okazuje się prawdą.

Termit wzruszył ramionami, jakby spodziewał się usłyszeć kolejną mądrość.

- Taak? A co to ma być?

- Mówisz to, co dyktuje ci twoje serce - wskazałem na magazyn: - Dopuszczysz to świństwo do swojego serca i okaże się, że jesteś bezsilny, gdy zacznie płynąć z twoich ust. Zabarwi i nada smak całej twojej osobowości. Nawet się nie obejrzysz, a pożre cię.

- Taa, no... wciąż chciałbym spróbować.

-Termit, każdy chce. Tak jesteśmy skonstruowani. Byłoby z tobą coś nie w porządku, gdybyś nie chciał. Dlatego tak wiele tego sprzedają.

Wracaliśmy z Charliem łodzią Hammermilla, pokonując długą drogę do domu. Śmiał się przy okazji każdej fali, bruzdy wody lub mocniejszego nurtują po prostu chciałem, żeby się nie zatrzymywał. Pomimo mojego upodobania do pracy przy łodziach nie zawsze lubię nimi pływać. Mam inklinacje do zawrotów głowy. Wszystko jest świetnie, dopóki jesteśmy w ruchu, dlatego wiosłowanie nie sprawia mi problemu. Gdy się jednak zatrzymamy, zwykle po około trzech minutach robi mi się niedobrze i muszę wychylić się za burtę... Wystarczy, że łódź zacznie się trochę bujać.

Przybiliśmy do nabrzeża, podnieśliśmy łódź z wody, a Charlie powiedział, że bierze sobie wolne na resztę dnia. Klepnął mnie w plecy i zaczął przemieszczać się wzdłuż doku, ćwicząc kroki.

- Kurs tańca dziś wieczorem?

- Tak - powiedział, wyglądając jak Fred Astaire tańczący z laseczką. - Dzisiaj uczymy się mambo. Skończy się prawdopodobnie na walcu.

- Charlie, jesteś boski.

- Powinieneś zobaczyć instruktorkę. Jest Francuzką i... -Charlie uśmiechnął się, kontynuując swój taniec wzdłuż nabrzeża, stukając laską o kamienne stopnie, powiedział jednak: - Dzisiaj wtorek. Pamiętasz, co miałeś zrobić we wtorek?

Wiedziałem, o co pytał, po prostu nie byłem pewien, co mam mu odpowiedzieć.

- No, nie bardzo.

- Mogę ci przypomnieć - wykonał piruet - jeżeli chcesz.

- Dzięki.

Doszedł do krawędzi nabrzeża, spuścił worki piasku, na których oparliśmy linkę rozpiętą pod wodą pomiędzy jego częścią nabrzeża a moją, i wskoczył do wody.

Przez ostatnich parę dni nurtowało mnie uczucie, że dana Cindy obietnica przejażdżki łodzią może przerosnąć moje

możliwości. Pytanie Charliego w znacznym stopniu przekonało mnie, że miałem rację, ale nie miałem czasu, aby się nad tym zbytnio rozwodzić z powodu telefonu, który dzwonił, gdy wszedłem tylnymi drzwiami.

- Słucham?
- Reese? Reese Mitch?
- Przy telefonie - poznałem, kto to był.
- Czy propozycja zabrania dwóch dziewczyn na przejażdżkę łodzią jest wciąż aktualna?
- Skąd te wątpliwości, że mogłoby się coś zmienić?
- Z doświadczenia.
- O, zabrzmiało poważnie.
- Można tak powiedzieć. Zaśmiałem się:
- Właśnie zatankowane do pełna. Tylko powiedz, gdzie mieszkasz.

ROZDZIAŁ 146

Gdy nadszedł ostatni rok w szkole średniej, nasza wspólna aktywność fizyczna stała się dość ograniczona. Mogliśmy wyjść do kina lub na kolację albo na zakupy do jednego czy dwóch sklepów, ale nie mogliśmy pobuszować po centrum handlowym lub parku przez cztery, pięć godzin, nie wynajmując wózka inwalidzkiego, a Emma nienawidziła, gdy widziano ją w tym stanie.

Jej przymusowa bezczynność przypominała mi, że zegar tyka. Kontynuowałem więc swoje studia, czytając każdą książkę poświęconą ludzkiemu sercu, do jakiej mogłem uzyskać dostęp. Ale im więcej czytałem, tym mniej mogłem pojąć, dlaczego podręczniki traktowały serce niczym rozbite jajo Humpty Dumpty. Medycyna i nauka - w znacznej mierze dzięki Arystotelesowi i Kartezjuszowi - zdołały podzielić ciało na systemy i części. Tak jak należy. Jak inaczej mielibyśmy je zrozumieć? Ale ja czytałem, że czuć się zdrowszym, a być wyleczonym to dwie zupełnie różne rzeczy.

Pewnego dnia wracaliśmy ze szkoły, gdy Emma chwyciła mnie za rękę i zaprowadziła do sadu, w którym rosły jabłonie. Należał do pewnego starszego człowieka nazwiskiem Skinner. W tamtym czasie stała się bardziej cicha i mniej aktywna, mniej też szkicowała i rzadko wychodziła z domu beze mnie. Stała się krucha i blada, a do jej uśmiechu zakradł się

smutek. Wyglądało to tak, jakby oliwa w jej lampce zaczynała się zużywać.

Posadziła mnie na ziemi pod wielką jabłonią otoczoną opadłymi jabłkami, i podała mi pudełko przewiązane czerwoną wstążką. Słońce wisało nisko, oświetlając siwe kosmyki, które ostatnio pojawiły się nad jej czołem i uszami, podkreślając ciemną barwę włosów. Odwiązałem wstążkę. Wewnątrz znajdował się mały, złoty medalion, mniej więcej wielkości ćwierćdolarówki, przypięty do złotego łańcuszka. Z przodu widniał wygrawerowany napis: „z całą pilnością strzeż swego serca...”, a z tyłu „...bo życie ma tam swoje źródło”. Dwanaście magicznych słów. Zawiesiła mi go na szyi i siedzieliśmy tak pod tym drzewem, pośród zielonej trawy, jabłek i niepewności oraz jej zasluchania w bicie mojego wioślarskiego serca i mojego niepokoju, którego powodem było słabnące i odległe bicie jej serca. Dotknąłem jej włosów, oddychając ciężko, i wyszeptałem w głębi siebie: „Wiedziałem, że to miłość, i czułem, że to chwała”.

Tamtego popołudnia wiele fragmentów zaczęło do siebie pasować i uderzyło mnie to, że lekarze potrafią pomóc ludziom poczuć się lepiej, a nawet przedłużyć ich życie, ale nie potrafią ich uzdrowić ani połączyć w jedną całość. A to coś zupełnie innego.

ROZDZIAŁ 148

Otworzyłem hangar dla łodzi, przyjrzałem się dwóm opcjom, które miałem do dyspozycji, i opuściłem dźwig. Wiedziałem, że Greavette Hammermilla zrobiłaby większe wrażenie, ale zdaje się, że lubię to, co wymaga jeszcze pracy. Łodzie, które są już gotowe, nie potrzebują mnie, a **Podnah** wciąż potrzebowała. Gdy osiadła już całkiem na wodzie, odpałem silnik i wycofałem ją na zewnątrz hangaru. Wyrównałem ciąg, wpłynąłem do Tallulah i skręciłem na południe po Cindy i Annie.

Mieszkały w dwupokojowym domku nad niewielkimi potokami, które zbiegały się, wpadając do jeziora. Bardzo podobnie jak przystań wędkarska, w której po raz pierwszy nocowaliśmy z Emmą. Było w nim wiele stylu, ale poza tym brakowało wszystkiego.

Gdy budowniczy zapory zatopili miasto Burton, poziom wody podniósł się aż do podnóża pomniejszych gór z masywu Appalachów, tworząc rozgałęzione strumienie, nad którymi ludzie pobudowali domy albo chaty, w zależności od zasobności portfela. Nad jednym z takich rozgałęzionych potoków znajduje się zatoczka Wildcat Creek Cove. Potok jest wąski i rozpościerają się nad nim drzewa. Na niejednej gałęzi zawieszono tam linę pełniącą rolę huśtawki.

W latach pięćdziesiątych, tłumaczyła Cindy, jej rodzice kupili sobie, jak to określili, „Domek z cukru” - miejsce na

wakacje i azył na weekendowe wypady. Potok, który prowadził pod dom i niewielkie nabrzeże, był wąski, jakieś trzy razy szerszy niż sam Hacker, zanurzyłem więc w wodzie wiosło, sprawdziłem głębokość, a następnie podpłynąłem do brzegu.

Z łodzi mogłem dojrzeć Cindy, stojącą przy zlewozmywaku w kuchni, oraz Annie na hamaku w cieniu nieopodal tylnych drzwi. Dziewczynka, którą spotkałem na chodniku, była teraz jeszcze drobniejsza, mniej ruchliwa, na głowie miała wypłowiałą baseballówkę, a na lewej ręce szeroki, niewygodny gips i poruszała się małymi, niepewnymi krokami. Opatulona w jaskrawopomarańczową kamizelkę ratunkową, wyglądała jak pływający spławik.

Przycumowałem łódź, a Annie pomachała, abym podszedł bliżej. Zasłoniła usta chusteczką, zakaszła cicho i uśmiechnęła się. U dziewczynki pojawił się ten rodzaj powierzchowności, kruchej jak skorupka jajka, który występuje u większości dzieci, gdy zapadają na poważną chorobę. Widziałem to setki razy. Powstaje z niepewności i świadomości, że życie nie jest nieskończone. Widziałem to już u Emmy. Podczas tych dni, gdy czuła się gorzej lub gdy była po prostu przygnębiona, starała się mnie rozweselić, opowiadając, czego dowiedziała się od Króla Salomona. Unosiła podbródek, co zwykle powodowało kaszel, wznosiła ku górze palec i cytowała:

— *Radość serca wychodzi na zdrowie, duch przygnębiony wysusza kości.*

Annie potrzebowała dużo zdrowia.

Stała obok skrzynki o bokach długości mniej więcej stopy i wysokości około dwóch i pół. Sklecona była z przypadkowych kawałków drewna, dlatego żadna z części nie pasowała do drugiej. Ustawiona była na czterech nogach, które utrzymywały ją ponad ziemią, jej ściany wyłożone były wewnątrz gazą, z wyjątkiem górnych sześciu cali, które pokrywała śliska folia.

Gdy podszedłem bliżej, zauważyłem, że wydobywał się z niej nieprzyjemny zapach, jakby zgnilizny. Zjrzałem do środka i zobaczyłem trzy lub cztery niedojedzone plasterki ziemniaka, kilka kawałków warzyw oraz tysiące świerszczy.

Annie wyszeptała:

- To jest moje pudełko na świerszcze.

Skinąłem głową, obserwując, jak dno skrzynki poruszało się: świerszcze wpełzające na świerszcze, a te na kolejne.

- Hoduję je tutaj, a potem sprzedaję do sklepów wędkarskich. Dostaję dwa dolary za tuzin, a oni sprzedają je po cztery.

- Nigdy nie myślałem, że istnieje taki duży rynek na świerszcze.

Pokiwała głową:

- Ludzie, którzy tutaj mieszkają, lubią łowić na świerszcze. No, to razem z ciocią Cici zbudowałyśmy tę skrzynkę i zaczęłyśmy je hodować jakiś rok temu.

Skinąłem raz jeszcze, przyzwyczajając się już do zapachu i widoku świerszczy wpełzających na siebie nawzajem.

- Latem - dodała - sprzedaję jakieś dziesięć tuzinów tygodniowo. Czasami piętnaście. To daje dwadzieścia do trzydziestu dolarów na tydzień, a właściwie nic nie muszę robić - spojrzała na mnie w górę: - Całkiem fajna praca, hm?

-No.

- W tym roku zarobiłam już prawie sześćset dolarów tylko na samych świerszczach. Jeżeli to wypali, mam tu pewnie jeszcze kolejne parę tysięcy.

- Dość drogie pudełko. Pokiwała głową i zjrzała do środka:

- Miło to słyszeć - oboje wpatrywaliśmy się w chaos pełzający na dnie.

- Dziwne, gdy się o tym pomyśli.

-Co?

- Że sprzedaję świerszcze, aby kupić czyjeś serce.

Skinałem głową:

- Cóż, tak też można na to spojrzeć.

Zeszliśmy po schodkach. Ręce Annie zaczęły drżeć, gdy zbliżaliśmy się do brzegu. Zapuściłem silnik i zobaczyłem Cindy wybiegającą tylnymi drzwiami i wycierającą sobie dłonie do sucha. Przeniosłem Annie do łodzi i udałem, że dopasowuję jej kamizelkę ratunkową, podczas gdy drugą ręką delikatnie odszukałem jej puls na nadgarstku.

Gdy Annie spojrzała na mnie, uniosła także brwi. Jej klatka piersiowa zareagowała zgodnie z przyzwyczajeniem i w rezultacie wypełniła płuca powietrzem. Takie zachowanie nie było przypadkowe, tak samo robiła, gdy Sal, badając ją, przykładał jej do piersi stetoskop. Tyle tylko, że teraz nikt ją o to nie prosił. Wyczuwałem jej tętno i wiedziałem, że walczy. Przypomniałem sobie, jak tysiące razy badałem w ten sposób Emmę. Annie wypuściła powietrze, rozplywając się w parosekundowej przyjemności posiadania wystarczającej ilości powietrza. Zgasilem silnik i wyrecytowałem:

- W powietrze z łuku strzałę stałem, gdzie na ziemię spadła, nie dojrzałem; bo za szybki był strzały lot, by nadążyć za nim zdołał wzrok. W powietrze z piersi pieśń mą stałem, gdzie na ziemię spadła, nie dojrzałem, bo w czyich to oczach mocy tyle krąży, by za lotem pieśni wzrok mógł nadążyć? Po czasie długim, w dąb werżniętą, znalazłem strzałę wciąż nietkniętą i pieśń, całą zachowaną w sercu drucha zapamiętaną.

Annie uniosła brwi, jeszcze raz wciągnęła powietrze i ponownie zapadła się w swoją kamizelkę ratunkową.

- Szekspir? - zapytała, uśmiechając się.

- Nie - odpowiedziałem - Longfellow.

Cindy uśmiechnęła się, weszła na łódź i wciągnęła głęboko powietrze. Jedyna różnica pomiędzy jej oddechem a oddechem Annie polegała na tym, że Cindy wyglądała jak gdyby przypięto ją do butli z tlenem. Annie - nie. Zapadła

się na środkowym siedzeniu, pozwalając włosom rozsypać się po mahoniowym pokładzie. W jej okularach przeciwsłonecznych odbijało się niebo.

Spojrzałem w lusterko wsteczne i zauważyłem, że jej zeszłotygodniowe ubranie, w którym wygoda dominowała nad stylem, zniknęło. W dzinsowych szortach, które wyglądały jakby obdziergała je sama, sandałach, białej bawełnianej bluzce z głębokim dekoltem, baseballówce z napisem Georgia Bulldogs i w okularach przeciwsłonecznych Cindy osiągnęła godny uznania efekt ujawnienia kształtów, które skrywane były do tej pory przez pracę i konieczność. Miałem nadzieję, że, z głową odchyloną do tyłu, nie zauważyła mojego utkwionego w nią spojrzenia. W niczym nie przypominała kasjerki ze sklepu z narzędziami.

Przekładnia napędu turbinowego ma tylko trzy tryby: do przodu, wsteczny oraz luz. Tak jak w przypadku większości łodzi, prędkość uzyskuje się za pomocą obrotów silnika, a nie zmianami na wyższy bieg. Drażek do uruchamiania każdego z tych trzech trybów, niczym dźwignia do otwierania sekretnej zapadni, znajdował się tuż przed kolanami Annie, wskazałem je i poprosiłem, aby mi pomogła.

- Będziemy płynąć przed siebie, wciśnij więc tę ręczną dźwignię i przesunąć całość w przód.

Annie chwyciła za uchwyt i wcisnęła go obiema rękami, ale zauważyła, że potrzebuje trochę więcej siły. Zamknęła więc oczy, nacisnęła mocniej i przesunęła do przodu. Silnik zaskoczył i wypłynęliśmy z Wildcat Creek.

Z warkotem minęliśmy kilka większych domów, które powyrastały wzdłuż potoku w ciągu ostatniej dekady, i zbliżyliśmy się do otwartej przestrzeni wód jeziora. Annie spojrzała podekscytowana na Cindy, a następnie na mnie.

- Nigdy tu nie byłam.

„Jak można mieszkać w pobliżu jeziora i nigdy go nie widzieć?" - pomyślałem i od razu zrobiło mi się głupio. Idiotyczne pytanie.

- Gdzie chciałybyście najpierw popłynąć?

Annie wskazała na południe, a ja skręciłem we wskazanym kierunku.

Linia brzegowa jeziora Burton to trybut dla okazałych domostw, z których większość to drugi lub trzeci dom swojego właściciela. Każda nowa konstrukcja to próba prześcignięcia sąsiada zza płotu. Ich gospodarze przechwalają się, operują praktycznymi terminami i opisami, które płyną z ich ust niczym cytowana poezja. Oh, „taki-a-taki” był naszym ar-chitektem. To „taki-a-taki” dom z „takiego-a-takiego” okresu. Wiem o tym, ponieważ gdy zebrałem ich kiedyś ponownie razem i wstawali od mojego stołu, każdy z nich zapraszał mnie do swojego drugiego domu w Vale, Aspen albo i na Bermudach... W najgorszym zaś przypadku nad jezioro Burton. Niektórzy w ten sposób mi dziękowali.

Wszędzie tam, gdzie wiodła Annie ciekawość, kierowała się nasza łódź. Przez dwie godziny pływaliliśmy wzdłuż potoków i brzegów jeziora. Uśmiech i fascynacja nie schodziły z jej twarzy. Dick's Creek, Moccasin Creek, Old Murray Cove. A gdy pokazałem jej zaporę, jej oczy zrobiły się wielkie jak półdolarówki. Cindy również wydawała się odprężona, jakby z zadowolenia, że widzi uśmiech na twarzy Annie, ale wdzięczna także za towarzystwo kogoś dorosłego. Gdy płynęliśmy na północ, Annie ułożyła głowę na kolanach Cindy i pogrążyła się w drzemce przy wtórze terkotu i pomro-ków silnika. Wiedząc, że sen dobrze jej robi, odwróciłem się w kierunku Cindy, pytając gestem, czy jest jej wygodnie. Pokiwała głową. Odwróciłem się raz jeszcze i skinąłem na jezioro, chcąc się upewnić, czy płyniemy dalej. Uśmiechnę-

ła się, przekrzywiła czapkę do tyłu i pływalismy po jeziorze przez kolejną godzinę.

Dochodziła piąta, gdy Annie obudziła się przy północnym krańcu jeziora, w pobliżu centrum YMCA, tuż pod mostem. Gdy przepływaliśmy pod nim, kierując się na południe, wskazałem na wschód w kierunku naszego, Charliego i mojego, „małego-strumyka-bez-imienia” i powiedziałem:

- Tam mieszkam. Annie ożywiła się:

- Popłynemy tam.

Nie to miałem na myśli. Miałem nadzieję, że spojrzymy i popłyniemy dalej, a nie że będziemy się zatrzymywać.

Cindy skinęła dłonią za plecami Annie, starając się przekazać mi, że nie jest to konieczne. Twarz Annie wyrażała jednak coś zupełnie innego.

- Ale nie mam lemoniady - zwróciłem się do niej. Uśmiechnęła się teatralnie:

-To nic. I tak nie piję lemoniady. Za słodka.

Skreśliłem w stronę naszego potoku i dobiłem na wyłączonym biegu do nabrzeża. Cindy pomogła mi przycumować łódź i pozawieszać wzdłuż kadłuba odbijacze. Wyłączyłem silnik i przeniosłem Annie na brzeg. Opadły im szczęki. Zobaczyły wszystko: hangar dla łodzi, nieco dalej w górze warsztat, a następnie dom, ledwo widoczny za drzewami dereni.

- To twoje? - zapytała Cindy, wyglądając, jak gdyby obawiała się, czy za chwilę nie pojawią się prawdziwi właściciele ze strzelbą i nie każą jej się wynosić z ich posesji.

Poprowadziłem je wzdłuż chodnika, a Annie instynktownie chwyciła mnie za rękę. Jej dłoń była drobna, zimna i trochę niepewna - moja dłoń знаła dobrze to uczucie. ***Jakaż to otchłań niebu odległa, ogień w źrenicach twych zażęgła? Czyje to skrzydła, czyje dłonie wzniciły to, co w tobie płonie? Skąd pręż-***

na krew, co życie wwierca w skrecony supel twego serca? Czemu w nim straszne tętno bije? Czyje w tym moce, kunszty czyje? [...] Gdy rój gwiazd ciskał swe włócznie na ziemię, łzami wilżąc jutrznię, czy się swym dziełem Ten nie strwożył, kto Jagnię, lecz i ciebie stworzył?

Weszliśmy na kamienne podejście, które prowadziło w górę do domu, gdy Charlie zawołał z drugiego brzegu:

- Dratwa? To ty?

- Taak - odkrzyknąłem - przyprowadziłem moją małą wycieczkę na zwiedzanie domu. Charlie, poznaj Cindy McReedy oraz Annie Stephens.

Charlie zamachał swoją białą laską, podczas gdy Georgia siedziała czujna przy jego boku.

- Witam. Cóż za śliczne panie. Po prostu śliczne. Cindy spojrzała na mnie, nieco zakłopotana.

Charlie odwrócił się natomiast w prawo oraz w lewo, prezentując swój strój. Zapiął się pod szyją i poprawił krawat.

- Wybieram się na lekcje tańca. Jak wyglądam?

Miał na sobie niebiesko-biały garnitur z kory, zapinany na trzy guziki, oraz czarno-białe buty z przeszzywaniem wzorem. Brakowało jeszcze tylko melonika i wyglądałby jak Chaplin.

- Charlie, wyglądasz... - uśmiechnąłem się znacząco do Annie - po prostu wspaniale.

- Wiem - powiedział Charlie, polerując mankiet koszuli grzbietem dłoni. - Miejmy tylko nadzieję, że panie też będą niezgorsze. Najlepiej takie, które ładnie pachną - uśmiechnął się, chwycił za kabel, który pełnił rolę przewodnika, i podciągnął się w górę do swojego domu, żegnając się:

- Drogie panie! - a następnie zniknął za drzewami.

- Kto to jest? - zapytała Cindy z uśmiechem. Wzięłam Annie za rękę i zacząłem prowadzić w górę

w kierunku domu:

- A, to mój szwagier, Charlie. Jest...

Usłyszałem, jak Cindy zatrzymuje się i wykonuje krótki, szybki wdech, który zabrzmiał tak, jakby na końcu zdusiła go jakaś niedrożność dróg oddechowych. A później uświadomiłem sobie, co przed chwilą powiedziałem.

Odwróciłem się i uniosłem ręce:

- Moja żona, Emma, była siostrą Charliego. Zmarła prawie pięć lat temu.

Dłoń Annie stężała w mojej, a pytania w oczach Cindy zniknęły, tylko po to, aby zastąpiło je znacznie więcej pytań zabarwionych odcieniem współczucia.

- Przepraszam - powiedziałem - ja... Charlie zawsze będzie już moim szwagrem.

Klatka piersiowa Cindy jeszcze raz uniosła się i opadła, gdy kolejny głęboki oddech wypełnił jej płuca, a mięśnie twarzy się rozluźniły.

- Pracujemy razem przy łodziach i pomógł mi też wybudować dom.

Annie trzymała mnie teraz za rękę obiema swoimi dłońmi. Wskazała za siebie:

- Ale on jest niewidomy.

- Wiem - powiedziałem, podążając wzrokiem za garniturem Charliego, widocznym poprzez drzewa. - Tylko nie mów mu o tym.

Uśmiechnęła się i poszła za mną w górę schodów. W połowie drogi zapytała:

- Czy on nazwał cię Dratwa?

Pokiwałem głową, otwierając drzwi i zapraszając je na werandę z tyłu domu, opowiedziałem im historię o Charliem zwisającym z gałęzi niczym Tarzan na linie ze Stretcha Armstronga. Cindy obróciła głowę, jak gdyby pochwyciła powiew czegoś, co lubiła wachać.

- Co to jest? - zapytała, wystawiając nos w górę.

- Jedna z trzech rzeczy - wskazałem na zieleń ciągnącą się pomiędzy domem a jeziorem, które zakrywało korzenie drzew niczym wysoka trawa. - To może być mięta. Emma posadziła ją tutaj, gdy kupiliśmy to miejsce jakieś siedem lat temu, i rozrasta się jak kudzu. Żaden środek na chwasty jej nie zmoże.

Uśmiechnęły się.

- Lub, po drugie - mówiłem dalej - geranium o zapachu różanym, to pod waszymi stopami. Kupiłem je w twoim sklepie parę tygodni temu, ponieważ podobał mi się zapach.

Cindy potarła liście, aby uwolnić aromat, a następnie powąchała palce.

- Albo, po trzecie - skinąłem na otwarte okno w mojej sypialni na drugim piętrze - akademicy nie zawsze pamiętają

o swoim praniu na czas. Ale proszę, powiedzcie, że to któraś z tych dwóch pierwszych ewentualności.

Cindy jeszcze raz wciągnęła zapach.

- Mięta. To jest mięta.

- Zbierz trochę, a ja zrobię herbatę - powiedziałem. Cindy zerwała kilka listków, podczas gdy ja i Annie nastawiliśmy czajnik.

W czasie gdy parzyła się herbata, oprowadziłem je po domu. Annie zwróciła uwagę na sporą liczbę szkiców węglem

i obrazów olejem zdobiących prawie każdy cal ścian mojego domu i zapytała:

- Lubisz dzieła sztuki?

- Niektóre.

- Te są naprawdę niezłe. Pokiwałem głową.

- To ktoś z Nowego Jorku albo z Los Angeles? - zapytała Cindy.

- Nie - potrząsnąłem głową - to moja żona.

Cindy skrzyżowała ramiona, znowu wyglądając na zmarzniętą, podczas gdy Annie wszystkiemu się przyglądała. Opro-

wadziłem je po każdym pokoju w domu, poza jednym: moim biurem. Pozostawało zamknięte na klucz i rzadko do niego wchodziłem, tylko wtedy gdy było to konieczne.

Cindy zauważyła jeden z pierwszych szkiców Emmy ukazujących jezioro.

- Wczesny poranek, ten zarys wirującego tornada na powierzchni jeziora tuż po wschodzie słońca to moja ulubiona pora dnia tutaj.

Przyjrzała się rysunkowi bliżej:

- Miała talent.

Chwyciłem trzy szklanki i zacząłem napełniać je lodem:

- Chciałybyście zobaczyć warsztat? - wskazałem jedną ze szklanek.

Annie pokiwała głową, a Cindy nalala herbatę, wrzucając każdemu gałązkę mięty. Weszliśmy do warsztatu, zapaliłem wszystkie światła i wcisnąłem „Play” na odtwarzaczu CD:

- Mozart.

- Tutaj pracujesz? - Cindy zapytała z niedowierzaniem. Skinąłem:

- Nieźle, hm?

- Też tak myślę - Annie przeglądała narzędzia, podczas gdy ja opowiadałem o naszej pracy z Charliem.

-1 Charlie rzeczywiście ci pomaga? - zapytała Cindy.

- Powinnaś zobaczyć jego zdobienia wykonane piłą łańcuchową. Jest naprawdę dobry.

- Niemożliwe.

- Słowo daję - powiedziałem, wskazując na belkę i dźwig pod sufitem.

- Ma wspaniałe ręce. Zostałby znakomitym chirurgiem, gdyby nie fakt, że lubił pracować w drewnie.

- Cindy spojrzała na mnie i przybliżyła się o krok, pozwalając sobie na jedno z tych pytań, które nurtowały ją od samego początku, tam w szpitalu.

- Wiesz to i owo o chirurgach? Uśmiechnąłem się.

-Tylko tyle, ile przeczytałem.

Cindy rozejrzała się dookoła, narzędzia, porządek, czystość: -To wygląda raczej na salę operacyjną niż na warsztat.

ROZDZIAŁ 24

Serce człowieka jest wyjątkowe pod tym względem, że zaprojektowano je, by pompowało krew nieprzerwanie przez sto dwadzieścia lat bez jakiegokolwiek potrzeby przypominania mu, do czego zostało przeznaczone. Po prostu to robi. Podczas wszystkich moich lektur i studiów jedno stało się dla mnie oczywiste: jeżeli cokolwiek w tym wszechświecie nosi ślady Boskiej ręki, jest to ludzkie serce.

Uderzając ponad sto tysięcy razy w ciągu dnia bez przerwy, rozprowadza setki litrów płynu po ciele, nie czerpiąc przy tym żadnej korzyści z krwi, którą pompuje, co czyni je najbardziej altruistycznym narządem w organizmie. Odżywia się, zasysając z własnego obiegu i rozprowadzając płyn trzema głównymi arteriami, które splatają się na zewnętrznej powierzchni mięśnia i dostarczają mu pożywienia. Dwie z tych tętnic odżywiają mniej więcej połowę serca, a trzecia z nich, największa - znana także jako „fabryka wdów” - odżywia pozostałą połowę. Jeżeli więc zostanie zablokowana płytkami miażdżycowymi, co określa się mianem choroby wieńcowej - serce przestaje pracować.

Choroba ta, jeżeli zostanie rozpoznana odpowiednio wcześniej, daje się leczyć za pomocą stentu lub by-passów - tętnic pobranych z innej części ciała, jak na przykład noga lub wewnętrzna powierzchnia ściany klatki piersiowej, dzięki którym odnawiane jest krążenie.

Jeżeli kupił ktoś kiedykolwiek stary dom z metalową instalacją wodno-kanalizacyjną, to będzie miał pewne pojęcie, o co tutaj chodzi. Zamiast wymieniać całość starej instalacji, po prostu przepycha się raczej zator - co działa na krótką metę - lub dodaje nową rurkę, aby to wszystko ominąć - co stanowi znacznie trwalsze rozwiązanie. Poddając się takiemu zabiegowi, nierzadko zdarza się, że ktoś opuszcza salę operacyjną z czterema lub pięcioma by-passami i dość okazałym rachunkiem.

Będąc w łonie, dziecko pobiera tlen dzięki płucom matki, która przesyła mu go, razem ze wszystkim innym, czego ono potrzebuje, pępowiną. Serce dziecka nie musi pompować krwi do płuc, aby ją ponownie natlenić; mama już o to zadbała. W celu uniknięcia niepotrzebnego przepływu krwi przez delikatne, rozwijające się płuca, Bóg stworzył niewielki otwór pomiędzy prawą a lewą tętnicą serca - w górnej jego części - który pozwala na taki przepływ, wewnątrz macicy, z pominięciem płuc. Podczas porodu hormon o nazwie prostaglandyna powoduje zasklepienie się otworu i rozpoczyna cyrkulację krwi do oraz z płuc. Sytuacja, w której tak się nie dzieje i otwór się nie zasklepia, nazywana jest ubytkiem przegrody międzyprzedsionkowej.

U większości z nas sprawy przyjmują dość dobry obrót, aż do momentu, gdy dopadną nas genetyka albo rezultaty tego, jak się odżywiamy, czy też naszego trybu życia. Zazwyczaj ową sytuację, gdy nas to „dopada”, określa się mianem ataku serca, który jest niczym innym, jak zatorem tętnicy i blokadą przepływu krwi do części serca. Każdy, kto kiedyś biegał na dystansie ćwierci mili, będzie wiedział, co mam na myśli. Pierwsze trzysta jardów może być stosunkowo przyjemne, ale przed ostatnim zakrętem oraz finałową prostą ludzkie ciało pozbawione jest tlenu do tego stopnia, że mięśnie zaczynają się blokować, wywołując u biegacza uczucie, jak gdyby rozpo-

częło się już *rigor mortis**. Doświadczeni biegacze nazywają więc ostatnie pięćdziesiąt jardów „niedźwiedziem”, ponieważ często wydaje się, że któryś z nich wskoczył nam na grzbiet.

W rzeczywistości mięśnie nóg biegacza spaliły znacznie więcej tlenu, niż były im w stanie dostarczyć serce i płuca. Wyjątkowo sprawni sprinterzy potrafią zminimalizować ten efekt intensywnym treningiem, tak jak wioślarze, kolarze, maratończycy i inni, ale nawet trening ma swoje granice. Nie może pokonać genetyki. Fizyczne ograniczenie ćwiczeń wydolności oddechowej określane jest przez poziom tlenu i krwi, które serce i płuca są w stanie rozprowadzić po ciele.

Bóg daje większości z nas, śmiertelników, normalne serca i płuca. Innym daje trochę więcej, nieco większe serce i płuca. Potwierdzają to badania długodystansowców. Jednakże są też i tacy, jak choćby Emma, którym daje trochę mniej. Tym, czego nigdy nie udało mi się dociec podczas moich studiów, była odpowiedź na pytanie, dlaczego tak jest.

Gdy serce człowieka zaatakuje zawał, często ta jego część, która została odcięta od dopływu krwi, umiera. Niesamowite jest to, że nawet w połowie martwe ludzkie serce nadal pracuje. Ludzie są w stanie przetrwać i wieść w miarę normalne życie z funkcjonującym tylko fragmentem serca, chociaż ich codzienność zmienia się wówczas zasadniczo. Serce nie tylko jest najbardziej bezinteresownym z narządów, jest także najbardziej odważnym i wiernym z nich.

Problem Emmy nie polegał na tworzeniu się złożeń miażdżycowych, ale na tym, że powstały w jej sercu w okresie prenatalnym otwór nigdy nie zarósł, powodując nieustannie częściowy przeciek krwi do płuc. Wielu ludzi chodzących po powierzchni naszej planety cierpi w tym momencie na taki sam problem, chociaż nie ma o tym pojęcia i nie straci

" *rigor mortis* (lac.) - stężenie pośmiertne (przyp. red.).

z tego powodu ani jednego dnia swojego życia. Jest to zjawisko prawie tak powszechne jak zespół wypadania zastawki dwudzielnej - częsta przypadłość kardiologiczna, podczas której ostatni płatek zastawkowy nie domyka się całkowicie, powodując cofanie się pewnej ilości krwi do serca. Emma wiodłaby zatem zupełnie normalne życie, gdyby nie wystąpiło coś jeszcze. W jej przypadku ów otwór powiększał się, w rezultacie czego w jej żyłach krążyła krew uboga w tlen.

Powiększająca się dziura w coraz większym stopniu upośledzała jej serce, powodując występowanie zaburzeń, które coraz bardziej pogarszały jego stan. Co było naturalną konsekwencją przeciążenia mięśniowego. Powiększony mięsień wypełnia jamę, w której żyje i pracuje, prac mocniej na ściany swojego domu i zmniejszając w ten sposób przestrzeń, jaką ma do dyspozycji, co sprawia, iż staje szybko przed koniecznością wykonywania pracy cięższej i mniej efektywnej. Nazywa się to kardiomiopatią rozstrzeniową, która określana jest często jako powiększenie rozmiarów serca, zmuszające jego mięśnie do rozciągania się niczym nadmuchany balon. I jest to stan, który pogarsza się raczej w tempie geometrycznym niż arytmetycznym. To jak przytyć czterdzieści funtów w biodrach, starając się zapinać pasek nadal na pierwszą dziurkę. Można kupić większy pasek, ale nie można powiększyć sobie klatki piersiowej.

Od momentu, gdy przychodzimy na świat, każdy człowiek na ziemi zaczyna umierać. Tyle że Emma umierała jakieś sześć razy szybciej niż reszta z nas. I gdy podczas tej powolnej śmierci stale wyglądała na zmęczoną, oznaczało to, że tak rzeczywiście było. Przez całe swoje życie czuła się jak podczas ostatnich stu jardów biegu na ćwierć mili, zawsze z tyłu i zawsze bezskutecznie walcząc o oddech.

Podczas moich studiów dowiedziałem się, że serce Emmy było chore, duże i nadwreżone, nieefektywne i genetycznie

osłabione. Nic, co można było zrobić z jej własnym sercem, nie mogło przynieść jej żadnej korzyści. Nie można było go po prostu zreperować, stąd po tak dużych zniszczeniach utraciło wiele ze swojej elastyczności. Emma zmagająca się z bardzo poważnym zagrożeniem, że jej serce, niczym balon, nagle pęknie.

Serce kruche, nieelastyczne i osłabione pęka lub rozrywa się, tworząc dziurę w ścianie komory serca i powodując wypływ krwi do osierdzia, worka otaczającego serce niczym kamizelka kuloodporna. Krew, znajdująca się teraz poza sercem, wypełnia ów worek, który jest jednak tak mocny, że nie pęka. To z kolei powoduje wzrost ciśnienia na samo serce i w rezultacie jego duszenie. Podczas tego procesu ciśnienie, które napiera na serce, jest większe od tego, jakie powstaje podczas pompowania przez nie krwi, zjawisko to określa się mianem tamponady osierdzia.

W sytuacjach nagłych, gdy nie ma czasu na otwarcie klatki piersiowej, jedynym sposobem na obniżenie ciśnienia jest pericardiocenteza - lekarz wprowadza przez mostek grubą igłę pod kątem około trzydziestu stopni, starając się ominąć płuca, i przebija osierdzie, umożliwiając krwi wydostanie się na zewnątrz, co automatycznie zmniejsza ciśnienie, które napiera na serce. Problem polega jednak na tym, że pacjent ma teraz dziurę zarówno w sercu, jak i osierdziu, i traci płyny ustrojowe w niezwykłym tempie, co powoduje spadek ciśnienia krwi i dalszy wzrost obciążenia serca. To jest równia pochyła, która może szybko wymknąć się spod kontroli.

Dobra wiadomość jest taka, że serce jest nadal w stanie pompować krew. Zła, że jest ono niczym stara pompa w studni: działa znakomicie, jeżeli jest ciśnienie, ale gdy ciśnienia nie ma, za diabła nie można jej uruchomić. Tak więc po pericardiocentezie sztuka polega na tym, aby otworzyć pacjenta

i zaszyć obie dziury, gdy serce nadal pompuje krew i płyny ustrojowe utrzymują się na stałym poziomie.

I gdybym wiedział to wszystko, będąc dzieckiem, rozciąłbym sobie klatkę piersiową, powypruwał sobie żyły i oddał Emmie własne serce.

ROZDZIAŁ 25

Zrobiło się już prawie ciemno, gdy dobiliśmy z powrotem do brzegu pod ich domem. Prawdopodobnie zatrzymałem je u siebie zbyt długo. Annie ponownie zapadła w drzemkę, kiedy więc Cindy cumowała łódź, wziąłem małą na ręce, a ona objęła mnie za szyję - cóż za znajome doświadczenie. Brakowało mi go. Podszedłem wolno pod dom. Gdy zbliżyliśmy się do skrzynki ze świerszczami, huczającej od szumu i nocnego gwaru, Annie uniosła głowę.

Spojrzała w dół i świerszcze ucichły, przestawiając się na niski, prawie niesłyszalny ton, jakby wsłuchane lub wpatrzone w coś, o czym ja nie miałem pojęcia. Było to jak piosenka, którą można usłyszeć tylko wtedy, gdy jej nie słuchasz, lub jak odległa gwiazda, którą można zobaczyć tylko pod warunkiem, że nie będziesz się na niej koncentrował, ale i wówczas tylko kątem oka.

Przyłożyła palec do ust i szepnęła:

-Pst!

Nasłuchiwałem:

- Co one robią? - zapytałem.

Spojrzała na mnie tak, jakbym do tej pory powinien to już wiedzieć:

- One... płaczą.

Pochyliłem się do przodu, starając się coś usłyszeć, ale nadaremnie. Wzruszyłem ramionami.

Szepnęła mi do ucha:

-Tylko wtedy, gdy przysłuchasz się bliżej i gdy tego chcesz, możesz usłyszeć, kiedy płaczą świerszcze.

Pochyliłem się raz jeszcze i przekręciłem głowę, prawie wkładając tam ucho.

Szepnęła znowu:

- Nie, nie, nie. Nie usłyszysz ich uszami - puknęła mnie delikatnie swoim palcem w okolice mostka. - Słyszysz je sercem.

Prawie ją upuściłem. Dochodząc do siebie, spróbowałem zmienić temat.

- Dlaczego one płaczą?

Annie zastanowiła się przez chwilę.

- Ponieważ wiedzą.

- Co wiedzą? - zapytałem.

Spojrzała na mnie, jak gdyby to było zupełnie oczywiste:

- One wiedzą, że jeśli doktor Royer nie znajdzie dla mnie serca, a ciocia Cici nie znajdzie kogoś, kto mi je włoży, a mój stan do tego czasu się pogorszy i nie znajdziemy pieniędzy, aby za to zapłacić, to wtedy... nie będzie mnie tutaj w przyszłym roku, żeby z nimi rozmawiać... - oparła z powrotem głowę na moim ramieniu i zamknęła oczy. - I... dlatego, że wiedzą, że oddają za mnie swoje życie.

Trzymając ją na rękach, wydawało mi się, że waży tysiące funtów.

- Skąd one to wszystko wiedzą?

Uśmiechnęła się, jak gdyby pomyślała, że z niej żartuję.

- Ponieważ im o tym opowiadam, głuptasie.

O, *świat nie zna słodsze go stworzenia* - pomyślałem - *mogłaby spoczywać u boku cesarza i wydawać mu rozkazy.*

Cindy otworzyła drzwi i zaprowadziła mnie do ich pokoju. Położyłem Annie do łóżka i odsunąłem się na bok, gdy Cindy okrywała ją pościelą. Ich zbudowany z betonowych

elementów dom był niewielki i miał tylko dwa pomieszczenia: sypialnię uzupełnioną o garderobę i dwa pojedyncze łóżka i drugi pokój, który pełnił funkcję kuchni, salonu i gabinetu. Na gzymsie kominka stały dwa zdjęcia. Porozrzucane po całym kuchennym stole, którym był przykryty czerwonym obrusem z tworzywa sztucznego stolik do gry, znajdowały się wszystkie te księgi finansowe oraz wnioski o pożyczkę, które widziałem w szpitalu.

Cindy zauważyła, że przyglądam się fotografiom.

- Na tej po lewej jest Annie ze swoją mamą i tatą, prawie trzy lata temu. Ta druga to zeszłoroczne zdjęcie ze szkoły.

Annie z twarzy podobna była do taty, chociaż uśmiech miała po mamie. Jej rodzice byli opaleni i pełni życia. Pytania cisnęły mi się na język, ale doszedłem do wniosku, że zostałem już wystarczająco długo, i nie byłem pewien, czy chciałem na ten temat rozmawiać. Szkolne zdjęcie przedstawiało Annie na tle niebieskiej dekoracji, trzymającą kierownicę czerwonego roweru i uśmiechającą się. Na dole zdjęcia, częściowo zakryte ramką, znajdowało się słowo: „Dowód”.

W drugim pokoju Annie znowu zakasłała, znak, że kaszel zadomowił się na dobre w jej płucach.

- Słyszał to jej lekarz?

- Tak - Cindy przytaknęła. - Sal był tutaj dzisiaj rano. Powiedział, że powinnam trzymać ją z dala od innych dzieci i nie prowadzić do szkółki niedzielnej przez parę tygodni. Trochę to potrwa.

- Sal jest dobrym człowiekiem. Dobrym lekarzem.

- Najlepszym. Nigdy nie wziął ode mnie pieniędzy, a wolę nie mówić, ile tysięcy dolarów jestem mu winna - załomotała jakimiś garnkami na kuchni. - Chcesz kawy?

Przymrużyłem jedno oko, namyślając się.

- A masz herbatę? -Jasne.

Zabrała czajnik z pieca i zaczęła napełniać go wodą pod kranem.

Odwróciłem się, udając, że wyglądam przez okno, podczas gdy mój wzrok nadal wędrował po kuchni w poszukiwaniu jakiegoś śladu narzeczonego, który zaraz wejdzie, trzaskając frontowymi drzwiami. W tle słyszałem Cindy, wyciągającą nóż z szuflady.

- Chcesz do herbaty cytrynę?

- Tak, dziękuję.

Cindy ukroiła pierwszy plasterk cytryny i zaraz potem wrzasnęła:

-A! Ach!

Odwróciłem się, gdy upuszczając nóż i sięgała po ręcznik, krople krwi kapały po kuchennej podłodze.

Chwyciłem ją za rękę i przyjrzałem się ranie, podczas gdy Cindy trzymała dłoń z daleka od siebie, wciągając do płuc powietrze i zakrywając oczy drugą ręką. Jej twarz zrobiła się popielata i widziałem, że zaraz może się przewrócić:

- Na widok krwi robi ci się niedobrze?

- Tylko na widok mojej własnej - wymamrotała, a jej kolana zrobiły się wiotkie.

Złapałem ją wpół i zaprowadziłem na kanapę. Owinąłem jej dłoń ręcznikiem, który trzymała, i zaraz potem wróciłem z kuchni z wodą utlenioną. Zawartość kieszeni położyłem na stoliku obok Cindy, przemyłem sobie dłonie, a następnie jej rozcięcie na lewej dłoni. Było głębokie aż do kości. Miałem wrażenie, że nie mogę zbyt liczyć na jej współpracę, gdy chwyciłem za igłę. Byłem przekonany, że pójdzie mi znacznie lepiej, jeżeli zacznę działać szybciej niż ona. Wyciągnąłem zza paska latarkę, włączyłem ją i uniosłem nad ręką Cindy, wykorzystując zęby jako statyw. Nawlekłem na igłę nić i zanim otworzyła oczy, zdążyłem już założyć jej cztery szwy.

Spojrzała na mnie, a następnie chwyciła przeciętą rękę drugą, zdrową, próbując ją wyrwać i przyciągnąć z powrotem do piersi.

- O nie - odezwała się. Chwilę potem zamknęła oczy, a głowa opadła jej z powrotem na kanapę. Spróbowała zapanować nad swoim krótkim, płytkim oddechem, a następnie ponownie otworzyła oczy, obserwując mnie jednym okiem, gdy spokojnie zakładałem jej szósty szew.

- Ten jest niezły - wymamrotałem z latarką wepchniętą do ust.

Nie odezwała się, próbując nie patrzeć na swoją rękę. Cindy spojrzała ponad moim ramieniem. Usłyszałem drobne kroki:

- Ciociu Świerszczu, dobrze się czujesz? - odezwała się Annie.

- Tak, kochanie. Dobrze - pokiwała głową, starając się odesłać Annie gestem z powrotem. - Wracaj do łóżeczka.

Annie podeszła do mnie od tyłu i oparła głowę na moim ramieniu. A gdy to zrobiła, jej pokiereszowany wisiołek w kształcie sandała zadyndał na moim obojczyku. Błyskał odbitym światłem przy każdym wychyleniu. Annie spojrzała na moje dzieło, a następnie na Cindy.

- Skaleczyłaś się?

Najwidoczniej Annie nie miała żadnych problemów z widokiem krwi czy igieł.

Cindy odzyskała częściowo kolory, ale nie była w stanie podnieść się z kanapy. Nie tylko była do mnie przywiązana osiemnastoma całami purpurowej nici chirurgicznej, ale wokoło widać było jeszcze zbyt dużo krwi.

- Tak, tylko takie małe skaleczenie przez nieuwagę. Możesz już wracać do łóżka.

Zamknęła oczy, krzywiąc się, gdy przekłuwałem jej skórę igłą.

Z latarką w zębach szepnąłem do Annie:

- To rozcięcie tutaj - wskazałem igłą i poświeciłem, aby mogła zobaczyć - jest prawie do kości. Ciocia sobie przecięła dość sporą żyłę - pokazałem dokładniej igłą.

Annie przyglądała się, a następnie spojrzała na własną rękę dla porównania.

- Świerszczu makabrycznie się poharatał - kontynuowałem - ale myślę, że osiem szwów załatwi sprawę, a sądząc po widoku tego niezłego zardzewiałego noża, o tam, będzie potrzebowała zastrzyku przeciw tężcowi.

- No, to wspaniale! - Cindy zamknęła oczy i zaczęła na siłę oddychać głęboko i wolno.

Annie szepnęła mi do ucha:

- Nie lubi zastrzyków.

Spojrzałem na twarz Cindy, która znowu zrobiła się blada.

- Domyśliłem się.

Założyłem ostatni szew, obróciłem się do Annie i skinąłem głową na małe nożyczki leżące na stole obok mnie:

- Mam zajęte ręce. Możesz to za mnie uciąć? - Annie chwyciła nożyczki, wsunęła swoje małe palce w otwory i delikatnie pochyliła się do przodu. - Tuż przy pętelce - powiedziałem.

Rozwinałem nić niczym pępowinę, a Annie przecięła ją pełna uwagi i troski niczym ojciec po raz pierwszy przy porodzie. Przycięła jeszcze odrobinę i przyjrzała się swojemu rękodzielu. Pokiwałem głową i powiedziałem:

- Możesz przynieść mi jakąś ściereczkę?

Annie wróciła, podając mi wypłowiałą i sfatygowaną zieloną ścierekę. Cindy zauważyła to i odezwała się:

- Nie, słoneczko, nie te nasze najlepsze. Przynieś te stare białe, poplamione. Zaraz przy pralce.

Annie przyniosła ręcznik, a ja nasączyłem go wodą utlenioną i delikatnie przemyłem Cindy rękę razem ze szwami. Spojrzała na mnie:

- Co? Nie masz tam chyba też zastrzyków? Boję się pomyśleć, co jeszcze może być w tych kieszeniach.

Uśmiechnąłem się.

- Żadnych zastrzyków - przycisnąłem miejsce szwu, pomogłem Cindy usiąść i przyłożyłem jej rękę do piersi ponad sercem, aby spowolnić krwawienie, które jeszcze nie ustało.

Annie usiadła obok Cindy, zasłaniając usta podczas kaszlu. Kobieta spojrzała na nią.

-Już mi lepiej, kochanie. Prześpij się trochę.

- Annie ziewnęła i oparła głowę na ramieniu Cindy, która spojrzała na mnie, a w jej spojrzeniu wyrażała się prośba o pomoc. Ująłem Annie, podniosłem z kanapy i zaniósłem do łóżka, opatulając ją pościelą pod szyję. Sądzę, że spała już, zanim wyszedłem z pokoju.

Cindy siedziała na kanapie, walcząc z mdłościami i studiując swoją dłoń. Spojrzała na mnie.

- Mam wrażenie, że robiłeś to już wcześniej.

-Tylko raz czy dwa razy - powiedziałem, nie kontynuując tematu. Czajnik na kuchni zaczął gwizdać, zalałem więc dwie filiżanki rumianku i siedzieliśmy tak w ciszy, z ustami zawieszonymi nad parą unoszącą się z naczyń.

Cisza przedłużała się i zacząłem czuć się skrepowany. Poszukałem wyjścia.

-Jesteś zmęczona, powinienem pewnie już pójść.

To nie była prawda. Owszem, wyglądała na zmęczoną, ale widać było również, że towarzystwo kogoś dorosłego mogłoby jej wynagrodzić cały tydzień nieprzespanych nocy. Jej podkrążone oczy mówiły mi, że nie sypiała zbyt dużo. Pomimo jej reakcji na widok własnej krwi była silną kobietą. Widziałem już kiedyś takie podkrążone oczy - moje własne.

Cindy wstała i otworzyła mi drzwi.

- Wiesz co? - odezwała się, wciąż trzymając swoją skaleczoną dłoń na wysokości szyi. - Wiem, że może nie powinnam o to prosić, ale spróbuję. A poza tym, robię to nie tyle dla siebie, ile dla Annie.

Czekała, aż poproszę ją, aby kontynuowała, cokolwiek miałoby to być.

- Słucham - powiedziałem, stojąc na werandzie w świetle latarni.

- Jutro po południu jedziemy do Atlanty. Mamy umówioną wizytę u lekarza Annie w szpitalu St. Joseph's. Czy chciałbyś może pojechać z nami? - uśmiechnęła się i oparła o drzwi. - Moglibyśmy pojechać twoim samochodem, zobaczyć się z lekarzem, a potem kupiłabym ci jakiegoś bardzo zdrowego hot doga w Varsity.

Annie zakaszłała, tym razem dłużej, i poczułem w sercu tak dobrze znane mi ukłucie. Nie uśmiechała mi się raczej myśl o wyjeździe i kręceniu się w pobliżu St. Joe's, chociaż znałem tam wystarczająco dużo miejsc, gdzie można by się ukryć, ale z drugiej strony... Annie zakaszłała znowu.

Skinąłem głową.

- O której mogę po was przyjechać?

- Mamy być na miejscu o trzeciej.

- Przyjadę o pierwszej.

Zgodziła się, a ja zszedłem z werandy. Obróciłem się, obawiając się wręcz tego pytania, ponieważ wiedziałem już, jaka będzie odpowiedź.

- Tak z ciekawości, jak nazywa się jej lekarz? Odchrząknęła:

- Doktor Morgan. Royer Morgan. Oparłem się o futrynę.

- Znasz go? - zapytała.

Potrząsałem głową.

- Tylko tak zapytałem - uchyliłem daszka czapki. - Dobrej nocy. A - skinąłem ponownie na jej rękę - na ten ból pomoże advil.

- Dzięki. Spij dobrze.

Cindy zamknęła za mną drzwi, a ja pospieszyłem wąskim chodnikiem.

Gdy znalazłem się przy jeziorze, pochyliłem się nad nabrzeżem, oparłem o **Podnah** i w księżycowym świetle natrafiłem na swoje odbicie w wodzie. Moja twarz była wykrzywiona. Tracąc równowagę, przechyliłem się, otworzyłem usta i zwymiotowałem na to, co zobaczyłem.

Następnego rana o wschodzie słońca stanąłem obok swojego suburbana, tankując na stacji benzynowej niedaleko domu. Tuż przed zatankowaniem do pełna zaparkował obok stary cadillac. Miał dziurawy tłumik i był brudny.

Sal Cohen opuścił szybę, mówiąc:

- Właśnie byłem w domu Annie. Zrobiłem Cindy zastrzyk przeciw tężcowi, oczyściłem ranę i nie mogłem się nadziwić, że zdołałeś ją zaszyć... - potarł podbródek i spojrzał przez przednią szybę. - Jedne z najlepiej wykonanych szwów, jakie w życiu widziałem. Wątpię, czy pozostanie choćby mała blizna.

Wzruszyłem ramionami.

- To jak z jazdą na rowerze.

Sal wystawił głowę przez okno i spojrzał badawczo.

- A gdzież to budowniczy łodzi nauczył się tak jeździć na rowerze?

- Dawno temu, w collegeu, jeździłem karetką pogotowia. Uchylił rąbka kapelusza, zdjął nogę z hamulca i powiedział:

ciekawe, co za sanitariusz cię tego nauczył. Patrzyłem, jak odjeżdża, myśląc o jednym Musze natychmiast wyjechać z tego miasta.

ROZDZIAŁ 26

Dzięki szybkim postępom w leczeniu stan Emmy ustabilizował się nieco w czasie college'u. Nie próbowała podchodzić do końcowych egzaminów, zapisała się tylko na wszystkie kursy z literatury, jakie mieli w ofercie, i nieustannie malowała. Spoglądając wstecz, myślę, że były to jedne z jej najszcześniejszych dni - okres, gdy oddychała najgłębiej.

Aby nie wprawiać rodziców w zakłopotanie, chodziliśmy ze sobą przez dwa lata w collegeu i pobraliśmy się dopiero na trzecim roku, zaraz po tym, jak przystąpiłem do egzaminu wstępnego na uczelnie medyczne. Mieliśmy małą, cichą ceremonię weselną w ogródku na tyłach domu jej rodziców, a noc poślubną spędziliśmy owinięci wełnianym kocem w jakiejś chacie porzuconej gdzieś na odludziu w Smokies.

Często myślę o czułości i szczerości naszej nocy poślubnej. Po prostu tam byliśmy, dwoje dzieci, które dorosły i stały się małżeństwem. Nic do ukrycia, nic do udowadniania, po prostu my. Polecieliśmy do Nowego Jorku i przez dwa tygodnie podróżowaliśmy starymi pociągami, nocując w tanich hotelach, aż do granicy z Kanadą. Podczas tej kolejowej eskapady nigdy nie widziałem Emmy tak podekscytowanej, bardziej niż ja wolnej od przeszłości. Z każdą przejechaną milą jej ramiona jednak zapadały się, a uśmiech bladł.

Gdy wróciliśmy do domu, przed rozpoczęciem mojego ostatniego roku w college'u, otworzyłem kopertę z wynika-

mi mojego egzaminu. Osiągnąłem wynik 45 - co oznaczało, że poszło mi znakomicie. Dość szybko zacząłem otrzymywać listy typu: „Szanowny-Panie-Reese-miło-nam-poin-formować...” z każdej uczelni medycznej na Południowym Wschodzie. Większość oferowała stypendium oraz obiecywała atrakcyjne perspektywy kariery naukowej, ale wszystko poza moim wąskim polem poszukiwań nie wzbudzało nawet cienia mojego zainteresowania. Ja chciałem wiedzieć jedno: czego mogą nauczyć mnie o ludzkim sercu?

Podczas rozmów kwalifikacyjnych większość komisji rekrutacyjnych, pełnych doktorów w białych marynarkach i kraciastych muszkach, albo nie potrafiła udzielić mi odpowiedzi, albo oburzała się, jak śmiem zadawać im tak zuchwałe pytanie. Nie byłem zarozumiały. Po prostu wiedziałem, jaki cel chcę osiągnąć, i miałem zbyt mało czasu, aby czekać, aż sami go odkryją. Musiałem zdobyć go z marszu.

Sprawy przyjęły inny obrót podczas rozmowy kwalifikacyjnej w Harvardzie. Jako jeden z trzech finalistów konkursu na fundowane stypendium usiadłem przed ośmioosobową komisją, która zachęciła mnie do zadawania własnych pytań. Z szacunkiem odpowiedziałem, że mam tylko jedno. Unieśli brwi i czekali.

- Jeżeli zdecyduję się wziąć udział w państwa programie - zapytałem - czy możecie w jednym zdaniu powiedzieć mi, czego nauczę się tutaj o ludzkim sercu?

Doktor Ezra Trainer - muszka, tweedowa marynarka, siwa bródka, laserowy wskaźnik i garść M&M-sów, które wrzucał sobie po jednym do ust - uniósł palec, zsunął okulary i wyrecytował:

- Z całą pilnością strzeż swego serca, bo życie ma tam swoje źródło. Omal nie podskoczyłem na krześle.

ROZDZIAŁ 178

Doktor Trainer rozpoczął pierwszy dzień swoich wykładów z anatomii od trzech prostych zasad:

- Pijcie niesłodzoną mrożoną herbatę, kwas garbnikowy dobrze robi na serce, tak jak i brak rafinowanego cukru; codziennie zażywajcie aspirynę, ponieważ powoduje, że tętnice i żyły stają się mniej lepkie i mniej podatne na wychwytywanie płytek miażdżycowych; i nigdy nie korzystajcie z windy, gdy w pobliżu znajdują się schody. - Poklepał słoik z M&M--sami na swoim biurku i dodał: - A, i starajcie się panować nad swoimi uzależnieniami.

Niektóre sprawy są takie proste. Zakończył swe pierwsze zajęcia słowami:

- Pamiętajcie, panie i panowie, poznacie wiele technik i procedur, ale najlepsze narzędzie, z jakiego przyjdzie wam kiedykolwiek korzystać, znajduje się pomiędzy słuchawkami waszego stetoskopu.

Kiedy śmiech ucichł, uniósł palec i powiedział cicho:

- Nigdy nie zapominajcie, że lepsze jest wrogiem dobrego.

Ale to już wiedziałem, ponieważ czytałem Woltera.

Pierwszego dnia poznaliśmy naszych nieboszczyków. Do mojej grupy przydzielono trzech, wszystkich sinych, pomarszczonych i bardzo nieżywych, mieliśmy z nimi pracować

w ciągu całego semestru. Gdy większość grup nazwała swoich, nadając im numery lub dość techniczne terminy w rodzaju Alfa, Beta i Delta, my nadaliśmy naszym imiona.

Wiedzieliśmy, że poddamy ich szczegółowej sekcji, od dużego palca u stopy począwszy, na rdzeniu przedłużonym skończywszy, ale nie pozwalając nam zapomnieć o należnym im szacunku, doktor Trainer przypominał:

- Ci ludzie kiedyś chodzili i rozmawiali. Kochali, mówili i marzyli. Martwych czy żywych, myślę, że tak powinniśmy ich traktować.

Pierwszy był siedemdziesięcioparoletnim mężczyzną, który musiał się chyba na tym stole wędzić. Nazwaliśmy go Winston. Ci, którzy mówią, że smoła przykleja się do płuc, mają rację. Jego płuca wyglądały jak sieć pokrytych smołą miniaturowych autostrad.

Druga była Azjatką po czterdziestce, która, jak odkryliśmy miesiąc później, zmarła na atak serca. Nazwaliśmy ją Cathy, ponieważ komuś w naszej grupie przypominała ciotkę.

Trzeci był mężczyzną w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat, który dostał rozległego udaru - sądząc po odciskach na rękach - na polu golfowym. Daliśmy mu imię Scotty, ponieważ uważaliśmy, że do twarzy by mu było w kraciastym. I wtedy odkryłem również i to, iż ci, którzy mówią, że płytki miażdżycowe przywierają do ścian tętnic jak rzepy, mają rację. Dwa miesiące później poddaliśmy sekcji tętnicę szyjną Scotty ego - tę, która umożliwia przepływ krwi z serca do mózgu - i okazało się, że jest zablokowana w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

Owej pierwszej nocy przyprowadziłem Emmę do kostnicy, ogromnej, zimnej sali, wypełnionej sześćdziesięcioma stołami oraz taką samą liczbą zwłok, i odkryłem prześcieradła. Większość ludzi widziała w nich zsiniałe ciała, wykrzywione wargi oraz pomarszczone członki, wyzute z ludzkich soków

i funkcji. Dla tych z chorą wyobraźnią był to widok niczym z horroru o północy. Nie dla Emmy. Dla niej ludzki kształt stanowił Boską podobiznę. Przeszła pomiędzy stołami, mówiąc: „To czyni nas wyjątkowymi”.

Gdy ja zapełniałem nasz dom książkami, czasopismami, wykresami, z nosem wetkniętym we wszystko, co wiadomo było na temat serca człowieka, Emma przelała swoje serce na sztalugi i wypełniła nasze życie kolorem i wyrazem.

Poza nią, która naprawdę wiedziała o mnie wszystko, nikomu nie powiedziałem o tym, co zamierzałem robić w przyszłości. Uważałem, że mówić mogę wszystko, na co tylko przyjdzie mi ochota, ale mówienie nie ma większego znaczenia. Przemawiają czyny. Pomimo mojego milczenia, gdy zaczęliśmy przecinać mostek Winstona z zamiarem przeprowadzenia sekcji na jego sercu, wszyscy odwrócili się w moją stronę:

- Ty - usłyszałem - powinieneś to zrobić.

Rozcięliśmy go od mostka do dolnego odcinka przetyku bezprzewodową piłką Strykera, włożyliśmy nierdzewny rozszerzacz do żeber i przekręciliśmy, delikatnie otwierając jego klatkę piersiową. Pod osierdziem - workowatą strukturą, która ochrania serce - znajdowało się ono, jego „źródło życia”: schorowane i zwiotczałe po latach palenia. Rozejrzałem się wokoło, pozostali skinęli głowami, zanurzyłem więc rękę i objąłem je palcami. Było zimne i twarde.

„Właśnie - myślałem wtedy - po to tutaj jesteś. Oto punkt wyjścia. Naucz się tego, Reese. Naucz się tego do końca”.

Pod koniec pierwszego roku doktor Trainer zaprowadził mnie do swojego gabinetu i posadził naprzeciwko siebie. Wskazał na mnie niezapaloną fajką.

- Reese, każdy głupi zauważy, że jesteś inny niż pozostali studenci - pokazał na ścianę za mną. - Jestem twoim pro-

motorem, możesz więc równie dobrze zdecydować się teraz. Zasadniczo masz trzy możliwości.

Wiedziałem o tym, a on wiedział, że ja wiem i wiedział, że ja wiem, że on wie, ale było to coś więcej niż zwykła rozmowa nauczyciela ze studentem. Skierował swój laserowy wskaźnik w kierunku diagramu na ścianie, który przedstawiał drzewo z trzema gałęziami.

- Elektrofizjolodzy to elektrycy serca. Głównie zakładają rozruszniki i spędzają soboty w klubie na grze w karty. Wysyłają swoje dzieci do prywatnych szkół, jeżdżą zagranicznymi samochodami, a zimą jadą na dwa tygodnie na narty do Utah.

Przesunął swój laser w kierunku prawej strony diagramu:

- Kardiologowie inwazyjni to hydraulicy. Zakładają stenty, a później grają w golfa z facetami, którzy nie grają w karty. Ich żony podwożą się wzajemnie do pracy z żonami tamtych facetów - skierował swój laser ponownie w stronę elektrofizjologów - którzy pewnie wykupują timesharing w hotelach na Bahamach, gdzie spędzają dwa tygodnie lata, uprawiając wędkarstwo na muchę.

Wolno przesunął swój laser na środek diagramu, pień drzewa, i zaczął kręcić na nim kółka.

- Chirurdzy klatki piersiowej - powiedział to wolno, z szacunkiem i naciskiem. - Jesteśmy cieślami, budowniczymi. Przeprowadzamy operacje zakładania by-passów oraz przeszczepów i robimy rzeczy, o których golfiści, faceci grający w karty i łowiący na muchę mogą tylko pomarzyć. Pracujemy za dużo, rzadko jeździmy na nartach, zarabiamy znacznie mniej niż kiedyś i większość z nas to sukinsyny. W rzeczywistości jesteśmy na końcu kolejki, ostatnim przystankiem na drodze do nieba albo do piekła.

Rzucił mi swój laserowy wskaźnik: -Wybieraj.

Znałem swoje miejsce na tym plakacie od czasu mojej obietnicy złożonej mamie Emmy. Mogłem nie wiedzieć, jak to się nazywa, ale znałem swoje miejsce. Oparłem się o siedzenie i wskazałem na pień drzewa.

- Tutaj. Od zawsze tego chciałem - wyłączyłem jego wskaźnik i delikatnie odłożyłem na brzeg biurka.

On również oparł się na krzesło i skrzyżował ręce, a sprężyny w jego krzesło podkreśliły wykonany ruch. Zawiesił sobie fajkę na wardze, zastanowił się przez chwilę i powiedział:

- Dobrze. To dobrze - podrapał się po podbródku, a jego oczy zwięziły się, patrząc na mnie. - Trzeba wiedzieć od samego początku, że...

- Tak, panie profesorze?

- To jest niesamowity organ, prawdziwy władca, ale nie wszystkie serca zaczynają znowu pracować po ich zatrzymaniu - jego wzrok powędrował przez okno, gdzieś w zamgloną już obecnie przeszłość. - Musisz o tym pamiętać.

W czasie stażu przychodził ten nieunikniony moment, gdy doktor Trainer zwracał się do kilku wybranych studentów, prosząc ich o asystowanie podczas popołudniowych zabiegów wszczepienia by-passów. Była to jedna z form wyróżnienia ze strony uczelni. Budzące niezdrowy dreszczyk emocji pytanie od dawna już uczyniło z doktora Trainera postać mityczną. Od tygodni słychać było na sali wykładowej wypowiedziane zdanie: „Co zrobisz, jak usłyszysz swoje nazwisko?”.

Pod koniec mojego drugiego roku doktor Trainer zwrócił się do mnie pewnego dnia, pytając na głos przy całej grupie:

- Panie doktorze, czy ma pan dzisiaj wolne popołudnie? Nawet nie mrugnąłem. Przez całe życie czekałem na ten moment.

Wyszorowałem ręce, dołączyłem do niego na sali operacyjnej i zobaczyłem, jak wyciąga tętnicę piersiową spod klatki

żebrowej pana Jimbo, czterdziestokilkuletniego budowlańca, z dziewięćdziesięcioma funtami nadwagi, którego od płaskiej linii na monitorze dzieliły ze trzy piki. Stałem naprzeciwko doktora Trainera, obok Dana, jego osobistego asystenta, który ciął właśnie elektrycznym skalpelem i wyciągał tętnicę z nogi Jimbo na jego drugi i trzeci by-pass.

Doktor Trainer umieścił tętnicę w środku, kończąc pierwszy by-pass, a następnie spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem, który przebiegł po jego twarzy. Zrobił się czerwony, wyrócił oczami, ugięły się pod nim kolana i zwałił się z nóg. Głucho uderzając, upadł na posadzkę. Jimbo leżał na stole z otwartą klatką piersiową i zatrzymanym sercem odżywianym za pomocą pompy. Sala operacyjna pogrążyła się w chaosie.

Dan upuścił skalpel i zaczął dyszeć, wpadając na sterylne stoły i rozrzucając po całej sali narzędzia ze stali nierdzewnej. Pielęgniarka naczelna usunęła Danowi z drogi swój sterylny pulpit i zadzwoniła na pager do kolegi doktora Trainera, Jacka Metzgo, ale ten znajdował się trzydzieści mil od szpitala w korku. Niestety, Jimbo nie miał już czasu, aby czekać na doktora Metzgo, aby ten zjechał z autostrady i przedostał się przez światła na skrzyżowaniach w centrum Bostonu.

Podczas gdy pielęgniarka zaczęła wrzeszczeć na doktora Trainera wysokim, drażniącym piskiem, Dan zaczął mamrotać niespójne nonsensy w kierunku techników i pozostałych pielęgniarek, które rozbiegły się po całej sali. Spojrzałem na anestezjologa, który uniół ręce, patrząc to na mnie to na perfuzjonistkę:

- Nie jestem sterylny.

Spojrzałem na perfuzjonistkę, która spojrzała na mnie, uniosła ręce, wpatrując się we mnie pustym wzrokiem, który mówił to samo co anestezjolog.

Obróciłem się w kierunku pielęgniarki naczelnej, wyciągnąłem rękę i powiedziałem: - Zszywacz.

Spojrzała na posadzkę, na pacjenta, następnie na mnie i włożyła mi w dłoń nawleczoną igłę. Setki razy widziałem, jak to się robi, przeprowadziłem kilkadziesiąt „udanych” operacji wszczepienia by-passów na nieboszczykach, czytałem o tym tysiące razy i marzyłem każdej minuty każdego dnia przez dwadzieścia lat. W myślach przerabiałem każdy szew i każdą sekundę zabiegu.

Poprosiłem anesteziologa o podwyższenie stołu, ponieważ jestem około trzy cale wyższy od doktora Trainera, wsunąłem rękę do klatki piersiowej Jimbo, a następnie zrobiłem to, do czego stworzył mnie Bóg. Naprawiłem jego serce.

Drugi by-pass wymagał wiele szwów, spojrzałem w dół na doktora Trainera, który ewidentnie udawał nieprzytomnego. Zauważyłem to, ponieważ przyłapałem go, gdy patrzył na mnie jednym okiem, drugim obserwując obraz na monitorze. Gdy do mnie mrugnął, zdałem sobie sprawę, że wszystko to ukartował i wszyscy o tym wiedzieli poza mną.

W każdym razie w ciągu dwudziestu minut przywróciłem cyrkulację w sercu Jimbo za pomocą trzech nowych tętnic, jednej z jego klatki piersiowej i dwóch z nogi, odłączyłem go „od pompy” i ujrzałem, jak jego serce wypełnia się krwią i staje ciemnoczerwone. Widząc krew wypełniającą komory, włożyłem do środka rękę, objąłem serce i je ścisnąłem.

Zabiło. A potem zabiło znowu. I Jimbo nie umarł.

Po zaszyciu osierdzia, poprowadzeniu trzech drenów poprzez ściany jego żołądka, owinięciu klatki piersiowej, aby ją zamknąć, oraz zaszyciu i zawiązaniu szwów na skórze pokrywającej mostek, cofnąłem się. Dan potrząsnął głową i zaśmiał się:

- Robimy to siedemnasty raz i jesteś pierwszym, któremu pozwoliliśmy dokończyć. Zazwyczaj doktor Trainer podnosi się po dwóch minutach, gdy facet na twoim miejscu paprze sobie tylko fartuch albo partoli i tak już spartolone serce

- pokazał na Jimbo.

- Równie dobra robota. Prawie tak dobra jak pana doktora

- skinał za mnie.

Obróciłem się, a doktor Trainer spoglądał przez moje ramię, odbierając M&M-sy od pielęgniarki, która wkładała mu je do ust po jednym.

Doktor Trainer pokiwał głową i powiedział z uśmiechem:

- Może.

Gdy ściągnąłem rękawice i fartuch, mrugnął do mnie:

- Ale tylko: może.

ROZDZIAŁ 186

Jedynym oryginalnym elementem wyposażenia po domku wędkarskim była ponadwymiarowa, zaopatrzona w nogi w kształcie lwich łap, żelazna wanna. Sięgała do pasa i wyglądała jak wyposażenie domu publicznego. Charlie mówił, że waży trzysta funtów, a Emma po prostu ją uwielbiała. Napuszczała do niej ciepłej wody, ale nie za gorącej, i podczas gdy wanna napełniała się, ona skubała sobie brwi przed lustrem nad umywalką. Gdy przestawała już kichać, wślizgiwała się do środka i przesiadywała tam długo, dolewając ciepłej wody, jeżeli była taka potrzeba. I czytała. Musiała w tej wannie przeczytać ze sto książek. Piana, mokry ręcznik pod głową i stopy wystawione do góry.

Czasami wsuwałem głowę do łazienki, pytając:

- Chcesz kogoś do towarzystwa?

A ona za każdym razem spoglądała na mnie znad swojej książki, wkładała zakładkę i robiła mi miejsce. Wspinałem się do środka, opierałem się, a ona czytała mi, podczas gdy ja masowałem jej stopy. Wychodziliśmy, wyglądając jak rodzyнки.

Zatrzymałem wannę, gdy Charlie i ja budowaliśmy mój dom, aby przypominała mi tamte chwile. Gdybym chciał się jej teraz pozbyć, musiałbym wysadzić dom w powietrze. Była tak ciężka, że musieliśmy wzmocnić podłogę, aby utrzymała wannę razem z wodą i razem z tym, kto mógłby się w niej znaleźć. Podczas gdy Charlie stał na dole, dwóch innych,

wynajętych przeze mnie facetów, pomagało mi wnieść ją na górę. Ustawiliśmy ją pod ścianą, naprzeciwko okna, które wychodziło na jezioro.

Charlie tylko pokiwał głową i powiedział: - Rób, jak uważasz, ale nie wiem, po co chcesz trzymać takie starocie.

Nalałem wody tak gorącej, jaką tylko mogłem fizycznie znieść, a potem zacząłem namakać. Księżyc oświetlał jezioro niczym pojedynczy reflektor, a lekka bryza stroszyła korony drzew. Zatrzeszczałem oknem, zgasilem światło i siedziałem w ciemności, czekając.

Wkrótce zaczęły. Nie potrzebowałem dużo czasu, by odpłynąć. Gdy się obudziłem, świerszcze ucichły, skończywszy swoją serenadę. Minęła północ, woda była zimna, wstałem i wyszedłem, siny i pomarszczony.

Nie wiem, ile razy przesiadywaliśmy w tej wannie razem z Emmą. A wspomnienie jej wychodzącej z wody ze spiętymi włosami, wodą kapiącą z uszu, dłoni i palców u stóp jest jednym z tych obrazów, których nigdy nie sprzedałbym Termitowi za całą herbatę Chin lub wszystkie świerszczyki świata.

ROZDZIAŁ 188

Akademia medyczna nauczyła mnie wiele, ale jedno powracało stale na nowo: niezwykle trudno zabić ludzkie ciało. Ludzie robią sobie wiele rzeczy: palą jak lokomotywy, aż ich płuca zaczynają wyglądać tak jak te Winstona; piją jak smoki, aż ich wątroby stają się marynatami; jedzą jak świnie, aż ich serca i nerki otłuszczają się tak bardzo, że z twarzy zwisają im trzy podbródki; byczą się na sofach, aż chodzenie staje się dla nich bolesne... A pomimo to ludzkie ciało znosi wszystkie te kary i nadal funkcjonuje tak jak trzeba. To dawało mi nadzieję, bo jeśli ludzie dobrowolnie wyrządzają swojemu organizmowi tak wiele złego, a mimo to organizm ów daje im siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat życia, to - wnioskowałem - ludzie tacy jak Emma, którzy zmuszeni są żyć z uszkodzonym i anormalnym organizmem, powinni dostać co najmniej połowę tego czasu. To oznaczało, że gdy zegar tykał, ja miałem czas, aby nauczyć się tego, czego potrzebowałem, a Emma, aby na mnie poczekać.

Zakończyłem naukę na Akademii Medycznej Harvarda w ciągu trzech lat. Następnie, dzięki rekomendacji doktora Trainera, udało mi się zakwalifikować na pięcioletni staż jako chirurg ogólny w szpitalu Massachusetts General.

Mass General nauczył mnie bardzo wiele. Dyżurując siedem na każdych czternaście dni, nauczyłem się, że sen

jest bronią, z której możemy korzystać rzadziej, niż nam się wydaje. Często pracowałem przez trzy dni i całe dwie noce bez chwili snu. Po blisko siedemnastu godzinach namakania krwią i cięcia tkanek przewracałem się na łóżko obok Emmy, spałem cztery do sześciu godzin, a potem wstawałem i zaczynałem znowu.

Ale nie byłem jedyny. Dwanaścioro z nas tworzących zespół chirurgów na stażu w Mass General zostało dobranych z najlepszych uczelni świata. Nazywano nas „najlepszymi”, ponieważ tacy byliśmy. Świadczyły o tym nasze osiągnięcia. Długie godziny z dala od Emmy tłumaczyłem sobie, mówiąc, że każda z nich spędzona w szpitalu była jeszcze jedną godziną doskonalenia moich umiejętności. Kolejna godzina na poczet jej wyleczenia.

Po okresie spędzonym w Mass General odebrałem telefon od jednego z najlepszych transplantologów na świecie, który zaprosił mnie na osiemnastomiesięczny staż pod swoimi skrzydłami w szpitalu Vanderbilta w celu nauki sztuki przeszczepu serca. Przyjeliśmy zaproszenie, przenieśliśmy się do Nashville i stanąłem obok tego wysokiego, uprzejmego prowincjonalnego lekarza, który, tak się składało, był przy całej swojej skromności numerem jeden lub dwa światowej transplantologii. Nie zważając na swoje osiągnięcia oraz otaczającą go aurę, nalegał, abyśmy zwracali się do niego „Billy”. Tak robiliśmy, ale za jego plecami mówiliśmy o nim *per* „pan”.

Mass General nauczył mnie, jak przetrwać i stanąć mocno na nogach, natomiast Vanderbilt nauczył mnie leczyć. Transplantologia to nic trudnego; jej mechanizm znany jest od lat. Wyciąć stare serce, wszyć nowe i zaszyć pacjenta. Trudność pojawia się potem, po operacji, gdy dosłownie zmusza się ludzkie ciało, poprzez silne leki, do przyjęcia obcego narządu. W tym celu wybiórczo osłabia się niektóre elementy sys-

temu immunologicznego, aby nie były w stanie wzajemnie się atakować z powodu faktu, że serce jakiegoś Johna Doe zajmuje obecnie centralne miejsce w ciele, którego nigdy nie miało zasilać. To delikatna sprawa. Żeby narzucić akceptację i zapobiec odrzuceniu, biorcy przyjmują średnio czternaście pastylek dziennie w ściśle określonym czasie.

Tak więc być transplantologiem to być w domyśle ekspertem od infekcji. Należy się szkolić, rozpoznawać symptomy, których inni nie zauważają, wychytując nawet najmniejsze zmiany w składzie krwi pacjenta lub jego konstytucji chemicznej. Także w brzmieniu kaszlu, kolorze oczu lub skóry, a nawet woni oddechu.

Inaczej niż w przypadku pozostałych chirurgów, którzy często operują pacjentów, których nigdy nie spotkali, a następnie widują się z nimi raz na dwa tygodnie przy okazji wizyt kontrolnych, transplantolodzy poznają swoich pacjentów wiele miesięcy wcześniej, zapoznają się z historią ich życia oraz życia ich rodzin, a następnie przechodzą razem z nimi wyczerpujący proces oczekiwania na serce. Po przeprowadzeniu operacji widują się z nimi co tydzień, później, przez następne lata, co miesiąc. Wiąże ich ze sobą ten niedający się opisać akt, gdy bierze się serce kogoś innego i wkłada je do klatki piersiowej żyjącej osoby, gdzie zaczyna ono instynktownie ponownie bić. Niewielu lekarzy łączy ze swoimi pacjentami równie silny związek.

Po osiemnastu miesiącach spędzonych w szpitalu Vanderbilta zadzwonili ze szpitala St. Josephs w Atlancie. Mieli zamiar rozpocząć u siebie program zabiegów transplantacyjnych i chcieli, abym nim pokierował. Billy udzielił mi swojego błogosławieństwa i wypuścił mnie na wolność. Uścisnąłem mu dłoń i powiedziałem:

- Dziękuję panu - i razem z Emmą wróciliśmy do domu w Atlancie.

W tamtym czasie nosiłem przy sobie dwa telefony komórkowe i dwa pagery, pracowałem dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu przez około siedem lat. Miałem trzydzieści lat i ludzie przyjeżdżali do mnie zewsząd. Nigdy nie straciłem pacjenta, który już nie byłby martwy, nigdy nie pozwano mnie do sądu i nigdy nie zdarzyło mi się, bym nie odniósł sukcesu, a więc wieść o moich umiejętnościach rozprzestrzeniała się.

Podczas drugiego roku praktyki Charlie - który poświęcił się branży budowlanej na północ od Atlanty - zadzwonił do nas z wiadomością, że znalazł jakiś teren na sprzedaż na północnym krańcu jeziora Burton. Dwie działki, jedna z chatą wędkarską z werandą, obie usytuowane *vis-à-vis*, na przeciwnych brzegach wąskiej zatoczki.

Cała nasza trójka spotkała się z agentem nieruchomości w niedzielne popołudnie, gdy mój grafik wolny był od zabiegów, i poszliśmy obejrzeć to miejsce.

Isniejąca zabudowa była uboga, ale schludna i mogła służyć za miejsce weekendowych wypadów, zanim zbudowalibyśmy to, co nam odpowiada. Od momentu, gdy postawiliśmy tam naszą stopę, Emma zaczęła wyobrażać sobie, jaki rodzaj domu by chciała. W drodze powrotnej zaczęła przelewać swoje pomysły na papier. Oddzwoniliśmy, jadąc na południe drogą numer 400, i podpisaliśmy dokumenty w ciągu następnego tygodnia.

Pewnego popołudnia po wykonaniu czterech prostych zabiegów wszczępienia by-passów i jednej torakotomii wszedłem do swojego gabinetu zbadać pewnego starszego Chińczyka. Zgięty wpół i wspierający się na lasce, podniósł głowę i przywitał się. Stałem, aby uścisnąć mu rękę i nawiązać kontakt wzrokowy. *Chcę żyć w* każdym języku oznacza: *chcę żyć*. Oczy mówią to równie wyraźnie jak usta.

Obróciłem się, zarezerwowałem salę operacyjną i tamtego wieczoru zaczął znowu żyć. Gdy okazało się, że radzę sobie z małymi, kruchymi organizmami, zaczęli przyprawiać do mnie dzieci. Pewność moich rąk i umiejętność zakładania delikatnych szwów w niewielkich miejscach o niebezpiecznie cienkich tkankach poszukiwana była przez rodziców dzieci, których małe, słabowite serca potrzebowały cudu przyobleczonego w postać współczesnej medycyny. I gdy uratowałem ośmiolatkę, która miała już za sobą trzy operacje i nie była w stanie obyć się bez czterech urządzeń podtrzymujących ją przy życiu, zaczęli nazywać mnie „cudotwórcą”. Emma tylko się uśmiechała, nie tracąc nadziei. Życie pacjenta transplantologicznego nie jest łatwe. Po zakończeniu operacji chorzy przechodzą długi pobyt w szpitalu, podczas którego nie śpią wiele, są często badani i kluci oraz muszą sobie radzić z wieloma raczej niewygodnymi rurkami wetkniętymi i wystającymi z różnych otworów ich ciała. W ciągu krótkiego okresu przechodzą swój pierwszy epizod nieuniknionego odrzutu, gdy system immunologiczny ich organizmu atakuje obce zagrożenie, ową rzecz w centralnym miejscu ich ciała, której tam być nie powinno.

Wówczas zaczyna się czasochłonny proces poszukiwania właściwej kombinacji leków, które wyregulują układ odpornościowy organizmu. Następnie częste biopsje, podczas których lekarz wprowadza niewielką pęsetę do rurki umieszczonej w szyi i pobiera pięć niewielkich fragmentów mięśnia sercowego do badań i analiz. Później następują miesiące rehabilitacji oraz cotygodniowe, a potem comiesięczne badania kontrolne.

W końcu pacjent zmuszony jest pogodzić się i dostosować do trwającego przez całe życie reżimu diety, przyjmować dziesiątki różnych medykamentów każdego dnia o ściśle określonej porze i zwracać baczność na każdy przejaw

kaszlu, kichania oraz kataru, każdego przecięcia lub obtarcia, które pojawiają się na ciele, i na każde, najmniejsze nawet wahanie temperatury. Ale pomimo całej tej mordęgi i całego tego cierpienia ludzie ustawiają się w kolejce, aby przez to przechodzić.

W tym wszystkim są lekarze. Ci szczerzy powiedzą wam, że niewielu z nas odpornych jest na jakiś stopień „kompleksu Boga”. System sam w sobie generuje ten problem. Inaczej niż w przypadku dyrektorów naczelnych, którzy mogą liczyć na informację zwrotną ze strony akcjonariuszy lub zarządu, lekarze nie otrzymują żadnej lub prawie żadnej. Jesteśmy poza kontrolą. A na sali operacyjnej sprawujemy całkowitą kontrolę; każdy ma wykonywać nasze najmniejsze polecenia. Żadnych dyskusji. Żadnych negocjacji. Żadnych pytań czy sprzeciwów. My zalecamy, a inni ludzie wykonują. My unosimy rękę, a ludzie skaczą. A przy każdym uratowanym życiu otrzymujemy potwierdzenie. „Dobra robota, doktorze”, „Świetnie poszło, doktorze”, „Nieźle, doktorze”.

Nasze wargi mogą mówić: „O, naprawdę drobiazg”, ale w duszy myślimy sobie: „Pewnie, że dobra”. Karmimy się swoją własną dumą, stale głodni awansu. I niech się wam nie wydaje, że jesteśmy tacy tylko na sali operacyjnej. Ponieważ większość z nas ma przerośnięte ego, jesteśmy tacy w przypadku większości innych relacji, co tłumaczy fakt, dlaczego pracujemy po dwadzieścia godzin na dzień, nie mamy życia rodzinnego, zostawiamy za sobą falę nieudanych małżeństw i wysyłamy swoim dzieciom kartki świąteczne na Boże Narodzenie.

Udało mi się uniknąć tego syndromu, nie dlatego, że byłem lepszym człowiekiem od tych wokół mnie, tylko dlatego, że nie mogłem sobie pozwolić na to, aby stać się jego ofiarą. Wraciałem do domu każdej nocy i kładłem się do łóżka obok kobiety, której oddech powodował u mnie przerażenie.

Zacząłem pracować po dwadzieścia godzin na dobę, nie dlatego, że karmiłem się faktem bycia docenianym, ale z powodu nadziei, że Bóg zapamięta wszystkie moje dobre uczynki i oszczędzi Emmę.

Często stawałem w drzwiach po dwóch nocnych dyżurach i trzech dobach w szpitalu, kładąc się do łóżka, z powiekami zbyt ciężkimi, abym mógł je utrzymać otwarte. Ale sen był moim wrogiem i robiłem wszystko, co mogłem, aby się od niego powstrzymać, ponieważ pragnąłem tylko słuchać oddechu mojej żony. I pozwalało mi to utrzymywać moje wątpliwości na wodzy.

Podczas wielu nocy obracała się na bok i widząc moje otwarte oczy, pocierała kciukiem mój policzek:

- Hej, ty. Uśmiechałem się.

- Nie chce ci się spać? Potrząsałem głową.

Ona także się uśmiechała i dotykała moich warg:

- Kłamiesz. Przytakiwałem.

Wciskała się pod moje ramię, odnajdywała moją stopę końcami swoich palców, zamykała oczy i odpływała. Za każdym razem chciałem powiedzieć:

- Zaczekaj, nie, nie opuszczaj mnie. Zostań. Chociaż jeszcze kilka minut... - ale zanim powiedziałem słowo, już spała.

I leżałem tam tak z walącym sercem, a pod moim ramieniem jej słaba klatka piersiowa to napelniała się, to pustoszała. Przymus snu był potężny, ale trwałem w oku cyklonu, z falami rozbijającymi się o dziób mojej łodzi, walcząc, by utrzymać ster. Ale moja kontrola nad tym okrętem była równie ograniczona jak nad łódkami, które strugaliśmy, puszczając wzdłuż strumienia jako dzieci. Możemy ślizgać się po po

wierzchni, wiosłując doskonałymi, równymi pociągnięciami wiosła albo płynąć prosto na mieliznę, ale koniec końców to niesie nas woda. ***To był najlepszy czas, to był najgorszy czas... to była wiosna nadziei, to była zima rozpaczy, wszystko mieliśmy przed sobą, nic nam już nie pozostało.***

Gdy byłem już pewien, że śpi, przykładalem do jej wątych pleców swój stetoskop i nasłuchiwałem. Wiele godzin później cyklon szalał w moich uszach, fale przewalały się przez mój umysł, a ja ze znużonymi rękami dzierzącymi rumpel, wciąż nasłuchiwałem. W końcu, gdy osłabiony nie byłem w stanie dłużej się utrzymać, ostatnia fala uderzała, rozbijała skorupę mojej łodzi i miotła mną w kierunku brzegu. Godzinę później budziło mnie ukłucie słońca i skurcz niepewności. Jak rozbitka na bezludnej wyspie.

Wiedziałem, że przypadek Emmy był bardziej skomplikowany niż wszystko, z czym się przedtem zetknąłem. Podczas gdy operacja przeszczepu sama w sobie miała być wystarczająco delikatną i złożoną sprawą, to okres po przeszczepie nie dawał mi spokoju. Po tylu latach przyjmowania silnych środków spowalniających proces degeneracji serca jej układ immunologiczny i tak był już osłabiony. Sztuka polegała na dalszym selektywnym jego osłabianiu, tak aby przyjął nowe serce, przy jednoczesnym wzmacnianiu pozostałych jego składowych, abyśmy mogli razem się zestarzeć. Gdy ja byłem pełen nadziei, jej czas upływał. Emma powiedziała mi, że nie chce, abym to ja podejmował się tego zabiegu, ponieważ nie chciała, abym ciągnął za sobą takie brzemie, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Podczas gdy frakcja wyrzutu u Emmy stale spadała, osiągając poziom piętnastu procent, zacząłem myśleć o zespole, którego potrzebowałem do przeprowadzenia zabiegu. Potrzebowałem dobrej pary rąk. Chciałem znaleźć kogoś rów-

nie dobrego jak ja. Doktor Lloyd Royer Morgan był pięćdziesięcioparolatkiem, który przeprowadził pokaźną liczbę transplantacji, co uczyniło go jednym z najlepszych chirurgów w południowej części Stanów. Royer często operował poza szpitalem St. Joseph's, wiele razy ocieraliśmy się więc o siebie.

Był typem misia. Wielki, z dłońmi jak łapy niedźwiedzia. Krótko mówiąc: łagodny olbrzym. Pokażne ręce ograniczały go w pracy z dziećmi, ale był solą tej ziemi, gdy chodziło o dorosłych. Gdyby moje serce zawiodło i potrzebowaliśmy kardiochirurga, chciałbym, aby to Royer zabrał się za mnie.

Razem z Emmą zaprosiliśmy go zatem na kolację do Chops w centrum Buckhead, gdzie pijąc wino i żując swój stek, wysłuchał naszej historii. Pod koniec kolacji poprosiłem go, aby podjął się zabiegu. Spojrzał na Emmę, ona przytaknęła, wówczas wyraził zgodę.

Rozpoczęliśmy całą serię testów, które pokazały, że jest gotowa do zabiegu. Wciągnęliśmy ją również na listę oczekujących. Pewnego wtorku, około północy, wprowadziłem dane Emmy do rejestru komputerowego narodowego programu transplantacji, znanego również jako baza danych UNOS, formalnie rejestrując ją jako osobę oczekującą na przeszczep. Zadzwoniłem do niej i zaczęła płakać. Nie podobało jej się, że musiała czekać na czyjaś śmierć, aby ona mogła żyć.

ROZDZIAŁ 30

Środa zapowiadała się na ciepły letni dzień; zwiastowała to bryza znad jeziora. Wstałem wcześniej, ponieważ sny nie pozwalały mi spokojnie spać w nocy. Właściwie to nie mogłem przez nie prawie w ogóle zasnąć. Założyłem flanelową koszulę z kołnierzykiem, który mogłem w razie potrzeby postawić, okulary słoneczne i naciągnąłem moją baseballówkę. Aby wyglądać jeszcze gorzej, nie przyciąłem sobie brody. W moim zdezelowanym szarym suburbanie, pokrytym czerwoną gliną Georgii, niemającym w swoim wyglądzie niczego z lexusa, którym kiedyś jeździłem, wydawało mi się, że mogę uniknąć rozpoznania w St. Josephs.

Nieutrzymana, wąska szutrowa droga, która wiła się w kierunku ich domu, wyżłobiona była strumieniami wody. Wjechałem na ich podwórko i zobaczyłem Cindy i Annie, które siedziały na ławce i czytały. Annie owinięta była kocem i miała na sobie purpurowy, flanelowy beret; Cindy ubrana była w spódnicę do kolan, która nie była nowa, i bawełniany bezrękawnik, miejscami poprzecierany.

Istnieje taki obraz twarzy: pusta, wychudzona, wyczerpana. Wygląd ten łączy wszystkich tych, którzy są przewlekłe chorzy. Ich oczy są zapadnięte, barwa skóry blada, naciągnięta na siny przezroczysty podkład. Widać żyły, które wydają się kruche; włosy nie wyglądają jak te na reklamach szamponów, ruchy są powolne, jak gdyby ciało brodziło przez wodę

albo stopy poparzone były na słońcu. Istnieje na to termin medyczny - *cachexia*. Bardziej potocznie określa się to „wypaleniem przez śmierć”. Jak zwał tak zwał, Annie zaczynała tak wyglądać. A gdzieś spod spodu wyzierała delikatna sugestia, że coraz więcej wigoru, coraz więcej życia zaczynało z niej uchodzić.

Zeskoczyła z ławki, podeszła od strony okna dla pasażera i powiedziała:

- Hej, zgadnij, co czytamy?

Wysiadłem, obszedłem auto i otworzyłem jej drzwi:

- No, powiedz - odezwałem się.

- *Madeline*.

- Nie mów. Dołączyła Cindy:

- No, myślałyśmy też o *Doktorze Seussie*, ale doszłyśmy do wniosku, że mógłbyś szybko mieć dość trzyliterowych słów.

Droga numer 400 była spokojna i wjechaliśmy na parking szpitala St. Josephs dwadzieścia minut przed czasem. Cindy pokręciła głową:

- Musiałeś tu być już przedtem. Zwykle potrzebuję jakąś godzinę, zanim znajdę właściwy wjazd.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

- Internet to wspaniały wynalazek.

- No tak, ale jak chcesz skorzystać z niego w kafejce internetowej, to musisz zapłacić dwadzieścia dolców.

- Przychodź do mnie. Możesz korzystać z mojego łącza, kiedy tylko chcesz - gdy to powiedziałem, zakodowałem sobie w pamięci, żeby zabrać swój laptop z gabinetu.

Zaparkowałem z tyłu na parkingu dla pacjentów, o którym wiedziało tylko niewielu z nich.

- Kurczę! Możemy tu parkować? Staralem się wyglądać niepewnie:

- Chyba tak. Tu jest napisane, że możemy.

Cindy pokręciła głową i otworzyła drzwi dla Annie:

- Idziesz na górę? - zapytała.

- Nie, myślę, że zostanę tutaj. Wolę nie wchodzić do gabinetów lekarzy, jeżeli nie jest to absolutnie konieczne.

Uśmiechnęła się i wzięła Annie za rękę, gdy wchodziły przez elektrycznie otwierane drzwi. Usiadłem w samochodzie, wpatrując się w okładkę *Madeline* i przypominając sobie, jak mama czytała ją Emmie.

Pół godziny później obudziło mnie stukanie w szybę. Był to ochroniarz z przekonująco wyglądającą czarną pałką.

- Przepraszam pana, czy mogę zobaczyć jakiś dowód tożsamości?

Mike Ramirez był tu strażnikiem nocnym pięć lat temu. Jego rodzice byli rodowitymi Meksykanami, co tłumaczyło jego ciemną, śniadą skórę i ciemne włosy. Nie potrafiłbym powiedzieć, ile razy Mike odprowadzał mnie wzrokiem po północy, upewniając się, że mój samochód zapali i nikt nie wyskoczy zza krzaków i nie pozbawi mnie portfela, zegarka lub życia.

Mike i Sofia mieli dwoje dzieci oraz nadzieję na następne. Zawsze miał przy sobie ich zdjęcia i mówił, że jego celem jest wysłać je do prywatnych szkół. Jak tylko awansuje na szefa ochrony.

Znał Emmę z powodu wszystkich tych jej przyjazdów do szpitala i z troską interesował się postępami w jej leczeniu. Na pogrzebie siedział dwa rzędy dalej, płacząc jak dziecko.

W ciągu tych pięciu lat, odkąd widziałem go po raz ostatni, zaokrąglił się nieco na brzuchu i włosy cofnęły się mu do tyłu. Zawsze lubiłem Mike'a, zawsze lubiłem z nim rozmawiać i zawsze czekałem, aby się z nim spotkać, gdy w końcu opuszczałem salę operacyjną i rozpoczynałem swoją krótką wędrowkę do samochodu. Ale ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, było pokazywanie mu mojego dowodu tożsamości.

Gdy spojrzałem na niego, zapukał w szybę jeszcze raz i powiedział:

- Przykro mi, że pana niepokoję, naprawdę, ale mamy tu bardzo ściśle zasady bezpieczeństwa i jeżeli będzie pan tak uprzejmy...

Opuściłem szybę i sięgnąłem do tylnej kieszeni. Był w niej mój portfel, ale nie chciałem, aby się o tym dowiedział.

- Hm... - zwlekałem, mając nadzieję, że stanie się cud i pojawią się Cindy z Annie. Pokazałem na ruchome drzwi, nie patrząc na niego. - Dałem go mojej siostrze i siostrzenicy, żeby kupiły sobie coś na ząb. Właśnie weszły do środka. Na wizytę do gabinetu doktora Morgana.

Stał nieruchomo.

- A... czyli czeka pan na pacjentkę?

- No, dziewczynka, tego wzrostu, z czymś purpurowym na głowie. Wie pan, jak to jest z dziewczynkami. Wszystkie chcą być jak te modelki z okładek - starałem się mówić najbardziej prowincjonalnie, jak tylko byłem w stanie, ale nie byłem pewien, czy mi uwierzył.

- Taak, nie musi mi pan mówić - odezwał się - sam mam dwójkę takich.

To znaczyło, że on i Sofia mieli już czwórkę dzieci - dwoje pierwszych to byli chłopcy. Rzuciłem okiem na jego odznakę. Szef ochrony. „Dobrze”. Pomyślałem, że musiał być z tego dumny.

- Hm... panie - powiedziałem, starając się wypaść na ograniczonego, ale skorego do współpracy - jeżeli chce pan, żebym się przesunął, to mogę. Ale naprawdę muszę tu być, gdy one zejdą.

Zapaliłem silnik, ale Mike położył dłoń na ramie drzwi, mówiąc:

- Proszę chwilę zaczekać.

Położyłem nogę na hamulcu, ale nie wyłączyłem silnika.

Milce obrócił głowę, chwycił za niewielką krótkofalówkę zawieszoną na ramieniu i powiedział:

- George, połącz się z Mary Jane w gabinecie doktora Morgana i zapytaj, czy... - spojrzał na mnie i szepnął: - Jak jej na imię?

- Annie.

Ponownie odezwał się do radia:

- Czy Annie, dziewczynka z czymś purpurowym na głowie, jest umówiona na wizytę.

Mike obserwował teren wokół nas, cały czas czujny, spoglądając na parking, ale z uchem zbliżonym do radia. Samolot przeleciał nad naszymi głowami, zakłócając przekaz. Docisnął guzik „Odbiór”, mówiąc: - Jeszcze raz, George.

- Tak - głos Georgea powrócił: - Jest już w drodze na dół.

Odetchnąłem nieco.

George odezwał się ponownie:

- Możesz się z nimi spotkać przy wyjściu, jak doktor Morgan będzie je odprowadzał.

- Dziesięć-cztery - powiedział Mike, nieco się wyprostowując.

Machnąłem Mike owi niegrzecznie, zasunąłem szybę i poprawiłem swoje przebranie. Mike podszedł do drzwi w momencie, gdy Royer przez nie przechodził, pchając Annie na wózku inwalidzkim, z Cindy podążającą za nimi. Miał dużą kopertę wsuniętą pod prawe ramię. Zdjęcia rentgenowskie.

Spojrzałem prosto przed siebie, włączyłem radio, aby ich nie słyszeć, i nie zaoferowałem się z pomocą. Royer otworzył tylne drzwi dla pasażera, podniósł Annie z wózka, posadził ją na siedzeniu i zapiął pasami. Cindy otworzyła sobie drzwi z przodu i usiadła, bez życia.

Royer pocałował Annie w czoło i zatrzasnął drzwi. Oparła się o siedzenie i zamknęła oczy. Cindy opuściła szybę po swo-

jej stronie i wystawiła głowę przez okno. Nie mogąc usłyszeć, co mówi Royer, zgasiła radio.

- Dziękuję, doktorze Morgan.

Royer podał jej klisze, a następnie spojrział na tylne siedzenie, na którym siedziała Annie, oddychając rwanym, płytkim oddechem z zamkniętymi oczami.

- Cindy - odezwał się, podnosząc ręce — Bóg dał mi dobre dłonie, ale duże. Mogę podjąć się jej operacji, ale ona potrzebuje kogoś wyjątkowego. Kogoś z darem. Fizycznie nie jestem w stanie dosięgnąć przy moich rękach niektórych miejsc w jej klatce piersiowej i nie jestem w stanie założyć odpowiednio precyzyjnych szwów. Będziemy musieli znaleźć kogoś innego - Royer przerwał i zapatrzył się w dal. - Znałem chirurga, który potrafiłby tego dokonać... nazywaliśmy go cudotwórcą. Ale od kilku lat nie mogę go odnaleźć... Cóż

- powrócił do rzeczywistości i postukał palcami w klisze.

- Zatrzymaj je. Utrzymamy dla Annie status priorytetu na liście oczekujących. Jej frakcja wyrzutu lokuje ją na szczycie tej listy. To najcięższy przypadek, podejmę się go. Ale - spojrział z powrotem na Annie - czas, abyśmy zaczęli modlić się o cud. Będziemy go potrzebowali.

Cindy otarła łzy i szepnęła:

- Dziękuję.

Zasunęła szybę i oparła się na siedzeniu z rękami na kolanach.

Wrzuciłem wsteczny i właśnie miałem nacisnąć pedał gazu, gdy z powrotem odsunęła szybę, mówiąc:

- Doktorze Morgan?

Royer odwrócił się i podszedł do samochodu. Wzięła głęboki oddech i zmieniła rolę: z matki na żywiciela rodziny.

- Zalegam z honorarium dla pana doktora. W przyszłym miesiącu, myślę, moja sytuacja się zmieni. Bank, z którym rozmawiałam...

Royer uniósł ręce i przerwał jej gestem.

- Później - powiedział. - Najpierw operacja. Później, gdy wróci do szkoły, zacznij biegać po boisku, gonić za chłopakami i prosić, aby nauczyła ją pani, jak się maluje paznokcie, wtedy będziemy się martwić innymi rzeczami.

Cindy zdusiła szloch. Royer poklepał ją po plecach:

- Trzymajmy rękę na pulsie. Postarajmy się, żeby Annie wyzdrowiała, wyszła za męża, miała dzieci, została żoną, mamą, babcią. To wszystko jest możliwe, ale musimy pokonać parę przeszkód - spojrzał ponownie na zdjęcia. - Proszę tego nie zgubić.

Po raz pierwszy Royer zajrzał do wnętrza auta i spojrzał na kierowcę.

Patrzyłem prosto przed siebie, ale widziałem, że Royer przygląda się moim ręką opartym na kierownicy. Poważne przeoczenie z mojej strony. Opuściłem rękaw, aby zakryć swój zegarek - błękitny Seamaster Omega dla pętlonurków, który Emma podarowała mi na naszą pierwszą rocznicę. Royer pochylił się, próbując rozpoznać moje kości policzkowe i rysy twarzy. Ani razu nie popatrzyłem w jego stronę. Jego oczy zwięzły się i spojrzał na Cindy, następnie na mnie, znowu na Cindy i znowu na mnie. Odezwał się wolno i z naciskiem. Jego wzrok omijał ją przez cały czas, koncentrując się na mojej osobie.

- Cuda - powiedział zamyślony - wciąż się zdarzają. Ludzie mogą myśleć, co chcą, ale cuda nadal się zdarzają.

Wyjechaliśmy z parkingu i Cindy objęła mnie swoim ramieniem:

- Dzięki, że nas przywiozłeś. Chyba nie byłabym w stanie przejść przez to sama.

- Jak do tej pory radzisz sobie całkiem nieźle - powiedziałem.

- Wygląd może mylić - powiedziała, spoglądając przez okno, gdy włączaliśmy się do ruchu. Annie spała, mineliśmy więc i Varsity, i Starbucks, wjeżdżając z powrotem na północną obwodnicę drogi nr 400.

Nie odzywałem się, zagubiony w wątpliwościach, które zaczęły mnie dopadać, i zdaje się, że Cindy wyczuła mój nastrój.

- Nic nie mówisz, odkąd opuściliśmy szpital. Wszystko okay?

- Ee, hm, jasne, tylko... tak myślę o Annie. Cindy skinęła głową.

- Witamy w klubie.

Annie spała przez całą drogę do domu. Wjechaliśmy na ich podjazd, gdy było już ciemno. Włączyły się światła czujnika ruchu i ułatwiły mi parkowanie. Zostawiłem suburbana z włączonym silnikiem, wniosłem Annie do środka, poklepałem Cindy po ramieniu i poszedłem sobie, słysząc jej miękki głos, dochodzący od strony łóżka Annie. Podciągnąłem się do wnętrza wozu, a tam na siedzeniu pasażera leżała koperta.

Dwie części mnie zmagaly się ze sobą w walce o dominację.

Jeszcze raz spojrzałem na kopertę, następnie uniosłem ją i wysunąłem zawartość. Były to zdjęcia; płyty CD, na których bez wątpienia znajdował się obrazkowy zapis badania ultrasonografem, obraz wideo, który pokazywał wstrzyknięty kontrast i całościową wydolność oraz siłę serca i w końcu skan tomografii komputerowej. Uniosłem go pod światło na suficie i przyjrzałem się konturom serca Annie. Royer miał rację.

Zaniosłem kopertę pod drzwi, wsunąłem ją pomiędzy izolację a futrynę i odjechałem do domu. Zaparkowałem auto, wszedłem na werandę i zacząłem słuchać świerszczy. Hałas był ogłuszający.

ROZDZIAŁ 31

To był świąteczny weekend, 4 lipca, wiedziałem, że jezioro będzie huczało od gwaru ludzi, łodzi oraz silników motorówek typu Jet Ski, ale chciałem wyrwać Emmę z domu. Była przykuta do łóżka od miesiący i gdyby nie miała w sobie dość siły, oszalałaby od tego już tygodnie wcześniej.

Utrzymywałem ją przy życiu dzięki prawie codziennym dożylnym dawkom dopaminy - rodzaju adrenalinowego kopniaka w serce. Sztucznie zmuszało to jej serce do silniejszego i regularniejszego bicia, ale jednocześnie skracało jego życie. Odkąd Emma znajdowała się prawie na szczycie listy oczekujących na przeszczep, Royer i ja uznaliśmy, że większa siła uzyskana dzięki lekom okaże się dla niej pomocna, zastosowaliśmy więc PICC - „obwodowy centralny kateter dożylny”, który wyglądał jak wenflon do kroplówki, wprowadzony do ręki Emmy, a który połączony był, w rzeczywistości, z przewodem biegnącym wzdłuż jej ramienia, przedłużonym aż do prawego przedsionka i umożliwiającym przenikanie leków bezpośrednio do serca, gdzie mogły mieszać się z optymalną ilością krwi. Dzięki temu byliśmy o jeden krok przed ciemnością, która deptała jej po piętach.

Emma była wychudzona, wyglądała trupio blado, mówiła niewiele, przeważnie szeptem, i mrugała, wolno przymykając oczy. Jej włosy stały się cienkie, paznokcie kruche, a usta spierzchnięte. Zbliżyła się do początku listy, ale ponieważ

wciąż były na niej nazwiska tych, którzy mieli pierwszeństwo, wiedziałem, że mamy weekend tylko dla siebie. Zapakowałem więc do auta wystarczającą ilość osocza i kroplówki, abym mógł nadal podawać jej dzienną dawkę dopaminy, oraz trzy butle ciekłego tlenu, którego używałem na noc, aby mogła lepiej spać. Podniesiony poziom O_2 łagodził wysiłek funkcjonującego organizmu, pozwalając jej na odpoczynek. Było to niczym gromadzenie energii na koncie w banku. Po transplantacji organizm miał dokonać olbrzymiej wypłaty. Tlen powodował, że na jej twarzy pojawiała się ponownie nieco koloru i mogła cieszyć się momentami względnej radości życia. Na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że pojawił się dawca, powiadomiłem ekipę karetki powietrznej, podając dokładne współrzędne GPS naszego domu i mówiąc, że sto metrów dalej znajduje się miejsce, które mogłoby posłużyć jako lądowisko dla helikoptera. Emma, z rurką pod nosem zaczeponą wokół uszu i podającą jej tlen, oparła głowę na moim ramieniu i wypłynęliśmy na jezioro. Czuliśmy podniecenie. Po tak długim oczekiwaniu, długich studiach, długim okresie nadziei wiedzieliśmy, że już tylko tygodnie dzieliły nas od zupełnie innego życia.

Odwołałem swoje zabiegi, biorąc dwa dni wolnego, co nie zdarzyło mi się od początku mojej praktyki, i spędziłem jeden z nich przy telefonie, odbierając od pielęgniarek aktualne wiadomości na temat stanu moich obecnych pacjentów oraz konsultując z innymi lekarzami stan byłych i przyszłych. Po lunchu wybrałem się nawet powiosłować - coś, co od lat zdarzało mi się jedynie o piątej rano w przyszpitalnym centrum fitness na maszynie stacjonarnej. Ze swojego miejsca z widokiem na jezioro Emma szkicowała, przysypiała obok filiżanki herbaty i patrzyła na bruzdy fal rozbijających się o kadłuby łodzi.

Tej nocy pewien dwudziestoletni motocyklista z Dayto-na, naszprycowany koktajlem piwa z amfetaminą, pomknął gdzieś na północ, gazując na swoim przerobionym sportowym motocyklu z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę i próbując przelecieć nad całym skrzyżowaniem na oczach kilkudziesięciu zgromadzonych tam poszukujących podobnych wrażeń dzieciaków. Trafił odpowiednio w rampę, osiągnął właściwą odległość, prędkość oraz, niestety, wysokość -ponieważ w najwyższym punkcie swojego skoku linia energetyczna, której nie zdołał zauważyć, prawie ucięła mu głowę. Motocykl wylądował bez niego, firma energetyczna ściągnęła go na dół, a po przybyciu do szpitala orzeczono u niego śmierć mózgu. Utrzymywano go przy życiu tylko dlatego, aby lekarz prowadzący mógł porozmawiać z rodzicami na temat dawstwa narządów. Szpital w Daytona wprowadził serce na listę, a państwowy rejestr określił je jako idealnie odpowiadające dwójce pacjentów.

Świetnym elementem organizacji bazy danych UNOS jest to, że zapobiega sytuacjom, w których lekarz mógłby zostać poproszony o odegranie roli Boga. Jedynym wyjątkiem od owej zasady wykluczającej uznaniowość są sytuacje, gdy liczba pacjentów zakwalifikowanych do przeszczepu i prowadzonych przez danego lekarza zwiększa się i zostają oni wprowadzeni do systemu. Ale nawet wówczas szansa na znalezienie dawcy idealnie odpowiadającego więcej niż jednemu potencjalnemu biorcy jest równie nieprawdopodobna jak bycie trafionym przez piorun i zaatakowanym przez rekina tego samego dnia. Urzędnicy obsługujący system potwierdzają znalezienie dawcy, stosując strategię podwójnego upewniania się, zanim zawiadamiają telefonicznie lekarzy widniejących na liście odpowiedzialnych za obu pacjentów. Tego popołudnia oba takie telefony wykonano do mnie.

- Hej - w słuchawce usłyszałem Royera: - Pojawiła się... szansa.
Ton jego głosu zdawał się mówić coś jeszcze.

- Mamy serce.

-1? - zapytałem.

- Odpowiada Shirley... i Emmie.

Sześć tygodni wcześniej pojawiła się u mnie Shirley Patton. Właśnie przekroczyła czterdziestkę, miała dwoje dzieci, w wieku trzynastu i dziesięciu lat, pięćdziesięcioletniego męża i jedno życzenie:

- Chciałabym zobaczyć, jak moje dzieci kończą college.

Jedyny problem polegał na tym, że jej serce nie zamierzało jej na to pozwolić. Syn wwiózł ją do mojego gabinetu na wózku inwalidzkim, a gdy poprosiłem ją, aby wstała, nie była w stanie tego zrobić. Dowiedziała się o mnie i o moim zespole, o doświadczeniu Royera oraz moich wybitnych umiejętnościach i przyjechała z Brunswicku prosić mnie, abym wyciął jej serce i włożył nowe.

Widziałem, w jaki sposób patrzyła na swojego syna, jak jej córka wsłuchiwała się w każdą jej potrzebę, i dowiedziałem się, że jej mąż ciągnął trzy etaty, aby tylko zapewnić jej podstawową opiekę medyczną, której potrzebowała.

Podjechała na swoim wózku do mojego biurka, przy którym siedziałem pochylony, zdjęła swoje okulary do czytania i chwyciła mnie za rękę. Obróciła ją spodem do góry, przyglądając się każdemu wyłobieniu i zgrubieniu, a następnie uniosła wzrok i spojrzała na mnie.

- Słyszałam, że ma pan dar - powiedziała - czy podzieli się pan nim ze mną?

Biorąc pod uwagę jej stan, zawieźliśmy ją do apartamentu szpitalnego, który był połączony z oddziałem intensywnej terapii. Shirley stała się tak słaba, że nigdy nie byłaby już

w stanie opuścić szpitala. Mieliliśmy znaleźć jej serce. W przeciwnym razie umrze, czekając na nie. Royer ciągnął dalej:

- Wybór należy wyłącznie do ciebie. Możemy zająć się Emmą i postawić ją na nogi w ciągu trzech dni, a potem czekać przy telefonie na wiadomość dla Shirley.

Potrząsnąłem głową, a Emma pogładziła mnie po włosach. Nawet nie słysząc naszej rozmowy, wiedziała. Skądś wiedziała.

- W porządku - powiedziała. - Poczekam. Wpatrywałem się w jej oczy, widząc w nich wątpliwości,

które wołały w moim kierunku, i powiedziałem:

- Będę tam za półtorej godziny. Przygotuj Shirley. Royer przełknął ślinę, mówiąc:

- Na moim zegarku jest teraz... dziewięta czternaście.

Odłożył słuchawkę i zamówił samolot, a ja wziąłem prysznic, pocałowałem Emmę i zadzwoniłem po Charliego, aby przyjechał i z nią pobyl.

Emma odprowadziła mnie, trzymając moją dłoń i prostując swoją rękę, zmusiła się do uśmiechu i wyszeptała ochryple:

- No, idź już. Uściskaj ode mnie Shirley. Przekroczyłem prawie każdy znak ograniczenia prędkości

na drodze do Atlanty, podczas gdy Royer był już na pokładzie samolotu lecącego z Daytona. Gdy przybył na miejsce, otworzył chłodziarkę i stojąc tam, nad Shirley, podał mi idealne serce.

Zrobiłem to, co miałem zrobić, założyłem ostatni szew i odłączyłem Shirley „od pompy”. Jej nowe serce wypełniło się krwią, zmieniło kolor na jaskrawoczerwony i zabiło jak dzwon. Poszedłem porozmawiać z jej mężem i zostawiłem go razem z ich dziećmi w poczekalni, gdzie mogli teraz rozmawiać o wielu rzeczach, między innymi o college'u. Wróciłem

do domu, gdy zrobiło się już ciemno, podziękowałem Charliemu i podszedłem do Emmy.

Wyciągnęła rękę, a jej palec powędrował wzdłuż ciemnych linii, które zdomowiły się pod moimi oczami. Gdy zobaczyła moją twarz, uśmiechnęła się. Wiedziała, że się udało i że Shirley z tego wyjdzie. Mówienie stało się dla niej zbyt trudne, tak jak i szept, skreśliła więc na kartce parę słów ołówkiem i podała mi ją: „Prześpij się trochę”.

Mój telefon nie dzwonił, pagery nie brzęczały, żaden pacjent na mnie nie czekał i żadne serce nie było w drodze na pokładzie odrzutowca, zaniósłem więc moją żonę do naszego łóżka, położyłem się obok, objąłem jej wychudzoną, kościstą talię i zamknąłem oczy. Zamknęła swoją dłoń w mojej i przylgnęła do mnie ciepłą skórą swoich pleców, a potem przyszedł sen. Kiedy parę godzin później obudziłem się pośród ciemności, pod pełnym huku parasolem ze sztucznych ogni na święto 4 Lipca, Emmy już nie było.

ROZDZIAŁ 32

Po kolacji, złożonej z brązowego ryżu z sosem Worcestershire i kawałka grillowanego łososia marynowanego w pieprzu kajeńskim, soli czosnkowej, brązowym cukrze i melasie, udałem się do swojego warsztatu. Ściągnąłem pokrytą kurzem plandekę, przyjrzałem się materiałowi, wyciągnąłem dwanaście odpowiednich sosnowych belek i cztery deski - cztery na cztery cale - na blat i wróciłem z powrotem do domu, gdzie spędziłem noc w mojej „sali operacyjnej” nad jeziorem pokrytej wiórami i plamami lakieru.

Zanim Charlie pojawił się o piątej trzydzieści, gotowy do wiosłowania, ja przykręciłem już nogi do wykonanego wcześniej wierzchu z desek zespolonych za pomocą czopów, który dokręciłem i dokleiłem jako blat i właśnie zamierzałem pokryć drugą już warstwą lakieru.

Charlie zbliżył się, szurając, ostrożnie podszedł do brzegu, przejechał palcami po krawędziach i powiedział:

- Fajny stół.
- Może być - powiedziałem, z wyrazem krytyki w głosie.
- Spodziewasz się towarzystwa?
- Nie - odparłem, nie podnosząc wzroku. Charlie uśmiechnął się i powiedział:
 - Zrobisz jakieś ławy do siedzenia wzdłuż boków?
 - Nie myślałem o tym.
 - No - dodał, drapiąc się po podbródku - to gdzie ona będzie siedzieć?

Wyprostowałem się. Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że się uśmiecha:

- Nie wiem.

Z jakichś powodów Charlie był w dobrym nastroju, co oznaczało, że wiosłowanie było mocne, długie i ciężkie. Dotrzymywałem mu kroku, ale z trudnością. Moje myśli krążyły gdzieś indziej. Godzinę później zawiesiliśmy łódź na hakach, a Charlie poklepał mnie po plecach, zanim dał nura przy końcu doku.

Jedną ręką chwycił linę, drugą ciągnął się poprzez wodę. Georgia siedziała na drugim brzegu, skomląc z łapami wystającymi ponad krawędź doku i przyglądając się Charlie-mu wykonującemu w wodzie figury baletowe. Gdy dotarł do brzegu, wymiętosił ją za uszy i zabrał ze sobą, idącą z tyłu, do domu na jakieś śniadanie.

Telefon zadzwonił, zadzwonił ponownie, zanim podniosłem słuchawkę.

- Halo?

- Słuchaj, dzwonię do ciebie z propozycją interesu - pełen animuszu głos Cindy oznaczał, że musiała myśleć o tym całą noc. W tle słyszałem rozmawiających ludzi i dzwoniącą kasę.

- Okay - postarałem się, aby zabrzmiało to optymistycznie.

Zaczęła mówić do kogoś innego.

- Przyszłam dzisiaj wcześniej i zajęłam się już odbiorem dostawy. Frank pozwolił mi skorzystać z telefonu. Za chwilę kończę. No, trudno.

Wyobraziłem sobie, jak siedzi wyprostowana, przygryzając dolną wargę. Usłyszałem dźwięczny stukot kobiecych butów oddalających się po drewnianej podłodze.

- Okay, przepraszam. Już jestem.

Zamilkła na chwilę, i mogłem dosłownie zobaczyć, jak zaczesuje sobie ręką włosy za ucho, co kobiety robią zawsze, gdy myślą, są zdenerwowane albo i nie.

- Dorastałam na takiej pekanowej farmie, tuż przy drodze 75, na północ od Tifton i na południe od Macon. Jakieś pięćdziesiąt akrów drzew. Dom sprzedaliśmy już lata temu, ale zatrzymaliśmy sobie zagajnik. Niestety, większość tych drzew uschła albo spłonęła od uderzenia pioruna. W każdym razie, na czym skończyłam? A, no, i mamy tę starą stodołę

- przerwała, pozwalając wybrzmieć słowom: „stara stodoła”.

- Ma chyba ze dwieście lat. Szczerze mówiąc, nie bardzo się na tym znam, ale jest naprawdę duża i jest w niej sporo dobrego drewna. Jakbyś dał radę zrobić z tego jakiś użytek, podzielilibyśmy się zyskiem po połowie. Mogę ci nawet przy tym pomóc, jak mi powiesz, czego szukać i co robić.

Rozważyłem propozycję w myślach, ale pod względem finansowym nijak miała się do ekonomii. Milczałem przez chwilę, a więc wtrąciła się.

- Pomyślałam sobie tylko, że może z twoimi umiejętnościami, cóż... pieniądze naprawdę by się przydały...

Annie zakaszłała w tle, głębokim, wilgotnym kaszlem i usłyszałem Cindy szepczącą:

- Annie, słonko, zasłaniaj buzię. I nie odkładaj ołówka, musisz się przyłożyć do tego zadania.

Annie powiedziała coś, czego nie usłyszałem, a na co zareagowała Cindy:

- Nie obchodzi mnie, co mówią nauczyciele, nie masz aż takich zaległości i w przyszłym roku zdasz do trzeciej klasy.

Odezwałem się:

- Musiałbym to najpierw obejrzeć.

- Cóż, z odpowiednim wyprzedzeniem mogę wziąć wolny weekend.

- A czy dzisiaj będzie z odpowiednim wyprzedzeniem?

- Może. Zapytam - obniżyła głos: - Szefowa nie jest dzisiaj w najlepszym nastroju, ale nigdy nie jest o tej porze miesiąca. Nie znam kobiety, która tak ciężko przechodziłaby okres - zamilkła, odzywając się po chwili już normalnym głosem. - Ale takie informacje pewnie do niczego ci się nie przydadzą.

Uśmiechnąłem się. Cindy miała cudowny zwyczaj myślenia na głos. Annie zakaszłała ponownie, tym razem dłużej, pozbywając się śluzu, który przenikał do jej dróg oddechowych, i który teraz znalazł się, w końcu, na tylnej ścianie jej gardła. Słyszałem taki kaszel tysiące razy już przedtem. I za każdym razem obrazy, które z nim odeszły, powracały.

- Zobacz - powiedziałem - co ci się uda załatwić w pracy, a ja porozmawiam z Charliem, ponieważ będziemy potrzebowali też jego pomocy, i skoczmy tam w sobotę wcześniej rano. Co ty na to?

Milczała przez chwilę. W swojej wyobraźni zobaczyłem kobietę siedzącą w czyimś biurze, rozmawiającą tam przez telefon dzięki czyjejś uprzejmości, ponieważ nie było ją stać na komórkę. Zobaczyłem kobietę ciągnącą dwie, czasami trzy prace, desperacko próbującą wyrwać się z błędnego koła, w którym tkwiła. Zobaczyłem, jak bierze głęboki oddech, uśmiecha się, unosi ramiona i ulga wypełnia bolesną przestrzeń, która się pod nimi kryje. A także, co miałem okazję widzieć u setek pacjentów, którzy przechodzili przez mój gabinet, zobaczyłem błysk nadziei powracającej na powierzchnię gdzieś z głębi, odradzającej się jak feniks z popiołów porażki i bezradności.

Odezwała się szeptem, do którego już się przyzwyczailem:

- Dziękuję - i odłożyła cicho słuchawkę.

ROZDZIAŁ 33

Nadszedł piątkowy wieczór i zastał mnie głodnego jak wilk, ale zdanego na pastwę jedzenia z mikrofalówki. Najwidoczniej jednak Charlie miał zgoła odmienne plany. Wpół do szóstej wieczór pojawił się na swoim nabrzeżu ubrany jak spod igły.

- Hej-Chłopcze-Milczący! Chłopcze-Telefonów-Nie-odbierający! Chłopcze-Budować-Łodzi-Niepotrzebujący! Rusz no tutaj swój tyłek i podrzuć mnie w pewne miejsce swoim autem. Mamy wieczorową porę, czas na kolację.

Zamknąłem swój gabinet, w którym spędziłem większą część dnia, chwyciłem kluczyki i poprowadziłem samochód wzdłuż nieutwardzonej drogi obiegającej małą zatoczkę jeziora, podjeżdżając pod drzwi Charliego. Stał tam z Georgią, przytupując nogą. Wgramolił się do środka, wydając Georgii polecenie: „Do budy!” przy jego nogach i z uśmiechem na twarzy powiedział:

-Jedź tędy, czyli w przeciwną stronę niż do Studni.

- Dokąd jedziemy?

- Po paru moich znajomych. Zabieram nas wszystkich na kolację.

Zaparkowałem i wrzuciłem na luz, a następnie odwróciłem się do Charliego, unosząc brwi. Spojrzał na mnie, mówiąc:

- Taa, lekarze nie bardzo to lubią, gdy im się mówi, co mają robić, ale nie jesteś moim lekarzem. A poza tym, jeżeli wybieramy się jutro z nimi na małą przejażdżkę, pomyślałem, że powinienem je lepiej poznać.

Wtoczyliśmy się na ich podwórko, gdzie siedziały Cindy i Annie, czekając i wyglądając, jakby pierwszy raz w życiu ktoś zabierał je, aby coś zjeść. Ich uśmiech wart był ceny dziesięciu wieczorów w restauracji.

Obszedłem auto i otworzyłem Charliemu drzwi.

- Cindy, Annie, poznałyście już kiedyś mojego szwagra, Charliego. A oto jego dziewczyna, Georgia.

Zaśmiały się, a Charlie obrócił twarz mniej więcej w kierunku całej naszej trójki. Wyciągnął rękę, z wyrazem zdziwienia wskazując na Cindy, która to zauważyła i spojrzała na mnie.

- W porządku - powiedziałem - nie przejmuj się, Charlie cię nie widzi, ale już sobie wykoncypował, jak wyglądasz.

Charlie uśmiechnął się, zamknął oczy i zahuczał, jakby właśnie schrupał czekoladowe ciasteczko.

- I uwielbiam perfumy Beautiful - powiedział z nosem wystawionym na powietrze.

Cindy zarumieniła się i przesunęła Annie przed siebie. Annie spojrzała w górę na Charliego, nie do końca pewna, co ma zrobić, a Charlie nastawił w jej kierunku uszu. Jej oddech był jak ten u cierpiących na przewlekłą astmę. Charlie wysiadł z samochodu, przyklęknął i przyłożył swoją prawą dłoń delikatnie do jej twarzy.

Ona stała z rękami nieco odchyłonymi od swych boków, beretem przekrzywionym na jedną stronę, podczas gdy Charlie wodził opuszkami palców po konturze twarzy Annie, a potem odnalazł jej dłoń i uściśnął ją delikatnie. Przysunął swoją twarz bardzo blisko do jej twarzy, wodząc oczami, jak gdyby próbował uchwycić trochę światła albo jakikolwiek

zarys obrazu. Gdy skończył już „czytać” jej twarz, jeszcze raz wziął Annie za rękę i powiedział:

- Znałem kiedyś dziewczynkę bardzo do ciebie podobną - ujął jej dłoń obiema swoimi i dodał: - Słyszę, że masz bardzo wyjątkowe serce.

Annie uśmiechnęła się i bezwiednie potarła sandał zawieszony na swojej szyi.

Charlie wsłuchał się, objął opuszkami palców zarówno wisiorek, jak i fiolkę z nitrogliceryną i zapytał:

- Co to?

Annie rozpromieniła się:

- Należał do mojej mamy. To jest sandał.

Pochylił się, przysuwając ucho bliżej, niczym kasiarz przy robocie. Jego palce starały się czytać napisy: Ez 36,26.

- To z Księgi Ezechiela - powiedziała Annie.

Charlie pokiwał głową, a wisiorek zakołysał się raz jeszcze u nasady jej szyi. Odezwał się niskim, skupionym szeptem:

- I dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza - przyłożył swoją otwartą dłoń do szczytu klatki piersiowej Annie: - Odbiorę wam serce kamienne, a dam serce z ciała.

Annie spojrzała zaskoczona.

- Skąd wiesz? Charlie uśmiechnął się.

- Moja siostra lubiła ten fragment. Zawsze miała w ręku jakąś książkę. Ona i Romeo, o ten tutaj - powiedział, pokazując na mnie palcem - zawsze uczyli się różnych fragmentów na pamięć, a potem rozmawiali ze sobą za pomocą zdań, które zapamiętali. Niektóre z nich zapadły mi w pamięć i od tamtego czasu staram się ich pozbyć. Zdaje się, że nie udało mi się pozbyć tego.

- Mogę się z nią spotkać? - zapytała Annie.

Charlie uśmiechnął się i wstał, biorąc Annie za rękę i prowadząc w kierunku przedniego siedzenia.

- Tak, za jakieś osiemdziesiąt lat.

Wysadziłem ich przed frontowym wejściem do Studni, pozwalając, aby Charlie i Georgia zaprowadzili je w środku do stołu, i zaparkowałem. Po drodze dopracowałem moją historię, abym mógł precyzyjnie kłamać, gdy nadejdzie czas pytań i odpowiedzi.

Znalazłem ich w rogu, gdzie Davis, ubrany w fartuch z napisem: „Kobiety pragną mnie, a ryby się mnie boją”, ewidentnie zabawiał Annie opowieściami. Stałem w cieniu i oglądałem ją rozświetlającą salę. Nawet blada i wymizerowana miała uśmiech promieniujący światłem słonecznym, którego nawet ślepy nie mógł nie zauważyć.

Charlie zauważył. Wychwyciła to jego twarz, owo ciepło, i niczym księżyc odbiła je z powrotem do nas. Davis przyjął od nich zamówienie na coś do picia, gdy ja prześlizgnąłem się za stołami do swojego miejsca pomiędzy Annie a Cindy.

- Co mają tu dobrego? - zapytała mnie Cindy. Otworzyłem jej menu, pochyliłem się i wskazałem na hamburgery.

- Wszystko z tego działu „medycznego” tutaj. Davis robi najlepsze hamburgery po tej stronie wszystkiego.

Spojrzała na mnie.

- Ty co zamawiasz?

Popatrzyłem na Annie, potem znowu na Cindy. -To co zwykle: „Transplantację”.

Annie odłożyła swoje menu, uśmiechnęła się i poprawiła sobie beret, który nasunął się jej na oczy:

- Pewnie, ja też - rozłożyła ręce, jak gdyby chciała powiedzieć: „Przecież to nic wielkiego” - w końcu tego potrzebuję.

Śmiech dobrze nam zrobił. Właściwie to bardzo dobrze. Był oczyszczający. A jeżeli ktoś potrzebował go bardziej ode mnie, to była to Cindy. Davis wrócił i zebrał od nas zamówienia:

- Trzy „Transplantacje” i dodatkowy talerz - zniknął za blaszaną płytą i zaczął siekać mielone mięso na hamburgery.

Podczas gdy rozmawialiśmy, miejscowy zespół rozpoczął przygotowania do co piątkowego wieczornego występu na żywo. Sasquatch składał się z czterech facetów z Atlanty, którzy po zakończeniu dnia pracy w ubezpieczeniach i pośrednictwie finansowym wyruszyli w dwugodzinną podróż na północ, aby oddać się muzyce akustycznej i southern rockowi.

Gdy czekaliśmy na zamówione jedzenie, Cindy skierowała do Charliego całą serię pytań, na które on odpowiadał z niekłamaną przyjemnością. Siedziałem na brzegu mojego miejsca, słuchając, zastanawiając się i niepokojąc. Charlie przywołał nasze dzieciństwo, sypiąc z rękawa szalonymi, ale prawdziwymi opowieściami o wszystkich kłopotach, w które się pakowaliśmy, raz po raz doprowadzając Cindy i Annie do śmiechu. Na szczęście unikał tej drugiej strony naszej przeszłości.

Dwadzieścia minut później Davis podał zamówione dania i zaczęliśmy jeść w świetle pojedynczej żarówki, która oświetlała nasz stół. Właśnie podnosiłem widelec, gdy Annie odezwała się, mówiąc:

- Panie Charlie, czy mógłby pan odmówić modlitwę? Charlie uśmiechnął się i szepnął, prawie do samego siebie:

- Z ust niemowląt i ssących zgotowałeś sobie chwałę - sięgnął i ujął za ręce Cindy i Annie, które z kolei ujęły moje dłonie, i pochylił głowę: - Panie, jesteś jedynym pośród nas, który wie, co robi, a więc prosimy Cię, żebyś przybył i pobył z nami trochę. Bądź honorowym gościem przy naszym stole.

Wypełnij sobą nasze rozmowy, nasz czas i nasze serca. Bo - tu Charlie skierował głos w moją stronę - życie ma swoje źródło w Tobie.

Trzymająca mnie za rękę Cindy nieświadomie wzmocniła swój uścisk, jak gdyby jej lewa ręka zareagowała na uścisk Charliego po jej prawej stronie.

-1 dziękujemy ci, Panie, za Annie.

W barze zrobiło się cicho. Przy pozostałych stołach ludzie pochylili głowy, potakując z zamkniętymi oczami. Charlie zaś kontynuował:

- Wszyscy wiemy, że Annie potrzebuje nowego serca; nie trzeba pracować w NASA, aby to zauważyć, ale Ty właśnie tym się zajmujesz. Naprawą zepsutych serc: napraw zatem te przy naszym stole, które tego potrzebują - przerwał, pozwalając słowom wybrzmieć: - Nie udaję, że wiem więcej, niż powinienem, ale mówisz w Księdze Jeremiasza, że Ty znasz plany, które dla nas masz; Twój plan, aby nas nie krzywdzić, aby dać nam nadzieję i przyszłość - przerwał ponownie -bo ja, Panie, czuję, że ta mała dziewczynka na to zasługuje. I wiem, że nic nie jest Ci droższe nad dzieci.

Dłoń Cindy drżała. Przy jednym ze stołów, za plecami Charliego, jakaś kobieta pociągała nosem, a siedzący przy niej mężczyzna podał jej chusteczkę. Charlie uniósł brodę. Teraz już każdy przebywający w barze słuchał jego słów i niewiele oczu pozostało suchych.

- Panie, dziękujemy Ci za to jedzenie, za Davisa i za mojego brata Reese'a. Modłę się, abyś Mu błogosławił... wspierał go... i sprawił, żeby Twoja twarz oświeciła go Twoim blaskiem. Amen.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem Davisa klęczącego przy Annie. Oczy miał zamknięte, modlił się, a jego pokaleczone i potrzaskane kłykcie wędrowały jak gigantyczne fale po jej chudziutkich plecach. Siedziała spokojna, z zamkniętymi

oczami i poruszającymi się wargami. Po minucie Davis wstał, odchodząc wolno w kierunku grilla.

Kątem oka zobaczyłem młodego faceta siedzącego samotnie w rogu, palącego papierosa i bacznie przyglądającego się naszemu stolikowi. Termit pochylił się, wychylając z cienia, i zgasił swojego papierosa w popielniczce na stole. Skinąłem do niego głową; on skinął do mnie, a następnie wypuścił z siebie długi strumień powietrza pełnego dymu.

Gdy kończyliśmy kolację, Sasquatch podszli do mikrofonów i rozpoczęli od swojego popisowego numeru, southern rockowo-countrybwej piosenki pod tytułem *Rozruszaj mnie, Jezu, bo siadły mi baterie*.

Annie i Cindy bardzo się podobało. Klaskały przez całą piosenkę, śpiewając refren za każdym razem, gdy gitarzysta prowadzący, Stephen George, do niego powracał.

Davis zostawił rachunek na stole i w tym momencie Cindy sięgnęła do torebki. Charlie usłyszał brzęk i pokręcił głową:

- O nie, madam, nie tutaj. To moja randka i ja płacę za kolację. Ale nie wcześniej, zanim chociaż raz zatańczę z siedzącą tu damą.

Wstał, odszukał drogę na róg sceny i wyszeptał coś Stephenowi do ucha. Stephen pokiwał głową, nacisnął nogą na elektroniczny panel, który zmienił coś w ustawieniu wzmacniacza, i odstawił swoją gitarę. Stał za pianinem i zaczął grać *She's Got a Way* Billy ego Joela.

Charlie ujął Annie za rękę i przedostał się, objając pomiędzy stołami i krzesłami, na parkiet. Annie podążała za nim z gigantycznym uśmiechem od ucha do ucha. Uklęknął przed nią na oba kolana tak, że Annie nieco go teraz przewyższała. Wsunęła w jego dłoń swoją, drugą opierając na ramieniu Charliego, i zaczęła krążyć wokół niego rozpromieniona.

Mniej więcej w połowie piosenki już wszystkie oczy w barze podążały za tą dwójką. Gdy spojrzałem w dół, zobaczy-

łem, że Cindy trzyma mnie za rękę. Kręciła głową, widząc wszystko i nie widząc niczego zarazem.

Ten taniec był jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie widziałem w życiu.

Szukając sposobu, aby uwolnić swoją dłoń, podałem Davisowi pieniądze Charliego i włożyłem sobie ręce pod kolana. Cindy zmieszała się i zaczęła skubać chusteczkę. Po drugiej stronie baru Termit zapalił kolejnego papierosa, zostawił pieniądze na stole, dopił wodę mineralną i wyszedł.

Wyłączyłem silnik i razem z Charliem odprowadziliśmy je pod drzwi. Annie objęła Charliego za nogi i powiedziała:

- Dziękuję, panie Charlie. Świetnie się bawiłam.

- Dobranoc, Annie.

Dziewczynka uniosła palec do ust i przymrużyła jedno oko, jakby się zastanawiała, czy zadać pytanie, czy też nie. Charlie czekał, odczytał znaczenie tej ciszy i zagadnął:

- Coś cię trapi?

- Panie Charlie, tak się zastanawiam... czy trudno jest... nie móc widzieć?

Charlie usiadł po turecku na werandzie i delikatnie ujął obie jej dłonie. Annie usiadła naprzeciwko, opierając się kolanami o jego golenie. Światło na werandzie było słabe, ale wystarczające, aby opaść na ich ramiona.

- Annie, około dwóch tysięcy lat temu pewien niewidomy człowiek imieniem Bartymeusz mieszkał w mieście, które nazywało się Jerycho. Każdego dnia siadał przed bramą do miasta, ponieważ wszyscy tamtędy przechodzili. Gdybyś była niewidoma i gdybyś musiała prosić o pieniądze lub chciała zwrócić czyjaś uwagę, właśnie tam byś poszła.

-To znaczy tak, jak ten człowiek na skrzyżowaniu z tymi znakami na tekturze?

- Coś w tym rodzaju - Charlie uśmiechnął się. Wyciągnął czerwoną chusteczkę do nosa z tylnej kieszeni i poskładał ją sobie metodycznie na udach. - Bartymeusz był tam od lat, siedząc po prostu przy bramie, ślepy jak kret. Prawie każdy go znał i chyba miał dość jego i jego krzyków. Ale co innego ma robić niewidomy człowiek? Jeżeli nie narobiłby wokół siebie zamieszania, umarłby.

Charlie delikatnie przyłożył Annie chusteczkę do oczu.

- Dobra, przytrzymaj tutaj, a ja zawiążę ją z tyłu. Annie przycisnęła palcem wierzch materiału, a następnie

zmrużyła oczy i zamknęła je. Charlie sięgnął i delikatnie zawiązał jej opaskę dookoła głowy. Kontynuował swoją opowieść.

- A więc, jest ten stary Bartymeusz, żebrzący, wrzeszczący, po prostu, jak stary uporczywy wrzód na rzyci.

Annie znowu się wtrącała:

- Co to jest rzycią? Charlie zaśmiał się:

- Rzyć, siedzisz na tym.

Śledziłem ich wymianę i uśmiechnąłem się: ***Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą.***

Cindy zrobiła krok w moim kierunku, jej ramię dotknęło mojego.

- Pewnego dnia słyszy on, że tłum się zbliża. Bartymeusz orientował się w większości ówczesnych wydarzeń, siedział przecież przy bramie do miasta. Można powiedzieć, że był jak spiker wiadomości stacji FOX albo CNN. A więc, gdy tłum zaczyna zbliżać się coraz bardziej, Bartymeusz wstaje, macha rękami i wrzeszczy wniebogłosy. - Charlie przerwał.

- Wiesz, co krzyknął?

Annie pokręciła głową.

- Hm... - głos Charliego przeszedł w intrygujący szept.

- Wiedział, że tak wielki tłum może oznaczać jedno. Za-

czyna zatem wrzeszczeć: „Synu Dawida, zlituj się nade mną! Synu Dawida, miej litość nade mną!”. Może myślisz, że to nic takiego, ale w tamtych czasach można było za coś takiego zostać zabitym. Dla innych Żydów stojących dookoła był to znak, że co najmniej jeden człowiek uważa Człowieka, który właśnie się zbliża, a był to akurat Jezus, za Mesjasza - króla, na którego czekali. W każdym razie Bartymeusz, mający już dość tej bramy, dość bycia ślepy, nie chce już dłużej czekać. I jest mu wszystko jedno, czy ktoś go zabije, czy nie. Zna już ową historię, usłyszał nowinę, jest pewien. Zaczyna więc podskakiwać dookoła, krzycząc, na ile tylko jest go stać

- Charlie malował powietrze rękami. - Miejscowi, którzy nie chcieli, aby Jezus pomyślał, że ich miasto to zbieranina idiotów i dziwaków, każą Bartymeuszowi się zamknąć! Ale nie z Bartymeuszem takie numery - Charlie pokręcił głową.

- Ludzie przez tyle lat mówili mu, żeby się zamknął. Ani mu to teraz w głowie. W tym czasie Jezus zbliżył się na tyle, że usłyszał, co się dzieje, i zatrzymał tłum, mówiąc: „Przyprowadźcie do mnie tego człowieka”. Teraz więc tłum spieszy do Bartymeusza, ciągnie go i mówi: „Chodź”. Wyobrażam sobie, że jego ubranie musiało być brudne oraz obszarpane i całkiem prawdopodobne, że potrzebował kąpieli.

Annie zaśmiała się i zacisnęła sobie nos kciukiem i palcem wskazującym.

- A więc przyprowadzają ślepego żebraka do Jezusa i wyobrażam sobie, jak Bartymeusz pada na twarz, z oczami na wysokości stóp Jezusa. To znaczy, jeżeli ktoś naprawdę uwierzył w całą tę historię o „Synu Dawida”, no to leżenie na twarzy jest dokładnie tym, co mógłby robić. I Jezus zwraca się do niego: „Co chcesz, abym ci uczynił?”. A Bartymeusz, leżąc na ziemi, podnosi wzrok i powiada: „Chcę widzieć”. A Jezus otrzepuje go z kurzu, wygładza jego ubranie i tak mówi: „Idź, twoja wiara cię uzdrowiła”. I ot tak - Charlie zdjął

opaskę z twarzy Annie, a ona zamrugła, przyzwyczajając się do światła na werandzie - tak po prostu, Bartymeusz mógł znowu widzieć.

Annie uśmiechnęła się, a Cindy zakryła sobie usta dłonią. Potem Charlie podniósł się i pomógł Annie wstać:

- Fajnie, ale to, co się stało później, jest nawet jeszcze bardziej interesujące.

- Co się stało? - zapytała Annie, trąc oczy.

- Większość ślepców, których uzdrowił Jezus, pobiegła do domów, opowiadając, że znowu widzą. „No, proszę! Hej, mama! Wracam do interesu!”. To zrozumiałe. A co robi Bartymeusz? Idzie pod mury miejskie, gdzie przesiadywał od lat, podnosi swoje odzienie i podąża drogą za Jezusem - Charlie ukląkł i przyłożył sobie dłoń Annie do oczu. - Annie, tego, co najlepsze i najpiękniejsze na świecie, nie można zobaczyć, a nawet dotknąć; trzeba to poczuć sercem.

- Czy Barty... Bartoli... Bartolini... - Annie poddała się.

- Bart - powiedział Charlie. Annie uśmiechnęła się:

- Czy Bart to powiedział? Charlie pokręcił głową:

- Nie, ktoś inny. Pani o imieniu Helen Keller. Annie odezwała się:

- A, tak, słyszałam o niej. Charlie wyciągnął rękę.

- Annie, miałem cudowną randkę.

Annie objęła go za szyję, ostrożnie, aby nie uderzyć go w głowę twardym gipsem na rękę.

- Mogę być niewidomy, ale nadal widzę - obrócił się w moim kierunku. - Czasami widzę lepiej niż ci, którzy jeszcze mają oczy.

Gdy Annie uwolniła jego szyję, jej usta powiedziały: „Dobrej nocy, panie Charlie”, ale ton jej głosu mówił „Dziękuję”.

Charlie odpowiedział zgodnie z tym ukrytym znaczeniem. Był w tym dobry:

- Bardzo proszę, Annie.

Cindy uścisnęła go, wzięła Annie za rękę i obie weszły do środka.

Annie już prawie przechodziła przez drzwi, ale odwróciła się i podeszła do mnie:

- Dobrej nocy, panie Reese.

- Dobranoc, Annie.

Weszła do środka i usłyszałem, jak zamyka drzwi do łazienki.

Cindy spojrzała na nas obu i wzruszyła ramionami.

- Dzięki, panowie. Do zobaczenia jutro, ale... - zajrzała do środka, a potem ściszyła głos: - Byłoby lepiej, gdybyśmy wyruszyli później. Wydaje mi się, że Annie będzie musiała odpocząć.

Charlie pocałował ją w policzek, mówiąc: „Dobrej nocy”, i zapakowaliśmy się do samochodu.

Gdy sięgnąłem do kluczyków w stacyjce, Charlie chwycił mnie za rękę.

- Zaczekaj chwilę.

Przyłożył palec do ust i opuścił szybę. Georgia leżała pod nim, zwinięta na podłodze. Jej zamaszysty ogon wystukiwał rytm o dywanik. Charlie przekrzywił głowę, nasłuchując, i gdy znowu sięgnąłem do stacyjki, zabrał kluczyki i położył je sobie na kolanach.

Minutę później Cindy zgasiła u Annie światło i usłyszeliśmy skrzypienie drzwi. A potem Annie zakaszła. Głęboko, nisko i głośno. Było coraz gorzej. Minęło parę sekund i znowu zakaszła. Tym razem intensywniej, prawie dwadzieścia razy z rzędu.

Charlie spojrzał w moim kierunku i odezwał się:

- Słyszysz kaszel tej dziewczynki? Wiedziałem, co ma na myśli.

Pokręcił głową i rąbnął mnie w pierś otwartą dłonią:

- Pytam, czy słyszysz kaszel tej dziewczynki. Oparłem się na siedzeniu, mój wzrok powędrował przez

przednią szybę tysiące mil stąd, i wziąłem głęboki oddech:

- Tak, Charlie, słyszę.

Charlie skinął głową i podał mi kluczyki:

- Mam nadzieję - spojrzał przez okno i skrzyżował ręce na klatce piersiowej. - Dla twojego dobra, dla dobra tej dziewczynki, dla dobra Emmy, mam taką nadzieję.

ROZDZIAŁ 34

Hałas tłuczonego szkła wyrwał mnie znad poduszki.

- Emma?! - spojrzałem w kierunku kuchni i hałasu: - Emma?!!

Usłyszałem świszczący, a następnie milknący jęk. Emma leżała na wznak na kuchennej podłodze w szlafroku, który poskręcał się na jej ciele. Miała otwarte oczy, chwytając się za pierś. Jej twarz stanowiła straszliwy widok. Runąłem na kolana, wyczułem jej puls na szyi oraz na przegubie i zdałem sobie sprawę, że za jakieś trzy minuty jej serce przestanie bić.

- Charlie! - krzyknąłem przez tylną werandę, grzebiąc w szufladzie z przyborami kuchennymi: - Charlie! Dzwon na 911! Charlie, dzwon na 911!

Jeżeli Emma miałyby mieć jakiegokolwiek szanse, musiałem obniżyć ciśnienie w jej sercu. Jedyńm sposobem na to było upuszczenie krwi, a jedyną rzeczą, jaką dysponowałem i którą mógłbym się posłużyć, była strzykawka do mięsa w szufladzie kuchennej. Znalazłem sześciocalową igłę o grubości wkładu do ołówka i nałożyłem ją na strzykawkę, przez cały czas wrzeszcząc do Charliego. Oczy Emmy zamknęły się, a jej puls na szyi mówił, że ciśnienie skurczowe jej serca wynosiło obecnie poniżej osiemdziesięciu. Była nieprzytomna albo z powodu bólu, albo braku cyrkulacji krwi, ale to dobrze, ponieważ nie chciałem, aby pamiętała później, co zamierzałem teraz zrobić. Odkręciłem do końca pojemnik z O₂

i włożyłem jej rurki do nosa. Jej żyły zaczęły pęcznieć, co oznaczało, że krew zaczyna zapychać układ.

Od tego momentu zaczął tykać zegar odliczający czas, jaki pozostał do uszkodzenia mózgu. Rozłożyłem ją płasko na plecach, wyciągnąłem jej ręce nad głowę, ustawiłem igłę pod kątem i wbiłem w ciało mojej żony. Końcówka przebiła osierdzie; pociągnąłem tłok strzykawki, zasysając przepływ. Po chwili odłączyłem tłok od igły. Pozwoliło to na swobodny wypływ strumienia odtlenionej krwi, która trysnęła na mnie oraz przeciwległą ścianę kuchni. Prawie litr krwi pokrył malunkami ściany i podłogę kuchni, zanim strumień osłabł i zaczął wypływać w miarowym już teraz tempie bicia jej serca.

Gdy ciśnienie opadło i strumień krwi zaczął docierać w górę wzdłuż szyi, Emma otworzyła oczy. Nie musiało to oznaczać, że była przytomna, ale świadczyło o tym, że tlen zaczął docierać do mózgu. Gdybym mógł dostać się do jej serca, zaszyć dziurę, a pogotowie lotnicze dotarłoby tutaj na czas, moglibyśmy dotrzeć do szpitala, gdzie podłączyłbym Emmę do aparatury, która utrzymywałaby ją przy życiu przez dwanaście godzin, zanim znaleźlibyśmy dla niej serce. To wszystko było możliwe.

Nie zwątpiłem nawet przez moment. Robiłem to już wcześniej ze sto razy. Musiałem jedynie dostarczyć jej wystarczającą ilość płynów fizjologicznych i utrzymać jedno z płuc w najbardziej efektywnym ułożeniu oraz podtrzymać pracę serca. Spojrzałem jej w oczy:

- Emma, jestem przy tobie. Zostań ze mną. Skinęła głową, opuściła powieki i ponownie omdlała. Charlie wpadł do środka z telefonem komórkowym przy

uchu, a jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Co ty robisz? Przerwałem mu:

-Teraz jest okay, ale mamy około dwóch minut.

Omiótł wzrokiem scenerię kuchni i wrzasnął dziko do telefonu, wzywając pogotowie lotnicze.

Przyłożyłem palec do końcówki igły, zatrzymując wypływ krwi, mając nadzieję, że zdołam wprowadzić jakąś jej ilość z powrotem do ciała Emmy, i odezwałem się głosem tak spokojnym, na jaki tylko było mnie stać:

- Charlie, płyny fizjologiczne i skrzynka z narzędziami z bagażnika.

Spojrzał na mnie, nie będąc pewnym, czy pomagam, czy pogarszam sprawę. Powtórzyłem spokojnie:

- *Natychmiast*, Charlie.

Wyleciał frontowymi drzwiami, opróżnił bagażnik i wpadł z powrotem do kuchni. Gdy wbiegał, jego pięty trafiły na mokre, śliskie od krwi linoleum, wyrzucając go na pięć stóp w górę. Jego stopy pofrunęły w kierunku sufitu, a głowa dokładnie ku futrynie. Zamiast osłonić ją, Charlie celowo objął worki z płynem w swoich ramionach, przyjmując ciężar uderzenia na głowę. Powinien upaść bez tchu, ale adrenalina utrzymywała go w akcji. Usiadł, obrócił głowę jak gdyby próbował patrzeć tylko przez jedno oko i wyciągnął ręce z workami wypełnionymi płynem.

Odkręciłem przepływ i podałem jeden worek Charliemu, mówiąc:

- Ściśnij to najmocniej, jak możesz.

Wyciągnąłem rurkę intubacyjną z zestawu ratunkowego, który trzymałem w domu, i wprowadziłem ją Emmie do gardła, udrożniając drogi oddechowe. Charlie zacisnął swoje silne ręce wokół jednego z worków i zaczął wyciskać jego zawartość do serca Emmy. Jego spojrzenie utkwilo w jakimś punkcie nad jej twarzą. Gdy pompował płyn do jej ramienia, a stamtąd do serca, krew wyciekająca końcówką igły zrobiła się jaśniejsza, a z czasem czysta.

- Ostrza tnące i obcegi do drutu - zwróciłem się do Charliego.

Zagłębił jedną rękę w torbie z narzędziami i wyciągnął ją, trzymając parę dużych nożyc do drutu Channel Lock oraz pudełko standardowych ostrzy.

Obróciłem Emmę na prawą stronę, wyciągnąłem jej lewe ramię nad głowę, aby rozciągnąć klatkę żebrową i wymieniłem Charliemu torebkę z osoczem. Tuż przed rozcięciem Emmy spojrzałem na niego, mówiąc:

- Odwróć głowę.

- Rób, co masz zrobić - odparł.

Podąłem mu ośmiouncjową butelkę betadyny z kuchennego blatu, wyciągnąłem rękę i powiedziałem:

- Polej mnie.

Charlie zrobił, co mu powiedziałem, i wymazał mi dłonie oraz przedramiona na brązowo. Wysmarowałem tym, co zostało na moich rękach, klatkę piersiową Emmy, a Charlie wylał płyn na ostrze. Synchronizując swój dotyk z oddechem Emmy, wyczułem jej puls na przegubie. Gdy wdychała powietrze, zupełnie zanikał. Był to symptom określany jako *pulsus paradoxus* - co oznacza „puls paradoksalny”.

Wyciągnąłem ze swojej kieszeni woreczek, nawlokłem igłę i ułożyłem ją na nagiej klatce piersiowej Emmy. Następnie wykonałem ośmiocalowe nacięcie horyzontalne pomiędzy czwartym a piątym żebrzem, wyciąłem sześciocalowy fragment żeber nożycami do drutu i wyłożyłem każdy brzeg otworu zwiniętym ręcznikiem kuchennym, zarówno po to aby wsiąkała w niego krew, jak i aby rozdzielić żebra. Przeciąłem opłucną - worek, który utrzymuje płuca - spuszczać z nich powietrze i usuwając je sobie z drogi. Sięgnąłem do środka, zobaczyłem osierdzie, a gdy dotknąłem je końcem ostrza, wypłynęła z niego krew wraz z wodą.

Wycinając mocny worek osierdziowy, odsłoniłem serce Emmy i zobaczyłem to, czego szukałem - pęknięcie ściany serca. Włożyłem palec do dziury, hamując wyciek. Rozpoczęło się migotanie komór. W skrócie określa się to V-fib, co oznacza, że przestało ono bić i zaczęło drżeć. Było to coś zarówno złego, jak i dobrego. Złego, ponieważ przestało bić, a dobrego, ponieważ łatwiej można je było zszyć i ponownie uruchomić.

Charlie opróżnił już drugą torebkę i sam znalazł sposób, jak podłączyć trzecią. Zamknął oczy i zacisnął dłonie, jego kark napiął się pod ciśnieniem. Cierpiał, jego tył głowy dość mocno krwawił. Charlie jednocześnie krzyczał i płakał. Nie wiedziałem, czy cierpiało jego ciało, jego serce, czy jedno i drugie.

Włożyłem sobie latarkę w zęby, kierując ją do wnętrza jamy klatki piersiowej Emmy, i założyłem jej ośmiotworowy szew kapciuchowy - który wygląda dokładnie tak, jak się nazywa. Gdy zaciągnąłem go, tkanka rozerwała się w trzech miejscach, musiałem więc wszyć się mocniej i zacząć od nowa. Zaciągnąłem jeszcze raz i tym razem trzymało.

Coś na zewnątrz mnie mówiło mi, że słyszę helikopter, ale cokolwiek to było, okazało się nieprawdą. Szwy trzymały, sięgnąłem więc do środka i zacząłem pobudzać serce ręką, początkowo łagodnie, później mocniej. Wtedy dotarło do mnie, że Emma nie oddycha.

„Nic nie szkodzi - pomyślałem sobie. - Czasami ciało wymaga przypomnienia". Jedną ręką stale pobudzając serce, dmuchnąłem silnie w rurkę intubacyjną i wypełniłem jej płuca powietrzem. Na ten znak serce zaczęło bić samodzielnie. Wyjąłem rękę, Emma oddychała sama, a ja sprawdziłem jej puls na szyi. Był słaby, ale obecny. Zegar tykał. Byliśmy o sekundy przed Kosiarzem, ale byliśmy przed nim.

Charlie opróżnił trzecią torebkę, a szpital wciąż był daleko. Uniosłem stopy Emmy, mając nadzieję, że skieruję w ten sposób każdy możliwy płyn jej ciała do serca, i ponownie sprawdziłem puls. Tym razem niczego nie wyczułem. Obróciłem ją znowu, zacząłem masować jej serce i dmuchać do rurki wystającej z jej ust.

Charlie pokryty był krwią, krzycząc ile sił w piersiach, i spoglądał w kierunku sufitu. Cokolwiek to było, nie mógł tego znaleźć. W głębi duszy wiedziałem, że mamy jeszcze czas.

Gdy pochylałem się nad rurką raz jeszcze, przez frontowe drzwi wpadł młody sanitariusz w błękitnym stroju i gumowych rękawiczkach. Spojrzał na mnie, zobaczył blisko pięć litrów krwi oraz płynów fizjologicznych rozpryskanych po całej kuchni, i szeroko otworzył usta.

Wrzasnąłem:

- Elektrody i defibrylator na dwieście! Natychmiast! Potrząsnął głową jak ogłuszony.

- Defibrylator na dwieście!

Sanitariusz upuścił torbę, wyciągnął z niej dwa pady przymocowane do dwóch długich przewodów i umieścił je na klatce piersiowej oraz plecach Emmy. Ja masowałem, jeszcze raz wdmuchałem powietrze do rurki, a on łądował defibrylator. Gdy zielone światełko podpowiedziało mu, że już możemy zacząć, powiedział:

- Gotowe!

Odsunąłem dłonie, a on włączył prąd. Ciało Emmy wyprężyło się, opadło, a ja zbadłem puls. Nic.

Sięgnąłem do jego torby, wyjąłem z niej to, czego potrzebowałem, i powiedziałem:

- Duża dawka epinefryny! Defibrylator na trzysta! Sanitariusz, do którego dołączył teraz pilot, podłączył świeżą kroplówkę i kontynuował odżywianie. Robił to, co

miał robić. Przygotowałem strzykawkę, wbiłem igłę w serce Emmy, wstrzyknąłem całą dawkę i odsunąłem ręce. Sanitariusz krzyknął: - Gotowe! - a ja spojrzałem na jej klatkę piersiową wznoszącą się i opadającą. Nic.

- Duża dawka epinefryny i trzysta sześćdziesiąt!

- Gotowe! Nic.

Charlie zaczął wyc:

- Emma! Emma! Emma!

Spojrzałem na sanitariusza i wrzasnąłem: - Trzysta sześćdziesiąt!

Odezwał się:

- Ale proszę pana...

- Trzysta sześćdziesiąt! Już! Słyszysz!

Spojrzał na swojego kolegę, który przerwał wyciskanie torebki, i spoglądał już tylko na mnie. Pilot powiedział:

- Proszę pana, u pacjenta wystąpiła asystolia. Zgodnie z procedurą, to jest już faza migotania komór i...

Złapałem go za gardło i ścisnąłem, ile tylko miałem siły w ręku.

- Ten pacjent to moja żona! Załaduj na trzysta sześćdziesiąt dzuli!

Odepchnąłem go, załadowałem aparat, wstrzyknąłem więcej epinefryny i zastosowałem trzysta sześćdziesiąt dzuli! Ciało Emmy szarpnęło się po raz ostatni, jej ramiona zatoczyły łuk, jakby chciała się nimi sama objąć lub starała ogrzać, i opadły bez ruchu.

Ładowałem aparat i waliłem w jej klatkę piersiową obiema rękami, gdy Charlie oderwał mnie od niej, rzucając na podłogę i turlając nas po linoleum, gdzie przygwoździł mnie do podłogi.

Walczyłem, aby uwolnić się z jego uścisku, ale cokolwiek robiłem, nie byłem w stanie się od niego oderwać. Przyłożył swoją głowę do mojej i krzyknął:

- Przestań! Przestań! Słyszysz? Ona odeszła! Reese, Emma odeszła!

Dźwięk tych słów zadudnił mi w głowie bez żadnego znaczenia.

Sanitariusz wyszedł z kuchni, rozmawiając przez krótkofalówkę na ramieniu. - Mamy tutaj problem. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Jama klatki piersiowej pacjentki została otwarta... - ściszył głos - ... podręcznymi narzędziami, przyborami kuchennymi... *via* klatka żebrowa. Podaliśmy wysoką dawkę epinefryny - dosercowo, defibrylator kilka razy na trzysta sześćdziesiąt i - przerwał, spoglądając za siebie do kuchni - nie odzyskaliśmy jej.

Przez wiele minut Charlie i ja leżeliśmy na podłodze, z głową Emmy na moich piersiach. Nie zdawałem sobie sprawy, że z Charliem jest coś nie w porządku, aż zbliżył swoją twarz do mojej, mówiąc:

- Powiedz mi, jak to wygląda. Chcę wiedzieć. To był ostatni obraz, jaki widział.

Oftalmolog potwierdził później, że gdy Charlie upadł, w jego prawym oku oderwała się siatkówka, a ta w lewym uległa uszkodzeniu. Gdyby został tam na podłodze, mógłby jeszcze widzieć na jedno oko, ale ponieważ ścisnął i wyteżał się, pompując płyny do ciała Emmy, ujrzał kurtynę, która zaczęła opadać na jego lewe oko, gdy odrywała się zupełnie także i druga siatkówka.

Załoga pogotowia przekazała pełny raport z moich heroicznym prób utrzymania Emmy przy życiu. Wiadomość dotarła do wielu szpitali, które zaczęły wysyłać lekarzy, aby przeprowadzili wywiad i podjęli badania tego przypadku. W nieśmiałej próbie oczyszczenia mnie z zarzutów specja-

liści w mojej dziedzinie ukuli na to, co się stało tamtego dnia, określenie „procedura Mitcha”. Trzy lata temu przeczytałem w „Chest”, że nieznany lekarz z Atlanty, bez wątpienia Royer, wynajął prawników, aby wycofać opis i towarzyszącą mu historię zastosowania „procedury Mitcha” ze wszystkich przyszłych podręczników medycznych jako opartą na niejasnych faktach.

Nie udało się.

ROZDZIAŁ 237

Była północ, gdy spadł ulewny deszcz. Najpierw nadszedł wiatr, skrzypiąc domem, później błyskawica rozświetliła niebo niczym rozgniewana kobieta potrząsająca pięścią. Stałem na werandzie z twarzą zawieszoną nad filiżanką herbaty, oglądając wiatr targający drzewami i wodą. Spojrzałem na jezioro i w blasku błyskawic zobaczyłem dok Charliego po drugiej stronie zatoczki. Wyteżyłem wzrok poprzez zacinający teraz z boku deszcz. To, co zobaczyłem, nie zdziwiło mnie.

Charlie stał na swoim nabrzeżu, przyodziany jedynie w szorty i skórę wystawioną na deszcz. Fale rozbijały się

o słup wbity w rogu doku i zalewały go wodą od pasa w dół. Deszcz zajął się resztą. Charlie tańczył w miejscu, machając w kierunku deszczu, z twarzą skierowaną w górę, przeczesującą niebo w poszukiwaniu błyskawic. Za każdym razem, gdy któraś z nich trafiła jakieś drzewo, posyłając w górę płomień, Charlie wył z zachwytu, wyrzucał ręce w powietrze

i wrzeszczał co sił w płucach.

- Ha! Widziałem to!

Piorun zagruchotał ponownie.

-Ha, ha! Widzę! Widzę!

Znowu błyskawica poprzecinała niebo, tym razem na dłużej, pięcioma bądź sześcioma odgałęzieniami. Zapaliła kolejne drzewo w pobliżu, a grzmot rozległ się tak głośno, że przetoczył się przez dom niczym trzęsienie ziemi. Charlie

zrobił krok w kierunku krawędzi doku. Wiatr smagał naszą zatoczkę i ciągnął w kierunku Charliego; a ten zanurzał się w jego ramiona i tańczył z burzą.

Jezioro Burton znane jest ze swoich gwałtownych burz, które mijają tak szybko, jak się pojawiły. Burza wdarła się kolejny raz, następnie pognąła na północ i niczym zazdrosna kochanka zostawiła Charliego stojącego samotnie i w przeważającej mierze nagiego na nadbrzeżu. Pojawiła się Georgia, wybiegając z domu, skomląc oraz liżąc go po goleniach. Po czym oboje ruszyli podejściem do domu. Taniec dobiegł końca.

W ciszy, która potem nadeszła, wolne, smutne melodie płynące z harmonijki Charliego przenikały przez liście niczym samotny płacz. Charlie był wiecznym optymistą. Życie zawsze było jasne, zawsze do połowy pełne, ale czasami jego dusza płakała. A kiedy tak się działo, płakała poprzez harmonijkę. Jeżeli ktoś chciałby się dowiedzieć, co Charlie naprawdę czuje, co mówi jego serce, musiałby posłuchać go dmącego w instrument.

Zszedłem na nabrzeże, krocząc po oberwanych gałęziach i takiej ilości liści, z którą nie poradziłaby sobie żadna dmuchawa. Linia brzegowa wokół jeziora upstrzona była nieregularnymi światłami, co mogło oznaczać, że gdzieś brakowało prądu. Tafla wody znowu stała się spokojna i ciemna. Chmury odpłynęły i miliony gwiazd świeciły z góry, a na wschód ode mnie, wszedł leniwy półksiężyc. Wyglądał, jakby wyciągnął się wygodnie i oglądał mecz baseballowy.

Usiadłem na moim ulubionym krześle, Adirondacku, oparłem stopy na skleconym niedbale podnóżku - szewc bez butów chodzi - i przechyliłem głowę do tyłu. Burza ochłodziła wieczorne powietrze, ale nie było chłodno. Rodzaj łagodnego ciepła.

Pomyślałem o Royerze, o jego cieple i o tym, jak bardzo się za nim stęskniłem. O pracy ramię w ramię na sali operacyjnej, dyskusowaniu przypadków, wspólnych sukcesach. On i ja stanowiliśmy dobry zespół.

Pomyślałem o Annie, o jej kaszlu, purpurowym berecie, który był za duży, jej żółtej sukience i pantoflach Mary Jane, butli na wodę, która była prawie pełna, oraz o jej wrażliwych, ufnych oczach.

Pomyślałem o Cindy, o ciężarce, który dźwigała na swoich barkach, i o jej kruchej powierzchowności, która tak łatwo mogła popękać. Nie byłem pewien, jak długo będzie jeszcze w stanie sobie radzić.

A potem pomyślałem o Emmie i o tym, jak wiele z niej widziałem u Annie.

- Synu Dawida - szepnąłem. - Chcę widzieć.

ROZDZIAŁ 240

Niczym skalpel, do pracy z którym tak przywykłem, śmierć Emmy okaleczyła mnie. Ujrzałem swoje serce toczące się po ziemi jak wyrzucony zgniły owoc, bijące poza mną.

Całe moje życie, wszystko, co wiązało się z moją egzystencją, wiodło ku tej jednej chwili, tymczasem chwila ta przyszła i odeszła, zostawiając mnie samego. Wszystkie moje przygotowania okazały się daremne.

Nie chciałem mieć już nic wspólnego z medycyną, chirurgią, z moją przeszłością lub z ludźmi chorymi i tymi, którzy ranią. Starłem się zapomnieć wszystko, czego się nauczyłem, wszystko, czym się stałem, wszystkie twarze i serca, które pomogłem wyleczyć. Chciałem jednego: nacisnąć: „Delete”, by skasować nagranie, które stało się moim umysłem, i odejść.

Po pogrzebie spakowałem jedną torbę, wystawiłem nasz penthouse w Atlancie u pośrednika nieruchomości, zadzwoniłem do organizacji zrzeszającej weteranów wojny w Wietnamie, aby przyszli i zabrali sobie, co chcą, i odjechałem na północ. Gdzieś w okolicach drogi 1-285 wyrzuciłem przez okno jeden pager. Po kolejnych kilku milach - drugi. Już na drodze stanowej numer 400 wyrzuciłem pierwszy z moich telefonów komórkowych, który został rozjechany przez traktor z naczepą. Wkrótce ten sam los spotkał telefon Emmy, który uderzył o asfalt i roztrzaskał się na kawałki. Gdy dojechałem do jeziora, poszedłem na koniec starego, chwiejącego

się nabrzeża i wrzuciłem drugą, ostatnią z moich komórek, do wody.

Parę godzin później wszedłem do domu i wyjąłem z kontaktu wtyczkę dzwoniącego telefonu. Rozejrzałem się, zamknąłem drzwi i odjechałem.

Osiem miesięcy później wróciłem. Naprawdę nie potrafię powiedzieć, gdzie byłem. Nie chodzi o to, że się tego wstydzę, tylko raczej, po prostu, nie pamiętam. Nieraz musiałem rzucić okiem na okładkę książki telefonicznej, aby się zorientować, w jakim jestem aktualnie mieście. W pewnym momencie, podczas pierwszych paru tygodni, pamiętam, jak spojrzałem na licznik mil, gdy kliknęło na nim pięć tysięcy. Trzy miesiące później licznik przekreślił się i wyliczyłem, że przebyłem około piętnastu tysięcy mil.

Parę rzeczy utkwiło mi w pamięci. Pamiętam, że widziałem Atlantyk, pamiętam kanadyjskie Góry Skaliste, pamiętam Pacyfik i pamiętam, że zasugerowano mi, abym zawrócił na granicy z Meksykiem. Poza tym niewiele umiem powiedzieć. Pewnie moja karta kredytowa i rachunki ATM mogą opowiedzieć całą historię.

Gdy w końcu pokazałem się nad jeziorem, Charlie właśnie wracał ze „szkoły”, w której uczy się niewidomych dorosłych, jak żyć po utracie wzroku - w większości przypadków po przebytych wypadkach. Omijaliśmy się wzajemnie przez parę pierwszych dni jak dwa końce jednego magnesu, które raczej się odpychają, niż przyciągają. Nie o to chodzi, że nie chcieliśmy ze sobą rozmawiać, ale nie wiedzieliśmy, jak lub od czego zacząć. To znaczy, chcę przez to powiedzieć, nie wiedziałem, jak odezwać się do brata mojej żony, której nie potrafiłem uratować.

Ostatecznie, on po prostu podszedł, położył dłoń na moim ramieniu i powiedział:

- Reese, jesteś największym lekarzem, jakiego kiedykolwiek poznałem.

I być może to właśnie boli mnie najbardziej. Uścisnąłem go, trochę sobie popłakaliśmy, nigdy już na ten temat nie rozmawialiśmy, a potem zaczęliśmy po prostu zbierać fragmenty, które wówczas się porozsypywały. Od czasu do czasu znajdowaliśmy jakiś. Nadal znajdujemy. Czasami razem, czasami osobno. Budowa domu, hangaru dla łodzi, a następnie łodzi po prostu stała się naszą własną terapią grupową. Od tamtej pory uczestniczymy w niej regularnie.

ROZDZIAŁ 37

Cindy zadzwoniła i powiedziała, że Annie jest zbyt zmęczona, by mogła odbyć wycieczkę na południe Macon.

- A poza tym - powiedziała - nie mogę wziąć wolnego dnia.

Pomyślałem przez chwilę:

- Czy miałabyś coś przeciwko, abyśmy pojechali tam z Charliem bez ciebie?

- Oczywiście, że nie - w jej głosie dało się słyszeć zdziwienie. - Jeżeli wam to odpowiada. Mnie to jest bardzo na rękę.

Zapisałem sobie informacje, jak tam dotrzeć, i razem z Charliem ruszyliśmy na południe drogą numer 400, następnie 1-75, ciągnąc za sobą przyczepę. W Atlancie zatrzymaliśmy się w Varsity, gdzie Charlie spożył niezbyt-zdrowe-śniadanie złożone z dwóch hot dogów z chili, krążków cebulowych i coli, a potem wróciliśmy na autostradę. Ja napiłem się soku pomarańczowego i zjadłem banana.

Przybyliśmy na miejsce, które należało do Cindy, około drugiej i okazało się, że miała rację. Było zapuszczone i wymagało około dwóch miesięcy stosowania jakichś środków ochrony roślin. Większość drzew obumarła, trawa urosła wysoko i wszędzie panoszyły się chwasty, dom zsechł się, złaźła z niego farba, która wymagała zdrapania i położenia

ze trzech warstw nowej. Ale miała także rację jeszcze co do jednego. Stodoła to było coś wyjątkowego.

Razem z Charliem obeszliliśmy teren, ja opisywałem, on wrywał kudzu i czytał za pomocą swoich dłoni. Następnie, weszliśmy do środka stodoły, w której podprowadziłem go do desek i jego oczy zajarzyły się.

-To jest kopalnia złota - powiedział, uśmiechając się. Nie mogliśmy wrócić do domu z pustymi rękami.

Obok stodoły rozbiliśmy obóz - mały namiot, rozkładany stolik, lodówka turystyczna, piecyk z butlą na gaz - i przenośny warsztat, który składał się z hebla oraz piły tarczowej. Zabraliśmy się do roboty. Charlie ciągnął za deski, wydierał je z dwustuletniego budynku i podawał mi, abym mógł wyciągać z nich gwoździe, a następnie traktować heblem lub piłą tarczową, albo jednym i drugim, w zależności od charakteru drewna.

Mogłem opisywać mu każdy fragment, ale jego ręce potrafiły powiedzieć mu znacznie więcej niż moje usta. Zresztą, nie chciałem także odbierać mu smaku odkrycia. Zbyt dobrze się bawił. Georgia obserwowała nas ze swojego miejsca na przyczepie. Nigdy zbyt daleko od Charliego, od czasu do czasu zeskakiwała, aby sprawdzić, co tam u mnie.

Zanim się ściemniło, mieliśmy już trzydzieści lub czterdzieści desek załadowanych na przyczepę, każda osiem do dwunastu cali szerokości i może dwa do trzech cali grubości. Dobre drewno, które mogło przynieść niezłe pieniądze. Obliczyłem, że potrzebowaliśmy jeszcze dwóch dni, aby skończyć odzyskiwanie desek, a następnie mogliśmy się zabrać za belki, żyłę matkę.

Po ósmej zadzwoniłem do Cindy, gdyż wiedziałem, że o tej porze Annie będzie już spała. Odebrała telefon, jak gdyby była do niego podłączona.

- Halo?

Chwilę pogadaliśmy, ja zapytałem o Annie, ona zapytała o podróż, a później powiedziałem jej, co zastaliśmy.

- Twoja stodoła dobrze się trzyma. Charlie i ja myślimy, że zostaniemy tutaj jeszcze dwa, może trzy dni i będziemy mogli wrócić do domu z drewnem. Może nawet z niezłym ładunkiem.

Wiedziałem, że boi się zapytać, ale musiała pewnie właśnie płacić rachunki, ponieważ była w nastroju biznesowym.

- Ile, według ciebie, możemy na tym zarobić?

Poczyliłem pewne obliczenia, wymierzyłem drewno i miałem całkiem niezłe pojęcie o jego wartości, ale nie chciałem robić jej zbyt dużych nadziei. Rzuciłem więc ostrożną kwotę.

- Może dwadzieścia pięć tysięcy. Zapanowała głucha cisza, po której nastąpiło:

- Wow!

- No tak - powiedziałem - dużo zależy od tego, jakie są te belki. Jeżeli są w dobrym stanie, każda może przynieść jakieś tysiąc pięćset do dwóch tysięcy. Ale zobaczymy. Mamy jeszcze dużo drewna do zdjęcia, zanim do nich dotrzemy.

- Czy potrzebujecie czegokolwiek?

- Nie - powiedziałem, zrywając strupa - Charlie wygrywa mi właśnie serenady, a więc mamy się nieźle.

Skończyłem rozmowę, a Charlie przestał udawać, że nie podsłuchiwał.

- Hej, Dratwa? -No.

-Jakwygląda to miejsce?

- Cóż - powiedziałem, rozglądając się dookoła - siedzimy na sporej łące, pośrodku czegoś, co wygląda na około sto drzew pekanowych, albo coś koło tego, w większości uschniętych, które były kiedyś naprawdę duże.

- Czy rosną w równych rzędach?

- No, w dość równych.

- To znaczy, jak daleko możesz spojrzeć wzdłuż najbliższego rzędu?
- Kilkaset metrów, na pewno.

Podniósł się, poprawił pasek i zawiązał sobie mocniej sznurówki. A potem spojrzał na mnie.

- Chcę pobiec sprintem.
- Co chcesz? - zapytałem.

Charlie skinął w kierunku czegoś, co wydawało mu się rzędem drzew.

- Chcę pobiec tak szybko, jak tylko mogę, tak długo, jak mogę... aż już się wypompuję.

Byłem zmęczony.

- Właśnie teraz?

- Tak. A jak ty nie biegniesz, biegnę sam. Wiedziałem, że mówi serio.

Podniosłem się, chwyciłem

laskę długą na sześć stóp, która pozwalała Charliemu utrzymywać ze mną stały kontakt, podałem mu jeden koniec i powiedziałem:

- Przesuń się w lewo o pół kroku. Charlie się przesunął.

- Jeżeli będziesz biegł tędy prosto, nie wpadniesz na nic przez, na moje oko, pół mili.

- A za pół mili?

- Cóż - wpatrywałem się w krajobraz - jeżeli będziesz biegł odpowiednio szybko, to pewnie przetniesz się na pół na czymś w rodzaju ogrodzenia.

- Drut kolczasty czy zwykły? Spojrzałem na niego:

- Charlie, to jest pół mili stąd. Charlie uśmiechnął się i oblizał wargi:

- Dasz radę dotrzymać mi kroku?

- Bój się o siebie, bo inaczej rozwalisz się na najbliższym drzewie pekanowym.

Charlie skinał głową:

- Czekam na ciebie - stanął w pozycji przypominającej kota.

- Akurat - powiedziałem, stając na równi z nim i czekając, aż skoczy i pociągnie laskę, która łączyła nas ze sobą - to ja na ciebie.

Bez ostrzeżenia Charlie rzucił się do przodu, robiąc ogromne kroki, płynąc nad ziemią, jak gdyby grawitacja nie wpływała na niego w taki sam sposób jak na większość z nas. Jego lewe ramię unosiło się miarowo to w górę, to w dół niczym tłok, podczas gdy prawa pozostawała zaciśnięta na lasce rozciągniętej pomiędzy nami. Dźwięk jego płuc wciągających i wydychających powietrze brzmiał jak pociąg wspinający się pod górę.

Nie widziałem go wyraźnie i gdy w końcu zrównałem się z nim na tyle, aby odwrócić się i spojrzeć na jego twarz, śmiał się od ucha do ucha. Do końca wieczoru wykonaliśmy osiem rundek do ogrodzenia i z powrotem.

ROZDZIAŁ 38

Następnego ranka rozpoczęliśmy o wschodzie słońca. Do południa czterokołowa przyczepa załadowana była już do połowy i okazało się, że moje wyliczenia dla Cindy były zbyt niskie. Rynkowa cena bali ze środka pnia sosny była spora, ale za bale tak stare i do tego w tak dobrym stanie można było dostać dodatkową premię. Do popołudnia następnego dnia rozłożyliśmy stodołę aż do gołego szkieletu. Czego nie braliśmy, zostawialiśmy na ogromnej stercie w pobliżu.

Pozostały jeszcze tylko belki. I mieliśmy szczęście. Nie tylko były w idealnym stanie, na zewnątrz pokryte gęsto uszczerbkami i rysami, które nadają tylko charakter i podnoszą cenę, ale także było ich prawie dwa razy więcej, niż początkowo sądziłem. Potrzebowaliśmy większej przyczepy. Zabrało nam to jeden dzień więcej, ponieważ belki miały od dziesięciu do dwunastu cali grubości, a niektóre miały prawie szesnaście stóp długości. Takiego drzewa już się po prostu nie uświadczy. Siedzieliśmy na górze niezłej forsy.

O świcie w środę zadzwoniłem do służby leśnej i poprosiłem o pozwolenie na rozpalenie ogniska. Charlie rzucił zapalną na przygotowany stos i cofnęliśmy się dalej. Drewno zajęło się w ciągu paru sekund i paliło się gorącym i wysokim płomieniem prawie do południa. Chmura czarnego dymu unosiła się na milę w powietrze.

Charlie stanął tak blisko, że mógł przypalić sobie włosy, i zapytał mnie:

- Jak to wygląda?

- Jak meteor, który właśnie uderzył w ziemię.

Pokiwał głową i skrzyżował ramiona, a blask oświetlał pot na jego twarzy.

Opuściliśmy pole, silnik trucka zarzęził pod ciężarem niesamowicie przeładowanej przyczepy i skierowaliśmy się na północ. Wiedziałem, że Cindy wołałaby nie czekać na pieniądze, a zatem po jakiejś godzinie jazdy na północ od Atlanty wjechaliśmy na teren składu drzewnego, gdzie jak mówił Charlie, większość budowniczych tradycyjnych domów zaopatrywała się w drewno na specjalne zamówienie.

Zaparkowaliśmy, zostaliśmy przywitani przez pracownika i rozpoczęliśmy rozmowę. Prawie wylazł ze skóry, gdy ściągnęliśmy plandekę. Wiedząc, jaką mogło to mieć wartość w Atlancie, zaoferował nam uczciwą zapłatę i nawet pomogliśmy mu rozładować przyczepę. Mieliśmy deski o całkowitej długości blisko pięć tysięcy stóp, średnio po siedem dolarów za stopę drewna, plus szesnaście bali o średniej długości czternastu stóp. Za każdy mogliśmy dostać dwa tysiące dolarów. Gdy już wszystko wyładowaliśmy, facet wystawił nam czek na pięćdziesiąt osiem tysięcy dolarów. Powiedziałbym, że nieźle, jak na pięć dni pracy, chociaż to jest sprawa względna.

Wjechaliśmy na Burton Dam Road, południową drogę wokół jeziora, i powiedziałem do Charliego:

- Myślisz o tym co ja?

Charlie skinął głową i na naszych twarzach pojawił się uśmiech. Zanim wjechaliśmy na ich podjazd, nasz uśmiech sięgał już od ucha do ucha.

Gdy wtoczyliśmy się wolno wzdłuż szutrowej nawierzchni, obie jadły kolację. Cindy przywitała nas w drzwiach ubra-

na w krótką flanelową pidżamę, która wyglądała na taką, co to raczej noszą mężczyźni niż kobiety, i czerwoną baseballówkę. Razem z Charliem wyglądaliśmy jak dwóch górników, i roztaczaliśmy jeszcze gorszą woń. Dramatycznie potrzebowaliśmy porządnego mydła, maszynki do golenia, sporej ilości wody po goleniu i jakiegoś naprawdę silnego dezodorantu.

Charlie wręczył Cindy czek. Spojrzała na kwotę i jej oczy przybrały szalony wyraz. Rzuciła się, wskakując na mnie i ściskając całą sobą tak, że nie mogłem oddychać.

Charlie usłyszał zamieszanie i odezwał się:

- A ja? Ja też tam byłem.

Cindy, teraz już prawie nad sobą nie panując, puściła mnie i siarczyście wyściskała Charliego, całując go namiętnie w policzek. Pokazała czek Annie, która przełknęła ślinę, a potem powiedziała:

- O nie! To mnóstwo lemoniady i świerszczy. Pomimo naszych protestów Cindy poczęstowała każdego

z nas miską czarnej fasoli z ryżem, okraszonej paroma kawałkami kurczaka dla smaku, a Annie naląła nam po szklance mleka. Siedzieliśmy przy kuchennym stole przez godzinę, a Charlie opowiadał historię naszych bohaterskich zmaganiań.

Gdy staliśmy już w drzwiach, żegnając się, Cindy znikła w swoim pokoju i po chwili pojawiła się ponownie z czekiem wystawionym na mnie, opiewającym na dwadzieścia dziewięć tysięcy dolarów.

Charlie usłyszał dźwięk odrywanego papieru i zastrzygł uszami:

- A co to?

Przeczytałem czek i spojrzałem na Cindy:

- Charlie, nie bardzo sobie radzę z liczbami, ale wydaje mi się, że to jest równowartość około czterech albo pięciu dni w ICU - podałem go Charliemu, który udał, że czyta, i powiedział:

- Tak mówisz? - pokiwał głową, jak gdyby widział każde wypisane tam słowo, i podał mi go z powrotem: - No, może sześciu.

Złożyłem czek na dwoje i oddałem go Cindy. Charlie uśmiechnął się, potrząsnął głową i powiedział:

- To wszystko przez te wysokie koszty opieki medycznej.

Cindy wzięła Annie na ręce, która w jej ramionach wyglądała na wyższą, i razem z nią usiadła, kołysząc ją i odgarniając jej cienkie włosy ze zmęczonych oczu. Sama zamknęła oczy i potrząsnęła głową, całując Annie w policzek.

- To nic takiego - powiedział Charlie, gestykulując jedną ręką. - Czasami mnie samego zatyka na mój własny widok. Ciągłe mi się to przydarza. A zwłaszcza paru paniom w klubie bingo, które po prostu mnie ubóstwiają.

Cindy zdołała wydusić z siebie tylko coś na kształt szeptu:

- Nie wiem, co powiedzieć.

- To może powiedz tak - ciągnął Charlie: - Zapraszam was jutro na kolację, którą przygotuję u Reese'a. Kocha łososia. Chłopak jada go cały czas.

Cindy uśmiechnęła się i pokiwała głową. Spróbowała coś powiedzieć, ale uniosła tylko palec i znowu pokiwała głową. Tym razem uśmiechnął się Charlie:

- Cindy, złotko, życie nic nie znaczy, jeżeli nie jest wielką przygodą.

Cindy przygryzła wargę.

Annie spojrzała na mnie i szepnęła:

- Czy on też zna Szekspira? Skinałem:

- Zna, ale to nie Billy. To Helen Keller.

- A, tak, pamiętam.

Wysadziłem Charliego i jego psa przed ich frontowymi drzwiami. Po tym jak zatrzasnął drzwi auta, odnalazł drogę

po mojej stronie wozu, położył rękę na moim ramieniu i poklepał mnie:

- Dziękuję - powiedział. - Potrzebowałem tego. Pokiwałem głową:
- Taa, ja też.

Zdjąłem nogę z hamulca, ale gdy Charlie odwrócił się, zatrzymałem auto, a on wsunął do środka głowę. Pomyślał przez chwilę, a następnie skierował swoją twarz gdzieś w moim kierunku.

- Widziałeś się ostatnio w lustrze? -Nie.

Zamilkł i podrapał się po brodzie.

- Powinieneś.
- A co tam jest takiego do oglądania?
- Coś, czego nie było od dawna.

ROZDZIAŁ 39

Gdy kilka dni później zadzwonił telefon, siedziałem w kokpicie Hackera, starając się naprawić przewody elektryczne. Chwyciłem umorusaną ręką słuchawkę:

-Halo?

Wrzask po drugiej stronie prawie rozsadził mi bębenek.

- Aaaaaachchchch! Och, mój... Aaaaaachchchchch! Wiedziałem dwie rzeczy: to była Cindy i nie panowała nad sobą.

- Cindy?

- Aaaaaaaaaachchchch!

- Cindy! - usłyszałem tylko, jak upuszcza słuchawkę, ale nadal krzyczała.

- Czy chodzi o Annie? - brak reakcji. W tle słyszałem rozbijane i tłukące się przedmioty.

Nie czekałem na odpowiedź. Wskoczyłem z łodzi na nabrzeże i zacząłem biec:

- Charlie! Spuszczaj ją na wodę!

Jazda samochodem mogłaby mi zabrać piętnaście, a może nawet dwadzieścia minut, ponieważ musiałbym okrążyć jezioro. **Podnah** mogłem się tam dostać w pięć, jeżeli mocno by się postarała. Wpadłem do swojego gabinetu, chwyciłem plecak wciśnięty na górnej półce szafy i wsunąłem komórkę do kieszeni w powrotnej drodze do drzwi.

Zanim dotarłem do doku, Charlie zdołał opuścić łódź na wodę, silnik już pracował. Wskoczyłem do środka, wcisnąłem drążek na cofanie i wbiłem Charliego w fotel mocą włączonej śruby. Zatrzasnęliśmy drzwi po obu stronach łodzi, wychodząc z doku i zostawiając w drewnie głębokie wyżłobienia. Gdy już wycofałem, pchnąłem drążek do przodu i wrzuciłem maksymalne obroty, obracając łódź kołem sterowym z godziny pierwszej prawie na szóstą, zanim osiągnąłem właściwy kierunek. Hacker wbił się dziobem w wodę, zakreślił i wystrzelił nad powierzchnię. Kilka sekund i byliśmy już w drodze, a ja wybierałem na telefonie numer 911.

Przez hałasujący wiatr nie mogłem dobrze usłyszeć, ale gdy wydawało mi się, że odebrali, podałem telefon Charlie-mu, który zaczął mówić do aparatu najwyraźniej, jak mógł, biorąc pod uwagę prędkość i podskoki. Wpłynęliśmy do potoku, gdzie powitały nas wszystkie zwisające gałęzie Georgii, i wykonaliśmy ostry zwrot na sterburcie. Wystrzeliłem z łodzi, zarzuciłem cumę o pierwszy napotkany kołek i pogałem schodami, mijając skrzynkę na świerszcze.

W skrzynce panował spokój, w domu - nie.

Tylne drzwi były otwarte, a wewnątrz wyglądało jak po ataku diabła tasmańskiego. Przedmioty walały się wszędzie. Jeżeli ktoś tu czegoś szukał, na pewno tego nie znalazł. Miotły, przybory kuchenne, garnki i patelnie oraz wszystkie magazyny i książki w zasięgu ręki były porzucane po podłodze. Cindy stała na płycie kuchennej, z żelaznym rondlem w jednej ręce i z przerażoną Annie na drugiej.

Chwyciłem dziewczynkę, posadziłem ją na blacie i zacząłem zaglądać jej w oczy, badać drogi oddechowe i puls. Zabrało mi to jakieś trzy sekundy, zanim przekonałem się, że poza przyspieszonym pulsem nic jej nie dolega. Właśnie zamierzałem umieścić jej na klatce piersiowej kardiomonitor, gdy spojrzała na mnie, jakbym był równie szalony co jej ciocia.

Gdy zapis wykazał, że było z nią relatywnie wszystko w porządku i że nie potrzebowała człowieka, którym kiedyś byłem, spojrzałem na Cindy, której wzrok przykuty był do przeciwległego rogu pokoju. W tym czasie Charlie wczołgał się po chodniku, a potem tylnymi drzwiami do środka z telefonem komórkowym przy uchu. Gdy wystawił głowę, krzyknął:

- Mów do mnie Dratwa! Są już w drodze.

- Cindy? - zapytałem. Pociągnąłem ją za nogawkę dżinsów. - Cindy, co się dzieje?

Wskazała żelaznym rondlem w kierunku rogu pokoju, ale nadal na mnie nie patrzyła. Zwróciłem się do Annie:

- Możesz mi powiedzieć, co się dzieje? Annie wyszeptała:

- W domu jest wąż. O, tam.

Spojrzałem w górę na Cindy, a potem znowu na Annie.

- Dzwoniła do mnie z powodu węża? Annie pokiwała głową.

- To znaczy, że nic ci nie jest? Pokręciła głową.

- Nic poza tym co zwykle.

Oparłem się o ścianę i osunąłem na dół, lądując wygodnie na dywanie, z głową schowaną w dłoniach. Poczułem moje własne tętno odzyskujące mniej więcej normalny stan oraz powracające na twarz kolory. Następnie podszedłem do Charliego, który już wstał, wyglądał na równie niemogące-go w to uwierzyć jak ja i wciąż trzymał telefon. Chwyciłem aparat, przeprosiłem panią po drugiej stronie linii i rozłączyłem się.

Obiema rękami, delikatnie, odebrałem Cindy rondel i odłożyłem go do szafki. Następnie przyniosłem łopatę z garażu, obchodząc dookoła - jeśli było to możliwe - przedmioty, którymi Cindy rzucała mniej więcej w kierunku rogu pokoju,

i znalazłem węża sosnowego długości pięciu i pół stopy, zwiniętego, syczącego i przerażonego prawie do szaleństwa. Nabrałem go na łopatę, wyszedłem przez drzwi z tyłu i wypuściłem go pośród paproci około pięćdziesiąt jardów od domu.

Później oparłem łopatę o tylne drzwi, wszedłem z powrotem do środka, pomogłem skamieniałej z przerażenia Cindy zejść z kuchenki, a następnie usiąść na kanapie.

Charlie odezwał się pierwszy:

- Czy ktoś mi powie, co się tutaj dzieje?

Annie pierwsza się zaśmiała. Niskim chichotem, który wkrótce zamienił się w salwy śmiechu. Siedziała na kanapie, waląc w nią piętami i śmiejąc się do rozpuku.

-To nie jest śmieszne - powiedziała Cindy: -To mogło... mogło... nas zjeść.

- Charlie - powiedziałem i zacząłem się śmiać - wejdź do środka, ale idź powoli, ponieważ panuje tam okropny bałagan.

Cindy złapała wolną poduszkę i rzuciła nią we mnie. Ja rzuciłem w nią i pięć minut później powietrze w domu pełne było fruującego pierza. Przyczłapał Charlie, potykając się o parę poduszek, podążał wzdłuż płyty kuchennej, gdy Annie wzięła go za rękę i zaprowadziła, by usiadł sobie na kanapie.

Rozejrzałem się:

- A zatem, chyba naprawdę nie lubisz węży.

Cindy uniosła wzrok, spoglądając na sufit, zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech:

- Potrzebuję wakacji. Długich. Gdzieś na plaży, na leżaku, z parasolką w moim drinku i małymi ludzikami w spódniczkach z trzciny oferującymi dolewkę - popatrzyła wokół siebie na dom, a następnie na mnie. - Ale, kurczę! Szybko się pojawiliście.

- No wiesz... - pokazałem na Annie. - Myślałem, że dzwonisz z jej powodu.

W końcu zdała sobie sprawę z całego zajścia. Przyłożyła dłonie do twarzy i zasłoniła oczy. Postawiła się w naszej sytuacji, co trwało jakąś minutę lub dwie. Potem powiedziała:

- Przepraszam, Reese. Po prostu nie pomyślałam... Powiodła ręką naokoło siebie, prawdopodobnie rekonstruując drogę, którą podążał wąż.

- Patrzyłam na tego węża. Syczał, a mnie kończyły się rzeczy do rzucania.

Zaśmiałem się ponownie:

- Najwyraźniej.

- To nie jest śmieszne. Prawie się posikałam, gdy to zaczęło pełznąć przez nasz salon prosto na nas, robiąc tak tym małym językiem, to chowając go, to wystawiając, poruszając głową w tył i w przód i sycząc. Myślałam, że to anakonda albo coś takiego.

- Nie jestem pewien, kto był bardziej przerażony, ty czy on.

- Myślę, że straciłam chyba z dziesięć lat mojego życia.

- Wiesz, wąż sosnowy nic ci nie zrobi. Potrzebujemy ich tutaj. One jedzą inne węże.

- Cóż, przykro mi, panie dozorczo z zoo - powiedziała Cindy, uśmiechając się - ale po prostu zapomniałam poprosić go, aby się wylegitymował, gdy tu wchodził.

Pomogliśmy im posprzątać, a potem przeszliśmy się ścieżką w kierunku łodzi, w której Charlie na szczęście wyłączył silnik. Zajęliśmy miejsca, a Cindy rzuciła nam linę. Wsunęła ręce do przednich kieszeni dzinsów. Wyglądała na zawstydzoną.

- Przepraszam, chłopaki. Wyciągnąłem rękę.

- Zupełnie się tym nie przejmuj. Postąpiłaś właściwie. Wrzuciłem drążek na bieg, ale Charlie celowo go odciągnął.

- Hej, robimy prosiaka w sobotę i chcieliśmy zapytać, czy chcecie się, dziewczyny, do nas przyłączyć?

Spojrzałem na Charliego:

- O czym ty mówisz? - szturchnął mnie łokciem, a ja powiedziałem: - To znaczy, właśnie. Już od dawna to planowaliśmy.

Cindy uśmiechnęła się:

- Co macie na myśli, mówiąc „robimy prosiaka”?

- Mmmmmmm - Charlie oblizał wargi, poklepał się po brzuchu i zrobił swoją najlepszą minę, udając Raya Charlesa:

- Stamtąd bierzemy całego prosiaka, zazwyczaj waży około stu funtów, i pieczemy go przez cały dzień, nisko na wolnym ogniu, a potem spędzamy wieczór, wykrajając najlepszą wieprzowinę, jakiej kiedykolwiek próbowałaś. Krótco mówiąc, grzech obżarstwa na talerzu i ludziska przeważnie nie jedzą już potem nic przez tydzień.

- Coś jak ta „Transplantacja”, którą kazaliście mi, chłopcy, jeść.

- Coś w tym stylu - Charlie pokiwał głową.

Cindy zastanawiała się przez chwilę, bez wątpienia przypominając sobie grafik zmian w sklepie.

- O której chcecie, abyśmy wpadły?

- Koło południa. I weźcie ze sobą stroje kąpielowe. Cindy spojrzała na Annie, która kiwała głową.

- No to do zobaczenia o... - trzasnęła się w czoło otwartą dłonią, jak gdyby zapomniała o czymś, mówiąc: - O! Cholera!

Charlie usłyszał kłapnięcie, zmianę tonu głosu i zapytał: -Co?

Przerwałem jej:

- Nie przejmuj się. Przyjadę po was tutaj. W południe.

Cindy uśmiechnęła się, objęła Annie ramieniem i wróciła ścieżką, jednym okiem spoglądając na nas, a drugim mniej więcej tam, gdzie uwolniłem węża.

Rozgrzaliśmy silnik, popłynęliśmy wolno wzdłuż potoku i wpłynęliśmy do Tallulah, gdzie opłynęliśmy strefę chronioną. Gdy wpływaliśmy do hangaru dla łodzi, Charlie położył mi rękę na ramieniu i uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że będziesz raczej musiał pojechać do miasta i kupić nam jakąś świnię.

- No - powiedziałem, obracając kołem, ustawiając się przy dźwigu, a potem wyłączając silnik. - Tak właśnie pomyślałem.

- A, i... - odwrócił się z szerokim uśmiechem na twarzy - nie zapomnij trzcinowych spódniczek.

ROZDZIAŁ 40

Szedłem ulicą Main wtorkowym popołudniem, niosąc plastikową torbę wypchaną dwiema spódniczkami z trzciny kupionymi w drogerii, które wystawały na zewnątrz. Idąc chodnikiem w kierunku targu mięsnego Vicker's Meat Market, zobaczyłem kobietę w czerwonej baseballówce, idącą wprost na mnie w towarzystwie męża i dwójki dzieci. Gdy zobaczyłem jej twarz, coś odebrało mi powietrze, a nogi zrobiły mi się jak z waty.

Shirley. Jej syn podrósł dwie stopy. Był przystojny i umięśniony. Jej córka miała długie włosy, stała się piękną dziewczyną o długich nogach, po ojcu. Harry z klatką piersiową jak stodoła szedł po ulicy dumny, ze swoim imieniem nadrukowanym na koszulce.

Zatrzymałem się, zacząłem szukać wyjścia, ale nie mogłem go znaleźć. Ulica była zbyt szeroka, sklepy po mojej lewej stronie zbyt ciasne i było za późno, aby zawrócić. Spojrzenie Shirley prześlizgnęło się po mnie, ale coś w jej mózgu zaskoczyło i spojrzała na mnie jeszcze raz. Puściła rękę Larry'ego i ruszyła w moim kierunku. Zatrzymałem się przy automacie z gazetami, opuściłem daszek swojej czapki i poszukałem dwóch ćwierćdolarówek, mając nadzieję, że ziemia rozstąpi się i mnie pochłonie.

Shirley przypatrywała mi się niepewnie, spojrzała na czapkę, długie włosy i brodę, a później jej twarz rozświetliła się jak żarówka:

- Doktor Mitchell? - wyszeptała. Upuściłem dolara drobnymi na chodnik. Dotknęła mojego ramienia, jakby dotykała ducha:

- Jonathan?

Obróciłem się wolno, ćwierćdolarówki okręwały moje nogi niczym wir wodny, a ja spojrzałem na twarz Shirley - przybrała na wadze, co było dobrym znakiem — i zobaczyłem łzy zbierające się w jej oczach.

Zdjąłem okulary, czapkę i przejechałem palcami po włosach, które sięgały mi prawie do ramion. Ująłem jej dłoń, poczułem silny puls na nadgarstku i powiedziałem:

- Witaj, Shirley. Wyglądasz... wspaniale.

Objęła mnie ramionami wokół szyi, podczas gdy reszta jej rodziny zebrała się dookoła. Uścisnąłem dłoń Harry ego i pochwaliłem syna, który był wyższy niż ja. Shirley powiedziała:

- Spotkał go zaszczyt powołania do akademii. Przyglądała mi się w wymownej ciszy, która wokół nas zapanowała.

- Słyszałam o... o Emmie - przyłożyła dłoń do serca, a łzy popłynęły jej z oczu. - I słyszałam, co pan zrobił. Dla mnie... To znaczy, tak mi przykro.

Objęła mnie raz jeszcze i wyczułem, jak silne stały się jej plecy. Shirley się udało. Ocalała. I wyglądało na to, że dożyje wnuków.

Puściła mnie, a ja spróbowałem rozładować napięcie.

- Royer dobrze się wami opiekuje? Odezwał się Harry:

- Tak, zaraz po panu, jest najlepszy - spojrzał na Shirley, a potem z powrotem na mnie: - Naprawdę, bardzo się o nas troszczy.

Shirley uśmiechnęła się i objęła Harry ego ramieniem:

- Mogę przebiec trzy mile bez zatrzymywania się - poklepała Harryego po jego płaskim brzuchu i powiedziała z uśmiechem: - Nie biję rekordów, ale jesteśmy zdrowi i... - zdławiła przyływ emocji - ...i jesteśmy szczęśliwi.

Znowu mnie objęła, jak gdybym miał zniknąć, gdyby tego nie zrobiła, i ścisnęła najmocniej, jak potrafiła. Jej dzieci przysunęły się i również objęły mnie ramionami i nawet Harry przyłączył się do wspólnego uścisku na środku ulicy w centrum Clayton.

Harry podał Shirley białą chusteczkę z tylnej kieszeni, a ona spróbowała się uśmiechnąć.

- Ktokolwiek miał to serce przede mną, musiał być niezłym mazgajem - powiedziała - bo ja nie byłam kiedyś taka emocjonalna.

Należało do dwudziestolatka, ale nigdy jej tego nie powiedziałem. Miała żyć, a nie czuć się z tego powodu winna. I zastanawiałem się, jak dowiedziała się o mojej rozmowie telefonicznej z Royerem. Czasami trudno jest utrzymać takie rzeczy w tajemnicy. Nawet w szpitalu.

Spojrzałem na jej córkę, która sięgnęła i objęła mnie za szyję. Pocałowała mnie w policzek i powiedziała:

- Dziękuję, doktorze Jonathanie... za uratowanie mojej mamy.

Moje imię zadźwięczało mi w uszach i zabrzmiało dziwnie, sztywno i sterylnie, chociaż wiedziałem, że było splamione.

Skinąłem i z powrotem założyłem okulary przeciwsłoneczne, gdy jeszcze byłem w stanie kontrolować swoje oczy.

Harry zauważył, że nie jest ze mną najlepiej, zebrał ich więc i powiedział:

- Dobrze już, dobrze, wystarczy tego wprawiania pana doktora w zakłopotanie, jak na jeden dzień. Zbierajmy się. Nasza rezerwacja nie będzie czekała w nieskończoność.

Shirley pocałowała mnie w policzek i gdy to robiła, jej łzy popłynęły po mojej twarzy. Smakowały słono i słodko. Cała czwórka wzięła się pod ramię i odeszła chodnikiem, a ja oparłem się o latarnię i zajrzałem do środka tej skorupy, która po mnie została. Jakąś minutę później poczułem czyjąś rękę na ramieniu.

Sal Cohen stał tam, uśmiechając się do mnie z wyrazem ciekawości dominującym na twarzy.

- Twoi przyjaciele?

Łza spłynęła spod moich okularów. Spojrzałem na Sala, pokiwałem i szepnąłem:

- Tak. Starzy przyjaciele.

Sal zdjął kapelusz, otarł czoło chusteczką i odprowadził ich wzrokiem wzdłuż chodnika. Spojrzał na mnie wymownie:

- Niezłe uczucie, prawda?

Patrzyłem, jak odchodzili, i przytaknąłem skinieniem głowy. Gdy zorientowałem się, że kiwam głową, spojrzałem znowu na Sala, ale już go nie było.

ROZDZIAŁ 41

Siedziałem w wannie przez prawie dwie godziny, namakając, śpiąc, sącząc czerwone wino i kartkując zesłomiesięczny „Chest”. Była już prawie trzecia w nocy, kiedy obeschłem, ubrałem się, wszedłem do mojego gabinetu i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Charlie miał pojawić się na nabrzeżu za mniej niż trzy godziny, a więc jeżeli moje hasło dostępu nadal było aktualne, miałem coś do zrobienia. Zawsze istniała możliwość, że mnie wylogowali, ale jak znałem Royera, na pewno zadbał o to, aby moje konta i kody dostępu były nadal aktywne. Prawdopodobnie zostawiałem mu ślad, który mógł go doprowadzić pod mój próg, ale postanowiłem zaryzykować.

Wyczerpany, ale na jakiś czas oczyszczony po porannym wiosłowaniu z Charliem, zostawiłem go baraszkującego z Georgią na nabrzeżu, a sam wróciłem do domu i nastawiłem dzbanek kawy. Światelko na mojej automatycznej sekretarce migało. Jeszcze zanim nacisnąłem guzik z napisem: „Odsłuchaj”, domyśliłem się już, kto to był. Rolka z taśmą zaczęła kręcić się wstecz, a potem kliknęła i ruszyła do przodu. Pomieszczenie wypełniły hałasy z tła i wdarł się w nie głos Royera nawet bez słowa powitania.

- Hej, doktorku, chociaż szczerze mówiąc, w tym wypadku używam tego terminu dość swobodnie. Nasi ludzie od komputerów zadzwonili dziś wcześniej rano, informując mnie, że

ktoś zabawia się moimi poufnymi plikami. Powiedzieli, że ktokolwiek to był, znał wszystkie moje kody i większość skrótów. Ktoś porozglądał się przez jakiś czas, przeczytał sporą liczbę aktywnych plików, a potem wyszedł, niczego nie kradnąc ani nie zmieniając. No, prawie - mówił dalej. — Osoba ta zrobiła jednak coś bardzo interesującego. Zostawiła notatkę w historii choroby Annie Stephens zalecającą wykonanie TEE. To była dla mnie pierwsza wskazówka, że nie mam do czynienia z jakimś chorym hakerem komputerowym z piekła rodem, kasującym moje dane. Ale każdy, kto zaleca wykonanie u Annie echokardiografii przezprzełykowej, zdaje sobie sprawę z dwóch rzeczy: że ryzyko jest za wysokie oraz że ona nie jest w stanie za to zapłacić. Później - ciągnął - gdy miałem już dzwonić do działu finansowego i wyklócać się z nimi na temat kosztów zabiegu, aby zrobili dla dziewczynki jeden wyjątek na tysiąc, dostałem kolejny niezwykły telefon. Cud nad cudami, dzwonił z finansowego, informując mnie, że debet na koncie Annie, w wysokości nieco ponad osiemnastu tysięcy dolarów, został spłacony. A co więcej, ktokolwiek to zrobił, zapłacił z góry za TEE. Chcieli się dowiedzieć, czyja zamawiałem to badanie. Jonny, nie było cię jakiś czas i jest parę spraw, o których możesz nie wiedzieć. Annie jest u nas dość popularna. Dzięki niej stale się uśmiechamy i jeżeli ktoś zaczyna majstrować przy jej danych lub leczeniu, to bardzo nas to denerwuje.

Ton głosu Royera brzmiał szorstko. Nie dziwiło mnie to. Niedźwiedź może być pluszowym misiem, ale i grizzly, w zależności od potrzeby.

Wziął głęboki oddech i kontynuował:

- Oczywiście niczego nie dałem po sobie poznać i powiedziałem im, że potrzebuję paru minut i żeby poczekali. Sprawdziłem akta; mieli rację - tak jak i ty - i tak wyznaczaliśmy Annie termin badania. Ale wiesz równie dobrze jak ja,

że będzie wymagała narkozy, że nie będzie się jej to podobało i że Cindy stąpa po kruchym lodzie, który w każdej chwili może się załamać. I jeżeli zbierzesz to wszystko do kupy, masz całkiem niezły przepis na katastrofę.

Royer podziękował pielęgniarkę, która najwidoczniej przyniosła mu kubek kawy. Wziął duży łyk, podczas gdy urządzenie nadal nagrywało.

Przełykając głośno, powiedział:

- Badanie jest w przyszły piątek - to za dziesięć dni, w razie gdybyś nie miał pod ręką kalendarza. I teraz słuchaj, ty wprowadź to w ruch i oto jest moja propozycja. Podejmę się wykonania tego badania, ale jeżeli nie zobaczę cię tutaj w piątek rano w holu, pchającego wózek Annie, wszystko wygadam. I, Jonny, to nie są czcze pogrózki.

Kolejna pauza, podczas której mogłem dosłownie usłyszeć, jak się zastanawia.

- Spodziewam się, że zajmie ci trochę czasu - wydusił z siebie - zanim przetrawisz ten swój dylemat. A więc gdy tak będziesz trawił, i muszę szczerze wyznać, że mam nadzieję, iż zemdli cię wreszcie to uzalanie się nad sobą, chcę zadać ci tylko jedno pytanie...

Wcisnąłem guzik z napisem „Stop” i wyszedłem do kuchni, gdzie spotkałem Charliego opartego o framugę drzwi, /, Georgią przy nodze, oboje spoglądali mniej więcej w moim kierunku.

- Nie chcesz wysłuchać pytania? - zapytał z dłonią otwartą w kierunku telefonu, jak gdyby zapraszał kogoś do domu.

Minąłem go, kierując się na werandę i zastanawiając, jak daleką drogę mógłbym pokonać do nadejścia zmroku, gdybym natychmiast wsiadł do samochodu i odjechał.

- Cóż, a ja chcę - Charlie klasnął i zatarł dłonie. - Stęskniłem się za starym sukinkotem - sarkazm dał się wyczuć na

milę. - Rany, ciekaw jestem, o co ten stary czort miałby cię pytać?

Charlie odnalazł drogę wzdłuż ściany i podszedł do telefonu. Przebiegł palcami po klawiszach i nacisnął największy w środku, a głos Royera powrócił. Przeniknął na zewnątrz domu, wzdłuż krokwi, przez deski podłogowe i przez drzwi na werandę. Odnalazł mnie na podeście schodów, gdzie stałem, trzymając się poręczy i opierając o nią, zanim nadejdzie uderzenie.

- Jonny, powiedz mi coś, jeżeli nie masz nic przeciwko - jego głos zadrżał: - Gdybym mógł zadzwonić do Emmy i powiedzieć jej o Annie, jak myślisz, co by powiedziała?

Charlie przewinął taśmę, a potem odnalazł drogę poprzez hol do kuchni. Pogrzebał pomiędzy kubkami do kawy, napełnił dwa z nich, poszurał wolno, wychodząc z kuchni na werandę, na której zastał mnie z kolanami jak z waty i zbiegającymi kostkami u rąk zaciśniętymi na poręczy schodów. Podał mi kubek, który od niego odebrałem.

- Dzięki.

Staliśmy w ciszy przez kilka minut, pozwalając, aby zapach kawy mieszał się za zapachem wody z jeziora i mięty.

W końcu Charlie skinął głową w kierunku automatycznej sekretarki i odezwał się:

- O czym on mówił?

Smak świeżych ziaren spłynął po ścianach przetyku i rozgrzał mój zimny żołądek. Jezioro zaczynało się zmieniać pod wpływem lekkiej bryzy i gdzieś w oddali zbliżała się motorówka wydająca dźwięk, jak gdyby przyduszonej do połowy przepustnicy. Gdzieś za nią spora liczba dzieciaków pischczała ze śmiechu.

- TEE polega na wpuszczeniu sondy przez usta aż do serca... pacjenta pod narkozą. Wykorzystuje fale dźwiękowe do badania komór.

Trzymałem kubek obiema dłońmi, zadając sobie pytanie, czy serce Annie byłoby w stanie znieść taki stres i czy warto było podejmować takie ryzyko dla informacji, które można było w ten sposób uzyskać.

- Serce - kontynuowałem - podzielone jest pośrodku ścianą, zwaną przegrodą. Przed urodzeniem jest w nim otwór zwany *foramen ovale apertum*. Jako że nasze mamy oddychają za nas, nie ma potrzeby, aby nasza krew krążyła przez nasze płuca. Przynajmniej na razie. Tak więc otwór ten pozwala krwi ominąć ten etap. Gdy się rodzimy, uwalnia się prostata-glandyna i dziura się zasklepia, zmuszając nasze płuca do samodzielnej pracy.

Bruzdy nad brwiami Charliego zrobiły się głębsze.

- A jeżeli się nie zasklepi?

- Krew przelewa się raczej przez serce, zamiast przez nie przepływać.

- Co to oznacza... dla Annie?

-To oznacza, że prawie każdego dnia czuje się, jakby była na ostatnim zakręcie biegu na ćwierć mili, nie mogąc złapać oddechu.

Charlie stał obok i „spoglądał” w dal na jezioro. -Jak moja starsza siostra?

Sekundy mijały, a ja nie odpowiadałem. W końcu położył swoją dłoń na mojej twarzy, czytając ze zmarszczek. Zapytał jeszcze raz:

-Jak Emma?

Skinałem.

Zabrał rękę.

- Czy można to naprawić?

-Jeżeli robi się to odpowiednio wcześnie. Jeżeli nie, efekty naprężeń są zbyt duże i nieodwracalne.

Pomyślałem, że gdy Royer spostrzegł otwór, mógł zamknąć go za pomocą katetera i balonikowania. Byłoby to

rozwiązanie na krótką metę, opatrunek z podręcznej apteczki, a Annie mogła o tym nie wiedzieć, ale to mogło dać jej trochę więcej czasu.

- A teraz... - zniżyłem głos - czas jest jej wrogiem.

- Ile jej zostało?

Bryza nad jeziora była chłodna. Kilka krzyżówek zaskrzeczało ponad naszymi głowami, a następnie wylądowało lotem ślizgowym na powierzchni wody, niedaleko nabrzeża Charliego, gdzie, ukryty za rododendronem, znajdował się kaczor. Georgia zerwała się w dół schodów w poszukiwaniu zabawy.

- Niewiele.

Charlie poczłapał przez drzwi do wnętrza domu. Nie było go przez wiele minut. Słyszałem, jak przerzuca rzeczy w szafie w moim gabinecie. Najwidoczniej czegoś szukał, ale czasami najlepiej jest pozwolić Charliemu, aby zajął się sprawami na swój sposób.

Kilka minut później wrócił, niosąc podróżną walizkę. Pojawił się w kuchni, trzymając ją za obie rączki. Opuścił ją na środku podłogi i wskazał w jej kierunku:

- Do dna.

Odnalazł drogę przez tylne drzwi i zszedł schodkami, wykorzystując poręcz w charakterze przewodnika. Nie minęły dwie minuty i był już w połowie drogi, podążając wzdłuż „suchego” przewodu, który biegł wokoło tylnej części strumienia.

Poszedłem do kuchni i usiadłem obok pokrytego kurzem pudła. Wieko zaskrzypiało, gdy przebiegłem palcami przez dwadzieścia lat, które były już historią. W pewnym momencie naszego życia Emma czytała każdą z książek, która się tu znajdowała, po kilka razy, wiele z nich czytała mi na głos.

W południe pękała mi już głowa. Z każdą przewracaną stroną jej obraz, robiącej dokładnie to samo, nabierał w mo-

jej głowie kolorów i precyzji. Otoczony książkami, leżałem na kuchennej podłodze, wodząc paznokciem po szczelinach w drewnie. Głęboko wewnątrz, zaschnięte wzdłuż szczelin i pomiędzy pęknięciami, znajdowały się niewielkie, wielkości prawie łebka od szpilki, czerwone grudki.

Życie jest w drodze do śmierci przechodnim półcieniem, nędznym aktorem, który swoją rolę, przez parę godzin wygrawszy na scenie, w nicość przepada-powieścią idioty, głośną, wrzaskliwą, a nic nieznaczącą.

ROZDZIAŁ 42

Wczesnym czwartkowym rankiem byłem już w drodze, nie pożegnawszy się z nikim. Zanim zaczęło świtać, znajdowałem się już tylko kilka godzin jazdy od Hickory w Północnej Karolinie. Za piętnaście siódma wjechałem na stację benzynową i zaparkowałem przed automatem telefonicznym. Nie wyłączając silnika, pogrzebałem w rozmytych od deszczu kartkach książki telefonicznej i odnalazłem numer, którego szukałem.

Po trzech sygnałach podniósł słuchawkę. Jego głos rozległ się w telefonie, miły i pewny siebie, ale teraz już słabszy. Minęło ponad dziesięć lat od naszej ostatniej rozmowy. Na zdjęciu w gazecie akademickiej stał ramię w ramię ze swoją żoną w ich „ustroniu” w Hickory. W kraciastej kamizelce, z fajką w prawej ręce, wyglądał na zadowolonego, spędzając jesień życia z żoną, która, jak wiele żon lekarzy, spędziła większą część swojego, dzieląc się nim, po pierwsze ze szpitalem, po drugie z uczelnią. Teraz przyszedł czas na nią. Obiecał jej to.

- Halo? - odezwał się.

- Halo... yyy, panie profesorze?

Nastąpiła cisza. Dziesięć sekund, może więcej. Słyszałem jego fajkę, prześlizgującą się z jednego końca ust na drugi, a następnie szcęk zębów, gdy ponownie ją nadgryzł.

- Często o tobie myślałem - odezwał się w końcu - zastanawiając się, jak sobie radzisz. I czy...

- Tak, profesorze, cóż... przyjechałem do Hickory i pomyślałem, że może zjedlibyśmy lunch.

Fajka poruszyła się ponownie, a ton jego głosu podpowiedział mi, że się uśmiecha.

- Czy to znaczy, że jechałeś tu przez całą drogę stamtąd, gdzie mieszkasz, gdziekolwiek to jest, ponieważ chciałeś ze mną porozmawiać?

Uśmiechnąłem się i ja. Czulo się, że jest słabszy, świadczył

O tym jego głos, ale mniej żywotne ciało nie musi równać się mniej żywotnemu umysłowi.

- Tak, profesorze.

Kwadrans później zaparkowałem przed jego domem. Jedno spojrzenie w lusterko wystarczyło, abym uświadomił sobie, że może mnie nie rozpoznać. Właściwie to mój wygląd może go nawet przerazić. Dobrze, że najpierw zadzwoniłem.

Wsunąłem okulary przeciwsłoneczne do kieszeni koszuli, poszedłem wzdłuż trawnika i nacisnąłem dzwonek. Wkrótce usłyszałem szuranie kojarzące się ze starymi ludźmi, którzy chodzą w kapciach aż do południa.

Otworzył drzwi i stał przez chwilę, zanim jego oczy nie przyzwyczyły się do blasku słońca. Wyciągnął fajkę z ust i pokiwał głową.

- Doktorze - powiedział, wyciągając rękę. Ja wyciągnąłem swoją.

- Profesorze.

Usiedliśmy na werandzie z tyłu domu, a pani Trainer nalewała nam herbaty, gdy my patrzyliśmy na ich kota bawiącego się czerwonym kłębkim. Mieszał herbatę, czasami na innie spoglądając, ale nie odezwał się ani słowem. To ja do niego przybyłem, a zatem, zawsze jako nauczyciel, czekał na innie.

- Tak, panie profesorze, cóż... - dyndałem torebką od herbaty, chlapiąc się w końcu po kolanach i odkładając ją

na spodek. - Taak... profesorze, jak już mówiłem, właśnie przejeżdżałem i dowiedziałem się z gazetki uczelnianej, że odszedł pan na emeryturę i mieszka tutaj. - Upiłem łyk, szukając słów. - A więc, jak się panu podoba na emeryturze? Potrząsnął głową.

- Nienawidzę tego - wskazał końcem fajki w kierunku kuchni, w której ktoś zmywał naczynia. - Oboje tego nienawidzimy.

- Czemu? - zapytałem.

Owinął swoją torebkę wokół łyżeczki, wycisnął ciemny płyn za pomocą nitki, a następnie ostrożnie odłożył ją razem z łyżeczką na spodek. Oparł ręce o siedzisko, pociągnął łyk, spojrzał gdzieś poza ogródek i powiedział:

- Przez całe życie robiłem tylko jedno. Zajmowałem się leczeniem. Byłem lekarzem, i tym właśnie jestem. Emerytura nie może tego zmienić. A więc teraz spędzam trzy dni w tygodniu, pracując jako lekarz ogólny w przychodni dla ubogich.

- To znaczy, że nadal pan praktykuje?

Spojrzał na mnie, a w jego oku dostrzegłem płomyk, niemal płomień.

- Jonny, nie rozmawiaj ze mną, jakbym był starym człowiekiem. Moje ciało może być słabowite, ramiona już nie tak szerokie... - przejechał palcami wzdłuż kraciatej kamizelki. - Ubrania mogą nie przylegać do niego tak jak kiedyś, a ja mogę przyjmować teraz więcej lekarstw niż kiedykolwiek przedtem, ale jedno się nie zmienia... - pokiwał głową, spoglądając poza ogród, w jego i moją przeszłość. - Można zabronić mi pracować jako lekarz, ale nie można mi zabronić być lekarzem.

Kot bawił się kłębkami, a my siedzieliśmy w ciszy, sącząc herbatę. W końcu odłożył swoją filiżankę:

- Śledziłem twoją historię. Czytałem o niej we wszystkich gazetach. Kilka z nich dzwoniło nawet, aby przeprowadzić ze mną wywiad, ale...

Podniósł rękę. - Odmówiłem.

Oparł się na swoim krześle, które zaskrzypiało.

- Często zastanawiałem się, co się z tobą stało, gdzie teraz jesteś.

Nabił fajkę i zapalił. Obłok dymu wydostał się z niego i otoczył nas słodkim zapachem. Przypomniało mi to szkołę, niekończące się dni pełne odkryć, jego i Emmę. Wciągnąłem głęboko powietrze i trzymałem je w płucach przez długą chwilę.

Obrócił się, aby znowu na mnie spojrzeć, mrużąc oczy od dymu. Wyciągnął białą chusteczkę z tylnej kieszeni spodni, wydmuchał w nią nos i złożył, chowając z powrotem.

- Powiesz mi teraz, po co tu jesteś?

- Profesorze - odezwałem się, ustawiając swoje krzesło dokładnie naprzeciw niego, ułatwiając nam obu wzajemny kontakt wzrokowy. - Mam... pewien problem.

- No... - uniósł i opuścił podbródek, drapiąc się po jednodniowym zarostie. Kot wyciągnął się, opierając głowę na łapach, i zaczął mruczeć. Trainer spojrział na mnie, uniósł brwi i pokiwał głową. Nauczyłem się od niego tego gestu. Kiwając głową w ten sposób, zachęcałem pacjenta, by kontynuował, nie wypowiadając w rzeczywistości ani słowa.

- No, więc... profesorze... - zacinałem się.

- Jonny - przerwał mi - w moim wieku nie wiem, ile mi jeszcze zostało. Lepiej zacznij mówić, o co ci chodzi, gdy jeszcze cię słyszę i jestem w stanie wysiedzieć wystarczająco długo, aby inteligentnie zareagować - uśmiechnął się i oparł na krześle.

Wzięłem głęboki oddech, podrapałem się po głowie i zacząłem. Opowiedziałem mu wszystko. Począwszy od chwili,

gdy opuściłem uczelnię, poprzez staż i specjalizację w transplantologii, o Nashville, a następnie o naszej decyzji wyjazdu do Atlanty. Opowiedziałem mu o mojej praktyce, o Royerze, o pogorszeniu się stanu Emmy, a następnie o naszym ostatnim weekendzie nad jeziorem. Powiedziałem mu także o czymś, czego nigdy nikomu nie powiedziałem.

Gdy skończyłem, siedział przez jakiś czas, nie odzywając się, zaciągając się zimną fajką. Jego oczy zwęziły się, a czoło zmarszczyło. Kot mrucał, Trainer pogładził rękami jego jedwabistą czarną sierść, siedząc ze stopami wsuniętymi w ciepłe kapcie. Pokazał na drzewko pomarańczowe, którego gałęzie zwisały nad jego płotem.

- Znałem kiedyś pewnego farmera - powiedział, wpatrując się w punkt nad ogrodzeniem - miał chyba na imię James. Hodował drzewko pomarańczowe, bardzo podobne do tego. Przez wiele lat nie kwitło i nie wyglądało zbyt dobrze. Miało liście, ale też nie za dużo. Pewnego ranka zauważyłem go stojącego obok drzewka, mierzącego je wzrokiem i mrużącego coś pod nosem. W jednym ręku trzymał młotek, a w drugim trzy dwunastocalowe szpikulce. Gdy go spytałem, co robi, kazał mi się cofnąć, a potem wbił jeden ze szpikulców w pień, mniej więcej na wysokości kolan. Gwóźdź przebił cienką korę drzewa, a im głębiej go wbijał, tym więcej białej posoki gromadziło się wokół trzpienia. Wbił drugi na wysokości pasa i trzeci, mniej więcej tak... - podniósł rękę na wysokość swojego kołnierzyka.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Zadałem mu dokładnie takie samo pytanie. Wiesz, co powiedział?

- Co? - zainteresowałem się.

- Powiedział: „Czasami drzewa zapominają, że są po to, żeby kwitnąć, i trzeba im o tym po prostu przypomnieć”. Spojrzałem na te trzy szpikulce i zapytałem: „A dlaczego nie

dziesięć?". Potrząsnął głową i przyjrzał się drzewku. „Nie, taka dawka wystarczy. Nie chcę zabić, tylko przypomnieć”.

Siedzieliśmy przez prawie pół godziny, przy spokojnej bryzie przenikającej przez gałęzie drzew, mierzwiąc kotu futro i tocząc czerwony kłębek po werandzie na tyłach domu. Zapadł na chwilę w drzemkę, a potem budził się już tylko po to, aby się zdrzemnąć ponownie. W końcu zaczął cicho pochrapywać.

Wstałem na tyle głośno, aby go obudzić, ale nie na tyle, aby przebudził się zbyt gwałtownie. Podniósł się razem ze mną, objął mnie ramieniem i poszliśmy ręką w rękę ku drzwiom.

Oparł się o mnie, a ja o niego.

Wyszedłem za próg i odwróciłem się, aby się pożegnać, ale przerwał mi. Postukał się w piersi dwoma palcami:

- Po ponad sześćdziesięciu latach uprawiania medycyny ta mała rzecz nie przestaje mnie zdumiewać. Wielkości pięści, znajduje się w środku nas, nigdy się nie zatrzymuje, aby zrobić sobie przerwę, nawet na moment. Taka prosta, jednak tak złożona i tak zupełnie nieznana - uniósł ręce przed sobą, prawie tak, jakby skończył szorować je pod kranem obok sali operacyjnej i czekał na pielęgniarkę, aby uniosła rękawiczki i on mógł wsunąć w nie palce. - Trzymałem w rękach ponad tysiąc serc. Stwardniałe arterie, miażdżyca, trzepotania, symptomy wszystkich chorób. Jeszcze dzisiaj mogę zamknąć oczy i przebiec palcami po lewej i prawej głównej i powiedzieć ci, czy mamy do czynienia z chorobą, czy nie.

Zamknął oczy i potarł oba palce wskazujące o opuszki kciuków. Przerwał i ponownie wydmuchał nos:

- W czasie całych moich badań, całej praktyki i pracy dydaktycznej nigdy nie spotkałem tak utalentowanego lekarza jak ty. Twoje umiejętności, osobowość i etyka tworzą wspaniałą kombinację, ale to nie one przykuły moją uwagę

tamtego dnia podczas twojej rozmowy kwalifikacyjnej z naszą komisją.

- Profesorze? - powiedziałem.

- Miałeś coś, co zawsze miało bardzo niewielu kandydatów.

Przyglądałem się jego twarzy, nie będąc pewnym, dokąd zmierza. Przyłożył rękę do mojej klatki piersiowej, otwartą dłoń w okolice mostka.

- Gdybym mógł, przywiązałbym cię do szpitalnego łóżka, naładował defibrylator na tysiąc dzuli i poraził tak, że twoje palce u stóp poskręcałyby się, a włosy stanęły dęba.

- Profesorze? - powiedziałem ponownie, zmieszany.

- Trzeba ci przypominać, synu.

Jego żona podeszła, objęła go i wcisnęła się pod jego ramię. Znowu wyglądał na wysokiego. Kontynuował:

-Jeżeli Bóg stworzył kiedykolwiek człowieka, który miałby robić to, kim jest, to człowiekiem tym jesteś ty.

Obróciłem się, wyciągnąłem okulary przeciwsłoneczne z kieszeni koszuli i wsunąłem je na nos.

- Profesorze? - zapytałem. - A jeżeli... a jeżeli zapomniałem, jak to się robi?

Potrząsnął głową.

- Synu, to źródło nigdy nie wysycha.

ROZDZIAŁ 43

Sobotni ranek zastał mnie i Charliego pochylonych nad martwą świnią i wcierających w mięso przyprawy. Trzy rzeczy czynią barbecue znakomitym: przygotowanie, temperatura i odpowiedni ruszt. Przygotowanie w naszym wykonaniu polegało na wtarceniu na sucho naszego sekretnego przepisu, w którym pełno jest soli czosnkowej, zwykłego pieprzu i pieprzu kajeńskiego. Rozpaliliśmy węgiel około siódmej trzydzieści, mając zamiar dołożyć w miarę upływu dnia, ale tajemnica dobrego barbecue polega i na tym, żeby było „nie za gorąco i wolno”. Trzeba być cierpliwym, nie spieszyć się i piec mięso wolno przez dziesięć do dwunastu godzin, w zależności od rozmiarów prosiaka - i trzeba go doglądać. Jeżeli ten aspekt nie sprawia ci przyjemności, a także stałe doglądanie, którego wymaga ogień, możesz równie dobrze w ogóle nie zaczynać.

Zakres, który charakteryzuje mięso idealnie upieczone, jest raczej wąski. W naszym wypadku najlepszym przyrządem do oceny jakości był nos Charliego: ustawiony był na „jeszcze nie”, „dokładnie tak” i „za mocno”. Był lepszy niż jedna z tych białych rzeczy, którą wtyka się do indyka na Święto Dziękczynienia, aby móc się dowiedzieć, czy jest gotowy.

Ułożyliśmy ognisko po jednej stronie paleniska, aby dawało ciepło i dym wędrujące w górę i w poprzek żelaznego

rusztu, podtrzymującego mięso, zanim wydostały się kominem o długości ośmiu stóp. Kontrolowaliśmy przepływ w dwóch miejscach: przy drzwiczkach paleniska i przy kominie. Za duży ciąg i ogień paliłby się za szybko, powodując, że mięso byłoby zbyt twarde; za mały, a ogień nie dałby rady wygenerować wystarczającego ciepła i mógłby zgasnąć, dając mięso niedopieczone.

Jako że Charlie nie mógł zobaczyć wylatującego dymu, kupiliśmy wielki termometr, przytwierdziliśmy go do żelaznego wieka i zdjęliśmy z niego szklany panel. Charlie odczytywał w ten sposób wskazania termometru palcami i zgodnie z nimi regulował ciąg. Ponieważ mówimy tutaj o relatywnie niskich temperaturach, powiedzmy, pomiędzy osiemdziesiąt a dziewięćdziesiąt stopni Celsjusza, Charlie miał pewne pole manewru. Sknociliśmy parę prosiaków, zanim nauczył się w końcu robić to porządnie, mnie nie obchodzi zbytnio sztuka idealnego pieczenia świniaka. Szczerze mówiąc, jeżeli sprawiałoby mu przyjemność samo eksperymentowanie, ja i tak bym to jadł, surowe czy skremowane.

Cindy zadzwoniła rano, mówiąc, że jej szefowa wezwała ją do pracy na połowę dniówki, a zatem będzie w sklepie aż do południa. Poprosiła mnie, abym odebrał je pod straganem z lemoniadą Annie, gdy wyjdzie z pracy o dwunastej trzydzieści.

Zaparkowałem trzy przecznice dalej i szedłem niespiesznie ulicą Main. Panowała spokojna atmosfera, włączając w to Annie. Jej zawołanie: „Lemoniaaaaada!” ograniczone zostało do pokrytego patyną krowiego dzwonka, dzwoniącego wolno, głęboko i pusto. Pasował do Clayton.

Annie nie dreptała po chodniku, zabiegając o klientów, tylko siedziała w swoim krześle w cieniu, opatulona w obszarpany sweter, który bez wątplenia należał do Cindy. Za-

stanawiałem się, czyjej niska aktywność miała wpływ na hojność przechodniów. Gdy się zbliżyłem, mogłem dostrzec że miała, ale nie w taki sposób, jakiego się spodziewałem. Jej skarbona była przepelniona.

- Cześć, Annie.

- Cześć, Reese - powiedziała, wyskakując z krzeselka i podbiegając, aby objąć mnie za nogę.

A serce jej pragnęło przemówić...

Założyła sobie swoje lewe ramię - nadal pogrubione przez gipsowy opatrunek - wokół mojego pasa i wskazała w kierunku okna sklepu przemysłowego.

- Ciocia Cici zaraz wychodzi. Wybiera świerszcze dla jakiegoś pana, który jedzie na ryby.

Charlie zorganizował nasz mały zjazd u mnie, ale ja nie bardzo wiedziałem, jak moglibyśmy spędzić ten czas. Gościnność nie należy do repertuaru moich uzdolnień, teraz jednak uwaga Annie podsunęła mi pewien pomysł. Spojrzałem na nią.

- Lubisz łowić ryby?

- Nigdy tego nie robiłam.

Poruszyłem ustami, wypowiadając bezdźwięczne słowa:

- Nigdy-nie-byłaś-na-rybach?

Annie potrząsnęła głową i zaśmiała się tym pięknym delikatnym śmiechem, który zaczynałem słyszeć w moich

"^- Nawet mając tyle świerszczy w tej skrzynce koło domu? Annie uniosła brwi i jeszcze raz potrząsnęła głową^ Wszedłem do sklepu przemysłowego i zastałem Cindy pochyloną nad pojemnikiem ze świerszczami:

- Chciałbym... hm... - zajrzałem do środka pojemnika. Trzy tuziny świerszczy proszę. Spojrzała na mnie, oparła sobie łokieć na pokrywie pudełka i powiedziała:

- Żartujesz, tak?

- Nie - powiedziałem, wpatrując się w jej twarz - a powinienem?

Cindy wpakowała rękę z powrotem do pojemnika i zaczęła gonić świerszcze.

-Tylko że one nie zawsze siedzą spokojnie, gdy się je chce złapać.

Ponownie zajrzałem do pojemnika, a następnie przez okno na Annie. Tym razem szepnąłem:

- Chciałbym tyle świerszczy, abyśmy wszyscy mieli co robić przez większość popołudnia.

Cindy uśmiechnęła się, pokiwała głową i podała mi tubę zrobioną z gazy i zaopatrzoną w dwa tekturowe końce:

- Masz, trzymaj to.

Ja trzymałem tubę, podczas gdy ona zmagala się ze świerszczami. Wtedy gdy unosiła rękę, odsuwałem przykrywkę, a ona wrzucała kilka, zanim reszta nie wypełzła na zewnątrz. To była delikatna zabawa, ale zdołaliśmy zmieścić się w czasie, a ja za każdym razem dotrzymywałem jej kroku. Zapłaciłem, a gdy skończyła pracę, wnieśliśmy stragan Annie do środka i zostawiliśmy jej pieniądze w sklepowym sejfie, a potem skierowaliśmy się do mojego trucka.

Trzymałem drzwi, gdy wspinały się do środka. Gdy ja sam wsiadłem, Cindy spojrzała na mnie i zapytała:

-Twoja żona cię tego nauczyła?

- Czego nauczyła? Trąciła drzwi łokciem:

- Otwierać drzwi. Za każdym razem, gdy gdzieś z tobą jedziemy, zawsze otwierasz nam drzwi. Nie jestem pewna, czy zaczynam to lubić, czy coś ze mną nie tak. Przyłapuję się na tym, że chcę się zacziąć, by cię wyprzedzić, zanim podejdziesz do kolejnych.

Zastanowiłem się przez chwilę i zdałem sobie sprawę z tego, że być może, gdzieś w tej części, która kiedyś była mną, nie różniłem się tak bardzo od Annie. Być może moje ukryte emocje wciąż się jakoś przejawiały, wciąż dążyły do ujawnienia i bulgotały we mnie. Może jeszcze nie byłem martwy.

- Tak, chyba ona mnie tego nauczyła. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. I nie, nie wydaje mi się, żeby było coś z tobą nie tak.

Cindy uśmiechnęła się, a Annie przysunęła się do mnie, opierając się ramieniem i nogą.

Jako że nie było to bardzo nie po drodze, zboczyliśmy w kierunku mariny, gdzie odnalazłem Termita napelniającego baki niedzielnym wojownikom. Wyglądał na zniesmaczonego.

- Hej, Termit.

Prawie się wyprostował, ale zapanował nad sobą, zanim mogłoby się wydać, że ucieszył się na mój widok. Zamiast tego pokiwał głową z tą wyluzowaną młodzieżową manierą, która zdawała się mówić: ***Całkiem nieźle sobie tutaj radzę na tej mojej własnej prywatnej wyspie i jest mi obojętne, czy z tobą, czy bez ciebie. Twoja obecność nie ma dla mnie żadnego znaczenia.***

Termit nie był zbyt dobrym kłamcą. Bardzo potrzebował jakichś przyjaciół.

- O której kończysz? - zapytałem.

- Za parę godzin.

- Masz jakieś plany na kolację?

Spojrzał na mnie podejrzliwie i nawet zrobił krok do tyłu: - A co?

Pokręciłem głową, uśmiechając się:

- Ty naprawdę nie ufasz ludziom, prawda?

- Nie - rozejrzał się po marinie, czekając, abym kontynuował rozmowę. Obijał swoją zapalniczkę Zippo o rozszerzane džinsy, tracąc czas i energię.

Postąpiłem tak, jak chciał:

- A bo Charlie i ja pieczemy prosiaka i zapraszamy gości. Pomyślałem, że może zechcesz wpaść.

- O której?

- Obojętnie. Nic oficjalnego. Będzie gotowe, kiedykolwiek się pojawisz. Jeżeli nie, to wkrótce później.

Termit znowu rozejrzył się po marinie:

- Mogę wpaść na parę minut.

- No to jeżeli uda ci się uwzględnić nas w twoich bogatych planach towarzyskich, to jedź na północ do mostu, potem zawróć, miń sześć domów. Jesteśmy na południowo-wschodnim końcu. Poczujesz ognisko.

Motorówka typu Jet Ski stała zaparkowana nieopodal, z wymalowanymi płomieniami. Na burcie widniał napis sprayem **Rakieta**.

- Twoja? - zapytałem. Pokiwał głową.

- Zbudowałeś ją? Znowu pokiwał.

Poklepałem go po ramieniu, co spowodowało, że włosy na karku zjeżyły mu się jak pitbullowi.

- Do zobaczenia, Termit.

Spojrzał w kierunku mojego samochodu i zobaczył Cindy i Annie. Odezwał się:

- Hej, doktorku, one też tam będą?

Jego pytanie sprawiło, że się zatrzymałem. Odwróciłem się:

- Co powiedziałaś?

- Spytałem, czy te dwie tam będą?

- Dlaczego powiedziałaś „doktorku”?

Wzruszył ramionami i schował zapalniczkę z powrotem do kieszeni.

- Bo to ja wiem? A bo może dlatego, że zawsze tak wypytyujesz o wszystko i przypomniał mi się taki doktor tam, gdzie mieszkałem.

Spojrzałem na samochód, a następnie na Termita.

- Tak, też tam będą.

-W porządku - Termit pokiwał głową, prawie sam do siebie. Wyjechałem z parkingu przy marinie, a Cindy zapytała:

- Czy to nie ten dzieciak był w Studni tamtego wieczoru i siedział sam przy barze?

Skinałem:

- Nazywa się Termidor Cain. -Jak?

- No, dlatego woli Termit.

- Nie jestem pewna, co jest gorsze.

-Jest tutaj nowy. Przed czymś ucieka. Potrzebuje jakichś przyjaciół i może też coś ciepłego do jedzenia. Poza tym -dodałem, wskazując kciukiem przez ramię na tylne okno - miałem nadzieję, że może przyplynie swoją motorówką typu Jet Ski.

Cindy spojrzała, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Ostatnie kilka mil przejechaliśmy, raczej milcząc.

Zjechaliśmy z drogi utwardzonej na drogę szutrową i skręciliśmy do lasu, gdzie znajdował się mój dom ukryty nad brzegiem jeziora. Charlie siedział przy ogniu, kichając, gdy wjeżdżaliśmy. Krzesło miał oparte o drzewo, baseballówka z napisem „Atlanta Braves” zasłaniała mu oczy, a Georgia leżała u jego stóp z nosem w kierunku prosiaka.

Dziewczyny przebrały się w środku, a Charlie i ja dosypaliśmy więcej węgla do ognia. Zagrabiłem plażę pod moim domem i ustawiłem na niej dwa leżaki skierowane na południe w stronę jeziora.

Cindy zauważyła przygotowania i skierowała się od razu na plażę, jej klapki strzelały o pięty, gdy szła po chłodnym piasku. Miała na sobie dwuczęściowy kostium. Spód wyglądał jak normalny damski kostium kąpielowy, ale góra raczej jak pokrywa baniaka na wodę. Gdyby miała zamiar się opalać, nie musiałyby smarować sobie brzucha ani pleców olejkiem, ponieważ były zakryte. Gdy rozkładała ręcznik na swoim leżaku, zauważyłem czterocalową, poziomą bliznę tuż nad linią pasa. Mniej więcej w okolicach nerki, której mogła już nie mieć.

Annie w podskokach znalazła się na plaży, mając na sobie dwuczęściowy kostium dla dziewczynek. Stanowił mieszankę neonowej pomarańczy i zieleni i był na nią za duży, zwisając luźno z bioder i ramion. Wyglądał jak strój noszony przez małe dziewczynki, które chciałyby już być bardziej dorosłe.

Jej nacięcie na klatce piersiowej zagoiło się właściwie. Po bokach blizny znajdowały się otwory po szwach, a sama blizna była czerwona i nieco wypukła. Ale ogólnie nie była zbyt rozległa i widoczna. To dobrze. A fakt, że nie bała się jej pokazywać światu, świadczył o tym, że jej wnętrze zblizniło się równie dobrze. Jedno i drugie mogło ułatwić kolejną operację, ktokolwiek by się jej podjął - rozcięcie jej i zszycie mogło trwać krócej, nie wspominając już o tym, że miałyby to mniejszy wpływ na resztę jej życia.

Cindy czytała, podczas gdy Annie zajęła się budową małego zamku na piasku, ale nie miała zbyt dużo energii. Rozłożyłem więc parasol i zdrzemnęła się na kilka godzin, a w tym czasie Cindy skończyła swoją powieść.

Gdy odłożyła ją na piasek obok, zapytałem:

- Dobra?

Wzruszyła ramionami.

- Momentami.

- Masz ze sobą jakąś inną?

Cindy poprawiła ręcznik pod swoimi ramionami i odparła:

- Nie. A ty coś masz?

- Niewiele. Większość tych autorów, których czytam, nie żyje albo jest tak nudna, że powinni już nie żyć.

- A co z tymi wszystkimi, których zawsze cytujesz?

- Naprawdę, chcesz jakąś? Wzruszyła ramionami raz jeszcze.

- Czemu nie?

Pobiegłem do środka, zabrałem *Robinsona Crusoe* z szafki nocnej, wyciągnąłem zakładkę, a w drodze powrotnej do drzwi nalałem cały dzbanek soku z przecieranych malin. Gdy mijalem Charliego przy palenisku, wyciągnął rękę. Włożyłem do niej szklanekę, a on położył mi dłoń na ramieniu i coś szepnął.

Gdy obaj przybyliśmy na plażę kilka minut później, w trzciniowych spódniczkach, niosąc napoje udekorowane małymi parasolkami, Cindy zanosła się od śmiechu.

Czytała i sączyła swój sok, a ja rozciągnąłem sznur do bielizny od plaży do paleniska, Charlie skrytykował moją nadgorliwość, ale linka się przydała. Razem z Annie popracowaliśmy jeszcze trochę nad jej zamkiem z piasku - który zamiast piasku przeważnie składał się z kamyków - gdy około piątej usłyszałem silnik motorówki Jet Ski w północnej części jeziora. Termit, siedząc na górze swojej wymalowanej w płomienie dwumiejscowej łodzi, trzymał linę i holował drugą, trzymiejscową - której wcześniej nie widziałem.

Obiema dobił do plaży i zacumował, wciągając powietrze nosem.

- Miałeś rację. I do tego nieźle pachnie.

Trądzik ponownie wykwitł na jego twarzy, a tatuaże porzrzućane po rękach i plecach powodowały, że wyglądał na

brudnego i takiego, któremu przydałby się prysznic. Skóra i kości, wyglądał jak jeden z tych wyleniałych psów, które kręcą się wokół śmietnika na bocznej ulicy. Nie miał lekkiego dzieciństwa i tak właśnie wyglądał.

Pomimo to nie wątpiłem w jego męstwo. Wszystko w tym dzieciaku zdawało się mówić: „nie odpuszczę”. Podczas gdy życie nie rozpieszczało go od samego dzieciństwa, jego głowa na karku doprowadziła go tu, gdzie był. Przeszczepiając wystarczająco dużo serc, nabywa się umiejętności rozpoznawania czegoś takiego.

Termit nie czekał na przedstawienie, tylko podszedł od razu, kierując się nosem, do paleniska, gdzie Charlie podniósł pokrywę i objaśnił mu proces pieczenia. Gdy wrócił na plażę, burczało mu w żołądku. Przedstawiłem go Cindy i Annie, a gdy to robiłem, Termit przyglądał się długo bliźnie dziewczynki. Potem spojrzał na mnie, ale nie powiedział ani słowa.

Wiedziałem, że czeka, abym zapytał go o tę drugą motorówkę, a więc zrobiłem, jak chciał:

- Zawsze holujesz za sobą drugą łódź?

- E tam - odparł nonszalancko, nerwowo obracając w kieszeni zapalniczkę: - Tacy goście z Atlanty zatarli silnik parę tygodni temu, to go wymieniałem. Przyholowałem ją, bo wymaga przetarcia, zanim tu przyjadą w następny weekend i znowu się do niej dorwą, i go zatrą.

-Jak to go zatarli? - zapytała Cindy.

- Spuścili olej, bo nie chcieli go wymieniać, żeby zaoszczędzić kasę, ale zapomnieli z powrotem go nalać, zanim ruszyli poszaleć na jezioro.

Cindy pokiwała głową:

- Wyobrażam sobie, ile można w ten sposób wyrzucić w błoto.

- No, musieli wyskoczyć z dwóch tysięcy dolarów. Mówię wam, doktorzy to może i są odcytani, ale za grosz zdrowego rozsądku - splunął na piasek.

Jego język wyglądał, jak gdyby rozpoczął właśnie polowanie po brzegach warg za papierosem. Spojrzał na mnie i machnął łokciem w kierunku motorówki bez zbytniego entuzjazmu.

- Przyprowadziłem ją, bo pomyślałem, że może będziesz chciał sobie pokręcić kółkiem albo co.

Była to pierwsza gałązka oliwna, którą zaoferował mi Termit. Przyjąłem ją.

- Pokażesz mi, jak to działa?

Zrobił mi wykład na temat motorówek typu Jet Ski, przekazując znacznie więcej informacji, niż potrzebowałem, ale siedziałem cicho. Słuchałem, gdy objaśniał mi wszystko, od sekwencji zapłonu świec aż po funkcjonowanie przepustnicy. Gdy skończył, miałem tyle wiadomości, że mógłbym zacząć nauczać.

Zepchnęliśmy ją na wodę i uruchomiliśmy silnik, który zaczął pracować na jałowym biegu, mrużąc jak kociak. Gdy owijałem i zaklejałem taśmą plastikową torebkę wokół gipsu Annie, Cindy wstała z leżaka, po raz kolejny przykuwając na dłuższą chwilę spojrzenie Termita, i weszła do wody. Wspięła się i usiadła z tyłu. Pomogłem Annie się usadowić na środkowym siedzeniu, a potem usiadłem z przodu. Termit wskoczył na pokład swojej maszyny, a potem spojrzał na mnie:

- Tamten - wskazywał Charliego - nie chce płynąć? -Tamten jest niewidomy, a nie głuchoniemy. Sam go zapyli-

Termit spojrzał na Charliego, a następnie znowu na mnie:

-Jak on mówił, że się nazywa?

- Charlie.

- Hej, hm, Charlie, płyniesz z nami?

Charlie uśmiechnął się i obrócił czapkę daszkiem do tyłu.

- Ale tylko jeżeli pozwolisz mi prowadzić.

Termit wyglądał na zdezorientowanego, podczas gdy Cindy i Annie zaczęły się śmiać.

- Ale, hm... - spojrzał na mnie i szepnął: - ale on jest niewidomy.

- Taak, wiem - powiedziałem. - Tylko nie mów mu tego.

Termit wślizgnął się na swoje siedzenie i pomógł Charliemu dostać się na pokład.

Z zasady ludzie, którzy stają się niewidomi, powinni rozwinąć w sobie, jeżeli nie mieli już jej wcześniej, wrażliwość czuciową. W ten sposób uzyskują orientację w świecie. A więc gdy Charlie wspiał się na pokład łodzi, ułożył ręce na uchwytych, a następnie klepnął się po brzuchu, jakby sugerując Termitowi, aby objął go ramionami, ten wzdrygnął się. Spojrzał na mnie, a następnie na Charliego.

Charlie wyczuł wahanie Termita i powiedział:

- Termit, jeżeli nie chcesz, abym poprowadził tę łódź w kółko niczym jednonoga kaczka, to lepiej się zastanów, jak pomóc mi sterować.

Termit przysunął się bliżej, teraz może z jakąś stopę od Charliego, który powiedział:

- Robimy tak. Pociągasz mnie za ramiona, jeżeli chcesz, abym skręcił. Prawe ramię, skręt w prawo. Lewe ramię, skręt w lewo. Jedno pociągnięcie to lekki zakręt, dwa pociągnięcia to ostrzejszy zakręt, jedno porządne pociągnięcie oznacza -cała naprzód. A jeśli chodzi o prędkość, to ściskasz mnie za rękę, ciągnąc do tyłu. Im mocniej ściskasz, tym szybciej płynę. Łapiesz?

Termit skinął głową, a Charlie zapytał go jeszcze raz:

- Łapiesz?

Termit pokiwał znowu, a potem uświadomił sobie swój błąd:

-Taa, łapię, ale nadal lubię tylko dziewczyny. Charlie uśmiechnął się i powiedział:

- Ja też.

Termit zapalił papierosa, a potem zaczął pociągać za Charliego. Wyglądał jak dzieciak, który pierwszy raz doi krowę - dużo roboty, ale efekt mizerny. Zajęło mu to około dziesięciu minut, zanim nauczył się sterować Charliem. Ale gdy już załapał, na czym to polega, zdołali odbić od plaży i wypłynąć z doku.

Cała nasza piątka udała się na północ pod mostem i dalej, mijając centrum YMCA. Płynęliśmy wolno, aby Annie mogła czuć się wygodnie.

Po kilku minutach poklepała mnie po ramieniu.

- Nic stąd nie widzę.

- Chcesz usiąść z przodu?

Pokiwała głową, wspięła się po mnie, klapnęła na siedzenie i chwyciła za ster. To nie martwiło mnie tak bardzo jak to, co nastąpiło później. Cindy przysunęła się bliżej, objęła mnie w pasie i delikatnie przyłgnęła piersiami do moich pleców. Wystawiła głowę przez moje ramię, mówiąc:

- Naprzód, kapitanie.

Nie jestem pewien, kto czuł się bardziej nieswojo: ja czy Termit, ale z jego tatuażami, ślepotą Charliego, blizną Annie i naszymi trzcinowymi spódniczkami stanowiliśmy niezły obrazek.

Pływaliśmy po jeziorze przez ponad godzinę. Płynęliśmy wszędzie, gdzie pokazała Annie, a za każdym razem, gdy mijaliśmy jakąś łódź, Termit mówił o tym Charliemu, który następnie machał ręką niczym prezydent podczas defilady. Na koniec nawet Termit zaczął machać. Obraz szczerzącego

się i machającego wszystkim Charliego oraz Termita kręcącego głową z niedowierzania był jedną z najśmieszniejszych rzeczy, jakie ostatnio widziałem. Śmiałem się tak bardzo, że aż zaczął boleć mnie brzuch.

O wpół do siódmej wszyscy byliśmy już bardzo głodni, dopłynęliśmy więc motorówką do brzegu. Cindy i Annie poszukały w kuchni papierowych talerzy, podczas gdy Charlie, Termit i ja przewróciliśmy prosiaka na drugą stronę. Podałem Termitowi parę grubych rękawic z gumową izolacją i zacząłem wykrawać długie kawałki wieprzowiny z okolic żeber, następnie z pośladków i karku. Termit zrobił to samo i gdy w końcu wgrzyłem się w jeden z kawałków, on zrobił to także.

Sok rozpląnął się po jego wargach, zebrał w kąciku ust i spłynął po brodzie.

- Cholera, dobre.

- Mh-hm - zamruczałem w odpowiedzi.

- Nieee, to jest baaaaaaardzo dobre. Powinniście rozkręcić interes albo co.

- To by zepsuło całą zabawę - powiedział Charlie.

Zanieśliśmy tacę na strych hangaru dla łodzi, gdzie dziewczyny rozłożyły na drewnianym stole obrus w czerwono-białą kratę. Gdy każdy został już obsłużony, Charlie usiadł na głównym miejscu i wyciągnął ręce. Termit, który właśnie miał już wepchnąć sobie do ust trzy garści wieprzowiny, odłożył jedzenie, wziął głęboki oddech i zamknął oczy. Wszyscy rozłożyliśmy ręce, a Charlie rozpoczął:

- Panie...

Annie przerwała mu:

- Panie Charlie? Spojrzał w górę.

- Czy mogę ja?

Charlie pokiwał, pochylił głowę i czekał. Annie nie traciła czasu:

- Boże, to był dobry dzień. Dobrze się bawiłam. Myślę, że wszyscy dobrze się bawili. Dzięki ci, że pozwoliłeś nam wybrać się na przejażdżkę, za to, że byliśmy bezpieczni i za mojego nowego przyjaciela Termita i jego dwie motorówki typu Jet Ski. Dzięki Ci za to jedzenie i za Charliego oraz Reese'a, którzy je przygotowali, i Panie... - Annie przerwała.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że przekrzywia głowę, rozważając, jak powiedzieć to, co zamierzała powiedzieć.

- Ktokolwiek ma to serce, które zamierzasz we mnie włożyć, cóż... jeżeli ten ktoś potrzebuje go bardziej niż ja, pozwólmy mu je sobie zatrzymać. Ale jeżeli chcesz już tego kogoś tam w górze, to cóż, proszę, pomóż mu dbać o nie, zanim doktor Royer znajdzie kogoś, kto pomoże włożyć je we mnie.

Już miałem powiedzieć „Amen”, ale Annie kontynuowała.

- I Panie, gdziekolwiek znajduje się ten człowiek, proszę... - przerwała znowu, szukając słów - proszę, spraw, aby wiedział, że ja naprawdę go potrzebuję.

Charlie powiedział: „Amen”, ale nie wypuścił mojej ręki. Gdy lekko pociągnąłem ją w moją stronę, on pociągnął z powrotem, przyciągając do siebie moje spojrzenie. Jego oczy utkwily gdzieś ponad moją głowę i gdy mrugnął, łza spłynęła po jego prawym policzku na nasze ręce.

Poprosił mnie, abym nalał mu szklankę herbaty, a następnie poprosił mnie o koszyk z chlebem, który zawierał kromki grubo posmarowane masłem czosnkowym. Podał koszyk na lewo, mówiąc:

- Cindy, weź sobie i podaj dalej.

Cindy położyła koszyk obok siebie, sięgnęła po serwetkę i poderwała się na równe nogi, rozlewając herbatę i krzycząc lak głośno, jak tylko potrafiła.

Wszyscy, poza Charliem, zamarliśmy. On zaczął się śmiać tak mocno, że przewrócił się razem z krzesłem.

Cindy przykuła go spojrzeniem, spojrzała wolno z powrotem do koszyka, uświadomiła sobie, że wąż jest jedynie plastikowy, i klapnęła go najmocniej, jak potrafiła w ramię.

- Charlie, jak mogłeś mi to zrobić!

Ale Charlie zdążył już stoczyć się z krzesła na podłogę. Uśmiech rozświetlił twarz Annie, umazaną w tłuszczu prawie tak bardzo jak twarz Termita. Charlie podciągnął się, zabrał wijącego się węża z koszyka i powiedział:

- Czy ktoś wie, że to jest wąż chiński? - przejechał palcami wzdłuż jego korpusu i pokazał napis odcisnięty na brzuchu: - Widzicie, zrobiono go w Chinach.

Śmiech dobrze nam zrobił. A po modlitwie Annie każdy z nas tego potrzebował.

Sprzątanie po pieczeniu prosiaka jest prawie równie angażujące co sam proces pieczenia, ale dzieląc robotę na pięcioro, posprzątaaliśmy wszystko i zapakowaliśmy pozostałe mięso do torebek w pół godziny. Potem, podczas gdy Charlie pokazywał Annie i Termitowi nasz warsztat oraz hangar dla łodzi

- w którym Termit zwrócił szczególną uwagę na Hackera -Cindy i ja siedzieliśmy cicho na strychu hangaru, oglądając słońce zachodzące za zielonymi wzgórzami po naszej prawej stronie.

Cindy siedziała w bujanym fotelu, czytając, a ja bujałem się w hamaku. Gdy zebrałem się już na odwagę, zadałem jej pytanie, które zastanawiało mnie przez cały dzień:

- Skąd masz tę bliznę?

Cindy spojrzała znad książki, a ja skinąłem w kierunku jej pleców.

- Te, w miejscu, gdzie miałaś kiedyś nerkę.

- A - spuściła wzrok i zdawało się, że wróciła do lektury:

- Oddałam ją komuś, kto jej potrzebował.

Zaśmiałem się i powiedziałem:

- Co? Sprzedałaś ją na portalu e-Bay? Szybki sposób na zarobienie dziesięciu do piętnastu tysięcy.

- Nie - pokręciła głową, nie podnosząc wzroku. Uświadomiłem sobie, że nie żartowała.

- Naprawdę ją komuś oddałaś?

Cindy kiwnęła głową, nie odrywając oczu od książki.

- Komu?

Cindy spojrzała na Annie, która prowadziła Charliego za rękę po schodach. Nie potrzebował tej pomocy, ale ona o tym nie wiedziała, a on był zbyt uprzejmy, aby jej o tym powiedzieć.

- Stacey, mojej siostrze... mamie Annie. Gdy byłyśmy dużo młodsze - uśmiechnęła się. - Mógłbyś powiedzieć, że przekazywanie organów to nasza rodzinna tradycja.

Pomogliśmy Termitowi załadować jego łodzie taką ilością resztek mięsa, która mogła wystarczyć mu na cały tydzień. A może i dwa. Wskoczył na siedzenie, odwrócił się do mnie, dotknął palcem podbródka i odpłynął wzdłuż rzeki, ciągnąc za sobą drugą motorówkę niczym zapasowego muła. Myślę, że to był jego sposób mówienia „dziękuję”.

Odwieźliśmy dziewczyny do domu i zaniósłem Annie do jej łóżka, podczas gdy Charlie czekał w samochodzie. Obok łóżka leżał dziecięcy monitor, taki, który miga serią czerwonych błysków za każdym razem, gdy hałas dotrze do mikrofonu. Przez lata rodzice Emmy trzymali podobny monitor przy jej łóżku.

Okryłem ją kołdrą, a potem wyszedłem, gdy Cindy mówiła Annie „dobranoc”. Stałem w kuchni, czując się coraz bardziej nieswojo na myśl, że nie czułem się już nieswojo w towarzystwie Cindy. Nie posunąłbym się na tyle daleko, by stwierdzić, że zacząłem czuć się w jej towarzystwie swojsko, ale to naprawdę nie miało znaczenia. W każdym razie, moje poczucie zdrady stawało się silniejsze w tym samym stopniu.

Oparłem się o płytę kuchni i wpadłem na plastikowe coś, wyglądające jak głośnik, włączone do gniazdka w ścianie. Drugi koniec dziecięcego monitora. Głośniki zmieniły się od czasów Emmy. Po pierwsze, ten był mniejszy, a po drugie, odbiór był znacznie lepszy.

Najpierw usłyszałem głos Annie:

- Ciociu Cici, miło spędziłaś dzisiejszy dzień? Czy lubisz Reese'a?

Cindy musiała pokiwać głową w odpowiedzi na te pytania, ponieważ nic nie usłyszałem. Annie zadała kolejne pytanie:

- Myślisz, że on cię lubi?

Tym razem usłyszałem reakcję Cindy:

- Kochanie, nie jestem pewna. W sercach dorosłych czasami bardzo dużo się dzieje i... myślę, że serce Reese'a jest zranione.

-Tak jak moje? - zapytała Annie.

- Nie - odpowiedziała Cindy - nie jak twoje. On podarował je dawno temu, a gdy jego żona zmarła, zabrała je ze sobą.

- Och - wyszeptała Annie. - Czy on może je odzyskać?

- Nie wiem - powiedziała Cindy - nie wiem, czy on tego chce. Czasami wspomnienie miłości jest tak silne, że wypiera prawie wszystko inne - minęło kilka sekund. - On czeka, kochanie, to może ty zacznij, a ja skończę.

- Drogi Panie - Annie zaczęła - dzięki Ci za dzisiaj. Dzięki Ci za wszystkich tych ludzi, którzy kupili dzisiaj rano lemoniadę, dzięki za Reese'a i Charliego, i Termita, i za to, że pozwoliłeś mi przeżyć jeszcze jeden dzień - Annie przerwała: - Proszę Cię, bądź z Reeseem i... i wylecz zranione miejsca w jego sercu.

Cindy pociągnęła nosem i powiedziała:

- Dobranoc - ale Annie zaprotestowała: - Nie skończyłaś.

- Czasami ty mówisz wszystko to, co należy powiedzieć. A teraz, dobranoc, i zaśnij już.

Cindy pojawiła się w drzwiach sypialni Annie, a ja odstawiłem głośnik. Spotkaliśmy się przy frontowych drzwiach i zobaczyłem, że zaczęła płakać. Wyglądała na zawstydzoną.

- Czasami to dziecko modli się w tak przepiękny sposób. Pokiwałem głową i wyszedłem.

Gdy byłem już za drzwiami, dobiegła, szarpnęła mnie za rękaw i zatrzymała:

- Czy mogę cię o coś spytać?

Reakcja moich ust i serca ścierały się ze sobą, ale moje usta przemówiły, zanim serce zdołało je powstrzymać: -Jasne.

- Dzwonił dzisiaj doktor Morgan, powiedział, że chce zrobić Annie kolejne badanie jakoś w przyszłym tygodniu. Będzie trzeba podać jej narkozę. Prawdopodobnie spędzimy w szpitalu większą część dnia i zastanawiałam się, czy...

Przerwałem jej:

- Tak - moja odpowiedź zabrzmiała szorstko, prawie po lekarsku. Złagodziłem ton: - Pewnie. Mogę was zabrać. Kiedy?

- Nie jestem pewna. Mogę dać ci jeszcze znać? Skinąłem głową i poszedłem w kierunku samochodu.

- Dobranoc.

Znowu podeszła z tyłu i położyła mi dłoń na ramieniu. (Idy się odwróciłem, pocałowała mnie w policzek, a za drugim razem już bliżej kącika ust.

- Dziękuję za dzisiaj - powiedziała.

- To nic... - zacząłem.

Ale przyłożyła mi dłoń do ust, mówiąc:

- To było wszystko dla tej małej dziewczynki, tam w pokoju, i z tego powodu to dużo więcej niż nic. Dla niej... i dla mnie. Dziękuję, Reese.

Skinąłem głową raz jeszcze:

- Dobrej nocy.

Charlie i ja zaczęliśmy wyjeżdżać na drogę. Nie ujechaliśmy zbyt daleko, a zdecydował się dorzucić swoje trzy grosze.

- Te dziecięce monitory to naprawdę coś, nie? - obrócił się nieco na siedzeniu i poprawił sobie pasy. - Wydają się rejestrować każdy najmniejszy dźwięk i... stary! Mogą go też przesyłać do głośników.

Tylko pokręciłem głową:

- Dużo nie straciłeś, prawda?

- Jeśli chodzi o dźwięk, nie, niedużo.

- Myślę, że to się nazywa bionika.

Charlie odwrócił się, uśmiechnął w moim kierunku i powiedział:

- Mogę ci odstąpić.

Jechaliśmy przez chwilę w ciszy, kilka wijących się w górę zakrętów, za nimi jeden ostry w dół, a potem długa prosta pod górę. Suburban zmienił przełożenie na niższy bieg i zaczął grzechotać, wspinając się pod górę. Gdy szosa się wyrównała, zjechałem na pobocze.

- Charlie - powiedziałem, zmagając się z naszą przeszłością i szukając odpowiednich słów - gdybym mógł ci oddać swoje oczy, zrobiłbym to.

Charlie siedział przez moment, robiąc z kciuków kołowrotek:

- Nie chcę twoich oczu - powiedział z twarzą skierowaną ku przedniej szybie - ale mogą ci się przydać moje uszy.

Gdy wszedłem do łóżka, gdzieś po północy, przewinałem sobie w pamięci cały dzień. Charlie zrobił się niezwykle cichy,

co raz jeszcze mówiło mi więcej niż jego słowa. Termitowi się podobało - myślę, że pozwolił nam nawet zarzucić kotwicę gdzieś w pobliżu jego wyspy. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że nie poszliśmy na ryby. Czas minął jakoś bez mojego zamartwiania się o to.

Uwięzione na werandzie w tubie z gazy, świerszcze cykały, brzmiąc jak pociąg towarowy przemierzający podłogę salonu. Wyniosłem tubę na zewnątrz, odkręciłem wieko i patrzyłem, jak wyskakują po kolei na wolność. W ciągu paru sekund klatka była pusta. Wróciłem do łóżka, zamknąłem oczy i słuchałem. Nie odeszły zbyt daleko.

ROZDZIAŁ 44

Peryferie jeziora, z dala od pluskających się przy brzegu, tych, co to wchodzi do wody najwyżej po kolana i narciarzy wodnych, rozciągają się w ciszy na tle szczytów wzgórz i cmentarzy. W zeszłym wieku, gdy ludzie dowiedzieli się, że Burton zostanie zatopione i legnie pod powierzchnią około stu stóp wody, zaczęli chować swoich ukochanych na zboczach wzgórz, gdzie brzegi tego, co miało stać się jeziorem Burton, miały ich nigdy nie dosięgnąć. Inni wykopywali tych, którzy już zostali pochowani, i przenosili ich wąskie trumny na mułach i wozach. Żołnierze Konfederacji, dzieci zabrane przez epidemie, kobiety, które umarły przy porodzie, wszyscy zostali przeniesieni, by spoczywać w spokoju pośród chłodnego powietrza i słonecznego blasku wzgórz.

W efekcie obecny rozwój mieszkalnictwa, który dokonał się na tym terenie, otoczył większość cmentarzy i sprawił, że trudno jest przejechać dokoła jeziora - zarówno łodzią, jak i samochodem - nie mijając przy tym z pół tuzina z nich. Kręciłem sterem łodzi bez pośpiechu i wszędzie, gdziekolwiek bym dotarł, wydawało się, że podążają za mną kaczki. Przejrzysta zielona woda rozlewała się po obu stronach dziobu jak strugi liści magnolii zwisających nad werandą, na której dorastałem.

Gdy Emma i ja mieliśmy po trzynaście lat, poprosiłem raz jej mamę, czy mógłbym zabrać ją na rolki.

Pani Nadine przyłożyła dłoń do ust, spojrzała przez kuchenne okno na Charliego, który strzelał do złoczyńców z bocianiego gniazda swojego fortu, a potem wsunęła do ust palec. „Tylko nie pozwól jej się przemęczać”, powiedziała w końcu. Co oznaczało: „Pilnuj jej, aby nie traciła więcej energii, niż powinna”.

Czasami myślę, że za każdym razem, gdy Emma spoglądała na swoje życie, robiła to przez więzienne kraty i barykady, które inni wokół niej budowali. *Nie pozwól jej, aby zbyt...* było codzienną frazą wypowiedaną dla jej dobra, jak gdyby mogła się stłuc. Nie oskarżam nikogo, wszyscy tak do tego podchodziliśmy. Bojąc się, że może popękać lub rozbić się niczym krucha filiżanka z chińskiej porcelany, odłożyliśmy ją na półkę i tam wiodła swoje życie. Często zastanawiam się, czy kiedykolwiek pozwalaliśmy, aby nalać do niej wody.

Jej mama zostawiła nas przy torze rolkowym, kupiliśmy bilety, zawiązaliśmy buty i czekaliśmy na ławce, aż didżej zagra jakąś wolną muzykę, taką, przy której zaprasza się na środek pary. Poprowadziłem więc Emmę na tor. Obróciła się do mnie twarzą, trochę niepewna na nogach, które jeździły. Położyła mi ręce na ramionach, wciąż pełna niepewności, ale i zaufania, i uśmiechała się przez osiem krótkich okrążeń, podczas których leciały piosenki miłosne.

Gdy część dla par się zakończyła, tempo podskoczyło i dzieciaki kamikaze wyskoczyły na tor. Poprowadziłem Emmę z powrotem na ławkę, usiadła, oddychając ciężko, ule uśmiechając się, co tak rzadko zdarzało mi się widzieć. Z trudnością łapała oddech, potrzebowała dobrej drzemki i miała już dosyć na cały dzień. Ale gdy spojrzałem jej w oczy, zobaczyłem, że więcej dobrego zdarzyło się w jej wnętrzu niż dzięki lekarstwom, które zażywała przez cały miesiąc. Dostrzegłem tam niewielką iskrę, która mówiła mi, że jej nadzieja jeszcze nie umarła, ale wciąż tliła się pod powierzchnią.

Gdy odwiązywałem jej rolki, klepnęła mnie w ramię, a potem przyłożyła dłonie do moich policzków. Przysunęła swoją twarz do mojej i pocałowała mnie. Nie był to jedynie taki całus, który daje się mamie na do widzenia przed szkołą. W ten sposób Emma przemówiła do mnie. Jej usta były wilgotne i miękkie, a jej dłonie delikatnie drżały.

Oddaliśmy rolki, kupiliśmy sobie colę i czekaliśmy na jej mamę przed wejściem. Pamiętam ten dzień z dwóch powodów. Po pierwsze, ten pocałunek. Gdybym zamknął teraz oczy, czułbym go nadal. Nawet gdy się już pobraliśmy, Emma nie przepuściła żadnego dnia, aby nie chwycić mnie za policzki i aby nie przyciągnąć moich zmęczonych i pełnych niepokoju oczu do jej oczu, a potem przywrzeć swoimi ustami do moich ust.

I po drugie, dowiedziałem się czegoś, czego wszystkie moje lektury, studia i wszyscy moi profesorowie nigdy by mnie nie nauczyli. Nadzieja nie jest efektem oddziaływań medycznych lub czymś, co tylko nauka może zapewnić. To jest kwiat, który zakwita i rośnie, gdy inni go podlewają. Myślę czasami, że spędziłem tak wiele czasu, martwiąc się, jak chronić i wzmacniać ten kwiat - posuwając się nawet do przeszczepiania mu odnóg lub elementów systemu korzeniowego - że zapomniałem po prostu go podlewać.

Gdy wpłynąłem do strumienia, który prowadził do mojego domu, Cindy i Annie siedziały na plaży, gdzie rozłożyły sobie leżaki. Annie wyglądała, jak gdyby znajdowała się pomiędzy jedną drzemką a drugą, spoglądając przez kraty, które wytyczały granice w jej życiu, i biernie przyglądając się temu, co działo się na jeziorze, podczas gdy Cindy siedziała z nosem wetkniętym w *Robinsona Crusoe*. Sądząc po szybkości, z którą przewracała kartki, i niewielkiej liczbie stron, które zostały, już prawie kończyła.

Gdy wyłoniłem się z hangaru dla łodzi, wyprostowała się na krześle i krzyknęła do mnie.

- Sal przyszedł zbadać Annie, no to załapałyśmy się z nim na stopa, gdy wyjeżdżał. Nie będziemy ci przeszkadzać; po prostu nie mogłybyśmy zmarnować takiego dnia - pomachała ręką w kierunku jeziora - aby nie posiedzieć sobie na takich leżakach.

- Czujcie się jak w domu. Będę pracował przy Hackerze przez większość popołudnia. Korzystajcie ze wszystkiego, co chcecie; dom jest do waszej dyspozycji. Zawołaj mnie, jak będziecie czegoś potrzebowały.

Poszedłem na górę przebrać się w jakieś robocze ubranie i upewnić, czy gabinet jest zamknięty. Następnie skierowałem się na palcach do warsztatu. Kilka minut później bosa stopki zaszurały po wiórach. Znajdowałem się już na etapie wykańczania ich stołu, ale nie byłem jeszcze gotowy, aby im o tym powiedzieć. Miałem nadzieję, że będzie to niespodzianka.

Annie obejrzała narzędzia zawieszane na ścianie i nieświadomie zaczęła przesuwać palcami w górę i w dół pionowej blizny na jej klatce piersiowej.

- Reese - powiedziała prawie szeptem.

Odłożyłem hebel na stół, obszedłem ławę i stanąłem w drzwiach, gdzie bryza muskała mnie po twarzy: -Tak?

Wydawało się, że jej kostium kąpielowy zrobił się większy.

- Czy byłeś kiedyś pod narkozą?

Pokręciłem głową i usiadłem na pustym wiadrze, odwróconym do góry dnem.

- Nie, nie byłem, ale - uspokoilem ją - słyszałem, że nic się nie czuje i niewiele się pamięta.

Zrobiła jeszcze parę kroków, wpatrując się w tarcze szlifierki i wiertarki bezprzewodowe:

- Ja czułam - powiedziała beznamiętnym tonem.

Na ścianie ponad jej głową wisiała laubzega Boscha i druga Milwaukee Sawzall. Były to ręczne piły przeznaczone do robienia skomplikowanych nacięć w wąskich miejscach - bardzo podobne do piłek chirurgicznych używanych do przecinania mostka, zanim umieści się w nim rozszerzacz, który rozwiera i otwiera klatkę piersiową człowieka.

- I pamiętam bardzo dużo.

- Prawdopodobnie tylko śniłaś - powiedziałem, starając się zmienić temat. - Narkoza może powodować u ludzi przeróżne sny.

Annie przechadzała się wzdłuż rzędu narzędzi, przyglądając się każdemu z nich, i w końcu powiedziała:

- Tak, ale ja nie spałam.

Jej ton przykuł moją uwagę i zacząłem jej teraz słuchać z większym zainteresowaniem.

- Zanim poznałyśmy doktora Royera, chodziłam do innego pana doktora w Atlancie. Był zawsze bardzo zajęty. Czekałyśmy bardzo długo, aby się z nim spotkać, a później on zawsze się spieszył. Nie lubiłam go zbyt.

Annie mówiła niczym doświadczony pacjent, już nie dziecko. Gdzieś tam w jej odległej pamięci dziewczynka w żółtej sukience, sprzedająca lemoniadę, została porwana przez ten sam wiatr, który przewrócił jej styropianowy kubek.

- On zrobił mi operację, żeby dać mi parę lat więcej, bym mogła czekać na serce. Nie wiem, ile operacji robili tamtego ranka, ale czułam się tam, jak u tego fryzjera, do którego ciocia Cici zabiera nas na strzyżenie. Zawsze długa kolejka klientów - zaczęła pocierać tył sandała zawieszony na szyi. - Gdzieś podczas operacji, anest... anestez... - Annie pokręciła głową. - Osoba, która mnie usypiała, przechodziła

po między dwiema albo trzema różnymi operacjami i musiała zapomnieć sprawdzić, co u mnie. W każdym razie nie wróciła, gdy miała to zrobić, i ja tak jakbym się obudziła.

Prawie spadłem z wiadra. Fragmenty układanki zaczynały do siebie pasować, a emocjonalny mur, który zwykł mnie chronić, zaczął kruszeć jak mury Jerycha. Jeżeli Annie zapukała do moich bram tamtego dnia przy straganie z lemoniadą, teraz po prostu roztrzaskała je taranem swojego serca.

- Pamiętam, że wszystko było rozmyte i widziałam jedynie błękit. Pomyślałam, że może obudziłam się w niebie, ale potem trochę się skoncentrowałam i zobaczyłam, że błękitna była chustka rozłożona na mojej twarzy. Nie wiedziałam, gdzie byłam, ani po co miałam w buzi oraz w nosie wszystkie te rurki i dlaczego nie mogłam ruszać rękami i nogami. Widziałam rząd świateł i ktoś, kto stał nade mną, rozmawiał z kimś drugim, ale nie mogłam zrozumieć, co mówili... Pamiętam tylko, że czułam duży ciężar na piersiach, a potem duże zimno.

Siedziałem nieruchomo, przypominając sobie cały horror innych podobnych historii, o których albo czytałem, albo które opowiadali mi bezpośrednio sami pacjenci w całym kraju. Dla każdego z nich ich najgorszy koszmar stał się rzeczywistością. I dla każdego z nich pójście znowu pod nóż było najtrudniejszą rzeczą, jakiej mieliby się poddać. Wielu odmawiało.

- A potem ta pielęgniarka zajrzała pod chustę, tak tylko sprawdzając, czy wszystko ze mną w porządku, i zobaczyła mnie, spoglądającą na nią.

Annie wyszła na nabrzeże, gdzie słońce, odbijające się od powierzchni jeziora, rozświetliło jej bladą postać, sprawiając, że wyglądała jak anioł, który sfrunął zbyt nisko na ziemię. W pewnej chwili odwróciła się wolno i powiedziała:

- Doktor Royer chce, abym przyjechała na jakieś badanie w piątek. Mówi, że potrzebuje dowiedzieć się czegoś o moim sercu, a żeby dowiedzieć się tego na pewno, musi mnie uśpić i poprowadzić mi przewód z kamerą przez gardło, a następnie do mojego serca.

Pokiwałem głową. Podeszła i usiadła mi na kolanach. Jej nogi były gładkie, jakby właśnie je ogoliła, ale wiedziałem, że tego nie zrobiła.

Rozejrzała się jeszcze raz po jeziorze, patrząc na dok Charliego, na dom, a następnie na mnie:

- Myślisz, że powinnam się na to zgodzić?

Jak na dziewczynkę, która dosłownie wędła na moich oczach, wydawała się ciężka. Jej ciężar przyciskał moje nogi do podłoża i przybijał mnie do ziemi niczym śledzie, którymi mocuje się do podłoża namiot.

- Tak - powiedziałem jedynie.

Spojrzała znów na nabrzeże i na dwie wielkie mrówki faraona, które właśnie omijały jej stopy.

- A ty byś tak zrobił? - zapytała, gdy jej oczy podążały za mrówkami i gdy instynktownie pocierała kciukiem tył złotego sandała zawieszzonego na szyi.

Wzięłem głęboki oddech:

- Nie wiem, Annie. Nie potrafię ci na to odpowiedzieć. Objęła mnie ramieniem za szyję, jakby obejmowała się

z koleżankami z drużyny softballowej przed ostatnim zagranieniem decydującym o wszystkim. Pokiwała głową i wypchnęła prawy policzek niczym balon wielkości piłki do baseballa. W końcu podniosła na mnie wzrok.

- Czy mógłbyś z nami pojechać? - spojrzała w kierunku drzwi na Cindy, a następnie z powrotem na mnie. - Nie wiem, ile jeszcze będzie w stanie znieść ciocia Cici. Już ostatni bank odrzucił jej wniosek o pożyczkę.

Skinąłem głową. -Tak.

Zeskoczyła mi z kolan i podeszła do schodków prowadzących do mojego hamaka.

- Czy mogę się zdrzemnąć w twoim hamaku? Nie popsuje g°-

Skinąłem już po raz ostatni, a ona rozpoczęła powolną wspinaczkę na górę hangaru dla łodzi. W połowie pierwszego rzędu schodków przystanęła, żeby spojrzeć na ryby w wodzie pod nią i złapać oddech. Zaniósłem na górę polarowy koc i poduszkę, ale gdy przybyłem na miejsce, już prawie spała. Okryłem ją, uniosłem jej głowę i sprawdziłem tętno rytmicznie pulsujące wzdłuż tętnicy szyjnej. Po zmierzeniu pulsu i spojrzeniu na jej przyspieszony, krótki oddech, który tylko częściowo wypełniał płuca, wróciłem na swoje wiadro oświetlane promieniami słońca.

Nie wiem, jak długo tam siedziałem, spoglądając na wodę. W każdym razie wystarczająco długo, aby Annie zasnęła, chmury zasłoniły słońce i Cindy skończyła *Robinsona Crusoe*. Gdy się ocknąłem, zobaczyłem jaszczurkę wspinającą się po mojej stopie i goleni. Cindy stała przede mną, oparta o framugę drzwi ze skrzyżowanymi ramionami, spoglądając na jezioro. Wychudzona, z oczami nieco nazbyt zapadłymi do środka, Cindy zaczynała wykazywać oznaki wypalenia, ale nie mogło to ukryć faktu, że piękno czaiło się tuż pod powierzchnią. Uderzyło mnie to, że po raz pierwszy przyszła mi do głowy taka myśl o kimś innym niż Emma. I myśl ta sama w sobie przeraziła mnie.

Cindy owinęła sobie ręcznik wokół bioder, ale ewidentnie przyzwyczaiła się do przebywania w pobliżu mnie w kostiumie kąpielowym. Jak to z kostiumami kąpielowymi bywa, ten był dość tradycyjny, top i dół bikini, ale to wciąż był jednak

kostium kąpielowy. A kostiumy kąpielowe i bielizna są zasadniczo tym samym, nosi się je tylko w innych okolicznościach. Można je jednak pominąć, ponieważ tym, co najważniejsze, i tak pozostaje... topografia.

Nie patrzyła na mnie, tylko stała spokojnie, jak gdyby przychodziło jej to już z łatwością i sprawiało przyjemność. I to także mnie przerażało. W końcu odezwała się:

- Powiedziałeś, abyśmy czuły się jak u siebie, poszłam więc poszukać aspiryny i znalazłam ją w łazience. Zakochałam się w tej wannie. Twoja żona pewnie również.

Pokiwałam głową, krążąc myślami wokół zamkniętych drzwi do gabinetu.

- Skończyłam już książkę - skinęła w kierunku leżaka, a następnie zapatrzyła się z powrotem na jezioro. - Nie potrafię sobie wyobrazić, jak by to było być kimś takim jak on. - Potrząsnęła głową i skierowała swój duży palec na mrówkę, która maszerowała wokół jej stóp.

Nie zrozumiałem.

- Słucham?

- *Crusoe. -Al*

- W jednej chwili żegluj sobie, nie troszcząc się o nic, a zaraz potem jego okręt tonie, miotany niczym biblijny Jonasz, a potem... wyspa... - objęła się mocniej ramionami.

Podniosłem się z mojego wiadra i odwiesiłem je na ścianie za plecami. Był to mój znak, że rozmowa miała się już ku końcowi. Nie wiem, dlaczego powiedziałem to, co powiedziałem, poza tym, że miałem dużo czasu, aby to sobie przemyśleć, i że zacząłem sobie przypominać.

- Cindy?

Spojrzała na mnie.

- Wszyscy jesteśmy rozbitkami. Wszyscy na bezludnej wyspie.

Zrobiłem kilka kroków do przodu, w kierunku dźwigu dla łodzi i krawędzi doku. Włożyłem ręce do kieszeni, a potem odwróciłem się i nasze spojrzenia się spotkały.

- Pewnego dnia wszyscy budzimy się na plaży, z głowami pokrytymi piachem, morską pianą szczypie nas w oczy, kraby skubią nas w nos i smak soli przywiera do naszych warg - odwróciłem się nieco, rzucając okiem na delikatną sylwetkę Annie bujającą się lekko w hamaku, kołysanym przez wiatr -i czy nam się to podoba, czy nie, to właśnie tam uświadamiamy sobie, że wszyscy potrzebujemy tamtego piątku, aby nadszedł i w końcu ocalił nas, zabierając z wyspy, ponieważ nie znamy języka i nie potrafimy odczytać wiadomości w butelce.

Podszedłem do krawędzi doku, do rogu znajdującego się najbliżej domu Charliego, i usiadłem na brzegu, zanurzając stopy w wodzie. Za chwilę Cindy usiadła obok. Blisko, opierając się o mnie ramieniem i udem. Przekraczała moją osobistą przestrzeń, sugerując, że przynajmniej w tej chwili, była to przestrzeń, którą dzieliliśmy. Bardziej *nasza* niż jej lub moja. Jej dotyk był przyjacielski i znajomy, nienachalny. Ale to także mnie przerażało.

Otarła oczy, zaczerwienione i mokre, nie patrząc w moim kierunku, lecz przyglądając się wodzie pod nami. Nasze stopy wydawały się zielone i zniekształcone. Pod nimi przemknął leszcz, za którym podążały dwa sporej wielkości okonie.

- Czy nauczyła cię tego twoja żona? - zapytała cicho.

- Nie - odpowiedziałem, kręcąc głową - sprawił to jej brak.

ROZDZIAŁ 45

W piątek rano obudziłem się wcześniej, ruszyłem na wodę z Charliem, na długo zanim wzeszło słońce, i zostawiłem Royerowi wiadomość na sekretarce, informując go, że przyjeżdżamy do szpitala. Wspomniałem jeszcze o paru innych sprawach. A właściwie, poprosiłem.

Poprosiłem, aby przeprowadził badanie w jednej z sal przy wyjściu, a nie na oddziale kardiologicznym - a najlepiej na oddziale dziecięcym, gdzie ściany pomalowane były tak, że bardziej przypominały dziecięcy pokój, a mniej szpital. Im mniej stresu wywołały u Annie, tym lepiej.

Wiązało się to również z oczywistą korzyścią dla mnie samego, ale zasugerowałem tę sprawę w mojej następnej prośbie. Sugerowałem skorzystanie z pomocy pielęgniarek oraz pozostałego personelu, który nie miał ze mną wcześniej styczności. Jego zespół, nasz zespół, był lojalny i według informacji, do których udało mi się dotrzeć, większość nadal pracujących w nim osób znałem po imieniu. Pomimo mojego nędznego wyglądu mogli mnie rozpoznać w bardzo podobny sposób, jak zrobiła to na ulicy Shirley. Nie byłem na to gotowy i wiedziałem, że on to zaakceptuje. Na koniec poprosiłem go, aby przejrzał sprawy finansowe, mówiąc, że zrozumie wszystko, gdy to zrobi.

Odebrałem Cindy i Annie spod ich domu zaraz po wschodzie słońca. Obie spały przez większą część drogi do Atlanty.

Gdy przejeżdżałem obok Starbucks, zamawiając latte, Cindy podniosła rękę, a jej dwa palce utworzyły znak pokoju. Zmieniłem zamówienie i poprosiłem o dwie.

Royer osobiście spotkał się z nami na parkingu. Stał za wózkiem inwalidzkim. Na siedzeniu usadowione były trzy pluszaki: Kubuś Puchatek, Tygrysek i Kłapouchy. Annie wysiadła z samochodu i od razu go uścisnęła, co przypomniało mi, że Royer był lekarzem dobrym pod każdym względem.

Cindy chwyciła torebkę i przedstawiła mnie. Uścisnęliśmy sobie ręce, jego druga dłoń objęła moją i wymieniliśmy oficjalne uprzejmości. Następnie poprowadził nas wejściem dla pacjentów, do windy i na piętro oddziału dziecięcego, gdzie znaleźliśmy się pośród jasnych ścian, motyli, w holu, który wyglądał jak zbudowany z żółtych cegieł. Twarz Annie rozpromieniła się.

Royer poprowadził nas dalej krótkim korytarzem do dużego pokoju w rogu szpitala. Był idealny: łóżko, fotel, telewizor z kablówką oraz okno, które wychodziło na północno-zachodnią część Atlanty. Pokój pomalowany został tak, aby wyglądał jak Stumilowy Las i domek Kubusia Puchatka.

Annie wskoczyła na łóżko i pochwyciła coś:

- Patrz - powiedziała, pokazując to Cindy - nasz własny pilot.

Cindy spojrzała na nas zawstydzona i wzruszyła ramionami:

- Odrobina przyjemności w życiu.

Royer poprowadził Cindy do drzwi i szepnął wystarczająco głośno, abym mógł usłyszeć poprzez film animowany, który włączyła Annie.

- Wkrótce będą tu pielęgniarki, aby założyć jej wenflon i zrobić podstawowe badania. Przyjdę za pół godziny i podam jej dożylnie środek usypiający.

Cindy skrzyżowała ramiona, nerwowo pocierając je dłońmi. Royer kontynuował:

- Cała procedura może potrwać do piętnastu minut; potem pozwolimy jej się wyspać i spędzić tutaj dzień przed telewizorem - położył jej rękę na ramieniu i dodał: - Proszę się nie martwić i być w pobliżu.

Cindy pokiwała głową i naciągnęła nadpruty sweter, który przyniosła ze sobą z auta.

Chwyciłem jakiś magazyn, starając się wyglądać na niezorientowanego, nie zdejmując okularów przeciwsłonecznych, aż do momentu, gdy miałem pewność, że nigdy wcześniej nie spotkałem tych pielęgniarek. Po chwili weszły, ubrane w fartuchy z wymalowanymi na nich kłownami i kolorowe, plastikowe buty. Każda porozmawiała sobie z Annie. Jeżeli dziewczynka była zdenerwowana, nie okazywała tego. Ubrali ją w pidżamę, pomogli jej założyć duże, czerwone kapcie i przetarli jej rękę alkoholem.

Skrzywiła się, gdy wbijali jej wenflon i łza spłynęła po lewym policzku. Cindy, przygryzając wargę, jak gdyby była na miejscu Annie, zauważyła to i usiadła po drugiej stronie łóżka, biorąc ją za rękę. Stałem pod przeciwległą ścianą, opierając się mocno plecami o okno z obawy, że mogę ruszyć przez środek pokoju i zacząć działać jak ktoś, kim kiedyś byłem.

Rozpoczęli podawanie płynów, aby utrzymywać ją w stanie nawodnienia, i przynieśli jej kubek z lodem, mówiąc, że może go sobie ssać. Nie tknęła go, tylko w spokoju oglądała telewizor zainstalowany ponad nami. Po kilku minutach oglądania filmów rysunkowych nacisnęła wyłącznik na pilocie i przycisnęła guzik usytuowany na boku łóżka, aby podnieść głowę. Mechanizm uniósł ją do pozycji siedzącej i wtedy spojrzała na mnie:

- Reese?

- Tak - powiedziałem, odpychając się plecami od ściany i przysuwając sobie krzesło do jej łóżka.

- Będiesz tutaj, gdy wrócę?

Pokiwałem głową, bojąc się odezwać, aby mój głos się nie załamał.

Wyciągnęła rękę, a ja wsunąłem w nią moją dłoń. Pochyliła się bliżej, przyciągając mnie, jakby chciała powiedzieć mi coś w tajemnicy. Pochyliłem się, a spojrzenie Annie powędrowało przez okamgnienie w kierunku Cindy.

- Nie pozwól jej siedzieć tutaj i martwić się, gdy nie będę obecna. Na trzecim piętrze jest naprawdę dobra kawiarnia, kup jej więc kawałek tortu czekoladowo-malinowego z pysznym syropem malinowym.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się.

- O, i... - sięgnęła rękami do szyi po swój łańcuszek z wisiorkiem w kształcie sandała. Odczepiła zapięcie, zdjęła go sobie z szyi, a potem włożyła w moją otwartą dłoń. Drżały jej ręce. - Przypilnuj mi go, dopóki nie wrócę.

Spojrzałem i ująłem w dłoń mały sandał. Dotknąłem palcami brzegów liter, zmagając się z potokiem łez, które zaczynały przelewać się przez moją wewnętrzną tamę: *Idam wam serce nowe...*

- Wiesz, co powiedziała mi mama, gdy mi go dawała? Potrząsnąłem głową.

- Powiedziała mi, że miała sen, w którym widziała moją operację i lekarza wkładającego mi do środka nowe, silne serce. W jej śnie na zewnątrz padał deszcz, zegar na ścianie wskazywał jedenastą jedenaście, a lekarz miał przyklejony plaster na łokciu.

- Powiedziała ci, jak to się skończyło? - zapytałem. Annie uśmiechnęła się:

- Nie. Powiedziała, że obudziła się, zanim dotarliśmy do tego momentu.

Do pokoju wszedł Royer, usiadł naprzeciwko mnie po drugiej stronie łóżka i ujął Annie za drugą rękę.

- Okey, duża dziewczyno. Oto, jak się sprawy mają... -uniósł strzykawkę i przyjrzał się drenowi wybiegającemu z worka z kroplówką.
- Wstrzyknę środek na sen przez ten zawór, o tu, zwany tyłeczkiem świnki. Następnie, gdy będziesz już grzecznie chrapać, przewieziemy cię stąd tamtym korytarzem, a ciocia i twój miły szofer usiądą i zaczekają na ciebie.

Annie spodobało się, że nazwał mnie jej szoferem. Podobał się jej również fragment o chrapaniu.

- Później obejrzę sobie twoje serce. Gdy już skończę, przywiozę cię tutaj z powrotem, abyś spokojnie mogła się obudzić.

Z kieszeni wyciągnął mały srebrny dzwoneczek, który wyglądał jak te, których używa Armia Zbawienia na Boże Narodzenie, i położył go na jej kolanach.

- Jeżeli będziesz mnie potrzebowała wcześniej, później lub w tym czasie *potędzy*, zadzwonisz nim. Umowa stoi?

Annie podniosła dzwonek i zadzwoniła nim kilka razy. Royer podniósł się i przeszedł na moją stronę łóżka, wróciłem zatem do rogu pokoju i oparłem się o ścianę. Royer opróżnił strzykawkę do wenflonu Annie i powiedział:

- W porządku, będziemy na ciebie czekać. Wychodził, gdy Annie odezwała się:

- Panie doktorze? Obrócił się.

- Zapomniał pan o czymś.

- A tak, tak - Royer podszedł ponownie, przyklęknął obok jej łóżka i wziął ją za rękę. Zamknął oczy, ona zamknęła swoje, a Cindy usiadła na skraju i ujęła Annie za stopy, które spoczywały w ciepłe pod kołdrą.

Po chwili ciszy Annie spojrzała na Royera, mówiąc:

- Pan dzwoni, a ja odkładam słuchawkę?

Royer pokręcił głową:

- Ty dzwonisz.

- Boże... - wyszeptała tak, jak gdyby On siedział na brzegu łóżka - proszę Cię, pomóż doktorowi Royerowi dowiedzieć się, co musi zrobić. Pomóż cioci Cici nie bać się i niech wie, że zaraz wrócę... i... - przerwała i słysząc było, że uśmiechnęła się szeroko: - Dziękuję Ci za mojego osobistego szofera.

Pojedyncze światło rzucało na nią z góry biały blask, monitory obok migwały na czerwono i niebiesko, a Royer wyglądał gigantycznie, klęcząc obok jej łóżka.

Spojrzała na niego.

- Pana kolej.

Royer ujął drobną rączkę Annie w swoje ogromne łapy. Pocałował jej dłoń, przyłożył ją sobie do czoła i powiedział:

- Panie, jedynie Ty naprawdę wiesz, co robisz, spodziewamy się zatem, że nami pokierujesz. Obiecałeś coś Annie i trzymamy Cię za słowo. Wybacz nam, jeżeli jesteśmy zbyt śmiali, ale nie mamy czasu na grzeczności. Mam wrażenie, że jeszcze nie zakończyłeś tej sprawy, że jeszcze do tego daleko, że ledwo co zacząłeś, a więc... wynika z tego, że jesteś tu potrzebny. Czas wziąć się do roboty. Pozwól mi dowiedzieć się, co muszę zrobić i... - Royer przerwał, a jego głos stał się cichszy i bardziej miarowy - w czasie zabiegu ześlij na tę dziewczynkę dobry sen.

Szepnąłem:

- Amen - i zobaczyłem, jak Royer całuje Annie w czoło.

- Do zobaczenia za mniej więcej godzinę.

Annie pokiwała głową, jej powieki zrobiły się ciężkie i spróbowała coś powiedzieć, ale słowa połączyły się i zlały w jedno. Minęła kolejna minuta i już spała.

Pielęgniarki powiozły łóżko korytarzem, zostawiając Cindy i mnie siedzących w pokoju i zastanawiających się, jak zacząć.

Spróbowałem:

- A może tort czekoladowy?

Cindy skinęła, wsunęła dłonie głębiej pod pachy i wyszliśmy do holu. Gdy naciągałem głębiej czapkę i wkładałem okulary przeciwsłoneczne, uniosła brwi, ale nie powiedziała ani słowa. Ona i Annie przywykły już do moich ekscentryzmów, po części z uprzejmości, a po części z powodu zbyt dużej liczby własnych udręk, aby rozważać jeszcze czyjeś. Weszliśmy do kawiarni, ja ze wzrokiem wbitym w ziemię.

W ciągu dnia w szpitalu wrze. Jak w kotle pełnym emocji, starć, ludzi pozbawionych czasu i z niewielką możliwością wyboru. W tłumie pielęgniarek, lekarzy, pacjentów, pracowników socjalnych, urzędników i członków rodzin wszyscy obijają się wzajemnie o siebie niczym cząstki elementarne w wirówce, w pośpiechu przenosząc z miejsca na miejsce.

Ale nocą, podczas gdy większość z tego pozostaje prawdą, szlachetny spokój zapada pośród holi, który wydaje się mieć mniej wspólnego z patosem życia i śmierci, a więcej z nimi samymi. Nie mniej ważny, ale w jakiś sposób bardziej efektywny. Może właśnie dlatego zawsze wolałem pracować w nocy?

Gdy razem z Cindy przechodziliśmy korytarzami, szpital żył, pulsując zapachem środków dezynfekujących, dźwiękiem ściszonych głosów i niekontrolowanych śmiechów oraz nieograniczonymi możliwościami. Kochałem to uczucie absolutnego i wiecznego optymizmu, uczucie, że bez względu na to, jak złe lub tragiczne są okoliczności i rokowania, zanim śmierć nie zostanie stwierdzona i prześcieradło naciągnięte na oczy pacjenta, nawet po pojawieniu się na monitorze płaskiej linii, wszystko jeszcze jest możliwe. Nawet pod powierzchnią najbardziej złowieszczych rokowań żyje nadzieja. Skrada się wzdłuż korytarzy, wyziera z każdego kąta każdej sali i biegnie do każdego szpitalnego łóżka, szukając duszy w potrzebie.

Przejechałem palcami po złączu tapety i przypomniałem sobie pewne popołudnie, gdy Emma poddana została serii badań i leżała na łóżku, dochodząc do siebie. Zatrzymałem się przy niej i sprawdzałem co dziesięć minut, czy wszystko jest w porządku, a nad ranem nawet co dwie minuty. Zapytałem, jak się czuje.

Uniosła ciężkie powieki, przekrzywiła głowę i powiedziała:

- Reese, mieszka tu nadzieja, a śmierć nie może jej zabić.

Cindy wpadła na mnie, gdy mijala nas pielęgniarka. Wziąłem głęboki oddech, tak głęboki, jak nie zdarzało mi się to od dawna, i napełniłem każdy fragment mojego ciała tym, co było dobre i dobrze znane. Napełniłem się i w części doświadczyłem tego, co nie było mi dane przez długi, długi czas - lekarskiego uniesienia. Fala wszystkiego tego, za czym tęskniłem, wszystkiego, co miałem poznać i pokochać, uderzyła we mnie niczym piorun o świecie. A potem obraz Emmy, zimnej, nieruchomej, bez oddechu na kuchennej podłodze, przemknął mi przed oczami, przepłynął przez serce i w moim umyśle pozostała już tylko jedna myśl: Annie.

Cindy chwyciła mnie za ramię i spróbowała odciągnąć od ściany, o którą uderzałem i objąłem się barkiem w pobliżu dyżurki pielęgniarek.

- Dobrze się czujesz? Nie odpowiedziałem.

Przyłożyła dłoń do mojej twarzy, zmuszając, abym na nią spojrział.

- Reese? Dobrze się czujesz?

Interkom nad moją głową wzywał lekarza. Usłyszałem jego nazwisko. Był potrzebny na sali operacyjnej i usłyszałem: „Pilne!”. Gdy mój umysł zarejestrował już to wszystko, poszczególne fragmenty zaczęły do siebie pasować niczym

w gigantycznej łamigłówce Tetris, coś drgnęło głęboko we mnie.

- Tak - pokiwałem głową. - Chyba muszę coś zjeść.

W drodze do kawiarni rozmawialiśmy o błahostkach, ale nasze umysły znajdowały się gdzie indziej. Wiedziałem, że Cindy próbowała nie myśleć o Annie leżącej na stole ze wszystkimi tymi urządzeniami badającymi jej serce. Ja nie mogłem myśleć o niczym innym.

Wiedziałem, czego szukał Royer, wiedziałem, jak i gdzie tego szukał, i wiedziałem, jak długo to może potrwać. I o ile znałem Royera, nagrywał cały zabieg na wideo, abym pod pozorem pokazania Cindy, co zrobił, mógł go obejrzeć.

Kawiarnia była pełna ludzi. Postawiłem sobie kołnierz od rozpiętej flanelowej koszuli i naciągnąłem czapkę. Usiedliśmy w rogu. Jeżeli pomyślała, że zachowuję się dziwnie, nie dała tego po sobie poznać. Zamówiliśmy tort czekoladowy i pochyliliśmy się nad nim.

Podczas ostatniej wizyty Emmy w szpitalu na rutynowych badaniach krwi przyszliśmy tutaj, usiedliśmy dwa stoliki dalej i zamówiliśmy koktajl mleczny. Pociągnęła łyk, j; i nie, i rozmawialiśmy o życiu po przeszczepie. Śmiała się bez wysiłku, trzymała mnie za rękę nad stolikiem. Wyglądała na wychudzoną pod ubraniami, które kiedyś nie były tak workowate. Starła się przy tym ukryć oczy, tak teraz zapadnięte i ciemne.

Co kilka minut lekarze i pielęgniarki, którzy znali nas oboje, podchodzili do stolika i życzyli jej powodzenia. Kład li dłonie na ramieniu Emmy i ściskali mi rękę. Każdy po prostu wiedział, że będziemy cieszyć się i prowadzić pełne śmiechu rozmowy już za parę miesięcy. Nic nie było bardziej słuszne, bardziej zasłużone, bardziej takie jak z obrazu Nor mana Rockwella - Emma i my, wszyscy razem, tak, jak być powinno.

- Reese? - Cindy potrząsnęła mną. - Jesteś tam? -Hm?

- Mówię do ciebie od dziesięciu minut, ale nie dotarło do ciebie chyba ani jedno słowo.

Tort zniknął z naszych talerzyków, jakoś udało się nam zjeść go całego.

- Przepraszam. Co mówiłaś?

- Mówiłam, że jeżeli doktor Royer nie znajdzie tego byłego kolegi lub innego chirurga, który będzie mógł, według niego, przeprowadzić operację, to nie ma znaczenia, czego się dzisiaj dowie.

- A gdzie jest ten jego były kolega? Co się z nim stało?

- Zniknął, jak ten magik Houdini. Royer jest jedynie w stanie powiedzieć, że przeżył osobistą tragedię i porzucił medycynę. Uważa, że gdyby Jonathan Mitchell otrząsnął się z tego, przez co porzucił swoją profesję, byłby najlepszym kardiochirurgiem, jakiego kiedykolwiek znał świat.

Dźwięk własnego imienia wstrząsnął mną niczym lodowaty prysznic.

- Annie modli się już od ponad roku, żebyśmy po prostu wpadły na niego na ulicy. Żeby podszedł i kupił od niej kiedyś kubek lemoniady. Jest przekonana, że wystarczyłoby, aby na nią spojrzął i od razu by wiedział, czego jej potrzeba, i zechciał jej pomóc.

Wstaliśmy i wsunęliśmy krzeselka.

- Powtarzam jej, że czasami dorośli robią coś albo czegoś nie robią z powodów, których większość dzieci po prostu nie rozumie. Ale znasz Annie. Jest uparta.

Przeszliśmy przez kawiarnię i otworzyłem dla niej drzwi.

- No więc każdego wieczoru - kontynuowała Cindy, kierując się w stronę holu - modli się o Jonathana Mitchella. A ja, chociaż nigdy faceta nie spotkałam, już go kocham, po-

nieważ podarował Annie coś, czego żaden inny lekarz, poza Royerem, nigdy jej nie dał.

Spojrzałem na nią pytającym wzrokiem.

- Co to jest? - powiedziałem.

Cindy popatrzyła na mnie i uniosła brwi z rzeczowym wyrazem twarzy:

- Dał jej nadzieję.

- A jeżeli on się nie pojawi? - zapytałem. Wzruszyła ramionami i założyła sobie na ramię torebkę

przypominającą plecak:

- To nie zależy ode mnie, ale wiem jedno: jeżeli ktokolwiek ma bezpośredni numer do Boga, to jest to Annie. Widziałam to raz, widziałam to dziesiątki razy. Ale - uniosła palec w powietrze i pokręciła głową z wyrazem przekonania - jeżeli zamierza odebrać i tym razem, to lepiej niech się pośpieszy, bo piasek w klepsydrze już się kończy.

ROZDZIAŁ 46

Nie musieliśmy czekać długo, a pielęgniarki wprowadziły łóżko Annie z powrotem do pokoju. Leżała cicho, a gdy podłączały ją ponownie do aparatury u wezłowia, nadal spała w bladej poświacie fluorescencyjnych lamp.

Royer pojawił się dziesięć minut później. Sprawdził wartości wyświetlane na urządzeniach nad jej głową oraz połączenie i taśmę od kroplówki, a następnie przyłożył dłoń do jej policzka i czoła. Jedną z rzeczy, które najbardziej podziwiałem u Royera, był sposób, w jaki płynnie zmieniał role z ojca na lekarza. Nierzadko, odkąd go poznałem, siadywałem przy łóżku pacjenta i zadawałem sobie pytanie, świadomie lub nie: Jak by to zrobił Royer?".

W końcu odwrócił się do Cindy.

- Wszystko w porządku. Poza jednym małym zakrztuszeniem badanie przebiegło świetnie - odgarnął włosy z twarzy Annie i zaczesał je za jej uchem. - Przebudzi się za kilka godzin. Nie mam nic przeciwko pozostawieniu jej tu na noc, tak na wszelki wypadek, a zatem...

Cindy podniosła rękę i pomyślałem, że ta część jej mózgu, która odpowiada za sprawy finansowe, za chwilę wyrazi się w tym, co powie. Określenie „na noc” przekładało się na wyższe rachunki, a ona rozpaczliwie starała się utrzymywać je w granicach możliwości spłaty w ciągu jednego życia.

- Ale, doktorze...

- Nie - Royer przerwał jej i pokręcił głową. Pociągnął łyk kawy i kontynuował: - Oto jak się sprawy mają...

Stałem w cieniu, przyciskając plecy do ściany, nasłuchując echa wspomnień, które dudniło w pustym sercu. Utknąłem w okropnym miejscu, tym, które znałem zbyt dobrze - na owej wąskiej i śliskiej grani nadziei, która wznosi się nad rozpościerającą się w koło przepaścią rozpaczy.

To droga na skróty.

- Po pierwsze, ASD, czyli ubytek przegrody między-przedsionkowej. Nie wdając się w szczegóły... ponieważ serce musiało pracować na dużym wysiłku przez długi czas, rozrosło się. To jest mięsień. W ten sposób reaguje. Nawet od czasu jej ostatniej operacji. To powoduje wystąpienie paru problemów. Serce nakłada na siebie konieczność pracy pod większym ciśnieniem, co powoduje, że staje się mniej efektywne - Royer zaczął tłumaczyć, gestykułując. - Podczas gdy serce może rozrastać się pod wpływem wysiłku, wielkość jamy klatki piersiowej pozostaje taka sama. A zatem ono samo przysparza sobie problemów. Prawy przedsionek powiększa się i wysyła zwielokrotniony sygnał do komory. Normalnie zaś węzeł zatokowo-przedsionkowy wysyła sygnał jeden do jednego z górnej części serca do jego podstawy. W ten sposób ono bije. Jak sierżant podczas musztry, który zmusza kadetów do marszu. Gdy przedsionek się powiększa - wciąż tłumaczył - wszystkie te różne komórki nie są w stanie wychwycić sygnału i sytuacja zaczyna przypominać radio, w którym na każdym kanale słychać zakłócenia. A zatem, aby to nadrobić, przedsionek wysyła zwielokrotniony sygnał. Komora odbiera je wszystkie i uderza oczywiście w odpowiedzi na każdy sygnał - Royer uniósł prawy palec wskazujący. - Ale gdy serce rozrasta się do takich rozmiarów, wiotczeje i cały mięsień przestaje się orientować, co robią jego poszczególne części. Serce przestaje się słyszeć - uśmiechnął się. - Gdy mówimy, że Annie ma wielkie serce, to naprawdę tak jest.

Cindy udała porozumiewawczy uśmiech i objęła się ciasniej rękami w oczekiwaniu na złe wiadomości.

- A więc - kontynuował - dla pewności różne fragmenty mięśnia sercowego wysyłają swoje własne sygnały. Komora wychwytuje je wszystkie i mamy do czynienia ze zdezorientowanym sercem. Na każdy wyrzut przedsionka mogą przypadać dwa lub trzy wyrzuty komory. To jak taniec dwóch osób ramię w ramię, ale jedno słucha Deana Martina - spojrzał na mnie - podczas gdy drugie Elvisa.

Royer kocha Elvisa.

- Po prostu nie są zgrani. A żeby tego było mało, Annie cierpi również na coś, co nazywa się VSD lub ubytek przegrody międzykomorowej. Komora rozrasta się, wiotczeje i w ten sposób staje nieefektywną pompą. W ostatecznym rezultacie zużywa się i potrzebuje przerwy. Gdy następuje coś takiego, rozrasta się przedsionek, wysyła wiele sygnałów przypadających na jedno uderzenie i otrzymujemy sytuację, z którą Annie zмага się w każdym momencie każdego dnia: wieloogniskowa tachykardia przedsionkowa - ***multifocal atrialtachykardia***. To znaczy, podczas gdy tętno naszego serca w spoczynku wynosi sześćdziesiąt uderzeń na minutę, jej kształtuje się na poziome ponad stu trzydziestu.

Uśmiechnąłem się w duchu. Royer był wciąż najlepszy. Brakowało mi jego potocznych wyjaśnień dla pacjentów, troski, z jaką się do nich przykładał. Wzięłem głęboki oddech i rozluźniłem się.

-1 jest jeszcze jedna sprawa.

Cindy zastrzygła uszami, jakby wszystko to, o czym przed chwilą mówił, wiedziała już wcześniej.

- Ten otwór, o którym mówiłem, ten, który pozostaje otwarty, gdy jesteśmy w łonie matki, a zasklepia się przy narodzinach...

Cindy pokiwała głową.

- Więc u Annie jest wciąż otwarty i chociaż prawdopodobnie nie będzie się już powiększał, to jednak również się nie zmniejszy. Powoduje on większe ciśnienie przy otworach wylotowych serca niż wlotowych, zmieniając kierunek przepływu. To rzadka sytuacja, nazywa się to syndromem Eisenmengera.

Twarz Cindy zbladła, przybierając odcień równie biały jak prześcieradło leżące obok. Wiedziałem, że Royer nie powiedział jej wszystkiego. Potrafiłem czytać z jego języka ciała i widziałem, że zastanawia się, czy przedstawić jej wszystkie konsekwencje takiego stanu rzeczy, czy też wszystkie poza jedną. Myślę, że moja obecność przeważała.

Royer przyłożył sobie palce do ust, przerwał i ściszył głos:

- Znalazłem jeszcze jedno... - wcisnął przycisk interkomu do dyżurki pielęgniarek i powiedział:

-Jan? Mogłabyś przesłać ostatnie piętnaście sekund TEE Annie?

Kobieta odpowiedziała bez zwłoki:

- Będzie na kanale trzecim.

Royer zmienił kanał i dość szybko na ekranie pojawiło się coś wyglądającego na obraz ultrasonografii dziecięcej. Wyjął z kieszeni długopis i dotknął nim ekranu, ale ja już to dostrzegłem.

Zakreślił kółko końcem długopisu i wyjaśnił:

- Tu, dokładnie tu znajduje się miejsce wzdłuż linii szwu z jej poprzedniej operacji, które uległo osłabieniu. Tkanka w tym miejscu stała się cieńsza, bardziej krucha. Jeżeli, powtarzam, jeżeli Annie znajdzie się w stanie nagłego stresu lub jej organizm poddany zostanie jakiemuś wstrząsowi, może pęknąć.

Cindy uniosła ręce do ust, spojrzała na Annie i zapytała:

- Co to oznacza?

Royer wziął głęboki oddech:

- Stan Annie pogarsza się w gwałtownym tempie. Jest to tempo, które należy mierzyć nie w dniach, ale w minutach.

Cindy usiadła na krześle obok łóżka i gwałtownie ukryła twarz w dłoniach, szlochając cicho. Royer kontynuował:

- To oznacza, że wciąż mamy trochę czasu, ale... niedużo. Przy odpowiednim leczeniu, odpowiedniej opiece, odpowiednim wszystkim, Annie może mieć jeszcze... - zacisnął wargi i mocno się zastanowił. - Około trzy miesiące. Ale raczej dwa.

Cindy zadrżała, szlochając cicho, a łzy przeciekały jej przez palce i spływały po dłoniach. Zrobiłem krok do przodu, potem się zatrzymałem, i dwa kroki do tyłu.

- Musimy wciągnąć ją na listę, znaleźć dawcę i wykonać przeszczep - wskazał w kierunku klatki piersiowej Annie. -Jeżeli ta tkanka pęknie, zanim dostanie nowe serce, zostanie jej około dwóch minut, aż osierdzie wypełni się jej własną krwią i... a wtedy nie zdąży już dotrzeć do szpitala. Nie jestem nawet pewien, czy mój były kolega byłby w stanie jej wtedy pomóc.

Nie spojrzał na mnie, wzrok miał utkwiony w Cindy, która siedziała pochylona obok Annie. Wycierała oczy ręką prześcieradła, rozmazując tusz do rzęs na miejscu stempla ze słowem „szpital”.

- Cindy - ton głosu Royera zmienił się z brzmącego po ojcowsku na lekarski - chcę, abyś mnie wysłuchała. Powiedziałem ci dwa lata temu, że to jest maraton, nie sprint. Weź głęboki oddech, ponieważ będzie gorzej, zanim zrobi się lepiej.

Cindy spojrzała na niego.

- Znam pewnego lekarza w Macon. Co prawda to druga osoba ma mojej liście, ale pracowałem z nim, to dobry czło-

wiek i ma na swoim koncie wspaniałe sukcesy w leczeniu dzieci. Już z nim rozmawiałem.

Cindy rozmazała sobie na twarzy resztkę tuszu do rzęs i powiedziała:

- Nie chodzi o mnie. Chodzi o Annie. To ona miała sen i to ona ma pewność...

- Wierzę, że nadzieja Annie może przenosić góry, ale nie jestem pewien, czy zdoła przywrócić Jonny ego Mitchella z powrotem do pracy. Biorąc pod uwagę to, czym dysponujemy i co zobaczyłem dzisiaj rano, skorzystajmy raczej z planu B. Nie stać nas dłużej na luksus trwonienia czasu.

Cindy spojrzała na Annie i skinęła:

- Doktorze Royer, ja, hm... ostatni bank odrzucił nasz wniosek o pożyczkę i...

Royer przerwał jej, przyjmując ponownie ojcowski ton:

- To nie jest już problem.

Cindy spojrzała na niego, wycierając ciekący nos o rękaw.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Chcę przez to powiedzieć - Royer odezwał się z uśmiechem - że anonimowy darczyńca... lub darczyńcy - on wiedział najlepiej, ale dodał na wszelki wypadek - utworzył na nazwisko Annie rachunek dobroczynny. Dział finansowy poinformował mnie o tym tuż przed waszym przybyciem. Chciałem powiedzieć wam to dzisiaj rano, ale skoncentrowałem się na zabiegu. W chwili obecnej stan konta pozwala na opłacenie wszystkich rachunków za opiekę szpitalną przez wiele lat. Włączając w to koszt transplantacji.

Cindy spuściła wzrok na podłogę, potem spojrzała na Annie, na mnie i z powrotem na Royera: -Kto?

Royer wzruszył ramionami:

- Bo ja wiem. Nie powiedzieli - uśmiechnął się. - Dlatego użyli określenia „anonimowy”. Atlanta to miasto dobrych ludzi. Słyszą, że ktoś jest w potrzebie, i nierzadko można obudzić się pewnego ranka i dowiedzieć, że...

- Tak, tak, ale... Cindy poruszała w myślach palcami po klawiaturze kalkulatora. - Wszystko razem? I cała transplantacja? To jest blisko sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Royer uśmiechnął się i klepnął Annie w palce u stóp:

- Właściwie to stan konta wynosi prawie dwieście tysięcy. Ktokolwiek to zrobił, wiedział, że należy liczyć się z opieką pooperacyjną przez wiele następnych lat. Wydaje się, że nie trzeba się będzie już kłopotać o rachunki przez prawie dekadę.

Cindy oparła głowę o łóżko i wsunęła dłoń pod Annie. Royer obszedł łóżko, położył rękę na jej ramieniu, stając tyłem do mnie.

- Ale teraz Annie potrzebuje, abyś usiadła tu przy niej, pomalowała jej paznokcie u nóg i potraktowała jak dziecko, które ma przed sobą całe życie. Spędźcie razem dzień. Trzymaj ją za rękę, gdy będzie się budzić. Prawdopodobnie zatrzymam ją tu, tak dla bezpieczeństwa. Właściwie to na pewno tak zrobię - rzucił na mnie okiem przez ramię. - Zapowiada się, że spędzę tu noc, a nie ma to jak szpital nocą. Gdy reszta świata śpi, tu zawsze coś się dzieje. Poza tym, im więcej będzie wypoczywać, tym więcej energii pozostanie w jej mięśniowym banku. Przyjdę za jakiś czas sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Gdy dźwięk butów Royera ucichł na końcu holu, podszedłem z boku do łóżka Annie, wyciągnąłem z kieszeni łańcuszek, zapiąłem go wokół jej szyi i położyłem sandał na płask na jej klatce piersiowej, a on uniósł się pod wpływem jej oddechu.

Cindy spędziła większość dnia, siedząc cicho obok łóżka Annie, gładząc ją po włosach i szepcząc do niej. O trzeciej czterdzieści siedem po południu Annie otworzyła niespiesznie oczy i rozejrzała się po pokoju. Zanim w ogóle się odezwała, jej prawa ręką wysunęła się spod kołdry i bezwiednie sięgnęła do wisiorka. A później jej wzrok odnalazł Cindy, która usnęła na brzegu łóżka. Przeszukała wzrokiem resztę pokoju i gdy jej oczy odnalazły mnie, zamknęła je znowu i spała do czwartej trzydzieści dwie, wtedy obudziła się ponownie i szepnęła:

- Nie obudziłam się.

Cindy spróbowała się uśmiechnąć i powiedziała:

- Wiem, dziecinko, wiem.

Przysunęła do jej ust kubek z wodą ze słomką. Przełknęła ślinę, co było bolesne i mogło takie pozostać przez następne kilka dni, i ze słabym uśmiechem dodała:

- Hej, tak się zastanawiałam, czy gdy spałam, nie postanowiliście znaleźć mi serca i włożyć mi go do środka, nie mówiąc o tym. Tak moglibyśmy po prostu ominąć całe to czekanie, które teraz nastąpi.

Annie i Cindy spędziły wieczór, oglądając filmy, wysyłając swojego osobistego szofera po nieszpitalne jedzenie i drzemiąc pod moim czujnym okiem.

Około północy opuściłem swój kąt w pokoju i wyszedłem do holu. Cindy spała na rozkładanej kozetce, a Annie zasnęła już jakiś czas temu. Przybyła kolejna zmiana na miejsce dotychczasowej, ale nie to skłoniło mnie do opuszczenia pokoju.

Jakieś osiem minut wcześniej na lądowisku znajdującym się na dachu szpitala wylądował helikopter. Sądząc po rozmowie przez interkom oraz poruszeniu wśród pielęgniarek, wiedziałem, że Royer znajdował się teraz w oku cyklonu.

Wszedłem po schodach towarowych - przejściu „na tyłach”, którego lekarze używali, gdy nie chcieli się spóźnić - wstukałem datę urodzin Emmy na elektronicznym zamku przy drzwiach i czekałem, zastanawiając się, czy zapali się zielona lampka. Gdy tak się stało, pomyślałem, że Royer nie stracił jeszcze nadziei. Popchnąłem drzwi, chociaż kiedyś mógłbym przysiąc, że nigdy już przez nie nie przejdę. Powietrze było zimne, korytarz pusty, a na jego drugim końcu znajdowała się dyżurka pielęgniarek i prawie drzemiący strażnik ochrony, którego nie znałem.

Sala operacyjna numer dwa znajdowała się po drugiej stronie korytarza, gdzie kotłowało się od pielęgniarek oraz personelu oddziału intensywnej terapii. Kamery mogłyby zarejestrować każdy mój ruch, ale taśmy zostałyby przejrzone tylko w przypadku mojej wpadki. Jeżeli nikt by się nie dowiedział, że tu byłem, nie byłoby potrzeby cofania ich i przeglądania.

Prześliznąłem się kilkoma bocznymi drzwiami, przeszedłem przez korytarz, chwyciłem biały lekarski fartuch z tylnej części schowka i zawiązałem sobie na głowie chirurgiczny czepek. Wśliznąłem się do szatni dla lekarzy, wsunąłem parę rękawiczek oraz ochraniaczy na buty i chwyciłem podkładkę do notatek, wykonaną ze stali nierdzewnej. Przeszedłem przez tylne drzwi, wzdłuż niewielkiego korytarza przeznaczonego wyłącznie dla lekarzy, i raz jeszcze wystukałem datę urodzin Emmy na elektronicznym zamku przy drzwiach. Zapaliła się zielona lampka, wspiałem się po kilku schodach i wszedłem na podest obserwacyjny sali operacyjnej numer dwa. Przeciwległą ścianę podestu tworzyła szyba z przyciemnianego szkła weneckiego. Przemknąłem pod szybę, spojrzałem w dół na dziewięcioosobowy zespół i zacząłem spoglądać przez ramię Royera.

Właśnie usunął stare, schorowane serce i umieścił je w misce ze stali nierdzewnej trzymanej przez innego lekarza, który natychmiast opuścił pomieszczenie, aby zacząć studiować narząd przez wiele kolejnych dni, może nawet tygodni, ponieważ martwe serca mogą nam wiele powiedzieć. Kolejny lekarz, którego nie znałem, stał przy biało-czerwonej chłodziarce. Na bezgłośny sygnał od Royera - otwartą dłoń i towarzyszące jej skinienie głową - lekarz sięgnął do środka, chwycił zimne, pozbawione życia serce, wyjął je z plastikowego worka i włożył do ręki Royerowi.

Ten włożył je do klatki piersiowej pacjenta i zaczął działać. Dwadzieścia siedem minut później odłączył pacjenta „od pompy”, aby przetestować serię szwów; następnie, usatysfakcjonowany tym, co zobaczył, poprosił o ponowne podłączenie „do pompy”, przyszywając kolejną tętnicę. Po pięćdziesięciu jeden minutach Royer spojrzał na lekarza stojącego naprzeciwko, który pokiwał głową i obaj polecili ponowne odłączenie pacjenta „od pompy”. Royer zdjął ostatni zacisk, serce wypełniła krew, barwiąc je na jasną, żywą czerwień, a potem nastąpił prawdziwy cud.

Zacząło samodzielnie bić.

W ciągu wszystkich tych lat leczenia serc nigdy nie przestało mnie fascynować to, że pozbawione życia, nieruchome, zimne serce, które znajdowało się poza klatką piersiową człowieka przez prawie cztery godziny, może zostać wyciągnięte z lodowatej wody, umieszczone wewnątrz innej klatki piersiowej i gdy wypełni się krwią, zacznie bić, jak gdyby nigdy nie przestało.

Zycie jest tam, gdzie płynie krew.

Po kolejnej minucie, gdy serce biło idealnie, a pacjent znowu żył, Royer cofnął się, ściągnął rękawiczki i skinął głową na innego lekarza, który zaczął pacjenta zaszywać. Dla owego

pacjenta było to nowe życie. Dla Royera po prostu kolejny dzień w pracy.

Usiadłem na krześle z tyłu i napawałem się tym wszystkim. Kolejny człowiek będzie przyglądał się swoim dzieciom, gdy dorastają, pozna wnuki, będzie kochał się z żoną, jeździł na ryby, chodził do kina lub pływał po peryferiach jeziora Burton w starej, drewnianej łódce.

Zdumiewające w transplantacji, poza faktem, iż faktycznie działa, jest to, że pozwala ludziom znowu odczuwać. W moim poprzednim życiu najbardziej lubiłem pierwszy uśmiech pacjenta po przebudzeniu. Dzięki bowiem temu uśmiechowi wiedziałem, że nie dałem pacjentowi tylko nowej pompki, dałem mu nową pompkę, która pozwalała tej osobie żyć, wyrażać emocje. To właśnie uśmiech, nawet bardziej niż pierwsze uderzenie serca, mówił mi, że się udało.

Serce nie służy jedynie do pompowania krwi, ono jest naszym źródłem emocji. Dzięki niemu i za jego przyczyną ludzie się śmieją, płaczą, denerwują, stają się smutni, zaznają radości, współczują, mogą żyć z całym wachlarzem emocji.

Tak, to prawda, że życie po przeszczepie nie jest pozbawione wyzwań. Jest ich wiele i są złożone. Pacjent już na zawsze pozostaje pod reżimem określonej dawki lekarstw przyjmowanych każdego dnia, które mają za zadanie wzmocnić organizm, aby przyjął obce ciało. A lekarz musi precyzyjnie i w sposób dynamiczny określać, którą część systemu immunologicznego organizmu osłabić, aby nie odrzucił on nowego serca. Jednak mimo tej sytuacji, pomimo bólu związanego z operacją, katuszy podczas dochodzenia do siebie, długiej drogi z powrotem do zdrowia i stałych wysiłków w celu jego utrzymania, wciąż spotykamy ludzi, którzy oddaliby wszystko za szansę, by położyć się na naszym stole i pozwolić nam wykroić ich serce.

Gdy odwróciłem się, aby wyjść, zobaczyłem żółtą fiszkę przyklejoną do szyby. Tylko trzy słowa, odręcznym pismem Royera, charakterystycznie widoczne dzięki wszystkim literom drukowanym: Z CAŁĄ PILNOŚCIĄ...

Przemknąłem z powrotem do pokoju Annie i znalazłem tam Royera pochylonego nad łóżkiem, sprawdzającego jej stan. Cindy spała cicho na leżance pod ścianą. Bez butów stałem w cieniu, przyglądając się. Był drobiazgowy. Wprowadził jakieś uwagi na karcie choroby zawieszanej u stóp łóżka.

Gdy podniósł się, by wyjść, Cindy zerwała się, usiadła wyprostowana i powiedziała cicho:

- Co z nią?

- W porządku - szepnął Royer. - Tylko sprawdzam, zanim pojedę do domu. Spij.

Położyła głowę na poduszce, pod którą wsunęła obie ręce, i usnęła.

Royer stał w swoim wykrochmalonym, białym kaftanie ozdobionym stetoskopem i śladami z całego dnia, jego niebieskie szpitalne spodnie były pomarszczone i popryskane. Oddany pracy, złożył swoje życie towarzyskie na ołtarzu tego szpitala. Wciąż umawiał się z kimś od czasu do czasu, ale w wieku pięćdziesięciu czterech lat mieszkał przeważnie w szpitalu, rzadko w domu, który był jedynie mieszkaniem w apartamentowcu kilka przecznic dalej, pełnym nieużywanych mebli.

Ze swoim sposobem odnoszenia się do pacjentów, profesjonalizmem, wielkimi dłońmi, miłym uśmiechem i pełnym troski głosem - reprezentował sobą wszystko to, co winien posiadać dobry lekarz. Przez cały czas, który tutaj spędziłem, czas spędzony naprzeciwko Royera po drugiej stronie stołu operacyjnego, nigdy nie dochodziło pomiędzy nami do nie porozumień, nawet się nigdy na nie nie zanosilo. Royer i ja pracowaliśmy w taki sposób, w jaki wiosłujemy z Charliem.

Idealnie zgrani. A po raz pierwszy od śmierci Emmy brakowało mi tego.

Wyszedł, a ja wysunąłem się z za drzwi, usiadłem na krześle naprzeciwko Annie i pożałowałem, że nie mam przy sobie listu od Emmy.

Przysypiałem niespokojnie, ponieważ mój sen nie pozwalał mi zasnąć. Nie wiem, jak bardzo starałbym się wylewać wodę z dzbana, nie miałem dość siły, by samemu go utrzymać. Robił się po prostu zbyt ciężki.

Gdy promienie poranka przedarły się przez szkło i oświetliły moją twarz białym blaskiem, w końcu uświadomiłem sobie pewną myśl, która nie pozwalała mi zasnąć przez całą noc. Coś, co kiedyś wiedziałem, ale o tym zapomniałem, coś tak prostego, a jednocześnie głębokiego, co obiecałem Emmie, iż nigdy o tym nie zapomnę.

Serce jest zdumiewającym organem, ale transplantacja nie pozwala człowiekowi dobierać sobie dowolnie emocji, których by sobie życzył. To nie jest lalka Barbie, którą można stroić wedle woli. Ktoś decyduje się na przeszczep... i dostaje nie tylko serce. To transakcja wiązana. A to oznacza, że z wielką radością wiąże się również wielki smutek. To nie kawałek tłuszczu w mięsie, który można odkroić.

Pacjenci transplantacyjni mają szczęście pod jednym względem. Otrzymują pewność, że już nigdy nie będą odczuwać fizycznego bólu serca. Podczas przeszczepu dochodzi do zniszczenia wszystkich zakończeń nerwowych, które do niego prowadzą. Przy dzisiejszej technice i wiedzy medycznej nie jest możliwe ponowne połączenie owych zakończeń. Tętnic - owszem, nerwów - nie. A zatem, gdy pacjent zyskuje korzyść w postaci emocji, nie musi dźwigać związanego z tym ciężaru bólu.

Gdy przechodzi kolejny atak serca, nie czuje go. Mogłaby wystąpić u niego zupełna i absolutna blokada całego ser-

ca, najbardziej rozległy zawał, jaki kiedykolwiek przydarzył się człowiekowi, a on nie wiedziałby, że coś się stało, aż do momentu ustania oddechu i zejścia. Jak w silniku, w którym skończyło się paliwo. Żadnej wcześniejszej oznaki poza ostatnim charkotem, po którym następuje cisza. Dlatego właśnie transplantacja u dzieci jest sprawą tak delikatną, ponieważ jeżeli nie rozpoznają oznak lub jeżeli ich kompetencje językowe nie rozwinęły się jeszcze w stopniu wystarczającym, nie dowiedzą się, że dzieje się coś złego, i my, ich lekarze, prawdopodobnie również, bo one nam o tym nie powiedzą.

Uderzyło mnie, gdy siedziałem, nie śpiąc i pozwalając słońcu ogrzewać moją twarz, że przez ostatnich pięć lat ja także starałem się zniszczyć zakończenia nerwowe w moim sercu. Ująłem skalpel i uważnie poprowadziłem go tak, aby poprzecinać nerwy, pozostawiając nietknięte arterie.

Autodiagnoza jest bolesna, ale to jest jeszcze jej stosunkowo najmniejszy koszt. Zwykle, jak ujął to doktor Trainer: „Lekarz, który leczy się sam, ma w sobie wszystko, co najgorsze z pacjenta, i wszystko, co najgorsze z lekarza”.

Podczas gdy medycyna pozostaje bezsilna w kwestii odbudowy połączeń nerwowych, serce jest w stanie samo zregenerować połączenia związane z emocjami. Te odrastają dosłownie w ciągu milisekund. Tym, czego potrzebowały, aby się zakorzenić, puścić pędy i zacząć ponownie torować sobie ścieżkę wokół mojego zatwardziałego i schorowanego serca, była rozmowa z Royerem przy łóżku pacjenta, widok Annie z odwagą poddającej się narkozie, a następnie oddychającej tak po prostu, chociaż ze spracowanym sercem, oraz głos Cindy troszczącej się o wszystkich, tylko nie o siebie.

I wtedy, wyłaniając się spod powierzchni, wypłynęły wspomnienia o Emmie i Charliem. Po ponad trzydziestu latach studiów nad sercem, po ponad stu przeszczepach i niezliczonej ilości innych operacji nie potrafiłem wyciąć swojego

własnego serca. Spojrzałem w dół, patrzyłem na łzy wsiąkające teraz w koszulę i uzmysłowiłem sobie, że nigdy nawet nie byłem blisko.

ROZDZIAŁ 47

Śniadanie podano wcześniej, a Annie jadła tak, jakby głodzono ją przez tydzień. Wieść o jej pobycie w szpitalu i przebudzeniu po narkozie rozeszła się wśród pielęgniarek ze wszystkich części szpitala, które zaczęły wpadać bez zapowiedzi. To mogło okazać się dla mnie ryzykowne, powiedziałam zatem Cindy, że wychodzę po gazetę i nie było mnie, aż zadzwoniła na moją komórkę, abym podjechał suburbanem.

Pielęgniарce, która wytoczyła wózek z Annie, towarzyszył Mike Ramirez. Uchyliłem drzwi i nieuprzejmie pozostałem za kierownicą, gdy Mike pomagał Annie wstać z krzesła i wsiąść do samochodu. Cindy zebrała nową dostawę pluszowych zwierzątek dla Annie i objęła Royera, który wyszedł za nimi. Mike wprowadził wózek z powrotem do środka, ku mojej uldze, a Royer zajrzał do środka przez okno. Spojrzał do tyłu na Annie, następnie na Cindy i wyraz jego twarzy zmienił się raz jeszcze z ojcowskiego na lekarski.

Zmiana podpowiedziała Cindy, że powinna się przygotować. Usiadła wyprostowana, biorąc głęboki oddech.

Royer powiedział:

- Zapiszę Annie na listę dziś wieczorem - położył jej rękę na ramieniu.
- Już czas.

Cindy pokiwała głową:

- Czy spróbuje pan skontaktować się z doktorem Mitchelllem jeszcze jeden raz?

Royer skinął głową:

-Już to zrobiłem... można powiedzieć, że zostawiłem mu wiadomość. Jeżeli nie dowiem się czegoś do jutra, zadzwonię do Macon. Zasadniczo gdy Annie znajdzie się na liście, musimy być gotowi każdego dnia. To może być jutro, w przyszłym miesiącu albo za trzy miesiące.

Podał Cindy plastikową torbę, w której znajdowały się dwa pagery i telefon komórkowy.

- Proszę mieć to pod ręką. Pagery przy każdej z was, dwadzieścia cztery godziny na dobę, komórkę proszę mieć przy sobie i nie zapominać jej naładować - uśmiechnął się. - Telefon zaopatrzony jest w GPS, a więc gdy będę musiał was znaleźć helikopterem, nie będzie to zbyt trudne. Zasadniczo jeżeli pager się wyłączy, a będzie włączony telefon, będę już wiedział, gdzie was szukać. O, a gdy pager się wyłączy? Będzie to oznaczało, że trzeba ruszać do szpitala.

Cindy ujęła tobolek niczym mapę z informacją, jak dotrzeć do zaginionego skarbu z Sierra Madre. Wskazał na obydwie:

- Pamiętajcie, nigdzie bez swoich pagerów. Nawet pod prysznicem, chcę, aby były w zasięgu ręki.

Cindy poklepała Royera po nadgarstku, a jej usta przyjęły kształt słowa „Dziękuję”.

- No pewnie. Teraz zabierz ją do domu, niech odpocznie, ale nie traktuj jej jak inwalidę. Niech wychodzi. Trochę słońca dobrze jej zrobi. Wciąż jest jeszcze dość aktywną dziewczynką. I w ten sposób ją traktujemy.

Nie wyjechaliśmy jeszcze nawet z parkingu, gdy Annie powiedziała:

- Reese? Słyszałeś, że moje badanie się udało i że się nie obudziłam?

- Jasne - powiedziałem, spoglądając w lusterko - słyszałem.

Cindy podała Annie jej pager i obie przypięły go sobie do ubrań w okolicy pasa. Cindy przez pięć minut zaznajamiała się z telefonem komórkowym. W końcu wsunęła go do swojej torebki, uśmiechając się z zakłopotaniem:

- Nigdy jeszcze nie miałam komórki. Mam nadzieję, że nauczę się ją obsługiwać, zanim będzie potrzebna.

Zatrzymaliśmy się w Studni na lunch. Nakarmiłem je na tyle, na ile miały ochotę, a następnie odwiozłem do domu.

Gdy skręciliśmy na podjazd, naszym oczom ukazał się dość fatalny widok. Przestrzeń pomiędzy szybami okien pełna była skraplającej się pary, a spod drzwi bluzgał strumień wody, rozlewając się po betonowej werandzie. Cindy zakryła usta ręką, a ja powiedziałem:

- Zaczekajcie tutaj.

Otworzyłem drzwi i zastałem cały dom ociekający wodą od sufitu po dywan. Poczłapałem do kuchni, brodząc w niej. Nad prysznicem z pękniętej rury w suficie obficie lała się woda. Sądząc po wielu nawisach, wyglądało na to, że niewielki wyciek spowodował początkowo delikatnie i niesłyszalnie rozprzestrzeniający się strumień, zanim rura pękła, rozmywając sufit. Woda z góry zaczęła spływać na dół. W sypialni było jej na trzy cale, a salon nie wyglądał lepiej. Pluszaki Annie przedstawiały sobą widok, jakby ktoś zaprosił je na imprezę w basenie. Mogłem zakręcić wodę, ale wyglądało na to, że wysuszenie domu zabierze ponad połowę tygodnia, a do tego czasu czarna, pyląca pleśń będzie się rozrastać po ścianach jak pianka izolacyjna.

Wróciłem na zewnątrz. Cindy zapytała:

- Czy mogę to zobaczyć?

- Nie wygląda to dobrze - odparłem. - Słuchaj, będziemy się tym martwić jutro. A teraz zabiorę was obie do siebie.

Wyłączyłem główny dopływ wody i zostawiłem drzwi otwarte. Reszta musiała poczekać.

Zadbałem, aby rozgościły się u mnie, a następnie wróciłem do ich domu i zabrałem kilka rzeczy, o które prosiły. Otworzyłem okna i przez trzy godziny próbowałem pozbyć się wody na tyle, na ile mogłem za pomocą mopa, a następnie ustawiłem na podłodze trzy wiatraki skierowane w różne części domu.

Oglądając cały ten bałagan, zadzwoniłem do Cindy i zapytałem:

- Chcesz skontaktować się ze swoim agentem ubezpieczeniowym, aby wysłali kogoś, póki jeszcze tu jestem?

- Nie ma potrzeby. -Jak to?

- Można powiedzieć, że... same się ubezpieczałyśmy -Cindy przerwała i wydawało mi się, że usłyszałem, jak obgryza paznokiec. - No cóż, w każdym razie, nie przelewało się nam, a więc nie boli tak, jakbyśmy straciły mnóstwo rzeczy i pieniędzy.

Annie spała przez całe popołudnie, podczas gdy Cindy spędziła je, chodząc tam i z powrotem po górnym poziomie, rozważając różne scenariusze. Ja majstrowałem przy czymkolwiek, czym mogłem się zająć w warsztacie, ale nie było tego wiele. Skończyłem już przeznaczony dla nich stół oraz ławy, a nie byłem w nastroju, aby zabrać się za Hackera. Wyczyściłem więc narzędzia, nawoskowałem kadłub łódki i obserwowałem Cindy przez szparę w ruchomych drzwiach.

Gdy zeszła po schodach razem z zachodzącym słońcem, postanowiłem, że spróbuję ją rozweselić:

- Hej, chciałbym ci coś pokazać.

Cindy weszła do środka, podprowadziłem ją do stołu i ściągnąłem brezentowy pokrowiec. Wysunąłem ławy i wskazałem otwartą dłoń:

- To dla ciebie i Annie.

Szeroko otworzyła usta i usiadła ostrożnie, jak gdyby obawiając się, że może się pod nią załamać.

- Nie bój się, jest wystarczająco solidna. Musiałoby nadejść tornado, aby się rozleciała.

Przejechała palcami po blacie, podążając za słojami, a następnie spytała:

- To ty zrobiłeś?

- No... tak. To nic...

- Jest niesamowity - przerwała mi. - Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Z czego jest zrobiony?

- To jest drewno ze środka sosny. Jakies dwa lata temu razem z Charliem uratowaliśmy je ze starej stodoły, takiej jak twoja, ale trochę starszej. Drewno pochodzi z roku tysiąc osiemset czterdziestego.

Jej oczy zrobiły się wielkie oraz okrągłe i zaczęły się wypełniać łzami.

- Poskręcałem stół przy użyciu czopów i bolców, co oznacza, że nie ma tu ani jednego gwoźdź. Taki sposób połączenia nazywa się „na jaskółczy ogon”.

Wodząc palcami po krawędziach, powstrzymywała się, jak długo była w stanie. W końcu się poddała. Po minucie lub dwóch jej ramiona zatrzęsły się i nastąpiła erupcja strachu i jednocześnie złości.

Usiadłem obok niej, nie będąc pewien, czy powinienem tak po prostu siedzieć, czy może objąć ją ramieniem. Przytuliła się, przywierając twarzą do mojej klatki piersiowej.

- Reese — odezwała się poprzez szloch. - Nie dbam o moje rzeczy, naprawdę nie dbam. Zresztą, i tak nic nie mam. Ale ta mała dziewczynka, tam na górze, ledwo trzyma się przy życiu. .. - usiadła wyprostowana. - Dlaczego? Bóg wie, co tutaj się dzieje. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale po co to wszystko? Hm? Dlaczego?

Nie próbowałem odpowiadać. Pięć minut później, gdy jej łzy się wyczerpały, a moją koszulę można było wyżymać, usiadła prosto i pokręciła głową.

- Od tak dawna staram się być silna. Najpierw moja siostra, później Annie. Teraz dom. Po prostu nie wiem, ile jeszcze mogę znieść.

Cindy zaczęła okazywać oznaki charakterystyczne dla członków rodzin pacjentów cierpiących wraz z nimi w oczekiwaniu na przeszczep. Jedyna różnica polegała na tym, że miała rację. Nosiła to brzemię sama od dawna. Ciągnęła dwie prace, czasami trzy, poświęciła wszystko, czego pragnęła, na rzecz Annie, a teraz, na koniec, czuła się tak, jak gdyby przegrała. Lub przegrywała. Dopuszczała również do siebie możliwość, że zostanie sama.

Wyszliśmy na nabrzeże, gdzie stał Charlie ociekający wodą z Georgią, równie mokrą, wyciągniętą u jego kolan.

- Cześć, stary - powiedziałem. Pomachał.

- Przepraszam za najście, ale dobiegł mnie hałas, którego nie słyszałem tutaj... w każdym razie, od dawna... i zdaje się, że wpadłem w popłoch.

Odwróciłem się do Cindy:

- Od jak dawna nie ruszasz się od Annie dalej niż na sto stóp?

Spojrzała na mnie, trochę niepewna, ale powiedziała:

- Od dawna. Dlaczego pytasz?

- Nie miałabyś nic przeciwko, gdyby Charlie zaopiekował się nią przez jakąś godzinę?

Cindy spojrzała w jedną stronę na dom, a następnie w drugą na Charliego, potem na mnie:

- Bez urazy, ale co jeśli...

- Nic jej nie będzie. Dzisiaj nic się nie stanie, a ja chciałbym ci coś pokazać. Niedaleko stąd i nie potrwa to długo.

Cindy jeszcze raz spojrzała w kierunku domu, mówiąc:

- Cóż...

- Zaczekaj tutaj - powiedziałem. Poszedłem na górę, zabrałem Annie z kanapy, na której, nie śpiąc już, czytała, i zaniósłem na dół na mój hamak.

Gdy więc Charlie i Georgia zabawiali Annie w hangarze dla łodzi, ja spuściłem kajak na wodę i pomogłem Cindy zająć miejsce. Z potoku wpłynęliśmy w prąd Tallulah. Jej ramiona stężały, gdy hangar zniknął nam z pola widzenia. Klepnałem ją w plecy:

- Hej, nic za darmo.

Chwyliła za wiosła, zanurzyła je jednocześnie ze mną i oboje powiosłowaliśmy w górę rzeki pod łagodny i wolno toczący się prąd. Po dziesięciu minutach napięcie nieco zelżało. Minęło następnych pięć minut i Cindy spłynęła potem. Po kolejnych pięciu uśmiechnęła się i zaczęła widzieć świat dookoła.

Prześlizgnęliśmy się pod mostem, płynęliśmy w górę pomniejszych potoków i po pół godzinie obróciła się, rozejrzała dookoła i pomachała ręką w kierunku rozpościerającego się krajobrazu:

- Nie miałam pojęcia.

- Powinnaś to zobaczyć o wschodzie słońca. Spojrzała za łódź na idealne kręgi pojawiające się i zanikające z tyłu.

- Ładne.

Po godzinie powiedziała:

- Reese, jest wspaniale. Naprawdę, ale... Pokiwałem głową.

- Wiem — obróciłem nas, mówiąc: - Będziemy szybciej, jeśli mi pomożesz.

Uśmiechnęła się i zanurzyła wiosła, a ja obserwowałem jej pociągnięcia. Gdy przybyliśmy do hangaru, Charlie wykony-

wał swój popisowy numer z niewidomym, a Annie śmiała się tak mocno, że aż trzymała się za brzuch.

Przygotowałem jakąś zupę oraz sałatkę z tuńczyka i podałem kolację na werandzie, podczas gdy Annie brała prysznic.

Cindy zawołała z góry:

- Reese? Pozwolisz mi skorzystać z twojej wanny? Pytanie замуrowało mnie. Charlie, stojący obok, wolno

mieszając zupę, odwrócił się w moją stronę i pokiwał głową. I wydaje mi się, że gdy o tym pomyślałem, doszedłem do wniosku, iż miał rację. Emma tego by właśnie chciała.

-Jasne! - powiedziałem - ręczniki są w szafce za tobą.

Po godzinie, gdy Annie, Charlie i ja skończyliśmy kolację, Cindy zeszła po schodach, z kolanami jak z waty i pomarszczona jak śliwka. Włosy miała spięte w kok, kropelki potu nadal tkwiły na jej skroniach, a policzki były zaróżowione.

- To - powiedziała, pokazując na górę - jest najlepsza wanna, w jakiej do tej pory siedziałam.

Charlie uśmiechnął się, a ja przyniosłem dla Cindy talerz.

Cała nasza czwórka obejrzała zachód słońca, a potem Charlie i Georgia popłynęli do domu. Gdy Annie usnęła na kanapie około dziesiątej, zaniósłem ją na górę, a Cindy pościeliłem w pokoju gościnnym. Gdy schodziłem, Cindy, opierając się o na wpół zamknięte drzwi, zatrzymała mnie, tuż zanim znalazłem się na dole.

- Reese.

Spojrzałem w górę.

- Dzięki za dzisiaj. Za to, że mnie wysłuchałeś. Do jutra mi przejdzie. Skinąłem.

- Wiem. Odpocznij trochę.

Usiadłem na werandzie, pochylony nad filiżanką zimnej herbaty, słuchając, jak Cindy szura i gasi światło.

O północy otworzyłem gabinet, chwyciłem list z górnej szuflady biurka i wyszedłem w księżycowy blask. Robiło się coraz chłodniej. Lekka bryza przedarła się od strony jeziora i zaszeleściła liśćmi, które zaczęły zmieniać kolor na różne odcienie czerwieni i żółci. Gwiazd było mnóstwo, a księżyc rzucał mój cień wzdłuż schodów. Zabrałem świeczkę z szopy na drewno, wspiałem się na hamak i zapaliłem knot.

Uniosłem list pod światło gwiazd, światło księżyca, a potem świecy. Nie będąc w stanie niczego dojrzeć, wsunąłem palec pod skrzydło koperty i zatrzymałem go tam. Ponownie znieruchomiałem.

Na górze, przez okno pokoju gościnnego, usłyszałem kaszel Annie. Zakaszła raz, następnie dwa razy, później prawie dwadzieścia razy z rzędu. Zobaczyłem włączane światło, usłyszałem w łazience odkręcaną w kranie wodę. Annie przestała kaszleć, światło zgasło i znowu zrobiło się cicho.

Chwilę później na przeciwległym brzegu pojawił się Charlie z Georgią. Stał, nasłuchując, a potem spojrzał tam, gdzie wiedział, że będę siedział.

Zawołał łagodnie:

- Słyszysz to?

Spojrzałem w kierunku domu, a następnie na Charliego. -Tak.

Odczekał dłuższą chwilę, a później odezwał się:

- Robisz to, co myślę?

Spojrzałem na list. Tuż obok zamigotał płomień świecy i wosk rozlewał się wokoło na drewno. -Tak.

Charlie pokiwał głową i odczekał kolejny, wymowny, przedłużający się moment. Właśnie gdy myślałem, że odwróci się i wejdzie do domu, spojrzał ponownie i powiedział:

- Dratwa?

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, o co mu chodzi.

Zaczekał, a potem odezwał się raz jeszcze: - Jonny?

Minęło dużo czasu, od kiedy się tak do mnie zwracał. Wstałem i podszedłem do barierki, woda błyszczała czarno pode mną.

- Tak, Charlie.

- Proszę... proszę cię, przeczytaj ten list - odwrócił się, poklepał Georgię, która pobiegła przed nim, a następnie wspiał się po schodach, trzymając linę pełniącą rolę przewodnika.

Usiadłem w hamaku, wsunąłem palec pod skrzydło koperty i zacząłem odrywać klej, który trzymał od tak dawna. Pociągnąłem raz jeszcze i papier puścił. Wyciągnąłem list i przysunąłem bliżej świecę. Delikatna bryza zerwała się od strony jeziora i zdmuchnęła płomień. Nie musiałem się kłopotać, aby ponownie go zapalić. Światło księżyca wystarczało w zupełności.

Drogi Reese...

Po śmierci Emmy zacząłem używać mojego drugiego imienia, ponieważ, po pierwsze - pomagało mi się ukrywać, i po drugie - było to imię, którego używała, gdy byliśmy sami.

Pamiętaj, że nie tylko ja jestem na tym świecie. Są inni. I wszystkim nam płyną Izy.

Bądź blisko. Bądź, kiedy światło me gaśnie, kiedy krew szemrze, a nerwy kłują i mrowią; i kiedy serce jest chore, a wszystkie koła Bytu zwalniają. Bądź blisko mnie, kiedy wyczulony szkielet udręczony jest bólem, który zwycięża zaufanie; a Czas, szaleniec, miota kurzem i Życiem, i Furią płomienia.

Zrób to, Reese. Zrób to dla mnie, ale co ważniejsze, zrób to dla innych, takich jak ja, którzy płaczą jak kardynałna naszym parapecie. Kocham cię. Zawsze będę cię kochała.

Twoja Emma

Podniosłem się z hamaka, zszedłem na dół i wyciągnąłem z szopy to, czego potrzebowałem. Zbudowałem moją małą łódkę, wsunąłem żagiel na swoje miejsce, oblałem ją benzyną do zapalniczek i spuściłem na wodę. Popłynęła spokojnie, z pomocą bryzy, a gdy zetknęła się z krawędzią prądu znad Tallulah, skręciła na południe i skierowała ku tarczy księżyca. Kilkaset jardów dalej świeczka dopaliła się, stykając płomień z benzyną. Wówczas płomień żagla poszybował w niebo. W oddali ogień wspiał się w górę, wydał z siebie trzask, a potem zniknął w rozpościerającej się pod nim czerni.

Jestem popiołem, gdzie kiedyś byłem płomieniem.

Stałem na plaży, pośrodku tego kawałka ziemi, na której zbudowałem mój dom. Obróciłem się, nie bardzo wiedząc, dokąd pójść ani co robić, i zobaczyłem Cindy oświetloną blaskiem księżyca, w jej sfatygowanej flanelowej koszuli nocnej sięgającej do kostek, prawie przezroczystej pod światło. Nie powiedziała ani słowa, ale na jej twarzy widziałem wyraz dzielonego ze mną bólu.

- Chcę ci coś pokazać - powiedziałem. Przełknęła ślinę i wolno pokiwała głową.

- Będiesz zła, ale muszę ci to pokazać - wziąłem ją za rękę, zaprowadziłem na górę i otworzyłem drzwi od mojego gabinetu. Włączyłem światło i odsunąłem się na bok, aby mogła wejść do środka.

Na ścianach wisały dyplomy potwierdzające stopnie naukowe i będące dowodami uznania środowiska lekarskiego dla Jonathana Reese'a Mitchella. Porozwieszane po całym i pokoju i ustawione na blacie biurka oraz półkach znajdowały się zdjęcia doktora Jonnyego Mitchella ze swoimi pacjentami - każdy z nich żywy i z uśmiechem na twarzy. Na biurku leżał stetoskop, klucz do jednego z małych miasteczek w południowej Georgii od jego burmistrza, którego zabieg wszczęcia by-passów przebiegł bez zarzutu, różne

stare niepotrzebne już rozruszniki lub sztuczne serca, które służyły mi teraz jako przyciski do papieru. Pod oknem stał model serca, pomoc naukowa rozmiaru piłki do nogi dla dzieci. Wszystko to poprzeplatane było i otoczone zdjęciami Emmy i mnie. Na wielu z nich był także Charlie. A na blacie biurka porozrzucane leżały karty medyczne i wyniki badań Annie Stephens, do których dotarłem przez internet.

Cindy obeszła pokój, wodząc palcami po krawędziach ramek oraz parapetu. W końcu usiadła przy moim biurku, spojrzała na dokumenty, przebieg pracy i wszystkie fragmenty, z prędkością błyskawicy, ułożyły się w jedną całość.

Fale emocji napływały, wyrażając się na jej twarzy niczym zorza polarna: dezorientacja, złość, ból, zdrada. Każda z nich pojawiała się i znikwała, przechodząc płynnie w drugą.

- Jak mogłeś? - wyszeptała.

- To długa historia.

Cindy podniosła się z krzesła, podeszła do progu gabinetu, osunęła po ścianie i podciągnęła sobie kolana pod brodę. Nie odezwała się ani słowem, ale jej zeszywniałe ciało mówiło wszystko.

Wzięłem głęboki oddech i zacząłem od zdjęć Emmy, Charliego i mnie jako dzieciaków. Opowiedziałem jej o naszym dzieciństwie, leczeniu Emmy, początku naszej miłości, collegeu, ślubie, studiach medycznych, doktorze Trainerze, o Nashville, mojej fascynacji transplantacją, podróżą do Atlanty, o jej pogarszającym się stanie i kolacji z Royerem. Opowiedziałem jej o mojej pracy, o tworzeniu zespołu, a następnie

o naszym ostatnim weekendzie nad jeziorem. I gdy doszedłem do tego momentu, opowiedziałem jej prawie wszystko.

Czwarta nad ranem zastała nas wyczerpanych, zbolących i żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć.

Po przedłużającej się ciszy Cindy wyszeptała łamiącym się głosem:

- Reese, zapytam cię tylko raz. Jeżeli powiesz „nie”, uprzejmie poproszę, abyś odwiózł nas do domu. Ale jeżeli masz powiedzieć „tak”, chcę, aby to było w pełni. Nie zależy mi na tobie połowicznie, ponieważ Annie potrzebuje cię całego. Chcę to wiedzieć teraz, natychmiast. Chcę wiedzieć, czyją ocalisz?

Siedząc na podłodze, w cieniu tego wszystkiego, czym kiedyś byłem, i wszystkiego, czym miałem nadzieję kiedyś zostać, powiedziałem: „tak”. To słowo pojawiło się wolno, wyłaniając się gdzieś z głębi, z zakamarków duszy, gdzie zakończenia nerwowe w moim sercu drżały od uczuć.

Cindy wzięła głęboki oddech, rozejrzała się po pokoju i potrzęsła głową. I przez długi czas po prostu tak siedzieliśmy, pozwalając prawdzie wybrzmieć lub wsłuchać się w nią, w zależności od perspektywy. Milczeliśmy tak prawie przez godzinę.

W końcu podniosłem się i powiedziałem:

- Muszę zrobić jeszcze jedno. Powiedzieć Charliemu. Spojrzała zdezorientowana:

- To on nie wie jeszcze wszystkiego?

- Prawie wszystko. -A ja?

- Także nie, ale on musi to usłyszeć pierwszy.

Skinęła głową, a gdy wychodziłem, odwróciłem się i zobaczyłem, że idzie za mną, a potem staje na werandzie ze skrzyżowanymi, ale rozluźnionymi ramionami. Zawołała cicho:

- Masz coś przeciwko, abym zadzwoniła do Royera?

- Nie. To znaczy, nie mam. Powiedz mu, że skontaktuję się z nim - spojrzałem na jezioro, a następnie znowu na nią: - Może dzisiaj po południu.

Zanurkowałem, podciągnąłem się na nabrzeżu Charlie go i zostałem powitany lizaniem Georgii. Zamachała ogonem i podbiegła z powrotem do Charliego, który siedział na

dolnych schodkach, z harmonijką w ręku, grając cicho w samotności. Usłyszał, że wynurzam się na podeście nabrzeża, ociekając wodą, a potem siadam tuż obok niego. Odezwał się pierwszy:

- Powiedziałeś jej? -Tak.

-Jak to przyjęła?

Spojrzałem poprzez drzewa na werandę i zobaczyłem, jak buja się delikatnie na fotelu, patrząc na jezioro.

- Nie jestem pewien... to znaczy, jest zszokowana i zdenerwowana, ale wydaje mi się, że przyjęła to nieźle.

Charlie pokiwał głową i obrócił harmonijką w palcach:

- A więc w końcu przyszedłeś powiedzieć to, co masz na końcu języka od pięciu lat, ale nigdy nie miałeś odwagi mi tego powiedzieć?

Zamurowało mnie.

Charlie oparł się o poręcz i odwrócił w moim kierunku. Przebiegł palcami po mojej twarzy, a następnie ujął ją w swoje dłonie:

- Dratwa... jestem ślepy, a nie głupi. Opuścił ręce i czekał.

- Zacząłem je brać - powiedziałem, spoglądając ze wstydem na swoje ręce - w którymś momencie podczas studiów na akademii medycznej. Nie usprawiedliwiam się, ale podczas niekończących się dni bez zmrużenia oka, pełnych presji i odpowiedzialności, znalazłem to, czego potrzebowałem w postaci różnych środków farmakologicznych. Pozwalały mi wytrzymać bez snu przez wiele godzin, pozostawać bardziej skoncentrowanym w pracy, a potem przeznaczać na sen mniejszą ilość czasu - przerwałem. - Pozwalały mi również wracać do domu i pomimo powiek ciężkich od snu, kłaść się do łóżka obok Emmy i słuchać bicia jej serca - zamknąłem oczy i zanurzyłem swoje palce we włosach. - Chciałem...

chciałem słyszeć, że żyje. Farmakologia pozwalała mi funkcjonować poza ograniczeniami ciała. Pozwalała mi... - potrząsnąłem głową.

Charlie wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze.

- To trwało podczas mojego stażu, w czasie specjalizacji w transplantologii. Mówiłem sobie, że gdy będziemy już mieli za sobą operację, odstawię je, odstawię je wszystkie, pojedę gdzieś na odtrucie, jeżeli będzie to konieczne, że robię to wszystko dla Emmy, dla nas. Ale tak nigdy się nie stało. Tej nocy, gdy umarła Emma, wziąłem... już wcześniej w ciągu dnia wziąłem ich bardzo dużo... więcej niż kiedykolwiek wcześniej, aby pomogły mi przy zabiegu transplantacji kobiety imieniem Shirley. Gdy wróciłem do domu, byłem już na tak zwanym zjeździe, a... wcześniej nie spałem przez prawie cztery dni. Potem położyliśmy się i nie mogłem już dłużej walczyć ze snem. Padłem. Gdy obudziłem się i usłyszałem hałas w kuchni, byłem... cóż, już dawno nie czułem się tak zmęczony. W ciągu poprzedzającego tygodnia starałem się wszystko zaplanować, zebrać zespół, myśleć naprzód, upewnić się, że mam wszystko, czego mi potrzeba... - milczałem przez chwilę. - Myślę, że próbowała mnie obudzić prze/ jakieś pół godziny. Najpierw delikatnie, później mocniej... coraz gwałtowniej w miarę nasilania się bólu.

Charlie przebiegł palcami wzdłuż mojego ramienia i wy czuł delikatne blizny po śladach paznokci Emmy.

- Charlie, gdyby ona zdołała mnie wtedy obudzić... nie byłoby teraz tej rozmowy.

Wstał, podszedł do krawędzi doku, zanurzył dłonie w wodzie i opryskał sobie twarz wodą. Później usiadł, opierając się o pilaw, i podciągnął kolana, dokładnie w momencie, gdy na wierzchołki drzew zaczęły wspinać się pierwsze zwiastuny słońca.

- Dratwa - powiedział - nigdy nie sądziłem, że zobaczę moją siostrę kończącą szkołę średnią, obchodzącą swoje dwudzieste pierwsze urodziny. A gdybyś mi powiedział, kiedy byliśmy dziećmi, że będę mógł stanąć jako drużba na jej weselu, pomyślałbym, że pewnie coś paliłeś. Emma dożyła trzydziestki, ponieważ dałeś jej nadzieję, że może żyć dłużej -Charlie potrząsnął głową. - Ta dziewczyna kochała cię, bracie. Dałeś jej dwadzieścia lat więcej, niż ktokolwiek na tej planecie mógł jej kiedykolwiek zaoferować. I nie miało to wiele wspólnego z twoimi umiejętnościami lekarskimi, lecz jedynie z tobą jako człowiekiem. Dałeś jej nowe serce na wiele lat wcześniej, tyle tylko, że nie było to serce, o którym myślałeś - zaśmiał się sam do siebie. - Nadzieja to zdumiewająca rzecz. Widziałem ją u Emmy, widziałem na własne oczy - Charlie podniósł się, podszedł do mnie i zmrużył powieki.

Spojrzałem i zobaczyłem jego wyrazistą twarz, badającą mnie.

- Właśnie dzisiaj myślałem o Helen Keller i o tym dniu, w którym Annie Sullivan zaprowadziła ją do stacji pomp, włożyła jej rękę pod płynącą wodę, a następnie napisała: „w-o-d-a” na jej dłoni. Gdy Helen uświadomiła sobie, że zimna, płynna substancja płynąca przez jej palce to w-o-d-a, stało się coś niewytłumaczalnego. Mówiła, że „żywe słowo przebudziło jej duszę, dało jej światło, nadzieję, radość i uwolniło ją”.

Charlie wstał i sięgnął w kierunku mojej dłoni. Podałem mu rękę, a on zaprowadził mnie nad krawędź doku, ukląkł, zanurzył moją dłoń w wodzie i przysunął swoją twarz blisko do mojej. Poczulem jego oddech i zauważyłem napięcie w oczach, gdy łzy popłynęły mu strumieniem po policzkach. Jego słowa pełne były bólu:

- Zamknij oczy. Zamknąłem.

Pomachał swoją ręką w wodzie, mówiąc:

- Dla Emmy ty byłeś tą wodą - pochylił się. - Chciałbym odzyskać swoje oczy, Reese, ale nie czekam bezczynnie. Żyję. I na tym polega problem, bo ty nie. Ja nasiąkam nim, czuję je w każdym momencie, podczas gdy ty jesteś jak zombi -chwycił mnie swoją twardą dłonią za podbródek, obracając mi twarz w stronę mojego domu.

- Emma umarła. Ty nie. Ale przysięgam, że równie dobrze mogłeś umrzeć i ty. Ale teraz, tam u góry znajduje się mała dziewczynka, która z woli Bożej jest wypisz wymaluj jak moja siostra. Niektórzy nigdy nie otrzymują swojej szansy na odkupienie win, ale... - powstrzymał się i pokręcił głową - twoja śpi tam u góry.

Podszedłem do nabrzeża i stanąłem, wpatrując się w niego:

- Charlie... ja jestem...

-Jesteś jedną z najbystrzejszych osób, jakie kiedykolwiek znałem, ale nie zawsze jesteś wystarczająco lotny.

- Co masz na myśli?

- Wybaczyłem ci tej samej nocy, gdy to się stało. Jak inaczej, wyobraź sobie, mógłbym mieszkać tutaj oddzielony od ciebie strumykiem? Gdybym nosił to w sobie, to myślisz, żebym tutaj mieszkał, dzień w dzień, wiosłując po jeziorze tam i z powrotem? Przecież ja nawet nie lubię wiosłować.

- Nie lubisz?

- Nie - Charlie zaśmiał się. - Jest nudne pod każdym względem i widoki też są takie sobie.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś? Charlie wzruszył ramionami:

-Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Poza tym dzięki temu mogę się wyrwać z domu i pomaga mi to utrzymać serce w dobrej formie. A to ważne - powiedział, śmiejąc

się i klepiąc po klatce piersiowej - bo Bóg jeden wie, że nie chciałbym dostać się w twoje ręce.

Pokazał w stronę domu, a Georgia oparła się o jego nogę.

- No idź. Musisz coś komuś wytłumaczyć, a mała dziewczynka nie zrozumie tego tak jak ta kobieta.

- Taa - powiedziałem, spoglądając znowu na dom.

- Wiem.

ROZDZIAŁ 353

Annie leżała w fotelu, otoczona poduszkami i przykryta kocem, jak Emma dziesięć lat temu. Usiadłem, a ona wyprostowała się:

- Annie, chcę ci opowiedzieć pewną historię.

Cindy usiadła nieopodal, z łokciami wspartymi na kolanach i rękami podłożonymi pod brodę.

- Gdy byłem w twoim wieku, zakochałem się w dziewczynce, której serce było bardzo podobne do twojego.

- To znaczy chore?

- Nie - pokręciłem głową i uśmiechnąłem się. - Pełne miłości.

Annie także się uśmiechnęła, czerpiąc przyjemność z gry, w którą zdawało się, że gramy.

- Dorastając, odkryliśmy jednak, że jej serce było podobne do twojego także w inny sposób. Również było chore. Bardzo chore.

- Tak chore jak moje?

- Pod pewnymi względami bardziej. Pod innymi mniej. Na skali od jednego do dziesięciu obie znajdujecie się na jej końcu.

Annie pokiwała głową na znak, że już o tym wiedziała. Kontynuowałem:

- A więc, sądząc, że mogę jej pomóc, spędziłem większą część swojego życia, ucząc się, jak dokładnie to zrobić.

W końcu... zostałem lekarzem... całkiem niezłym w leczeniu chorych serc.

Annie zaczęła wyglądać na zdezorientowaną i słuchać baczniej.

Ująłem jej dłoń i wsunąłem sobie do mojej.

- Wyjmowałem nawet zdrowe serca ludziom, których mózgi były już martwe, i...

Twarz Annie zrobiła się blada.

- ...wkładałem je tym, którzy ich potrzebowali. Wyraz niedowierzania w jej spojrzeniu stawał się coraz wyraźniejszy.

Pokiwałem głową:

- Doktor Royer był moim kolegą i... Annie przerwała:

- Czy to ty jesteś tym cudotwórcą? - rozglądała się po pokoju, w miarę jak rozmowa zaczynała wirować jej w głowie.

- Pozwól, że coś ci pokażę - wyciągnąłem rękę i zaprowadziłem ją do mojego gabinetu. Obróciła się wolno, przyglądając wszystkiemu naokoło. Zacząłem mówić, ale przerwała mi.

- Jak to się stało, że nie... dlaczego...

Wziąłem do ręki zdjęcie Emmy, zrobione parę tygodni przed jej śmiercią:

- Ponieważ popełniłem kilka błędów i... nigdy tak naprawdę nie przestałem za nie płacić.

Annie spojrzała na zdjęcie, a potem na mnie.

- Czy twoja żona umarła z powodu czegoś, co zrobiłeś? Stałem przez chwilę, zanim nie oswoiłem się z pytaniem. -Tak.

- Czy zrobiłeś coś złego? Skinąłem.

Annie usiadła i rozglądała się po pokoju przez wiele minut. W końcu wstała, podeszła do mnie, przytuliła się i poło-

żyła mi głowę na ramieniu. Była blada, zmęczona, oddychała płytko.

Zaniosłem ją na werandę i posadziłem na krześle. Cindy otuliła ją kocem. Annie w końcu otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Jej spojrzenie było szczere i głębokie. Jedno i drugie przerażało mnie i uspokajało zarazem. Na koniec odezwała się:

- Czy zostaniesz moim lekarzem?

Po raz pierwszy od ponad pięciu lat odetchnąłem wystarczająco głęboko, aby poczuć się pełny. -Tak.

ROZDZIAŁ 49

Minął miesiąc. Miesiąc ciągnących się dni, cichych nocy i wsłuchiwania się co minutę w ewentualny brzęczący dzwonek pagera wibrującego na blacie stołu. Aby ułatwić życie nam wszystkim, Cindy i Annie pozostały w moim domu. W powietrzu pozbawionym wilgoci stan Annie nieco się poprawił, a jej organizm nawet wzmacnił. Dotyczyło to również Cindy. Odprężyla się, trochę więcej spała, a na jej twarz znowu powróciły kolory - chociaż zawsze mogłem liczyć na pojawiający się na niej uśmiech, gdy się spotykaliśmy. Wydawało się, że i Charlie polubił nowych sąsiadów, ponieważ przez większość wieczorów zabawiał nas swoimi błazeńskimi popisami i grą na harmonijce.

Zatrudniłem Termita przy zarządzaniu drewnem w moim magazynie pośród wzgórz oraz do wspólnej pracy, razem z Charliem i mną, przy Hackerze. Również on miał się nieźle. A gdy Annie, stojąc na górnym poziomie hangaru dla łodzi, powiedziała mu, że będę jej lekarzem, sięgnął po papierosa i trzepnął swoją zapalniczką Zippo o udo. Gdy zaciągnął się nim głęboko, rozżarzając końcówkę do czerwoności, wypuścił powietrze z dala od Annie i spojrzał na mnie spod zasłanych dymem oczu:

- To dobrze.

Czasami myślę, że piekło to dwa miejsca: to, do którego człowiek może ostatecznie trafić, ale również miejsce, w któ-

rym przydarza się mu znaleźć, zanim tam trafi. Nie wiem, czy diabeł ma rogi i rozdwojony ogon, ale nie wydaje mi się, aby to miało większe znaczenie. Zasadniczo chodzi o to, że piekło odizolowane jest od miłości. Jeżeli Lucyfer wie cokolwiek, to właśnie to. Od samego momentu odejścia Emmy ja również się o tym przekonałem. Doświadczyłem, co to puste miejsce, w którym panuje samotność.

Przy Annie i Cindy buszujących po moim domu, nadających przedmiotom estetyczny wygląd, dbających o rzeczy, którymi nikt się nie przejmował, coś wewnątrz mnie się poruszyło. Miało to uroczy zapach. I było to urocze doświadczenie. Każdej nocy, gdy spały w sąsiednim pokoju, szedłem na brzeg i wygrzewałem się w tym cieple.

Jako że Cindy nauczyła się, jak oszczędzać dokładnie na wszystkim, pewnego popołudnia usiadłem na krześle pod dachem hangaru dla łodzi i poddałem się strzyżeniu. Takiemu prawdziwemu. Przycięła mi włosy wokół szyi, pozostawiając zakryte uszy. Emmie bardzo by się podobało.

Charlie dotknął moją głowę palcami i powiedział z uśmiechem:

- Skądś cię pamiętam. Wydaje mi się, że już się kiedyś spotkaliśmy.

Powiesiłem również lustro w łazience i ogoliłem się. A gdy zszedłem z powrotem na dół, gdzie dziewczyny nakrywały do stołu, zauważyłem, że Cindy spoglądała na mnie kątem oka.

Charlie powrócił do swojego dawnego *ja* i pomimo swojego wyznania na temat wioskowania czekał na mnie każdego ranka przy nabrzeżu. Nie było dnia, aby nie wpadł niezapowiedziany i bez zaproszenia. Powrócił do gry w bingo i swoich lekcji tańca; pewnego popołudnia zamachał laską ze swojego brzegu. Ubrany był w błękitno-biały garnitur z kory, cylinder, skórzane buty z przeszywanym wzorem, włosy zaczesane miał do tyłu i pokryte brylantyną.

- Chyba masz przetłuszczone włosy - powiedziałem -potrzebujesz pomocy przy zmianie oleju?

Uśmiechnął się i obrócił w koło niczym model na wybiegu.

- Nie, zmieniam olej po każdych trzech tysiącach kilometrów, czy trzeba, czy nie.

Wiele razy w tygodniu jadaliśmy w Studni, gdzie Davis stworzył nową pozycję w menu nazwaną „Specjalność Annie”: grillowany kurczak, musztarda, francuskie rogaliki, sałatka coleslaw na przystawkę i gałka lodów czekoladowych.

Wchodziłem i wychodziłem z gabinetu, nigdy go nie zamykając, i nosiłem przy sobie pager oraz komórkę, jak gdybym nigdy się ich nie pozbywał.

Royer przyjeżdżał raz na tydzień, jadł coś z nami, badał Annie oraz - co pewnie ważniejsze - sprawdzał, jak ja się mam. Ciągnęło się to przez około trzy tygodnie, aż w końcu odprowadziłem go kiedyś do samochodu, spojrzałem na niego i powiedziałem:

- Royer, to ja. Wszystko ze mną w porządku. Odezwał się:

- Jesteś pewien?

- Cóż... - wzruszyłem ramionami - zważywszy na to wszystko, co się dzieje. Nie jadę na żadnych prochach, nie potrzebuję ich i... poza powracającym snem, śpię w nocy.

To mu wystarczyło.

ROZDZIAŁ 50

Moi pacjenci pytali mnie kiedyś, dlaczego większość przeszczepów odbywa się w nocy. To naprawdę proste. W ciągu dnia ofiary, będące czyimiś ukochanymi, oczekują na wyniki badań przeprowadzanych przez personel medyczny, który pracuje głównie w dzień. Gdy rezultaty te wskazują, że ciało pacjenta nie reaguje na zwielokrotniony poziom dwutlenku węgla, który gromadzi się w jego organizmie, i że mózg nie wykonuje już najbardziej podstawowych ze swoich funkcji, wówczas stwierdza się jego „śmierć”. Jest to diagnoza często trudna do przyjęcia, ale widok bliskiego utrzymywanego przy życiu jedynie przez jakieś zimne, twarde urządzenie stanowi często ostateczny argument.

Ostateczna decyzja na ogół zapada nocą, gdy szpital już cichnie, a rodzina ofiary zostaje sam na sam ze swoimi myślaniami i decyzjami, które będzie trzeba podjąć. Wtedy właśnie przychodzi im boleśnie pogodzić się z prawdą i zawiadomić lekarza, informując go, że chcieliby, aby bliska im osoba stała się dawcą. Wówczas szpital zabiera się za swoją własną baterię testów, stwierdzających, czy pacjent rzeczywiście może nim zostać, czy też nie, i wciąga go lub ją na listę.

Rzadko odbierałem wezwanie, aby odebrać organ o dzie wiać rano. To po prostu nigdy się tak nie odbywało. A więc gdy mój pager i telefon komórkowy zabręczały jednocześnie o drugiej nad ranem, nie byłem zaskoczony.

- Być może mamy serce. W Teksasie. Dwudziestosześcioletnia kobieta. Mąż mówi, że mieli wypadek samochodowy. Nie zapięła pasów. Zapis EEG jest płaski od rana, zespół tam na miejscu zamierzał stwierdzić śmierć mózgu, jak tylko poinformują rodzinę, że nadarza się okazja ofiarowania organu. Koordynator rozmawiał z mężem. Zgadza się.

- Wiedzą, jak mają obchodzić się z ciałem? - zapytałem. - Nikt nie będzie niczego ruszał, zanim ty albo ja tam dołączymy?

Usłyszałem stłumiony śmiech Royera. Wydawało się, że nie minęło tych pięć lat bez takich rozmów przez telefon, a nasz ostatni tego typu rajd miał miejsce nie dalej jak zeszłej nocy.

- Tak, ale myślę, że może lepiej ja się tam wybiorę. Annie potrzebuje cię teraz. Ostatnią twarzą, którą zobaczy, zanim narkoza roztoczy nad nią ciemność, powinieneś być ty.

- No, masz rację. Jestem z tobą.

- Powiedziałem im, jakie podać antybiotyki i jak mają obchodzić się z płynami. Czekam właśnie na wyniki badania moczu i ciśnienia tętniczego. Odezwę się znowu za pięć minut.

Odłożyłem słuchawkę i wciągnąłem na siebie parę niebieskich drelichowych spodni lekarskich wyjętych z szafy. Zrobiły się nieco bardziej workowate niż wtedy, gdy je miałem na sobie ostatni raz.

Cindy weszła i zobaczyła mnie przyglądającego się sobie w lustrze. Jej flanelowa męska pidżama wyglądała na ciepłą i wygodną. Przykuła wzrokiem telefon, a następnie mnie.

- Dzwonił Royer - powiedziałem, podnosząc jednakże rękę, by powstrzymać jej reakcję.- Nie mamy jeszcze wystarczającej pewności. To może być fałszywy alarm. Za każdym razem, gdy telefon się rozłącza, prawdopodobieństwo, iż nie ma zgodności, jest większe niż że jest. Pamiętaj o tym.

Cindy skrzyżowała ramiona i skinęła głową na moje spodnie lekarskie:

- To dlatego je włożyłeś? Wzruszyłem ramionami i powiedziałem:

- Oczywiście, może się również okazać, że się udało. Spojrzałem na telefon, prawie zmuszając go wysiłkiem

woli, by zadzwonił, i pięć sekund później zadzwonił. Cindy zerwała się, a ja odebrałem.

- Co wiemy?

- Wszystkie funkcje wątroby i nerek w normie. Badanie na zapalenie wątroby i AIDS ujemne. Dziewczyna jest czysta. Jesteśmy gotowi.

- Dopamina?

Dopamina to wspaniały lek. Dzięki niej serce dawcy bije mocniej, podnosi ciśnienie krwi i wzmacnia przepływ krwi do mózgu. Ale zastosowana w nadmiarze może zniszczyć serce.

- Obecnie jest na niewielkiej dawce, ale w toku wymiany płynów zniknie z organizmu za kilka godzin.

- Na moim jest... - spojrzałem na zegarek i wyciągnąłem pokrętło, aby go ustawić — teraz dokładnie pierwsza pięćdziesiąt siedem - usłyszałem kliknięcie na omedze seamasterze Royera. Wiedzieliśmy, że będziemy się kontaktować przynajmniej co trzydzieści minut w ciągu następnych sześciu godzin. Musieliśmy być precyzyjni.

- U mnie też - powiedział.

- Zajmiesz się wszystkim przy wejściu? Nie chcę żadnych opóźnień, gdy będziemy już na miejscu. Nic, co mogłoby spowodować u Annie jakikolwiek stres. Potrzebuję wózka i wolnego przejścia.

- Już załatwione - powiedział Royer. - Będą na ciebie czekać przy drzwiach.

- Bank krwi?

- Mają szesnaście jednostek czerwonych krwinek.

- Szesnaście? Nigdy nie potrzebowaliśmy więcej niż sześć.

- No, tak - Royer zaśmiał się. - Chciałbym, żeby zawsze tak było.

Ludzie u nas przywiązali się do Annie. Chcieli mieć pewność, że jej szanse będą maksymalnie duże. Tydzień temu kolejka pielęgniarek i lekarzy oczekujących na oddanie krwi kończyła się na zewnątrz.

- Ta mała dziewczynka poruszyła już wiele serc - powiedziałem.

- Można tak powiedzieć - Royer potwierdził, pozwalając wybrzmieć słowom. - Masz tu już wszystko przygotowane, ale lepiej nie zaczynaj, aż upewnię się, co tam mamy w Teksasie.

- Zgoda - pomyślałem o naszej podróży na południe do Atlanty. - A helikopter?

- Już w powietrzu. Wystartował siedem minut temu. Powinni wylądować za około trzydzieści osiem, weź parę minut poprawki na wiatr i tak dalej.

- To samo lądowisko co poprzednio? - spytałem.

- Tak. No już, ubierajcie się, macie parę minut na oswojenie się z tą myślą, a następnie czekajcie na lądowisku. Odezwę się za pół godziny.

Trzymając telefon, uświadomiłem sobie, że właśnie odbyłem rozmowę, na którą czekałem przez całe życie. Mieszane uczucia: radość i smutek, spłynęły na mnie po równo.

Royer wyczuł to w moim wahaniu.

- I jeszcze jedno, Reese. -Tak?

- Chciałbym, aby to było pięć lat temu.

Spojrzałem przez okno na jezioro, spokojne i gładkie pod księżycem w kwadrze. Mój głos stał się szeptem:

- Ja także.

Wziął głęboki oddech, a ja wiedziałem, co zaraz nastąpi, zanim to powiedział.

- Hej, doktoru?

- Tak - powiedziałem.

- Pora zapiąć kask, wstać z ławki i wbiec na boisko. Ojcowski kopniak w tyłek dobrze mi zrobił i pozwolił się otrząsnąć.

- Do usłyszenia za pół godziny.

Rozłączyłem się i podczas gdy Royer wchodził z czerwono-białą chłodziarką na pokład medycznego odrzutowca, ja wszedłem do pokoju za ścianą i ująłem za ramiona małą dziewczynkę, która sprzedawała lemoniadę, hodowała świerszcze i do większości ludzi w mieście zwracała się po imieniu.

ROZDZIAŁ 51

Chwyciłem za moją podręczną torbę, Cindy za ich małą walizkę i zniosłem Annie, ubraną w różowy dres i bambosze, do suburbana. Potem rzuciłem okiem na jezioro i na dok Charliego, ponieważ wiedziałem, że musiał usłyszeć dzwonek telefonu.

I faktycznie, Charlie w swoich spodniach od pidżamy opierał się o wiosło, drapał Georgię po głowie i nasłuchiwał, jak wsiadamy do samochodu. Idąc wolno pomiędzy drzewami i gałęziami, które drapały mnie po twarzy, podszedłem do nabrzeża.

Charlie usłyszał kroki i uniósł swój podbródek w moim kierunku.

- Cześć, stary - powiedziałem.

- Już czas?

- Może. Musimy poczekać jeszcze około godziny, żeby się upewnić.

- Gdy będziesz już wiedział, zadzwoń. Przekażę innym - czekał, aby usłyszeć moje oddalające się kroki. Gdy nie usłyszał, pokiwał głową i staliśmy tak w ciszy, oddzieleni wodą. W końcu wyszeptał: - Reese?

-Tak?

Charlie wytarł sobie oczy i podrapał się w ramię:

- Widzisz to?

Jego słowa odbiły się echem od wody, a potem odpłynęły, podążając za moimi łódkami z żaglem w kierunku Tallulah, gdzie zapalały się, stawały w płomieniach i tonęły.

Wiedziałem, o co pytał.

- Pracuję nad tym.

Charlie skinął głową, zagwizdał na Georgię, która pobiegła przed nim, i wszedł po schodach do domu.

Wsiadłem do samochodu i potoczyliśmy się wolno szutrowym podjazdem do ubitej drogi, która poprowadziła nas sześć mil dalej do szpitalnego lądowiska dla helikopterów. Annie i Cindy siedziały z tyłu, przytulone do siebie. W lusterku widziałem ich oczy odbijające światła z tablicy rozdzielczej. W myślach rozpocząłem powtarzanie sobie poszczególnych etapów procesu, każdy szew, każdy ścinek, odczyt na aparaturze. Każdy szczegół, nawet najdrobniejszy, miał znaczenie, ponieważ nie można go już było powtórzyć.

Spojrzałem na zegarek. Royer musiał być już w samolocie, rozmawiając z koordynatorem, a do dawcy miał dotrzeć za godzinę. Za dwie godziny uzyska serce, za cztery będzie z powrotem w szpitalu. Wychodziło więc na to, że mieliśmy czas, ale niewielkie pole manewru. Gdy umieści już serce w chło dziarce, zaczyna tykać czas, po którym następuje martwica. Po czterech godzinach serce ulega zbyt daleko posuniętemu rozkładowi, aby mogło zostać wykorzystane. Dojechaliśmy do przedmieść Clayton i wjechaliśmy na teren Rabun County Hospital. Helikopter sanitarny czekał już na lądowisku, rozświetlony niczym wielki, biały ptak, z łopatami obracającymi się wolno. Pilot, Steve Ashdale, którego w pewnym okresie dobrze znałem, stał obok, wyprostowany w kombinezonie sztywnym od krochmalu. Efekt wielu tysięcy godzin wylatanych na helikopterach w piechocie morskiej.

Zaparkowaliśmy i zaniósłem Annie do maszyny. Steve uścisnął mi dłoń i uśmiechnął się:

- Dobrze cię widzieć. Royer ściągnął mnie tutaj. No to w górę.

Zazwyczaj w helikopterach sanitarnych znajduje się jedynie tyle miejsca, aby pomieścić dwuosobowy personel medyczny — przy czym jeden z jego członków bywa również często pilotem - oraz do dwóch pacjentów, w zależności od powagi ich stanu. Z powodu coraz większego obszaru zajmowanego przez miasto Atlanta i konieczności latania na dłuższe dystanse, ta akurat maszyna zaprojektowana została tak, że była bardziej przestronna. Mieliśmy więc więcej wolnego miejsca.

Ułożyłem Annie na koi, która biegła przez środek helikoptera, a Cindy i ja zajęliśmy swoje miejsca po obu jej stronach. Steve wskazał nam na pasy przy naszych siedzeniach i słuchawki na głowę, a my założyliśmy i jedno, i drugie. Unieśliśmy się, przechylając do tyłu, następnie do przodu i pomknęliśmy poprzez noc. Wznieśliśmy się wyżej i w ciągu kilku sekund rozpostarło się pod nami jezioro Burton.

Steve odezwał się:

- Na pewno pięknie tu w nocy - pokazał na fermę pstrągów i zieloną łąkę tuż obok, teraz skrytą w ciemności. - Lądowałem tam jakieś trzy lata temu. No i dobre lądowisko.

Cindy trzymała się za uchwyty, spoglądając na Annie, która zerkała przez okno tuż przy swojej głowie, i oddychając głęboko oraz uważnie.

- Pierwsza przejażdżka helikopterem? - zapytałem. Pokiwała głową.

- I mam nadzieję, że ostatnia. Annie chwyciła mnie za rękę.

- Co robi teraz doktor Royer?

Szukałem najlepszego sposobu, by odpowiedzieć na jej pytanie:

- Leci do Teksasu po serce dla ciebie.

Przyciągnęła mnie bliżej i odezwała się cicho do mikrofonu, który biegł wokół jej twarzy od ucha do ust. Silnik i łopaty śmigła warczały nad nami głucho.

- Nie - odezwała się ponownie - powiedz mi, co on robi.

To serce miało znaleźć się w jej wnętrzu; uznałem, że miała prawo wiedzieć:

- Na pewno?

Pomyślała przez chwilę i pokiwała powoli głową.

- Właśnie teraz doktor Royer leci do szpitala w Teksasie. Gdy tam dotrze, otworzy dawcę, wstrzyknie do serca roztwór, aby przestało bić, a lekarz stojący naprzeciwko stwierdzi moment śmierci.

Annie przełknęła mocno ślinę i łza pojawiła się w kącie jej oka.

- Następnie wyleje na serce kilka pojemników lodowato zimnej soli fizjologicznej, aby mogło być tak zimne, jak to tylko możliwe. Około pięciu litrów czegoś naprawdę zimnego. Nazywają to albo mleczanem Ringera albo po prostu solą fizjologiczną.

Szczegół ów wydawał się łagodzić osobisty i emocjonalny wstrząs zarówno u Annie, jak i u Cindy, która nie mogła powstrzymać się od słuchania.

- Wystarczy mu nie więcej niż kilka minut, aby mógł wyciąć serce. Od razu, gdy zostanie ono wycięte, zacznie biec czas odzielający je od martwicy. To stan, gdy nie dopływa do niego krew. Od tej chwili liczy się każda sekunda. Włoży serce do sterylnej miski, obmyje je dokładnie, aby pozbyć się starej krwi, umieści w podwójnej plastikowej torebce, a następnie w czerwono-białym plastikowym pojemniku, jak te, które widzisz na plaży.

Annie spróbowała się uśmiechnąć.

- Potem wskoczy do tego samego odrzutowca i przyleci z powrotem do Atlanty, gdzie ty i ja będziemy na niego czekać.

Annie zapytała:

- Co się stanie ze mną?

- Zabierzemy cię do szpitala, zawieziemy windą do twojego pokoju, położymy spać, a po kilku godzinach" obudzisz się z nowym serduszkiem.

- Nie o to mi chodziło. Zastanowiłem się przez chwilę:

- Wierzysz w dobre wróżki? Annie potrząsnęła głową.

- A pamiętasz, gdy jeszcze wierzyłaś? Pokiwała.

- Cóż, powiedzmy, że ja wciąż wierzę w dobre wróżki i czasami to, co najlepsze, przydarza się nam podczas snu.

Annie spojrzała przez okno w ciemność, która akurat mknęła pod nami ponad sto mil na godzinę. Kilka minut później zapytała:

- Czy wiesz coś o tej osobie w Teksasie? Skinąłem głową.

Oczy Annie wyczekiwały niecierpliwie, podczas gdy ramiona stężały.

- To ktoś, komu przydarzył się bardzo ciężki wypadek samochodowy, kto nigdy by się nawet nie obudził, kto żyje tylko dlatego, że maszyna utrzymuje go przy życiu i kogo ukochany chce, abyś miała nowe serce.

Annie zakaszłała, a jej oczy zbiegły się w kierunku nosa, prawie marszcząc jej bladą skórę na czole:

- Czy to jest prezent? - zapytała. - Ile ona ma lat? Wyznawałem zasadę, aby nigdy nie udzielać biorcom

informacji na temat ich dawców aż do momentu, gdy wy-

zdrowieli, ale coś w jej oczach mówiło mi, że nie pytała dla własnego dobra. Pytała dla dobra dawcy.

- Około dwudziestu pięciu.

Oczy Annie wirowały po wnętrzu helikoptera, badając światła, wskaźniki i dziwną mieszaninę przyrządów medycznych, mających również przeznaczenie i wygląd lotniczy. - Czy sądzisz, że ona już jest w niebie?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem, Annie. Sądzę, że tylko ona to wie w tym momencie.

Annie pomyślała przez chwilę, potarła swój sandał i powiedziała:

- Bóg wie. Skinąłem głową.

- Tak, i chyba On też.

Annie nadal badała przyrządy wokół siebie. Jej puls był przyspieszony, ale kolory na twarzy normalne, a oddech, je żeli do tego zmuszony, głęboki i pod kontrolą. Oczy Annie zatrzymały się na mnie.

- Reese? -Tak?

W tym momencie Steve zaszeleścił na swoim siedzeniu pilota: -Jonny?

Spojrzałem przez przednią szybę i zobaczyłem zbliżające się światła Atlanty.

- Royer dzwoni z Teksasu. Przełączam go. Kiwnąłem głową, zrozumiawszy, że Steve mógł także

przełączyć Royera wyłącznie na moje słuchawki.

- Jonny? -Mów.

- Wylądowaliśmy i jestem po wstępnych oględzinach Puls dawcy nie spadł, co cieszy, zważywszy na niewielką ilość podawanej dopaminy. Elektrokardiogram wygląda do-

brze, tętno w normie i z tego, co widzę, sam mięsień sercowy nie został w ogóle uszkodzony. Oczywiście nie dowiem się na pewno, dopóki jej nie otworzę. Rentgen klatki piersiowej czysty, płuca nie zapadły się, nie wdało się zapalenie. Na dziewięćdziesiąt procent wszystko tak, jak trzeba.

Zakodowałem w pamięci szereg informacji i powiedziałem:

- Zadzwoń do mnie, gdy będziesz już wiedział.

- Dobra.

Royer rozłączył się i bez wątpienia wrócił na salę operacyjną, gdzie inni lekarze przeprowadzali swoje testy, ustalając, czy pozostałe organy również nadawały się do przeszczepu. Porządek uzyskiwania narządów odpowiada stopniowi ich fizjologicznego zaawansowania, a nie kolejności przybycia na miejsce. Najpierw serce, następnie wątroba, nerki, rogówki, kości, a następnie inne tkanki, takie jak skóra. Oznaczało to, że nikt nie dotknąłby dawcy, dopóki Royer nie skończy.

Annie znowu ścisnęła mnie za rękę, kierując moje myśli na wschód od Teksasu, poprzez kuchenną podłogę w domu nad jeziorem i do wnętrza helikoptera.

- Reese? -Tak?

- Nie martw się. Dobrze?

Pokiwałem głową, spoglądając ponad ramieniem Steve'a na zbliżającą się coraz bardziej Atlantę.

Annie chwyciła mnie za rękę i przyciągnęła bliżej:

- Reese?

Moja twarz zawisła zaledwie kilka cali nad jej buzią. Nie powiedziałem ani słowa.

- Nie musisz się martwić - powtórzyła.

Spróbowałem się uśmiechnąć, uwolnić się od niej, zachowując tak, jak gdybym musiał koncentrować się na widoku przed helikopterem.

Poklepała mnie po ręce i udała uśmiech Szekspira:

- Co on by o tym wszystkim powiedział? Pomyślałem przez chwilę i również spróbowałem udąć

uśmiech. Zdolność przypominania sobie słów, które przynosiły mi taką ulgę, znikła. Zapomniałem prawie każdy fragment, jaki kiedykolwiek czytałem. To było tak, jakby wszystkie one wiedziały, że już nie będą potrzebne, odleciały zatem i odnalazły inną duszę w potrzebie. Przeczesałem przestrzeń, starając sobie cokolwiek przypomnieć. Gdy się nie udało, poczułem się samotny i zmarznięty.

- Nie, nie dzisiaj.

Przyciągnęła moje ucho do swoich ust, dotknęła swojej klatki piersiowej i wyszeptała:

- Czy obudzę się, czy też nie... będę miała nowe serce. Cindy zasłoniła sobie usta i spojrzała przez okno na

wschód, w kierunku świateł Stone Mountain. Jej spojrzenie zderzyło się z ciemnością, ale błękitna poświata z instrumentów nawigacyjnych oświetliła błyszczące strumyki spływające po jej twarzy. Przed nami rozpościerała się urbanistyczna dżungla Atlanty, która przykrywała obecnie ziemię spaloną kiedyś ogniem armii Shermana.

Pod nami rozciągała się autostrada numer 400, podkreślona od czasu do czasu światłami skrzyżowań i drogowskazów na północ. Zrobiliśmy jedno kółko, a następnie wylądowaliśmy pośród morza świateł i spieszącego się personelu. Wielu nie mogło się doczekać, by zobaczyć nie tylko Annie, ale i mnie. Wieść rozniosła się szybko i wiedziałem, że moje życie *incognito* już się skończyło.

Początkowo obawiali się mnie przywitać, ale gdy posadziliśmy Annie na wózku i skrzydła automatycznych drzwi zamknęły się za nami, obróciłem się do Mike'a Ramireza:

-Jak się miewa rodzina? - spytałem.

Uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- W porządku - jego klatka piersiowa zafalowała nieco, a uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Chłopcy są w akademii, a w domu zostały nasze dwie dziewczynki.

Jeden po drugim lekarze, ale i pielęgniarzy, podchodzili, życząc Annie powodzenia i ściskając mi rękę lub obejmując z wyczuciem. Znaleźliśmy się w windzie, a gdy drzwi się zamknęły, uświadomiłem sobie, że potrzebowałem tych serdeczności i uścisków nie dla siebie. Bo nie usuwaliśmy tej dziewczynce migdałków. Wycinaliśmy jej serce.

ROZDZIAŁ 52

Zjechaliśmy windą dwa piętra niżej i pomyślałem o Royerze. Badając serce już za pierwszym razem, musiał mieć absolutną pewność. Wiedziałem, że będzie poszukiwał śladów uszkodzeń. Będzie starał się wyczuć oznaki trzepotania - niczym wody biegnącej szybko rurami - co oznaczałoby, że serce nie funkcjonowało prawidłowo. Następnie przyłożył palce do każdej z trzech głównych tętnic żylnych, naczyń, które usytuowane są na powierzchni serca, zapewniając mu dopływ tlenu i substancji odżywczych. Poszuka zmian miażdżycowych, jakichkolwiek oznak twardnienia, głównego symptomu choroby. Tak jak Charlie, Royer będzie „czytał” serce za pomocą swoich dłoni.

Zawieźliśmy Annie do jej pokoju na końcu długiego i cichego korytarza w skrzydle szpitala, gdzie mieścił się oddział kardiologiczny. Natychmiast pielęgniarki zaczęły nienarzucającą się krzątanie, wykonując cały szereg badań. Po kilku minutach jedna z pielęgniarek, której nie znałem, szepnęła:

- Doktorze?

Gdy nie zareagowałem, szepnęła ponownie, tym razem głośniej:

- Doktorze?

W końcu Cindy przyciągnęła moją uwagę i wskazała bez pośrednio na pielęgniarkę.

Obróciłem się i przeczytałem imię „Jenny” wypisane na górnej części jej fartucha. Trzymała trzy rzeczy: białą marynarkę z imieniem Jonny” wyszytym nad prawą górną kieszenią i dwie strzykawki, poza zasięgiem wzroku Annie.

Spodziewałem się strzykawek, ale nie marynarki.

Wyciągnęła ją przed siebie i szepnęła:

- Royer miał ją powieszoną na drzwiach, nie wiem od jak dawna. Powiedział, aby ją przynieść, gdy pan przybędzie.

Pokiwałem głową, a ona pomogła mi ją nałożyć, niczym krawiec na stoisku z odzieżą męską. W kieszeni znalazłem stetoskop. Rozłożyłem go, a pielęgniarka szepnęła raz jeszcze:

- To również dla pana przechowywał. Powiedział, że poczeka, zanim znowu się panu nie przyda. Powiesiła mi go na szyi, uśmiechając się.

Następnie wyciągnęła przed siebie strzykawki, spojrzała na Annie i powiedziała:

- Pan czyja?

-Ja - szepnąłem. To był miły gest i doceniłem jej propozycję. Te zastrzyki stanowiły pierwszy etap, i do tego bardzo bolesny, który miał już na całe życie stać się dla niej rutyną przyjmowania immunosupresantów. Zastrzyki musiały być wykonane w udo i wiedziałem, że Annie się to nie spodoba.

Jenny stanęła za mną, gotowa pomóc, ale nie przeszkadzać, a ja odwróciłem się do Cindy:

- Może chcesz zostawić nas na chwilę samych?

Cindy potrząsnęła głową, chwyciła Annie za rękę i zacisnęła zęby. Spojrzałem na Annie, a ona wpatrywała się w igły w mojej ręce.

- Doktor Royer mi o nich mówił - uniosła swoją koszulkę nocną, przetarłem jej skórę, a ona chwyciła mnie za rękę. Uniosła wzrok z wymuszonym uśmiechem i szepnęła: - ***Przyglądam się uważnie mojemu sercu. Mam oczy cały czas szeroko otwarte. Bo jestem z tobą, idę prostą drogą.***

Ten rym przykuł moją uwagę, wiedziałem, że już to gdzieś słyszałem.
Annie przechyliła głowę:

- Moja mama była wielką fanką Johnny ego Casha. Zamknęła oczy, zacisnęła zęby, a ja szybko wstrzyknąłem

lekarstwa. Skrzywiła się, a jej powieki wycisnęły spod siebie łzy. Wyprostowałem jej koszulę, pocałowałem w czoło i spojrzała na mnie, serwując kolejny szept poprzez nadal zaciśnięte zęby.

- Chyba musi zboleć, aby było lepiej. Pokiwałem głową:

- Z sercami już tak jest.

Jenny wróciła z małym garnuszkiem wody i pastylką, która miała Annie przybliżyć nieco do stanu narkozy. Nie chodziło o to, aby zupełnie ją uśpić, ale ukoić jej niepokój.

Annie połknęła ją posłusznie, a potem ktoś wywołał mnie przez interkom:

- Doktorze Mitchell? Doktor Morgan na linii numer dwa.

Spojrzałem na zegarek. Dzwonił trzy sekundy przed czasem.

Wyszedłem do holu i podniosłem słuchawkę: -Mów.

-Jestem na miejscu. Teraz badają ją inni lekarze, przyjrę się temu za około dziesięć minut. Sądzę, że powinieneś już zacząć usypiać Annie i przygotowywać do zabiegu. Ta kobieta wygląda na zdrową. Zadzwoń do ciebie za dwadzieścia minut, gdy będę już wiedział na pewno.

Odwiesiłem słuchawkę, a Jenny wprowadziła do ramienia Annie wenflon. Lekarstwa działały wolno, dając nam około pięciu minut. Usiadłem obok łóżka, a Annie wsunęła swoją dłoń pod moją. Przez następne trzy minuty przyglądałem się,

jak toczy przegraną bitwę z powiekami. W tym czasie jej usta nie odezwały się, ale jej serce przemawiało bardzo głośno. Po minucie już spała.

Cindy czekała w pokoju, gdy ja poszedłem holem do sali operacyjnej, gdzie spotkałem się lub odnowiłem znajomość z resztą zespołu. Gdy wszedłem do bloku operacyjnego numer cztery, lampka telefonu zapaliła się i perfuzjonistka, która stała bliżej, podniosła słuchawkę. Odwróciła się w moją stronę:

- To Royer.

Jego telefon oznaczał złe wiadomości. Chwyciłem za słuchawkę.

- Reese, serce wykazuje oznaki choroby. Staje się kruche. Teraz nie jest to problem, ale potem trzeba jej będzie powiedzieć, że musi przez to przejść jeszcze raz za jakieś pięć lat. Jak, według ciebie, to przyjmie?

- Pewnie nie za dobrze.

- Byłeś blisko niej przez jakiś czas. W dzień i w nocy. Jaka podejmujesz decyzję?

Oparłem się o ścianę, zamknąłem oczy i pomyślałem o Annie powierzającej mi swoje życie. Zastanawiałem się, czy będzie miała siłę obudzić się i usłyszeć, że nie dostała nowego serca. Zastanawiałem się również, czy wystarczy nam czasu na znalezienie następnego.

- Jonny - odezwał się Royer - w najlepszym wypadku to jest prowizoryczny opatrunek. Czy jest w stanie jeszcze poczekać?

Jeden z najtrudniejszych aspektów transplantacji polegał na podejmowaniu decyzji dotyczących ludzkiego życia, które mogły zabić, jeżeli nie miało się racji. Jeszcze gorzej wyglądało to w przypadku osób, które się kochało.

-Tak.

- Niech śpi. Powiemy jej o tym jutro. Odpoczynek dobrze jej zrobi.

- Do zobaczenie za kilka godzin.

- A, Jonny? - usłyszałem głos mojego przyjaciela, nie tylko kolegi. -
Znajdziemy je.

- Do zobaczenie wkrótce.

Pozornie Cindy przyjęła wiadomość dość dobrze. Gdy zaproponowałem, abyśmy pojechali do Varsity i rzucili się na czekoladowego shake'a, zgodziła się i trzymała się dzielnie, aż wsiedliśmy do samochodu i wyjechaliśmy ze szpitala. Dopiero wtedy coś w niej pękło.

Zjechałem z drogi stanowej i przemknąłem pomiędzy budynkami Georgia Tech. Gdy znalazłem otwarty parking, zatrzymałem się, a Cindy opadła na moje ramię. Drżała, zaciskając pięści, przywierając twarzą do mojej klatki piersiowej i krzycząc, ile sił w piersiach. Lata niepokoju i tłumienia go za wszelką cenę w końcu dały o sobie znać.

- Nie potrafię tak żyć! Nie potrafię! Proszę! Czy to jest życie, czy jakiś koszmar? - szarpnęła swoją koszulę. - Po prostu rozetnij mnie. Weź moje serce. Nie potrzebuję go już więcej, a jeżeli ona nie będzie mogła żyć, ja też nie chcę - płakała i potrząsała głową, jak gdyby osy żądliły ją po twarzy.

Objąłem ją mocno, milcząc. Czułem wybuch, ciepło łez na moich piersiach oraz fale cierpienia i rozpacz.

Ileż razy chciałem krzyczeć w ten sam sposób? Oczyszczyć się i wyrzucić z duszy cierpienie. Ale jakoś nigdy tego nie zrobiłem. Może nie czują przed tym oporu tylko ci, którzy nie mają poczucia winy, ponieważ sami nigdy nie stali się przyczyną takiego bólu.

Mijały minuty. Ostatecznie otarła łzy, wyprostowała się z powrotem na siedzeniu i oparła stopy na desce rozdzielczej. Wrzuciłem bieg i ruszyliśmy wolno przez campus w kierunku wjazdu do The Varsity. Zamówiłem shake'a CC: skrót od „czysta czekolada”. Tylko mleko czekoladowe wylane na

pokruszony lód. Gdy odebraliśmy zamówienie, zaczęliśmy saczyć go w ciszy.

Minał tydzień. Długi tydzień. Annie zrobiła się cicha, odkąd się przebudziła, ale wiadomość przyjęła dobrze, jak można się było tego spodziewać. Podczas gdy ja ślęczałem przy nakładaniu ostatniej warstwy lakieru na Hackera, a także na moje własne serce, Cindy i Annie przeczytały parę książek znalezionych w moim domu i zanurzały stopy w piasku na plaży przy jeziorze.

Bez ich wiedzy razem z Royerem dostarczyliśmy do Rabun County Hospital maszynę perfuzyjną wraz z ośmioma ze wszystkich szesnastu opakowań krwi podarowanej Annie przez jej licznych przyjaciół. Chciałem mieć pewność, tak na wszelki wypadek. Jeżeli Annie wpadłaby w tarapaty, a my mielibyśmy dość szczęścia, aby zdążyć z nią do szpitala, dzięki temu urządzeniu zyskalibyśmy możliwości, na które nie moglibyśmy liczyć bez niego. Podaliśmy Annie również, tym razem za jej wiedzą, zwiększoną dawkę czegoś, co można uznać za ultra silne antybiotyki. Od momentu bolesnych zastrzyków w nogi utrzymywaliśmy w jej krwi maksymalne stężenie najlepszych i najbardziej agresywnych antybiotyków, jakie mogliśmy w jej przypadku zastosować, nie zabijając jej.

Pewnego ranka, zaraz po podaniu jej do połknięcia kolejnej końskiej dawki pigułek, które zażyła, zmarszczyła usta i pociągnęła mnie za nogawkę dzinsów. Przykleknąłem na kuchennej podłodze i zniżyłem swoją twarz do jej poziomu. Sięgając za szyję, Annie odpięła swój sandał, przyglądała mu się długo i skinęła, abym przysunął się do niej bliżej. Gdy się pochylilem, zawiesiła go na mojej szyi.

- Teraz należy do ciebie.

Cindy oparła się ręką o framugę drzwi, przyglądając się wszystkiemu ze wzrokiem utkwionym w Annie. Potrząsnąłem głową.

- Annie, nie mogę...

Annie także pokiwała głową, wyciągnęła rękę, przerywając mi w ten sposób, i wzięła głęboki oddech.

- Rozmawialiśmy o tym - spojrzała na Cindy, Cindy na mnie, po chwili również Annie spojrzała na mnie ponownie. - Poza tym, już ci mówiłam... Nie potrzebuję go.

Spojrzałem w dół i przeczytałem wytarte litery na odwrocie.

- Ale - ciągnęła dalej - pod jednym warunkiem. Spojrzałem na nią:

- Jakim?

Stała na krześle i pociągnęła mnie za sobą w górę, zrównując się ze mną oczami.

- Musisz zawsze pamiętać... - przerwała i poklepała mnie delikatnie w miejscu serca.

Ono wiedziało, czego mogłem się spodziewać, i zgromadziło w moim wnętrzu całą siłę, aby mogła skończyć. Moje oczy napełniły się łzami, ale zdążyłem je zatrzymać, zanim popłynęły po mojej twarzy.

- Czy obudzę się, czy też nie... - wyszeptała - będę miała nowe serce.

Zdjąłem ją z krzesła, objąłem za szyję i już wiedziałem, że miała rację.

Nadszedł koniec września, który razem z Charliem określaliśmy mianem deszczowego i brzydkiego miesiąca. Gdy pojawiające się późnym latem huragany wyruszały w swoją coroczną wędrówkę przez Florydę, mogły obrócić w ruinę każde miasto, które napotkały na swojej drodze, roznosząc swoje szaleństwo po całym stanie, a następnie skręcając na

północny wschód i pędząc resztką mocy w kierunku Georgii i dalej. Tam mogą dalej siać terror, przede wszystkim w postaci opadów deszczu, zanim nie rzuca się z powrotem na północny Atlantyk, gdzie znikają.

Większość tego rodzaju układów pogodowych traci na agresji i słabnie, zanim dotrze do Atlanty, ale od czasu do czasu któryś z nich łączy się z drugim, podążającym na południe z Kanady. Gdy oba wpadną na siebie, zimne powietrze kanadyjskie zderza się z ciepłym znad zatoki, no i mamy problem. The Palm Sunday Killer zaskoczył wszystkich z powodu pory roku oraz faktu, że według prognoz pogody, żaden taki układ nie miał w najbliższym czasie zetknąć się z drugim. Dlatego właśnie zapamiętano go jako „zabójcę”.

Przynajmniej jeśli chodzi o huragany, wiedzieliśmy, że musimy mieć się na baczności. Niestety, w sobotni wieczór nasłuchiwaliliśmy w ciszy ewentualnych dzwonek lub wibracji telefonów komórkowych i pagerów, a nie dźwięku pociągu towarowego dudniącego po jeziorze.

Na obszarze wielu mil wokół jeziora Burton nie ma żadnej linii kolejowej. Czasami w nocy, gdy powietrze jest czyste, można usłyszeć daleki gwizd, ale nigdy w ciągu dnia. Dlatego właśnie odgłos nadjeżdżającego pociągu wygonił mnie z warsztatu.

Zobaczyłem lej wody unoszący się nad drzewami i poczułem, że powietrze naładowane jest elektrycznością. Gdy dobiegłem do Annie, ona zdążyła już zobaczyć trąbę wodną i zamarła z przerażenia. Chwyciłem ją na ręce i razem z Cindy pobiegliśmy z powrotem do warsztatu. Dobiegliśmy do drzwi dokładnie w momencie, gdy drzewa zaczęły trzaskać wokół nas niczym zapałki. Obróciłem się i zobaczyłem, że trąba uniosła się na jakąś milę nad powierzchnię jeziora i falowała niczym flaga na wietrze.

Odepchnąłem na bok toczącą się skrzynkę na narzędzia, gdy dach zaczął się trząść. Kiedy zaczęło zrywać metalowe poszycie dachu i wyleciały szyby z okien, chwyciłem za koniec ich sosnowego kuchennego stołu, zablokowałem do połowy drzwi, przysunąłem skrzynkę, aby wesprzeć go jej ciężarem, i wcisnęliśmy się głębiej do tyłu pomieszczenia w kształcie litery L, za róg.

Wewnątrz skały było cicho, wilgotno i bardzo ciemno. Siedzieliśmy na mojej pryczy, przytuleni do siebie, nie mogąc nawet dostrzec swoich dłoni przed oczami. Cindy kołysała Annie na kolanie, a ja okryłem obie kocem. Hałas i błyski światła za rogiem mówiły mi, że warsztat rozlatywał się, pękając w szwach.

Pośród tego wszystkiego Annie szeptała. Słyszałem tylko urywane fragmenty.

- ...by opatrywać rany serc złamanych... wieniec zamiast pokoju... olejek radości zamiast smutku.

Przez może pół minuty oczekiwaliśmy na ostateczny podmuch, który skruszy skałę naokoło nas, ale wicher równic szybko, jak się pojawił, zniknął. Błękitne światło i cisza wypełzły zza rogu. Siedzieliśmy w ciemnej skalnej dziurze, słuchając dźwięku naszych oddechów. I wtedy mnie poraziło.

Annie przestała szeptać.

Sięgnąłem do nadgarstka, aby zbadać jej puls, ale nie wyczułem go. Dotknąłem jej szyi i wyczułem migotanie.

W ciemnościach Cindy nie widziała, co się dzieje, ale nic musiała:

- Reese? - odezwała się z narastającym napięciem. Chwyciłem Annie i przepchnąłem się przez stół i skrzyż-

kę na narzędzia, która leżała teraz na boku. Wszedłem do miejsca, w którym znajdował się kiedyś warsztat, i rozejrzałem się. Nie było go. Narzędzia, kable, kawałki drewna leżały na ziemi, jak gdyby ktoś wrzucił do maszyny do cięcia gałęzi

każde narzędzie, które kiedyś miałem. Jediną rzeczą wciąż na swoim miejscu była betonowa podłoga. Ściany, dach -wszystko znikło.

Przede mną rozpościerało się jezioro pokryte szczątkami, które były kiedyś domami wznoszącymi się wiele mil wzdłuż brzegu. Rozejrzałem się za hangarem dla łodzi, ale zostały z niego jedynie dwadzieścia cztery pale, na których się wznosił. Żadnych ścian, tarasu, hamaka. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że Hacker nie roztrzaskał się nawet o wodę, po tym, jak tornado dodało mu skrzydeł i posłało w kierunku nieba.

Spojrzałem na Annie. Jej skóra przybrała popielaty kolor, wargi zsiniały, oczy wywróciły się do tyłu, a ciało zamieniło w mieszaninę bezwładu i zeszywnienia. Zostały jej może trzy minuty. Gdyby udało mi się dostać do domu, zdążyłbym. Obróciłem się, ale poza kominem, dom zniknął także. A razem z nim, wszystko, czego potrzebowałem.

Położyłem Annie na podłodze i wyrwałem szufladę ze skrzynki na narzędzia, rozrzucając je, niektóre we fragmentach, naokoło. Znalazłem torbę Charliego z przyborami do grilla. W środku była też igła do strzykawki. Wyciągnąłem ją i zbliżyłem do płomienia wyjętej z kieszeni zapalniczki.

Nie podnosząc wzroku, odezwałem się wolno do przyglądającej się wszystkiemu Cindy. Skinąłem w kierunku pomieszczenia w skale:

- Torba spod łóżka.

Trzymałem pod naszym piętrowym łóżkiem małą apteczkę pierwszej pomocy, na wypadek gdyby któreś z nas zraniło się kiedyś lub skaleczyło w warsztacie.

Cindy rzuciła się w tamtym kierunku i równie szybko wróciła, rzucając torbę na ziemię i klęknęła naprzeciwko mnie, czekając dalszych poleceń.

Spojrzałem na nią:

- Ufasz mi?

Pokiwała i chwyciła Annie za ramiona, jak gdyby przygotowując ją na to, co zamierzałem zrobić, cokolwiek by to było. Pomyślałem o organizmie Annie i o możliwej infekcji, jaka mogła się wdać w konsekwencji moich działań. Jedyłą nadzieją było to, że zwiększone dawki antybiotyków powstrzymają wszystko, co może wnikać do systemu, zanim dotrzemy z nią w sterylne miejsce.

Zdjąłem górę jej kostiumu kąpielowego, wybadałem palcami mostek, znalazłem miejsce, którego szukałem, i wbiłem igłę w głąb jej klatki piersiowej. Igła przebiła osierdzie, uwalniając ciśnienie i spryskując mnie krwią. Skinąłem w stronę skrzynki na narzędzia i powiedziałem tak spokojnie, jak tylko byłem w stanie.

- Druga szuflada, nożyce z niebieskim uchwytem. Cindy wyrwała szufladę, pogrzebała pośród ośmiu lub

dziesięciu par różnych obcęgow, aż w końcu znalazła zagięte nożyce do cięcia drutu, których potrzebowałem. Obróciłem Annie na bok i przeciąłem skórę wzdłuż jej żebra. Mniej więcej w tym czasie Charlie przedarł się przez zgliszcza i pojawił na nabrzeżu. Miał ranę ciętą na twarzy i drugą gdzieś na głowie, a jego ręka zwisała bezwładnie i bez życia. Odezwał się miękko:

- Dratwa, czego potrzebujesz?

Widząc leżące naokoło drzewa, wiedziałem, że nie było szans, abym wyjechał suburbanem wzdłuż podjazdu na twardą drogę.

- Potrzebuję się stąd wydostać - w oddali usłyszałem wysoki jęk łodzi Jet Ski, niosący się po jeziorze. - Musisz dostać się na brzeg jeziora i machać rękami. Jeżeli to Termit, to potrzebuję jego.

Charlie zniknął, a przerażenie na twarzy Cindy mówiło mi wszystko. Annie zaczęła oddychać, ale miałem około mi-

nuty na zaszycie dziury w jej sercu, zanim całkowicie utracę jego zdolność do pompowania krwi. Pokazałem na butelkę betadyny i skinąłem głową na Cindy: - Polej mi dłonie.

Dźwięk motorówki zbliżył się, urwał, a potem zawył, oddalając równie szybko, jak się pojawił. Po dziesięciu sekundach już nie było go słychać, co oznaczało najpewniej, że Termit mknął gdzieś z prędkością około dziewięćdziesięciu mil na godzinę przez pokryte szczytkami jezioro. Cindy poląła moje ręce, pokrywając je brzydkim żółtawym brązem. Umyłem dłonie w betadynie i spojrzałem na nią. Podała mi cęgi i skinęła.

Otworzyłem zestaw do zakładania szwów i przegryzłem nić niczym szwaczka. Chwyciłem za nożyce, przeciąłem żebro, rozszerzyłem i otwarłem jamę klatki piersiowej, przeciąłem osierdzie i moim oczom ukazało się zmaltretowane serce Annie, chore i umierające. Przy błękitnym niebie nade mną i bez dachu lub gałęzi drzew światło nie stanowiło problemu.

Znalazłem niewielką dziurkę, założyłem pięć szybkich szwów i zaciągnąłem mocno rzemienie sakiewki. Inaczej niż u Emmy, tkanka Annie nie była krucha. To jej wiek mógł pozwolić jej dotrzeć do szpitala.

Serce Annie zadrżało, szarpnęło się gwałtownie i zaskoczyło, bijąc słabo, ale bijąc. Ustabilizowało się. Spoglądając na bałagan wokół, pomyślałem, że mieliśmy około piętnastu minut. Potem Annie najprawdopodobniej wykrwawi się na śmierć, o ile jej serce nie ustanie pierwsze.

Skinąłem na mój telefon komórkowy przy pasku. Cindy chwyciła go i sama z siebie wybrała numer Royera. Trzy sekundy później był już przy telefonie. Pokiwała głową i podała mi aparat. Ton mojego głosu powiedział mu wszystko.

- Royer, pęknięcie ściany serca i tamponada worka osierdziowego - w oddali usłyszałem zbliżający się skowyt silnika łodzi motorowej. - Nie mamy płynów i pozostało nam maksymalnie dziesięć minut. Przekaż pogotowiu lotniczemu, że będę na nich czekał na łące obok hodowli pstrągów.

- Ze gdzie?!

- Po prostu tak powiedz! Zrozumieją. I powiedz ludziom w Rabun, aby włączyli pompę i utrzymywali ją włączoną.

Utrata płynów stawała się problemem, a ja nie miałem mleczanu Ringera. Rozejrzałem się. „Myśl, Reese! Myśl!”.

Charlie pojawił się ponownie, jego lewa ręka zwisała bezwładnie. Obraz poranionego i trzymającego się za rękę Charliego sprawił, że przypomniałem sobie. Skinąłem znowu na zawartość apteczki porzucaną na ziemi wokół Cindy:

- Tamta plastikowa torebka.

Podniosła ją, odgryzła róg i wyciągnęła ze środka rurkę wenflonową.

- Dobra - powiedziałem. - A teraz włóż te dwie igły w oba końce.

Cindy wcisnęła wloty igieł do obu zakończeń rurki wenflonowej, a następnie podała mi. Zanurzając całość w beta-dynie, wbiłem sobie jeden koniec w prawą rękę i natychmiast rurka wypełniła się krwią. Gdy krew zaczęła wyciekać drugim końcem, zanurzyłem go w jodynie i wprowadziłem do dużej żyły w pachwinie Annie. Zaleta wykorzystania tak dużej żyły polegała na tym, że mogła ona przenieść dużą ilość mojej krwi bezpośrednio do jej serca.

Zdjąłem zegarek z nadgarstka i podałem go Cindy.

- Powiedz mi, gdy minie osiem minut - podniosłem An nie z ziemi, upewniłem się, czy przewód się nie rozłączył, i poszedłem szybko na plażę. Gdy tam przybyłem, Termit przybijał właśnie czymś, co wyglądało na szybką łódź typu cigarette boat. Miała pewnie ze dwadzieścia osiem metrów

długości, dwa silniki z tyłu i wyglądało na to, że może wyciągnąć ze sto mil na godzinę. Sądząc po twarzy i włosach Termita, tak właśnie było.

Wszedłem na łódź, Cindy i Charlie zrobili to samo, a Termit spojrział na mnie i panika oraz niedowierzanie pojawiły się na jego twarzy.

- Termit - powiedziałem - musimy dostać się do rampy przy hodowli pstrągów.

Spojrział na Annie i pokiwał głową. Ułożyłem Annie w łodzi, głową w kierunku silników, i uklęknąłem przy niej. Liczyłem na grawitację i kąt nachylenia łodzi na wodzie, aby krew mogła płynąć szybciej do jamy jej klatki piersiowej i mózgu.

- Termit - powiedziałem, spoglądając znad Annie. - Teraz.

Wrzucił bieg na wsteczny, wyprowadził nas tyłem z potoku, a następnie zaczął wciskać drążek maksymalnie do przodu. Ile się tylko dało. Cindy i Charlie oparli się na siedzeniach obok mnie, ja przyklęknąłem nad Annie i łódź zawyła na szklanej powierzchni jeziora. Gdy spojrzałem na prędkościomierz, zobaczyłem, że płyniemy z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę.

Trzy minuty później Termit zmienił kąt, zwolnił łódź do może trzydziestu mil na godzinę, zdusił silniki i wynurzył je nad powierzchnię wody. Gdy wynurzyły się zupełnie, dobiliśmy do kwadratowej rampy, dokładnie w jej środku. Rampa wyrzuciła nas pośrodku pasących się wyścigowych koni na trawiastej łące obok boiska, wzdłuż hodowli pstrągów. Łódź prześlizgnęła się po trawie oraz miękkim piasku boiska, gdzie wbiła się i zatrzymała przechylona.

Ułożyłem Annie na trawie i czekałem na odgłos helikoptera. Cindy klepnęła mnie po ramieniu, przygryzając wargę. Pokazywała na zegarek. Minęło już osiem i pół minuty.

Charlie uklęknął w pobliżu, dotykając palcami nóg Annie. Gdy natrafił na wenflon, drugą dłonią wyczuł moje prawe ramię. Jego palce odnalazły rurkę i skierował twarz w moją stronę.

- Jak długo już to masz? - zapytał. Zaczynało mi się kręcić w głowie:

- Około dziesięciu minut.

Charlie rozerwał na sobie koszulę i wyciągnął ramię. Jeżeli Annie miała mieć jakiegokolwiek szanse, musiałem odstawić rurkę od swojej ręki. Ścisnąłem ją, wyciągnąłem z żyły i natychmiast wbiłem głęboko w rozgałęzioną żyłę na ramieniu Charliego. Nawet się nie skrzywił.

Oczy Annie rozglądały się po świecie, jak gdyby otaczające ją światło zaczęło słabnąć.

- Annie, kochanie. Trzymaj się - zawisłem nad nią, próbując zmusić ją, aby jej oczy skupiły się na mnie. - Proszę cię, wytrzymaj jeszcze kilka minut. Rozumiesz mnie?

Przełknęła ślinę i spróbowała się uśmiechnąć, ale jej oczy wywróciły się do tyłu i zakaszłała. Chwyciłem fiolkę z pastylkami zawieszoną wokół jej szyi, opróżniłem jej zawartość na klatkę piersiową Annie i skinąłem na Cindy. Podniosła jedną z nich do ust, aby przegryźć na połowę, ale ja pokręciłem głową.

- Nie, nie tym razem. Potrzebujemy całą.

Umieściła tabletkę nitrogliceryny pod językiem Annie i w ciągu dziesięciu sekund na twarz dziewczynki wróciły kolory. W oddali usłyszałem śmigłowiec. Spojrzałem na Ter-mita, który stał z szeroko otwartymi oczami i ustami. Potem skinąłem głową na automat do coli stający jakieś kilka jardów dalej.

- Możesz przynieść stamtąd kilka puszek coli? Termit zniknął, aby pojawić się z dwiema puszkami

Mountain Dew's mniej więcej w czasie, gdy na trawie obok

nas wylądował helikopter. Do czasu przybycia śmigłowca Charlie oddawał Annie swoją krew przez około osiem minut. Zniosłem Annie do maszyny, przycisnąłem rurkę wenfłonu i natychmiast połączyłem ją z przewodem biegnącym do pojemnika z mleczanem Ringera, który zwisał z sufitu helikoptera. Lekarka na pokładzie zaczęła natychmiast ścisnąć worek dla zwiększenia ciśnienia i przepływu płynu do serca Annie.

Drzwi zatrzasnęły się za nami i gdy pilot wznosił się ku niebu, spojrzałem na całą trójkę - Charliego, Cindy i Ter-mita, stojących razem na tle zielonej trawy, na ślady krwi Annie i czyjaś cigarette boat wartą sto tysięcy dolarów, która spoczywała teraz na plaży niczym umierający wieloryb. Gdy wznosiliśmy się ponad koronami drzew, Cindy zasłoniła sobie usta i wtuliła głowę w ramię Charliego.

ROZDZIAŁ 53

Wylądowaliśmy w Rabun pośród tłumu poruszonego personelu medycznego, który pomimo najlepszych intencji miał niewielkie pojęcie, o ile w ogóle, jak postępować w przypadkach urazów zaliczanych do poziomu pierwszego. Jediną osobą, która miała jakieś rozeznanie o stanie Annie, była lecąca z nami lekarka. Spojrzałem na nią.

- Masz jakieś doświadczenie w takich przypadkach?
- Grady Memoriał, czteroletni staż, dyżury w weekendy.
- Wystarczy. Chodź ze mną.

Przewieźliśmy Annie do środka, gdzie ludzie w białych fartuchach i kolorowych drelichach lekarskich biegali wokół niczym mrówki, gdy ktoś poleje ich mrowisko benzyną. Pośrodku tłumu stał Sal Cohen, wyrzucający z siebie polecenia niczym sierżant w czasie musztry. Pokazał w kierunku jedynej sali operacyjnej w szpitalu. Skinąłem, wwiozłem Annie do środka i zobaczyłem perfuzjonistkę przygotowującą mechaniczne płucoserce. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem Sala wciskającego prawą dłoń do rękawiczki i spoglądającego na mnie w oczekiwaniu na polecenia.

- Spojrzałem zarówno na niego, jak i na lekarkę z helikoptera.
- Potrzebuję piłki do przecinania mostka.

Lekarka obróciła się do perfuzjonistki, która podniosła palec, znikła za rogiem, a następnie pojawiła się z powrotem, niosąc staroświecko wyglądające narzędzie. Sal rozłożył Annie na stole operacyjnym i zaczął smarować jej klatkę piersiową jodyną. Puls na nadgarstku Annie był niewyczuwalny, tętniczy w najlepszym razie słaby.

Nie było już czasu.

Gdzieś znikąd pojawił się anestezjolog. Annie i tak była już zasadniczo nieprzytomna, ale szybko wstrzyknął jej narkozę i można było być pewnym, że Annie nie przebudzi się w najbliższym czasie. Wsunął wolny koniec długiej rurki, połączonej drugim końcem z wentylatorem, do jej ust, głęboko pomiędzy strunami głosowymi aż do tchawicy. Urządzenie systematycznie pompowało powietrze poprzez rurkę w tchawicy, oddychając za nią.

Gdy działał już aparat dostarczający Annie bogate w tlen powietrze, naciąłem jej klatkę piersiową wzdłuż starej blizny, przeciąłem mostek aż do podstawy szyi i odsunąłem się na bok, gdy lekarka wprowadziła rozszerzacz i rozwarła go, otwierając jej klatkę piersiową. Odciągnąłem na bok przekłute osierdzie i natychmiast zabrałem się za oczyszczanie bliznowatej tkanki, która znajdowała się dookoła. Przy każdym ruchu obawiałem się, aby mój szew kapciuchowy nie puścił. Udało się.

Poprzednia operacja na otwartym sercu Annie pozostawiła mnóstwo zabliźnionych miejsc, które spowalniały moją pracę. Założyłem jeden szew na aorcie wstępującej, następnie dwa szwy na prawym przedsionku. Wstrzyknąłem bezpośrednio do serca środek o nazwie heparyna, aby zapobiec krzepnięciu krwi, gdy przepływała przez respirator oraz maszynę do krążenia pozaustrojowego, następnie przeprowadziłem rurki zwane kanulami przez trzy nowo założone szwy kapciuchowe w celu podłączenia Annie do mechanicznego płucoserca.

Wszyłem je, a gdy to zrobiłem, serce Annie przestało bić. Skinałem do perfuzjonistki: -Twoja kolej.

Pokiwała głową, podłączyła linię i natychmiast osocze wypełniło opróżniony układ krwionośny. W ciągu kilku sekund jej tętnice i żyły wypełniły się, tlen dotarł do najdalszych części jej ciała i, przynajmniej na jakiś czas, Annie ożyła.

Nie wiedziałem jednak, jak długo pozostawała martwa i jakie zniszczenia, którym uległ mózg, ujawnią się, gdy się obudzi, o ile się obudzi. Odgarnąłem z jej buzi przepecone włosy, cofnąłem się z powodu napływu zawrotów głowy. Będę przejmował się ewentualnymi uszkodzeniami w ciągu następnych dni. Teraz musiałem znaleźć serce.

Sal nakazał zespołowi pielęgniarek i lekarzy wysterylizować wszystko dookoła, począwszy od klatki piersiowej dziewczynki. Przyglądałem się urządzeniom monitorującym funkcje życiowe Annie i uświadomiłem sobie, że śpiąc, miała teraz w sobie więcej życia niż w ciągu wielu ostatnich lat. Gdy zastanawiałem się, jak znaleźć dla Annie, i dla siebie również, wyjście z sytuacji, w którą właśnie nas wplątałem, pielęgniarka klepnęła mnie w ramię.

- Doktorze? -Tak.

Wskazała na telefon wiszący na ścianie tuż przed salą:

- Linia pierwsza. Spojrzałem na Salę:

- Możesz nad tym wszystkim zapanować, dopóki nie wrócę?

Pokiwał głową i kontynuował instruowanie lekarzy i pielęgniarek, którzy spoglądali na mnie tak, jakbym postradał właśnie rozum.

Wyszedłem na korytarz, wyszorowałem dłonie pod kranem i podniosłem słuchawkę:

-Mów.

- Jak tam nasza dziewczyna? - odezwał się Royer.

- Żyj^e - Ile mamy według ciebie czasu?

Zastanowiłem się:

- Trochę mamy. Kilka minut temu podłączyłem ją do pompy.

Prawie widziałem Royera spoglądającego na zegarek i zapamiętującego dokładny czas.

- Dobra, na razie niech tak zostanie. Ruszam do Nashville. Być może jest serce.

Słowa „być może jest serce” rozeszły się po moim ciele niczym osocze przemierzające ciało Annie. Przed oczami widziałem jej obraz stojącej na palcach, naprężającej plecy, nad którymi powiewały żółte wstążki, i krzyczącej: „Lemoniaaada!”, by cały świat usłyszał.

- Co wiesz? - spytałem krótko.

- Niewiele, ale zadzwonię do ciebie, gdy już wylądujemy, i zobaczę, z czym mamy do czynienia... powiedzmy za około dwadzieścia siedem minut.

Rozejrzałem się dookoła, spoglądając na prawie niekontrolowany chaos biegających wokół mnie lekarzy i pielęgniarek.

- Nie ruszam się stąd, aż dotrzesz tutaj z sercem, albo -przerwałem, po raz pierwszy rozważając możliwe opcje - nie dotrzesz.

Royer nie odzywał się przez chwilę.

- Dwadzieścia sześć minut. Trzymaj wszystko w pogotowiu. I rozglądaj się za naszym zespołem. Powinni tam niedługo być. Wszystkim się zajmą. Ty musisz tylko zaprowadzić ich do Annie.

- Dobrze.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na pracownika technicznego nieopodal, który zawzięcie gryzmołił coś na formularzu:

- Jesteś zajęty?

- Nie, proszę pana, nie bardzo.

- To dobrze, chciałbym, abyś usiadł tutaj i nie pozwolił nikomu, powtarzam, nikomu, nawet samemu prezydentowi, telefonować z tego aparatu. Jasne?

Podniósł się, stanął przed telefonem, skrzyżował ręce na piersiach niczym bramkarz i powiedział:

- Jasne, proszę pana.

W tym momencie usłyszałem kobiecy krzyk w poczekalni izby przyjęć. Słysząc było odgłosy przepychanki, coś rozbiło się o ścianę i pojawiała się Cindy, biegnąc przez podwójne drzwi korytarzem w moją stronę. Zmierzała do sali operacyjnej, gdy zastąpiłem jej drogę. Wpadliśmy na siebie, Cindy przewróciła nas oboje na podłogę, na którą upadliśmy z impetem.

Skierowała palec w stronę mojej twarzy.

- Reese! Powiedz mi natychmiast! Chcę wiedzieć od razu!

Przyciągnąłem ją do siebie, objąłem jej ramiona swoimi i ująłem w dłoń tył jej mokrej głowy:

- Żyje.

Uderzyła mnie pięścią w klatkę, a potem chwyciła za koszulę, przyciągając do siebie i siebie do mnie.

Uświadomiłem sobie, że nie dotarło do niej, pokazałem więc w kierunku sali operacyjnej i powtórzyłem:

- Ona żyje.

- Jak to? - zapytała. Pokręciłem głową:

- Nie teraz - skinąłem w stronę telefonu. - Przed chwilą telefonował Royer. Ma serce. Jest w drodze i zadzwoni znowu

za... - spojrzałem na zegarek, którego nie było na moim ręku - około dwadzieścia minut.

Cindy ukryła twarz w dłoniach, doszła do siebie i zobaczyłem swoją omegę tykającą na jej nadgarstku. Delikatnie odpiąłem ją i założyłem na swoją rękę.

Spojrzała na mnie:

- Czegoś ci potrzeba?

Przez moment pomyślałem o sobie. Spróbowałem się uśmiechnąć.

- Napiłbym się jakiejś lemoniady. Cindy spuściła głowę, mówiąc:

- Ja też.

Usiedliśmy na podłodze, a ja kołysałem ją w ramionach pośród biegającego wkoło nas personelu. Gdy odzyskała oddech, powiedziałem:

- Muszę przyjąć kroplówkę, aby uzupełnić nieco płynów, które straciłem, a potem coś bym zjadł. Czeka nas parę ciężkich godzin i będę potrzebował więcej energii, niż czuję, że mam w tym momencie.

Cindy otarła łzy i ruszyła do baru.

W poczekalni odnalazłem Charliego i Termita, zaprowadziłem ich do gabinetu, w którym lekarka z helikoptera podała dwie kroplówki, pierwszą Charliemu, a drugą mnie. Badała nas, a ja jadłem batona. Obmyła i obejrzała rany Charliego, które były głębokie i nadal krwawiły, a potem spojrzała w moim kierunku.

- Może lepiej pan się temu przyjrzy.

Obejrzałem jego twarz oraz głowę i przekonałem się, że uderzenie musiało być naprawdę silne. Lekarka wróciła z grubą nicią chirurgiczną, a ja założyłem w sumie dwadzieścia siedem szwów w dwóch miejscach, na skórze kości policzkowej i głowy. Wyjdzie z tego, ale przez pewien czas będzie obolała. Podobnie jak mocno przemieszczony bark.

Gdy Charlie został już połatany, a nasze płyny uzupełnione, wróciła Cindy, niosąc jakiś makaron polany czerwonym sosem z czterema wielkimi pulpetami obok. Jadłem wolno, spoglądając na telefon i prosząc Boga, by sprawił, że zadzwoni.

Po minucie zadzwonił. Mój strażnik przy telefonie wstawił głowę do pokoju i skinął w kierunku aparatu na kontuarze:

- Linia numer dwa.

Podniosłem słuchawkę, a Royer odezwał się, zanim zdążyłem wypowiedzieć jakieś słowo.

- Mamy. Kończę za dziesięć, później z powrotem do samolotu za dwadzieścia i ląduję u ciebie za niecałe trzydzieści minut. Niech helikopter będzie już przygotowany.

- Będzie.

- Myślisz, że poczeka, zanim wpadnę z bombonierką? Spojrzałem przez korytarz w kierunku sali operacyjnej,

wiedziałem, że Sal zaszył już rozcięcie, które wykonałem wzdłuż klatki żebrowej Annie.

- Tak, poczeka - minęło kilka sekund: - Royer?

- Tak - brzmiało to nieco tylko głośniejsze niż szept. Stałem tyłem do Cindy, aby trudniej było jej usłyszeć.

- Teraz albo nigdy. Wziął głęboki oddech:

- Niech helikopter po prostu czeka z włączonym śmigłem.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na pierwszych członków zespołu Royera biegnących przez drzwi w kierunku sali operacyjnej i poczułem złoty sandał Annie płonący na mojej piersi.

Wziąłem gorący, długi prysznic, przebrałem się w czysty lekarski drelich i zjadłem jeszcze nieco spaghetti. W umyśle przypominałem sobie poszczególne etapy operacji. Każdy

szew, wszystkie możliwe problemy, między innymi całkiem niebagatelny, polegający na przeprowadzaniu zabiegu transplantacji w szpitalu, który nie był projektowany z myślą o tego typu zabiegach. Pokręciłem głową. Wszystkie te zbiegi okoliczności nie działały na naszą korzyść. Zrządzenia losu nie były po naszej stronie.

W sali operacyjnej zespół Royera przekształcił prowincjonalny szpital w blok operacyjny co się zowie. Spokój i opanowanie zastąpiły chaos. Urządzenia podtrzymujące Annie przy życiu obsługiwane były teraz przez doświadczonych profesjonalistów. Sal usiadł w korytarzu, trzymając swoją niezapaloną fajkę i uśmiechając się, jak gdyby to on był odpowiedzialny za tę zmianę.

Sala została dobrze oświetlona, absolutnie wysterylizowana, przejrzysta, wszystko, co mogłoby odciągać uwagę, znikło. Czekały tylko stoły na narzędzia ze stali nierdzewnej, pokryte jasnym materiałem koloru błękitnozielonego. Zestaw dziwnie wyglądających narzędzi rozłożony został na czymś, co wyglądało na sterylny obrus. Cała jedna ściana pokryta została wskaźnikami, urządzeniami i sterylną wojskową szarością. Wszystkie te maszyny dawały różne, acz równie ważne odczyty dotyczące narkozy, objętości podawanych przez pompę infuzyjną, wentylatory i przeróżne przewody połączone z butlami znajdującymi się poza salą pompującymi hel, tlen oraz tlenek azotu.

Gdy anestezjolog wprowadził Annie w głęboki sen za pomocą środka podanego dożylnie, a ja podłączałem ją do pompy, chirurg dyżurny wprowadził kateter do arterii w jej lewym nadgarstku. Ten niewielki przewód pozwalał nam w każdym momencie kontrolować jej ciśnienie krwi. Kiedy skończył, wprowadził kolejny kateter do żyły w jej klatce piersiowej - aby uzyskać wgląd w stężenie leków oraz wartości bezpośrednio wewnątrz naczyń.

Pielęgniarka w fartuchu wprowadziła niewielki dren do pęcherza Annie, abyśmy mogli kontrolować jej mocz. Normalnie ciało pacjenta było golone, ale Annie nie miała jeszcze owłosienia, umyli ją więc po prostu mydłem i wodą.

Dawniej usiadłbym z tyłu i przyglądał się, zachowując podział wyznaczony pomiędzy pielęgniarki a lekarzy. Ale pierwszy raz od czasu stażu podszedłem do głównego lekarza, przedkładając ponad wszystko moją relację z pacjentem. Powiedziałem:

- Pozwoli pan?

Trochę zaskoczony, pokręcił głową i usunął się na bok, pozwalając mi przejąć inicjatywę. Gdy smarowaliśmy ją środkiem odkażającym, zauważyłem, jak szczupłe stały się jej ramiona, jak wymizerowane i kościste ręce oraz nogi. Podobnie jak u Emmy podczas tych kilku ostatnich dni nad jeziorem, skóra Annie stała się prawie przezroczysta.

Ludzie zadawali mi kiedyś pytanie, jak to możliwe, że transplantolodzy nie przestają być tak oddani pacjentom pośród całego tego napięcia, bólu i wysiłku. Nie przestają być pozytywnie nastawieni. Zawsze gdy mnie o to pytano, przypominałem sobie wyraz oczu Emmy i pytałem, jak mo globy być inaczej.

Zakryliśmy klatkę piersiową Annie chirurgicznym odpowiednikiem folii spożywczej, a następnie delikatnie owinęliśmy ją dwoma sterylnymi prześcieradłami, pozostawiając niewielki fragment odsłoniętej klatki piersiowej oraz górnych okolic brzucha. W akademii medycznej uczono nas, aby określać to polem chirurgicznym, na którym mamy skupiać całą swoją uwagę. Zazwyczaj pomagało nam to uzyskać dystans do operowanego pacjenta.

Może dlatego właśnie podszedłem i umyłem Annie. Nie chciałem tego dystansu.

Podszedłem do końca stołu, dotknąłem jej zimnych palców u stóp i zwróciłem się do pielęgniarki:

- Mogłaby pani może znaleźć jakieś skarpety? Uśmiechnęła się i znikła.

W rezultacie poprzedniej operacji na otwartym sercu w jamie klatki piersiowej Annie znajdowała się znaczna ilość gęstej zabliźnionej tkanki lub też zrostów pomiędzy tylną płaszczyzną kości piersiowej a sercem. Wiedziałem, że gdy przybędzie Royer, będę musiał jeszcze bardziej pogłębić bliznę, ostrożnie starając się dodatkowo jej nie uszkodzić lub nie porozrywać.

Większość serc, które usuwałem, miała, z powodu kardiomiopatii rozstrzeniowej, rozmiar dwa lub trzy razy większy niż zdrowe. To oznacza, że były dużymi, zwiotczalnymi i nabrzmiętymi workami, które nie funkcjonowały prawidłowo. Miałem nadzieję, że serce, które znalazł Royer, będzie mogło się zmieścić w przestrzeni, jaką dysponowaliśmy, ponieważ nie chciałem go przycinać. A serca są kapryśne i nie pozwalają nam zbytnio na to, byśmy je przycinali. Miałem również nadzieję, że będzie się spieszył, ponieważ wiele tysięcy komórek serca umiera w ciągu każdej minuty, gdy przebywa ono poza ciałem. Z każdą sekundą, gdy nie jest w stanie bić, oddalamy się od możliwości powtórnego jego uruchomienia.

W momencie gdy Annie została podłączona do by-passa, przewody przetoczyły jej krew z serca i przesłały ją do czegoś, co wyglądało jak skrzyżowanie tylnej części organów piszczalkowych i urządzenia rodem z laboratorium Wiktora Frankensteina. Po jednej stronie maszyny do krążenia po-zaustrojowego znajdował się rząd szklanych pojemników, porównywanych przez niektórych do zaawansowanej technologicznie wersji automatu do lodów. Gdy krew Annie wypełniła pojemniki, urządzenie zaopatrywało ją w tlen, a na-

stepnie wypompowalo natleniona krew z powrotem do jej aorty wstepujacej.

Po drugiej stronie urzadzenia perfuzjonista uuzownie obserwowal serie wyskalowanych wskaźnikow; doslownie kilka stop dalej anestezjolog sledzil kolejna serie wskaźnikow, spogladajac na odczyty cisnienia i na ilosc tlenu, ktora przyjala, oraz dwutlenku wegla, ktory znalazl sie w wydychanym powietrzu. Gdy wszczepimy Annie nowe serce, nie chcialbym uslyszec w jego ustach dwuch zdań: „Cisnienie spada” albo „Ustaje cyrkulacja”. Aby zatem nie uslyszec zadnego z tych zdań, musialem przekonac go do maksymalnego wysilku. A jednoczesnie nie chcialem go do siebie zrazic. To nie pomogloby Annie. Zlapalem go w korytarzu i odciagnalem na bok.

- Czy moge prosic cie o przysluge?

Spodziewal sie opryskliwego polecenia, wiec pytanie to zaskoczylo go. Spojrzal na mnie przez swoje okulary i wzruszyl ramionami.

-Jasne.

- Podczas swojej poprzedniej operacji przebudzila sie. Przełknal slinę, pokręcił głową ze wstrętem, a następnie skinal głową. Nie musialem juz nic wiecej mowic.

- Nie bój sie - rzucil tylko. - Mam dla niej w planach nieco slodkich snów.

Przewidujac dlugi dzien oraz fakt, ze zazwyczaj lekarze przekazuja sobie pacjentow gdzieś w polowie popoludnia, zapytalem go:

- Kiedy konczysz dyzur? Pokręcił głową.

- Godzine temu przybyla moja kolezanka. Przejala moich pozostalych siedmiu pacjentow - spojrzal na Annie. - Ale... nie ja. Bede tu tak dlugo, jak bedziesz mnie potrzebowal.

Pozlozylem mu dlon na ramieniu.

- Dzięki.

Poszedłem dalej korytarzem, mijając szybę ze szkła weneckiego, przez które personel medyczny mógł obserwować poczekalnię. Charlie, zakrwawiony, ale opatrzony, siedział, nasłuchując i wachając świat naokoło, podczas gdy Cindy stała przy oknie nieopodal, wpatrując się gdzieś tysiące mil stąd i obgryzając paznokcie do krwi. Termit opierał się o automat do napojów, spoglądając na asortyment i machinalnie obracając w rękę swoją zapalniczkę Zippo. A w przeciwległym kącie, osobno, z oczami zamkniętymi, czołem pokrytym potem, poruszając wargami, klęczał oparty o krzesło Davis. Łokciami wspierał się o postrzępioną Biblię.

Zamknąłem drzwi od pokoju lekarskiego i wyjrzałem przez okno, które wychodziło na łąkę z tuzinem mlecznych krów, rywalizujących ze sobą o szansę znalezienia się na środku strumienia.

Ich wymiona wyglądały jak nadmuchane balony, a szczęki pracowały rytmicznie. Zaczął padać lekki, delikatny deszcz.

Oparłem się o okno, zamknąłem oczy i pomyślałem o Emmie. O tym, jak z wyrazem zmęczenia w oczach powiedziała mi, abym się zdrzemnął, i jej uspokajającym uśmiechu, który mi posłała, gdy zanosilem ją do łóżka. Spojrzałem na ręce i dotknąłem palcami blednących pamiątek jej paniki. Na koniec pomyślałem o bólu, którego musiała zaznać i z którym zmagala się przez pół godziny, gdy nie mogłem się obudzić.

Przez całe życie miałem prawie fotograficzną pamięć. Ale gdy spojrzałem teraz przez to okno, gdy Annie oddychała podłączona do respiratora tuż obok, Cindy zwinięta była w kłębek w poczekalni za rogiem, Royer pędził w naszym kierunku, za żadne skarby nie mogłem przypomnieć sobie czegokolwiek, co napisał Szekspir. Ani, jeżeli już o to chodzi, Tennyson, Milton lub Coleridge. Moi przyjaciele odeszli i zabrali ze sobą pocieszenie.

Sięgnąłem po sandał Annie na mojej szyi. Pod nim wisiał medalik Emmy. Pełen wspomnień, które mnie opuściły. Wydawało mi się, że mój umysł jest niczym tablica, do której ktoś podszedł i starł wszystko do czysta. Potarłem sandał, czując pod palcami wytarte litery, zamknąłem oczy i spróbowałem raz jeszcze.

Interkom zatrzeszczał nade mną:

- Doktor Jonathan Mitchell, linia numer jeden. Doktor Jonathan Mitchell, linia numer jeden.

Royer.

Sięgnąłem po słuchawkę po raz ostatni. W tle słychać było helikopter.

-Jonny? Dwanaście minut.

- Będziemy czekali.

Odłożyłem słuchawkę i stanąłem nieruchomo. Wiedziałem, że jeżeli moje życie dokądś zmierzało, to była to właśnie ta chwila.

Powiedziałem lekarzowi naczelnemu, że Royer będzie na miejscu za dwanaście minut, a potem wszedłem do pokoju, gdzie czekali pozostali. Cindy spojrzała na moją twarz, opuchniętą, z wyrazem zmęczenia oraz krańcowego bólu, wstała, spoglądając zimno i badawczo. Charlie usłyszał jej ruch i wstał także.

- To już niedługo - powiedziałem cicho - dam wam znać najszybciej, jak będę mógł.

Cindy próbowała coś powiedzieć, ale potrząsnąłem głową i położyłem rękę na ramieniu Charliego.

- Bądź przy niej, dobrze?

Charlie wziął Cindy pod rękę i pokiwał głową. Poszedłem z powrotem wzdłuż korytarza, przez podwójne drzwi i nacisnąłem guzik nad kranem. Dziewięć minut później wszedłem do sali operacyjnej z uniesionymi rękami, a pielęgniarka podała mi rękawice, abym mógł wsunąć w nie swoje dłonie.

Następnie pomogła mi nałożyć sterylny fartuch, zawiązała mi maskę z tyłu głowy i włączyła moją lampkę na czole. Zajrzałem pod prześcieradło, by upewnić się, że oczy Annie są zamknięte. Anestezjolog siedział za kotarą, obserwując pracę sześciu urządzeń i notując liczby na clipboardzie.

Helikopter osiadł na zewnątrz i rozległ się alarm, któremu towarzyszyła fala błyskających czerwonych świateł biegnąca tam i z powrotem wzdłuż korytarza. Royer przeszedł przez drzwi, niosąc czerwono-białą chłodziarkę, ze spokojem i skupieniem człowieka dostarczającego pizzę.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział - mieliśmy duży ruch w korytarzu powietrznym i... - wzruszył ramionami - zgubiliśmy drogę.

Podszedł do kranu i wcisnął guzik na zegarze. Osiem minut później rozległ się sygnał. Spłukał i wsunął dłonie w rękawice rozmiaru siedem i pół, stanął, by nałożono mu sterylny zielony fartuch, i poprosił pielęgniarkę o dopasowanie mu maski oraz kąta lampki na czole. Następnie spojrzał na mnie.

- Twój ruch, doktorze.

Zespół zebrał się wokół nas: lekarz stażysta w gotowości po mojej lewej, perfuzjonistka za Royerem, instrumentariuszka przy stole u jego boku, wiele innych pielęgniarek stojących w nogach, anestezjolog przy głowie Annie. Wszystkie oczy skierowane na mnie.

Nigdy nie zależało mi na uwadze, którą skupiali na sobie transplantolodzy. Nie dlatego wybrałem ten zawód. Ale czy tego chciałem, czy nie, czułem się jak rozgrywający. Jeżeli zgubię piłkę, każdy to zobaczy, ale jeżeli zdobędę punkty, także.

Wyciągnąłem rękę i szepnąłem:

- Skalpel... proszę.

Po kilku chwilach sięgałem i wsuwałem dłonie pod spód nieruchomego serca Annie. Wykonałem sześć precyzyjnych

nacięć, ostrożnie, aby nie przeciąć przewodów, które do niej wprowadzono, następnie pociągnąłem i uniosłem serce.

Royer wyciągnął w moją stronę metalowe naczynie, spojrzał na mnie znad swojej maski i szepnął:

- W tym znajduje się mnóstwo miłości.

Zanim włożyłem je do naczynia, zauważył szew kapciu-chowy, który wykonałem pośród rumowiska na podłodze mojego byłego warsztatu. Podążył palcami za niemi i spojrzał na mnie:

- Dzięki temu tutaj dotarła? Pokiwałem głową.

- I gdy tu przybyła, serce nadal biło? Skinąłem ponownie.

Zwrócił się do pielęgniarki stojącej obok niego:

- Musimy to koniecznie zachować. Proszę tego dopilnować.

Spojrzał na mnie.

- Wielu w naszym zawodzie wątpiło, czy to jest w ogóle możliwe. To może kilku przekonać. Patolodzy serca przez lata będą badali ten szew i, kto wie, może uda się dzięki temu uratować kilka żywotów.

A zatem martwe, stare serce Annie miało właśnie rozpocząć nową podróż, która na końcu mogła otworzyć drzwi dla innych dziewczynek takich jak ona.

Włożyłem je delikatnie do naczynia, a Royer sięgnął do chłodziarki, zanurzył dłoń pod powierzchnię lodu, wyciągnął szaraworóżowe serce dawcy i ostrożnie podał je mnie. Szukając jakichkolwiek oznak choroby, przebiegłem palcami wzdłuż tętnic serca. Czulem jego mięśnie, zastawki i rozmiary poszczególnych części w stosunku do siebie nawzajem. Było większe niż zazwyczaj, ale jego konsystencja podpowiedziała mi, że to z powodu treningu, a nie choroby. Ktoś

korzystał z tego serca i dzięki temu pasowało. Właściwie było prawie idealne.

Royer odezwał się:

- Twoje palce nie powiedzą ci natomiast, że to uczennica szkoły średniej. Trenowała biegi przełajowe. Rodzice mówili, że odnosiła sukcesy.

Odciągał nadmiar krwi z jamy klatki piersiowej Annie i zaczął zakładać pierwszy szew, podczas gdy ja opuściłem nowe serce, wkładając je do środka. Serca są śliskie, nigdy nie można więc trzymać ich zbyt mocno. Ale także zbyt lekko. To trochę tak, jak trzymać szczeniaka. Trzeba to robić pewnie, ale nie wolno przesadzać.

Trzymałem w ręku symbol życia, zachwycając się nim tak samo jak za pierwszym razem, na zajęciach z anatomii. **Oto ono. Źródło.**

Royer dotknął ręką mojej dłoni, z oczami uśmiechającymi się do mnie znad maski:

- Pamiętaj, prawą stroną do góry.

Transplantacja serca jest dość prostą operacją, składającą się z czterech **anastomoses**. To słowo zapożyczone z greki oznacza tyle, co „połączyć się ustami”. Po pierwsze, przyłączamy lewą komorę przedsionkową dawcy do tego, co pozostało z lewego przedsionka Annie, tworząc zupełnie nową komorę. Następnie zszywamy razem obie prawe komory przedsionkowe. Później aortę dawcy łączymy z aortą Annie, koniec z końcem. Na końcu zaś przyłączamy tętnice płucne.

Ja szylem, podczas gdy Royer utrzymywał serce we właściwej pozycji i napinał zszywaną tkaninę, aby umożliwić pełny do niej dostęp. Pomimo wychwalania moich umiejętności jako chirurga transplantacja to w znacznym stopniu dzieło zespołowe. Podczas gdy kontynuowałem szycie, Royer wylał na serce wiaderko lodowato zimnej soli fizjologicznej w celu utrzymania go w jak najniższej temperaturze, gdy wystawio-

ne było na działanie gorącego oświetlenia. Spojrzał na zegar na ścianie:

- Idzie nieźle. Mamy mnóstwo czasu. Dziesiąta siedem.
- Czas do wystąpienia martwicy? - zapytałem.
- Mamy jeszcze prawie godzinę.

Wszywanie serca zabrało około godziny. Przez cały ten czas pielęgniarka odpowiedzialna za krążenie podążała tam i z powrotem, aby przynieść więcej płynów krwiopochodnych lub podrzucić do laboratorium próbki krwi do badania stężenia narkozy. Gdy wracała z rękami pełnymi plastikowych torebek ze świeżym osoczem, podchodził do niej anestezjolog, który sprawdzał skład na każdej z nich.

Gdy potrzebowaliśmy krwi, anestezjolog podwieszał wysoko na stojaku torebkę, podłączając ją do jednej z dwóch rurek biegnących do ciała Annie. Podczas gdy była podłączona do by-passa, wyglądająca jak miechy akordeonu pompa respiratora pozostawała nieruchoma i opuszczona w dół, ponieważ mechaniczne płucoserce realizowało proces oddychania za nią.

Royer sprawdził przewody i powiedział, nie patrząc na mnie:

- Słyszałem, że oddałeś dzisiaj krew. Pokiwałem głową, nie podnosząc wzroku.

Szwy wykonywane podczas transplantacji muszą być duże i wbijać się głęboko w tkankę, biorąc pod uwagę grubość ścian serca oraz otaczający je tłuszcz. W odróżnieniu od tych zakładanych prawie w minutę, podczas zabiegu wszczepiania by-passów, gdy przydałoby się szkło powiększające, te wydają się gigantyczne.

Royer wylał kolejne wiaderko zimnej soli fizjologicznej i wykonał jeszcze kilka głębokich szwów, aby zapobiec dalszemu krwawieniu. Pociągnął za nici, upewniając się, że szew jest wystarczająco mocny i wytrzyma zmieniający się nacisk serca bijącego ponad sto tysięcy razy w ciągu dnia przez na-

stepne cztery lub pięć dekad. Nauczyciel z powołania, zwrócił się do stażysty po mojej lewej stronie:

- Głębokie szwy, takie jak te, gwarantują pewną anastomozę i pozwalają nam uzyskać hemostazę.

Stażysta pokiwał głową.

Skończyłem lewy przedsionek, a następnie wykonałem nacięcie na prawym. Przypomniałem sobie, że ważne jest, aby takie nacięcie wykonywane było z dala od źródła rytmu zatokowego, obszaru serca, które odpowiada za całą jego aktywność elektryczną. Jeżeli każde serce ma swój wzór uderzeń, a tak właśnie jest, rytm zatokowy to jego bęben.

Zakończyłem anastomozę prawego przedsionka, pozostawiając jeszcze tylko ostateczne połączenie obu aort i tętnic płucnych, co oznaczało, że dzieliła nas jeszcze godzina przed odłączeniem od by-passa. Zwróciłem się do pielęgniarki.

- Czy możesz, proszę, powiedzieć Cindy, że wszystko idzie dobrze? - sprawdziłem odczyty na wszystkich otaczających mnie urządzeniach. - Annie trzyma się dzielnie. Niedługo skończę.

Pokiwała głową i znikła.

Przyciąłem nieco aortę serca dawcy. Nowego serca Annie. Jeżeli Bóg powierzył mi dar, to po części miał się on przejawiać właśnie w tym momencie. W tych właśnie nacięciach. Zasadnicze znaczenie, zarówno teraz, jak i w tych dekadach, które miały dopiero nadejść, miało to, aby były dopasowane. Podręczniki nie mogły tego nauczyć. To było niczym rzeźbienie: lekarz potrafił dopasować je do siebie.

Gdy przyłożyłem tętnice do tych własnych Annie, Royer uśmiechnął się i pokręcił głową. Zszyłem obie aorty ze sobą i zwróciłem się do perfuzjonistki.

-Rozgrzejmy ją.

Zrobiłem to nie po to, aby ponownie uruchomić serce, tylko aby przetestować swoje szwy i przekonać się, czy występują jakieś przecieki - próbny rozruch.

Podczas operacji oziębiliśmy krew w mechanicznym płu-cosercu o około dwadzieścia stopni, aby spowolnić u Annie metabolizm. To zmniejszało zapotrzebowanie organizmu na tlen i utrzymywało żywotność komórek mięśnia sercowego. Gdy przyszyłem do siebie aorty, podgrzaliśmy ponownie natlenioną krew i w czasie jej przepływu przez urządzenie oraz tętnice, które odżywiają serce, zaczęło się ono wolno nagrzewać. Objąłem delikatnie palcami jego powiększające się rozmiary, poczułem pęczniące komory i życie wypełniające pustkę.

Założyłem ostatni szew na tętnicy płucnej i odżywcza, ciepła krew zaczęła wlewać się do nowego serca, wypełniając miliony jego komórek, które głodowały przez trzy godziny i czterdzieści osiem minut. Pociągnąłem delikatnie i zauważyłem, że jedna anastomoza nie trzyma tak, jak oczekiwałem. Odwróciłem się do perfuzjonistki i powiedziałem:

- Odłącz ją i daj mi jeszcze pięć minut.

Dopasowałem to, co trzeba, jeszcze raz zwróciłem się do perfuzjonistki i skinąłem głową. Ponownie serce wypełniło się i zaczęło drżeć jak czajnik, na moment przed zagotowaniem się w nim wody. Wstrzymałem oddech.

Sięgnąłem za siebie po elektrody defibrylatora, często używanego do uruchomienia przeszczepionego serca lub wprowadzenia go w rytm zatokowy - regularny wzór uderzeń. Wymasowałem je po raz pierwszy dłonią dla przypomnienia, że kiedyś było rytmicznie. Serca o tym zapominają, ale można pomóc im sobie przypomnieć.

Zabiło raz. Było to mocne szarpnięcie, głucho uderzenie. Wykonało jeden cykl, pozbyło się krwi i ponownie napełniło. Wykres na monitorze zadźwięczał raz. Wokoło stołu czekaliśmy na drugie uderzenie i trzecie, i...

Cisza.

Twarz Royera zmarszczyła się w oczekiwaniu. Sięgnąłem po elektrody i powiedziałem spokojnie:

- Napięcie sto.

Pielegniarka zaczekała, aż zapali się zielona lampka, i skinęła w moim kierunku. Przyłożyłem elektrody do serca Annie i powiedziałem:

- Gotowe.

Serce szarpnęło gwałtownie, prawie oswobadzając się z elektryczności, która przez nie przepłynęła, a następnie znieruchomiało.

Powtórzyłem:

- Napięcie dwieście.

Oczy Royera badały moją twarz, gdy ja wpatrywałem się w serce Annie. Podskoczyło ponownie i ucichło, bezwładne i bez reakcji. Przerwałem, przebiegłem myślami raz jeszcze przez cały proces. Wszystko przebiegało idealnie. Dlaczego nie zaczyna bić?

Potrząsnąłem głową i wyszeptalem, wiedząc, że to będzie już ostatni raz:

- Napięcie trzysta.

Zapaliła się zielona lampka, a ja skierowałem napięcie w miejsce, w którym zakołysało sercem i wykonało ono skurcz, szarpiąc gwałtownie szwy, które je przytrzymały. Odstawiłem elektrody i czekałem, ale serce Annie nawet nie drgnęło. Sięgnąłem do środka, objąłem je palcami i masowałem, pompując samemu. Starąłem się przekazać mu życie za pośrednictwem własnej ręki. Czulem, jak napelnia się i opróżnia przy każdym uścisku. I za każdym razem opadało bezwładne, miękkie w mojej obolałej dłoni. Ścisakałem je tak przez dłuższy czas, aż zacząłem odczuwać skurcze. Po około dziesięciu minutach znieruchomiało.

Royer położył rękę na moim ramieniu i pokręcił głową. Wokół nas pielegniarki zaczęły płakać. Lekarz główny od-

wrócił się od stołu, perfuzjonistka zakryła twarz rękami. Royer spojrzał na zegar:

- Czas zgonu, jedenasta jedenaste.

Łzy napłynęły powoli. Początkowo wąskim strumykiem, potem rzeką Tallulah. Po raz pierwszy od czasu śmierci Emmy dałem się ponieść prądowi wody. Lata tłumionego bólu, hamowanego gniewu i powstrzymywanego smutku porwały mnie i rzuciły w kierunku zapory. Gdy tam dopłynąłem, woda przelała się, skruszyła beton i zalała dolinę u dołu.

Przechyliłem się do tyłu, rozrzucając narzędzia po sali. Odbiłem się od sterylne go stołu ze stali nierdzewnej, uderzyłem o podłogę i podciągnąłem kolana pod klatkę piersiową, nie będąc w stanie złapać powietrza. Otworzyłem oczy mojego umysłu, starając się podciągnąć z całych sił, ale nie mogłem dotrzeć do powierzchni. Pode mną rozpostarło się stare miasto Burton, pochwyciło mnie za kostki i pociągnęło na dno w kierunku ciemności i ruin. Walcząc, młóćąc wodę, krzychałem do Charliego, do lekarzy: „Napięcie trzysta!” -a potem do Emmy: „Obudź się! Wytrzymaj! Nie odchodź!”. Później pomyślałem o żółtej sukience, o żółtej wstążce powiewającej na wietrze, o małej dziewczynce wykrzykującej wniebogłosy - „Lemoniaaaada!”. I o tym, jak coś obudziło się we mnie w chwili, gdy ją zobaczyłem.

Moje ciało drżało. Krzychałem głośno pomimo bólu. Z każdym spazmem, czyniąc pokutę z powodu wyrzutów sumienia głęboko zakorzenionych w mojej duszy, za smutek, który nie zna granic, i wstyd, którym byłem. Tam właśnie uświadomiłem sobie, że istnieją takie grzechy, za które nigdy nie przestanę płacić.

Głęboko, pośród zielonego, mętnego chłodu blisko dna, zobaczyłem Emmę. Płynęła do mnie, a na jej piersiach nie dostrzegłem blizny. Musnęła mnie w podbródek, pocałowała w policzek i pociągnęła w kierunku Annie, leżącej nieru-

chomo, zimnej i martwej na stole operacyjnym. Jak tylko ją ujrzałem, Emma znikła.

Annie leżała nieruchomo, w zimnej otwartej ranie pośrodku klatki piersiowej znajdowało się martwe serce. Na stole, obok mnie, stał dzban. Przez jego liczne pęknięcia, dziury i szczeliny wyciekała woda, rozlewając się po stole, ściekając na podłogę i otaczając mnie ze wszystkich stron. Próbowałem podnieść dzban jedną ręką, ale był za ciężki. Pochyliłem się, zdjąłem go ze stołu i wylałem wodę na Annie. Strumień obmywał ją z krwi. Im więcej wody wylewałem z dzbana oraz im dłużej to robiłem, tym czystsza się stawała, ale tym cięższy stawał się również i dzban. Z każdą upływającą sekundą serce Annie wypełniało się krwią, jej pierś zaczęła zasklepić się - bez śladu blizny.

Dzban ciążył mi coraz bardziej, stawał się zbyt ciężki. Poślizgnąłem się, ale odzyskałem równowagę i utrzymałem strumień skierowany na nią. Nie mogąc go utrzymać, zacząłem krzyczeć, walcząc z ciężarem wszystkiego. Nie mogąc już dłużej go utrzymać, uniosłem dzban wysoko i wylałem wodę na nas oboje. Stając pod kaskadą wody, obmyłem się. I przez jedną krótką chwilę stanąłem czysty. A potem moje dłonie poddały się i dzban upadł, rozbijając się, roztrzaskując o kamienną podłogę pod nami.

Hałas wstrząsnął mną. Otworzyłem oczy, zerwałem maskę, a moje płuca wypełniły się wilgotnym powietrzem. Zacząłem łapać oddech, zakaszlałem i ujrzałem pokój skąpany w świetle. W oddali szeptała Emma. Echo wydostało się z próżni, którą byliśmy, i przemówiło. A wówczas i właśnie tam powróciły słowa. Stałem nad Annie, ze łzami spadającymi na jej zimne, szare serce i wyszeptałem - to, czego nie zrobiłem.

Jeżeli życie jest tam, gdzie płynie krew, to śmierć pojawia się wówczas, gdy płynąć przestaje.

ROZDZIAŁ 54

Minęło sześć tygodni. Letni gwar poszukiwaczy ciszy dawno się już zakończył wraz z ich powrotem do domów, a inżynierowie rozwarli przepust zapory, obniżając znacznie poziom wody. Spokojna fala rozeszła się po jeziorze, niosąc ze sobą chłodną zapowiedź długiej zimy. Gdy zima nadejdzie, niosąc ze sobą większe zapotrzebowanie na wodę, od Burton po Atlantę jej poziom spadnie jeszcze bardziej, aż do następnej wiosny, gdy uzupełnią ją deszcze.

Ze zniszczonym domem i życiem, które zmieniony już na zawsze, przybyłem tu wieść, wróciłem, stanąłem pośrodku ruin i przesiałem przez palce zalegający gruz. Zostało niedużo. A na pewno nic, co miałoby jakąś wartość. Znalazłem kilka obrazów i parę przyborów kuchennych, ale niewiele więcej. Najpewniej huragan uniósł to, co należało kiedyś do mnie, i porzucił po sąsiednich hrabstwach lub zatopił w jeziorze na północ od nas. Pustka po wszystkich materialnych rzeczach, które kiedyś były mi drogie, wprawiała mnie w odrętwienie.

W nadziei, że znajdę cokolwiek, co należało do mnie, wędrowałem wkoło domu i spędziłem trzy dni, przeszukując las. Większość drzew przelamana była wpół na wysokości około dziesięciu stóp, a wszystkie wierzchołki porzucane były na całym obszarze niczym chrust, utrudniając poruszanie się. Kilkaset jardów od domu znalazłem wannę Emmy, leżącą na

boku. Trzy z jej czterech nóg zostały wyrwane. Przejechałem palcami po krawędzi, przypominając sobie Emmę z głową opartą na brzegu i uśmiechającą się do mnie, gdy para zaczynała zakrywać jej twarz. Opuściłem. Po jeszcze jednym dniu zrezygnowałem z dalszych poszukiwań. Nigdy nie znalazłem podróźnej walizki.

Po tygodniu spojrzałem na jezioro - obecnie już bez szczątków pływających po jego powierzchni - i przyglądałem się uważnie. Może coś do mnie mówiło. Spojrzałem w dół na wodę, zobaczyłem swoje odbicie i postanowiłem, że jednak tak.

Objechałem jezioro, kierując się do mojego składu na drewno, ściągnąłem plandekę, kichając w chmurze kurzu, i załadowałem przyczepę. Zanim popołudnie dobiegło końca, wykonałem wiele takich rund, odświeżając swoje odciski na rękach.

Termit zaoferował się z pomocą i każdego popołudnia po zakończeniu jego pracy w marinie słychać było ryk łodzi Jet Ski, którą przybijał do plaży i zakasywał rękawy. Pierwszego dnia, gdy się pokazał, wręczył mi plik czasopism. Pokręcił głową i zapatrzył się w dal:

- Nie będę ich już więcej potrzebował. Już się napatrzyłem.

Przez większość wieczorów pracował do północy. Był nie do zdarcia i Charlie nauczył go większości tego, czego nauczył i mnie, czyli jak przekształcać i obracać drewno w coś, co po zakończeniu prac będzie przedstawiło sobą większą wartość niż części składowe.

Podczas gdy Charlie i Termit pracowali nad odbudową warsztatu i stawianiem szkieletu nowego hangaru dla łodzi, ja poświęciłem się porządkowaniu bałaganu. Zabrało mi to większą część miesiąca. W końcu wynająłem buldożer, aby zepchnąć to, co zostało, na jedną wielką stertę. Zdobyłem

pozwolenie na podłożenie pod to ognia, zawiadomiłem straż pożarną (która przysłała jedną sekcję, tak na wszelki wypadek), a następnie Termit podpalił stertę jednym pstryknięciem swojej zapalniczki Zippo.

Ogień płonął przez trzy dni. Jediną cząstką mojej przeszłości, która mi pozostała, była koszula na grzbiecie oraz to, co wisiało wokół mojej szyi.

Nigdy nie odnaleźliśmy Hackera. Znaleźliśmy silnik oraz część układu kierowniczego na dnie jeziora, w miejscu, gdzie znajdował się przedtem dok, ale kadłub, dziób i prawie wszystko inne znikło w trąbie powietrznej. To samo stało się z większością naszych narzędzi. Odnaleźliśmy kable, trochę śrubokrętów i wszystko, co znajdowało się w czerwonej skrzynce na narzędzia, ale w sumie wart piętnaście tysięcy dolarów sprzęt przeminął z wiatrem.

Dziwnym zrządzeniem losu dwumiejscowa łódka, którą wyremontowałem dla Emmy i w której ona, a potem Charlie i ja spędziliśmy długie godziny, spoczęła na gałęziach dereni porastających zbocze wzgórza. Termit pomógł mi ściągnąć ją na dół. Załatałem dziurę w kadłubie, potraktowałem papierem ściernym, pokryłem wieloma warstwami lakieru i wystawiłem do wyschnięcia.

Dom Charliego zachował się całkiem nieźle. Został zbudowany na zboczu wzgórza i tornado odbiło się od niego i wylądowało centralnie na moim. Zranił się, gdy wybiegł do drzwi, aby nas ostrzec, i został wepchnięty przez wiatr z powrotem do środka.

Od tego dnia, gdy serce Annie umarło, sypiałem w śpiworze w „jaskini” na tyłach szopy. Przez większość nocy, gdy gasiłem latarnię, która oświetlała mój mały świat, Georgia materializowała się w nocnym powietrzu, trącała mnie nosem, a następnie znikła z powrotem po stronie Charliego. Słyszałem, że łodzie podwodne głęboko w oceanie wysyłają

fale dźwiękowe, aby odnaleźć jedna drugą. Pomiędzy mną a Charliem Georgia odgrywała właśnie rolę tego *ping*.

Szew kapciuch, który założyłem na sercu Annie, spowodował spore poruszenie w świecie medycznym. U Royera urywały się telefony, ale poprosiłem go, aby nie podawał mojego numeru. Powiedział:

- Czas, abyś dosiadł konia, który cię zrzucił.

To był piątek. Wytoczyłem się ze śpiwora i wyszedłem ze swojej dziury. Poranne słońce wdarło się na nieboskłon i nachalnie zaznaczało swoją obecność w atmosferze. Stojąc na nabrzeżu i przyglądając się leszczowi oraz okoniowi goniącymi pode mną, spojrzałem na swój cień rozciągnięty przed moimi oczami na powierzchni wody.

Wskoczyłem do zimnego jeziora, obmyłem się i stałem właśnie w stroju Adama, wycierając się ręcznikiem, gdy Sal zszedł po schodkach i opróżnił swoją fajkę. Włożyłem ubranie i spotkałem się z nim na nabrzeżu.

Nie spojrzał na mnie, tylko przyglądał się jezioru, metodycznie nabijając fajkę. Zapalił ją i wypuścił w zamyśleniu kłęb dymu. Wydechając go, odezwał się:

- Teraz, gdy twój sekret się już wydał, mam ci coś do powiedzenia.

Uniosłem brwi i czekałem.

- Jestem tutaj jedynym lekarzem od... cóż, od dawna. Prawdopodobnie zbyt długo - spojrzał na mnie. - Czas przekazać pałeczkę. Ale - pokiwał głową surowo, wskazując na mnie końcówką fajki - chciałbym ją przekazać komuś, kto potrafiłby z nią pobiec. Komuś, kto zna się na współczesnej medycynie i kto może przybliżyć ją ludziom.

Zarysował swoją rozsiewającą woń fajką brzegi jeziora.

- Mówię o tych zaawansowanych technicznie urządzeniach, które dostępne są tylko w takich miejscach jak Atlanta,

Nashville czy Nowy Jork - przerwał. - Będę ci płacił tyle samo, co sam zarabiam. Sześćdziesiąt tysięcy. Royer mówi, że to około jednej dziesiątej tego, co dostawałeś w Atlancie, ale trudno. Ja nigdy nie zarabiałem więcej niż sześćdziesiąt tysięcy, a poza tym... ludzie tutaj nie mają zbyt dużo pieniędzy. Ale jeżeli się nie mylę, nie robisz tego dla pieniędzy.

Obrócił się i zaczął wchodzić po schodach, spoglądając jeszcze raz na jezioro. A później spojrzał na mnie.

- Ludzie tu potrzebują dobrego lekarza, a ty, chłopcze, jesteś lekarzem. Jednym z najlepszych, jakich widziałem. Będę czekał na wiadomość od ciebie. Stanowisko jest do wzięcia, dopóki go nie obejmiesz - wyciągnął chusteczkę ze swojej tylnej kieszeni i wytarł sobie oczy. - Widziałem, co zrobiłeś dla Annie. Stałem tam w rogu sali - pokręcił głową. - Nie pozwól, aby dopadły cię wątpliwości - stuknął mnie w pierś. - Prawie że dopadły mnie samego, ale... cóż, jeżeli masz być lekarzem, to znaczy **być** lekarzem, to musisz sobie teraz z tym poradzić. Bo nie będzie lepiej - zatrzymał się na tyle długo, by móc złapać oddech. - Ale tak to już jest z byciem lekarzem. Nie chodzi o ciebie, chodzi o nich.

Zapatrzył się na jezioro, potem spojrzał na pusty dom moich sąsiadów i na chatę Charliego na drugim brzegu.

-1 dlatego warto.

Sal poszedł, wsiadł do swojego cadillaca i odjechał.

Dyndając nogami znad nabrzeża, spojrzałem na drugą stronę zatoczki jeziora, gdzie leżała Georgia, wygrzewając się na słońcu tuż przed drzwiami wejściowymi do domu Charliego. Jej pozycja na wycieracze równoznaczna była z wywieszką: NIE PRZESZKADZAĆ na drzwiach w hotelu. Georgia okazywała się dla Charliego pomocna, ale nie zawsze tak, jak to sobie wyobrażałem. Trudno było przyzwyczaić się do jego nowej pory snu, jeszcze większym problemem stał się z tego powodu trening do przyszłotygodniowych regat

Burton Rally. Należało się cieszyć, że w niektóre dni udało się nam znaleźć na wodzie przed południem. Od czasu do czasu zaczynałem bez niego. Chociaż nie jestem pewien, czy kiedykolwiek byłem na jeziorze tak do końca sam.

Około dziesiątej wzdłuż brzegu przydreptała Cindy i zaczęła majtać nogami tuż obok moich. Mieszkała w domu przy drodze jakieś kilkaset jardów dalej. Mój sąsiad, broker z Nowego Jorku, wynajął mi go na następne parę miesięcy. Przynajmniej dopóki nie znajdziemy kogoś, kto mógłby udzielić Cindy kredytu hipotecznego na zakup czegoś innego. Procedura przebiegała sprawniej, odkąd zostałem jej żyrantem.

Od czasu operacji przychodziła tutaj codziennie, mniej więcej o tej porze, aby sprawdzić, jak się mam. W pewnym sensie mierzyła mi puls - upewniając się w ten sposób, czy go jeszcze w ogóle mam. Rzadko się rozgadywała, aleja podobnie. Posiedziała parę minut na nabrzeżu, złapała trochę słońca, pooddychała głęboko, a potem zniknęła. Dzieliliśmy teraz ze sobą coś, co było rzadkością w przypadku innych, którym trudno byłoby to zrozumieć. Często spotykałem ją tutaj także w nocy, spacerującą po nabrzeżu. Cisza była chyba dla niej kojąca. Oboje jej potrzebowaliśmy w pewnej mierze.

Po kilku minutach odwróciła się do mnie, mówiąc:

- Twoja kolej czy moja?

- Moja - powiedziałem, uśmiechając się i wiedząc bardzo dobrze, że nie zapomniała, czyja była dzisiaj kolej.

Pokiwiała głową, ukryła uśmiech i pochyliła głowę do tyłu, zsuwając na oczy okulary przeciwsłoneczne, które zawieszono były na czubku jej głowy. Poszedłem wzdłuż kamiennego chodnika i minąłem szutrową drogę prowadzącą do miejsca, w którym kiedyś stał mój dom i pewnego dnia stanie znowu.

Pod drzwiami sąsiedniego domu zdjąłem buty i wsunąłem się bezszelestnie do głównej sypialni na pierwszym piętrze. Okna w całym domu były otwarte i lekka bryza wносиła do środka świeże powietrze. Otworzyłem drzwi i spojrzałem w kierunku łóżka, leżała na nim, oparta o wezglowie, z zamkniętymi oczami i wypiekami na twarzy z powodu ciepła pod zbyt wieloma kocami, Annie.

Ukląłem przy łóżku, a ona otworzyła oczy:

-Już czas? - zapytała.

Pokiwałem głową.

Otworzyła usta, położyłem dwie tabletki na jej języku i podałem jej szklankę wody do popicia. Mrugnęła niespiesznie i wyszeptała:

- Miałam sen. Pochyliłem się bliżej.

- Spotkałam twoją żonę. Szła brzegiem jeziora. Skinąłem.

- To było jedno z jej ulubionych miejsc.

- A potem ona zrobiła coś bardzo dziwnego.

- Mianowicie? - zapytałem, mierząc jej temperaturę i puls.

Uklęła tuż przy krawędzi wody, podniosła małą łódkę, która tam pływała, i dała mi ją.

- Nie ma w tym nic dziwnego.

- Nie, nie to było takie dziwne. Tylko żagiel. Zrobiony z listu. Który do ciebie napisała.

Nigdy nie opowiadałem Annie o listach od Emmy. Poza Charliem nikt o nich nie wiedział.

Sprawdziłem jej bandażę i opatuliłem kocami pod samą szyję. Pocałowałem ją w czoło, wykradłem się z pokoju i pociągnąłem za sobą drzwi. Schodząc po tylnych schodach, wpadłem na Charliego idącego jej poczytać. W jednym ręku trzymał *Eloizę*, a drugą odnajdywał drogę w górę schodów.

Gdy mnie usłyszał, usunął się z drogi i odezwał:

- Szukałem cię.

- Co ty powiesz? - powiedziałem tonem, w którym pobrzmiwała wątpliwość, widząc po wyglądzie jego włosów, że właśnie się obudził.

- No - powiedział. Wyciągnął rękę, dotknął palcami mojej twarzy, nie odrywając ich przez chwilę, a następnie ścisnął mi policzki, starając się skierować ją w stronę swoich oczu. Gdy upewnił się już, że spoglądam na niego z uwagą, otworzył książkę, którą niósł, i wysunął z niej kopertę. - Powiedziała, że będę wiedział, kiedy ci to dać. Jestem przekonany, że już czas.

Był to bez wątpienia jej charakter pisma. Wyrwałem kopertę z jego rąk.

- Ona naprawdę ci to dała? - powiedziałem z niedowierzaniem.

Charlie pokiwał głową.

- Kiedy?

- Mniej więcej w tym czasie, gdy razem z nią pojechałem do miasta otworzyć tę skrytkę.

- Wiedziałeś o tym przez cały czas? -No.

- Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć? Charlie wzruszył ramionami.

- Nie zamierzałem. Wpatrywałem się w kopertę.

- Masz jeszcze jakieś sekrety, o których powinienem wiedzieć?

Charlie uśmiechnął się.

- Na razie nie, ale dam ci znać, jak będzie trzeba. Rozerwałem kopertę i rozłożyłem kartkę.

Drogi Reese, jeżeli Charlie przekazał ci ten list, to znaczy, że kogoś poznałeś.

Spojrzałem na Charliego z niedowierzaniem.

Poprosiłam go, aby zatrzymał ten list do czasu, gdy przekona się, że chciałbyś zaofiarować swoje czułe serce komuś innemu. Nie martw się. Jest w nim wystarczająco dużo miłości dla dwóch kobiet, a gdy tu przybędziesz, niech Bóg to rozstrzygnie. Kimkolwiek jest, stanowi dla ciebie błogosławieństwo, na które zasłużyłeś. Reese, nigdy nie zapominaj, że urodziłeś się i zostałeś posłany... by opatrywać rany serc złamanych. Wiem o tym. Zawsze o tym wiedziałam.

Popatrzyłem w stronę jeziora i usłyszałem jej szept.

Reese, zrzuć z siebie to brzemie. Proszę, przestań żyć w poczuciu bólu i straty. Pamiętaj, teraz jest mi lepiej. Naprawdę. Przekonasz się, gdy tu przybędziesz. Ale zanim to nastąpi, podziel się tym darem, którym jesteś ty sam.

Pomyślałam wczoraj o wodzie, jak wygląda bez względu na to, gdzie popłyniemy. Fala w końcu zanika, ślady po wiosłach rozmywają się na brzegu i zostają zatarte już na zawsze. Życie na wodzie jest bez przeszłości. A przed nami widać tylko przyszłość.

Kocham cię. Zawsze będę cię kochała. Śmierć nie może nam tego odebrać. A teraz idź. I żyj tam, gdzie płynie życie.

Na zawsze twoja.

Emma.

Charlie spojrzał na mnie.

-1?- uniósł brwi w poszukiwaniu błysków światła na niebie. Kołysząc głową w tył i w przód, zapytał: - Co tam jest napisane?

Uśmiechnąłem się, schowałem list pod koszulą i dotknąłem jego ręką mojej twarzy, na której mógł odczytać palca-

mi uśmiech i śliskie ślady po łzach spływających kaskadami wzdłuż bruzd. Wyszepiałem: - Charlie... ja widzę.

Zeskoczyłem z werandy, lądując na dywanie z zawsze zielonego igliwia i pogałem co sił w nogach. Pędziłem przez las, pomimo gałęzi, które próbowały mnie powstrzymać, przeskakiwałem przez powalone drzewa jak przez płotki. Zsunąłem się po niewielkim wzgórzu i poczułem pod sobą grunt. Gdzieś w górze wystraszyłem porannego gołębia, który wystrzelił pomiędzy konarami drzew jak rakietą. Dotarłem do miejsca, które kiedyś było nabrzeżem i będzie nim znowu, i spuściłem na wodę łódkę. Zapiąłem koszulę, przyciskając do siebie list, wsunąłem stopy w mechanizm i pociągnąłem mocno za wiosła.

Łódka wyskoczyła do przodu. Pociągnąłem znowu. Trzy kolejne, długie, głębokie pociągnięcia i porwał mnie prąd znad Tallulah. Wgryzałem się w wodę, napinając plecy. Woda ciągnęła w swoją stronę, ale ja wgryzałem się głębiej, napierając mocniej nogami. Lżejszy bez drugiej osoby, ślizgałem się nad wodą niczym bryza. Po kilku minutach pot przykleił list do mojej piersi.

Zwijając się w sprężynę, z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej i wyciągniętymi ramionami, wciągając w siebie tyle powietrza, ile mogły tylko pomieścić moje płuca - zanurzałem wiosła. Napierając nogami i rozpoczynając długie pociągnięcia ramionami, wypuszczałem powietrze. Zupełnie rozciągnięty, z ciałem zalany kwasem mlekowym, napychałem się powietrzem tak głęboko, na ile tylko pozwalały mi moje miechy. Przy końcu pociągnięcia unosiłem łopaty wiosel i podciągałem kolana do klatki piersiowej, raz jeszcze wciągając powietrze przez całą drogę z powrotem na koniec łodzi. Z każdym pociągnięciem byłem coraz lżejszy i lżejszy, i lżejszy.

Na wodzie razem z Emmą, ten ostatni raz.

Na pozostawionej przez nas bruździe pojawiły się okręgi. Rozrastały się, nachodziły na siebie, a potem znikwały zupełnie. Słońce ogrzewało nam plecy, pot zalewał mi oczy, a bryza napierała na nas. Woda spływała po moich barkach niczym po wypolerowanym hebanie. Widziałem tylko przyszłość oraz blednącą i odchodzącą w niepamięć przeszłość. A w powietrzu usłyszałem niosący się echem szept jej śmiechu i poczułem na twarzy delikatny dotyk jej palców.

Zawróciłem przy zaporze, z głową oblepioną potem, który spływał strugami po twarzy, kłuł w oczy i osiadał solą na wargach. Słońce zawisło nisko i boleśnie jasno. ***Żaden człowiek nie jest wyspą.*** Pociągnąłem pod prąd i oparłem się plecami

o wiatr, przez który zacząłem płynąć wolniej. Trzy godziny później wróciłem, wyczerpany i oczyszczony.

Z pomocą Charliego Annie - ubrana w kapelusik z żółtą wstążką ciągnącą się za nią - zeszła po zboczu wzgórza. Stanęli na brzegu, przyglądając się jej skrzynce na świerszcze. Po operacji Charlie razem z Termitem przetransportowali ją

i ustawili na werandzie tuż pod jej oknem. Zważywszy na ból związany z zabiegiem oraz nieznajomością nowego domu, jak i łóżka, pomyśleliśmy, że może pomóc jej to lepiej spać.

Obecnie na jej życzenie Cindy i Charlie przenieśli ją na nabrzeże. Annie stanęła obok skrzynki, podczas gdy Charlie pochylił ją na bok. Początkowo pojedynczo, następnie wszystkie naraz, świerszcze zaczęły wyskakiwać i wypełzać na zewnątrz. Dość szybko skrzynka opustoszała, a wokół nas ziemia drgała niczym krople wody na rozgrzanej blasze pieca, gdy pięćdziesiąt tysięcy świerszczy zmierzało ku drzewom, gdzie miały nadzieję poczuć się bezpiecznie.

Przysłuchiwałem się uważnie, tak jak i Annie. Spojrzała na nie, uśmiechnęła się i wyszeptała:

— Ciiii.

W ciągu kilku chwil świerszcze dotarły do linii drzew i zaczęły śpiewać. Annie zamknęła oczy, uśmiechnęła się i zatańczyła jak balerina, uważając, gdzie stąpa. Gdy spojrzałem w dół na piasek, zobaczyłem ślady jej małych stóp obok moich.

Charlie wstał i obrócił się w stronę suburbana.

- Ostatni przy samochodzie stawia kolację!

Annie objęła ramieniem Cindy i wszyscy troje skierowali się do auta. A to oznaczało, że wypadło na mnie pięć „Transplantacji”. Powiedziałem pięć, ponieważ byłem prawie pewien, że Termit pojawi się mniej więcej w chwili, gdy będziemy składali zamówienia.

Charlie krzyknął przez okno po stronie kierowcy:

- No chodź, Dratwa! Pospiesz się, bo inaczej ja poprowadzę!

Stałem, spoglądając na jezioro, nie chcąc jeszcze się żegnać. Chwilę później poczułem pociągnięcie za rękę. To była Annie.

- Reese? Idziesz?

Skinąłem głową. Przez moment staliśmy tak, oglądając wodę pomarszczoną przez wiatr.

A potem Annie wyprężyła plecy, wspięła się na palce i szepnęła mi do ucha:

- Obiecałeś, że powiesz mi dzisiaj. Obiecałeś. Skinąłem raz jeszcze i krzyknąłem do Charliego i Cindy, że zaraz idziemy.

Annie wzięła mnie za rękę i usiedliśmy na nabrzeżu, dyndając nogami nad wodą.

- Cała sztuka przeszczepiania serc - powiedziałem - polega na przekonaniu ich, aby znowu zaczęły bić - przerwałem, zastanawiając się, jak powiedzieć to, co chciałem.

Annie klepnęła mnie w udo:

- W porządku, możesz mi powiedzieć. Jestem już dużą dziewczynką. W przyszłym tygodniu kończę osiem lat.

Tygrysie serce w ciele porcelanowej figurki.

- Choćbym dużo studiował, przygotowywał się i nie wiem jak dobrym lekarzem byłbym w oczach innych, problem polega na świadomości, że tak naprawdę jest się zupełnie bezsilnym, gdy trzeba serce znowu uruchomić. To jest... cud. którego nie potrafię zrozumieć.

Annie oparła się o mnie i słuchała. Słońce odbijało się od powierzchni wody, oświetlało jasny meszek na jej nogach i uśmiech na buzi.

Skinąłem przez ramię w kierunku szpitala Rabun County.

- Tamtej nocy... nie mogłem uruchomić twojego serca. Z medycznego punktu widzenia zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, Royer, ten wielki płaczący miś, pokręcił głową i zapisał czas zgonu o jedenastej jedenaście.

Annie pokiwała głową, przypominając sobie sen jej mamy.

- Czekał na mnie, abym to potwierdził. Tak robią lekarze, gdy ktoś umiera. Aleja nie byłem w stanie tego zrobić. Albo nie chciałem. Po prostu wiedziałem, że ty nie miałaś umrzeć na tym stole. Ja umarłbym tam pierwszy - przyłożyłem palce delikatnie do jej klatki piersiowej. - Pochyliłem się więc i zacząłem szeptać do twojego serca, mówiąc na głos coś, czego nie mówiłem od bardzo, bardzo dawna. A gdy to zrobiłem, usłyszało mnie.

Annie uśmiechnęła się i przycisnęła dłoń do swojego serca.

-Jakby po prostu czekało, aż wypowiem te słowa i przypomnę mu. Ponieważ, gdy to zrobiłem, z powodów, których nie umiem i nigdy nie będę umiał wyjaśnić, napełniło się jak balon, nabrało koloru jasnej, zdrowej czerwieni i zaczęło bić,

jak gdyby nigdy nie przestało. Mocno, silnie i rytmicznie.

Annie zapatrzyła się gdzieś na jezioro, na całe życie, które miała przed sobą:

- Myślisz, że kiedyś znowu się zatrzyma? Pokiwałem głową.

- Tak... ale masz tutaj jeszcze wiele do zrobienia. Wszystkie serca przestają bić, Annie. Ważne jest to, co z nim zrobisz, gdy będzie wciąż biło.

Objęła mnie w pasie i przycisnęła policzek do mojej piersi. Jej ramiona zrobiły się mocniejsze, pozwalając jej silniej wyrażać to, co kipiało w jej wnętrzu.

- Ile mi jeszcze zostało?

Spojrzałem na nią, na jej duże, okrągłe oczy, rozbijający uśmiech, delikatne przebłyski nadziei przebijające się na powierzchnię. Odgarnąłem z jej twarzy odrastające obecnie zdrowe włosy, mówiąc:

- Wystarczająco długo, abyś mogła zrobić się siwa. Annie spojrzała przez ramię na suburbana, następnie pociągnęła mnie lekko za rękę.

- Reese? Co wtedy szepnąłeś?

Nadszedł już czas. Zdjąłem przez głowę medalion Emmy i spojrzałem, jak się obraca, buja i odbija promienie słońca z powierzchni wody. Ująłem go w dłoń i przyłożyłem palce do wygrawerowanych tam wytartych słów. Gdy poczułem na twarzy spływającą łzę, odpiąłem łańcuszek, zawiesiłem go Annie na szyi i spojrzałem, jak zakrywa jej bliznę.